

JOANNA TROLLOPE

NAJLEPSI PRZYJACIELE



Autorka HISZPAŃSKIEGO KOCHANKA

23-60.-

Akcja książki, która opowiada o komplikacjach uczuciowych między czwórką bohaterów, toczy się współcześnie w angielskim miasteczku Whittingbourne. Laurence i Gina są przyjaciółmi jeszcze z czasów szkolnych. Teraz mają rodziny i one też pozostają ze sobą w bliskich stosunkach. Kłopoty zaczynają się, gdy mąż Giny decyduje się opuścić żonę i szesnastoletnią córkę Sophie. Zrozpaczona Gina szuka pomocy u Laurence'a i jego żony Hilary; zamieszkuje z nimi. Niestety Laurence zakochuje się w Ginie... Dramat rodzinny został także ukazany oczami dzieci. Zagubione, mają poczucie, że dorośli rujnują im życie, muszą gwałtownie dorosnąć, nauczyć się wybaczać rodzicom. Życiowej mądrości uczą się od matki Giny i jej przyjaciela Dana przeżywających późną miłość.

ISBN 83-7186-075-7



9 788371 860751

JOANNA
TROLLOPE

NAJLEPSI
PRZYJACIELE

Przełożył
MICHAŁ WROCZYŃSKI

PRIMA
WARSZAWA 1999

Tytuł oryginału: THE BEST OF FRIENDS

Copyright Joanna Trollope 1995

Copyright for the Polisti édition by PRIMA 1999

Copyright for the Polish translation by Michał Wroczyński 1998

Ilustracja na okładce:

Jacek Kopalski

upracowanie graficzne okładki:

Andrzej Kuryłowicz

Redakcja:

Anna Calikowska

Redakcja techniczna:

Janusz Festur

ISBN 83-7186-075-7

PRIMA Oficyna Wydawnicza sp. z o.o.

Świętokrzyska 30/52, 00-116 Warszawa

Adres do korespondencji: skr. poczt. 55, 02-792 Warszawa 78

tel./fax 652-0009

E-mail: [wydawnictwo\(fl\)prima.waw.pl](mailto:wydawnictwo(fl)prima.waw.pl)

Sprzedaż hurtowa i wysyłkowa: Internovator,

Zwrotnicza 1/3, 01-219 Warszawa

tel. (22)-632-2381, (22)-862-7011, 0-501-060-891

Sprzedaż wysyłkowa dla odbiorców indywidualnych:

Prima, skr. poczt. 55, 02-792 Warszawa 78

Księgarnia Wysyłkowa Faktor

skr. poczt. 60, 02-792 Warszawa 78, tel. (22)-649-5599

Warszawa 1999. Wydanie I

Objętość: 15 ark. wyd., 19 ark. druk.

Skład: Zakład Poligraficzny „Kolonel”

Druk: Abedik, Poznań

Dla Tuggy

Rozdział pierwszy

Kiedy niespiesznie wracali do domu, Gus oświadczył, że koniecznie musi zapalić.

— Żaden czternastolatek nie musi palić — odparła Sophy.

— Ale ja muszę — odburknął Gus.

Przystanął i usiadł na chodniku, opierając się plecami o ścianę domu.

— Wstawaj — zażądała Sophy.

Gus poklepał zachęcająco chodnik, jakby zapraszał ją na kanapę.

— Chodź tu, Soph.

Sophy zerknęła na jezdnię, po której z szumem przesuwał się sznur samochodów. Jeśli tylko Gus zapali, to z całą pewnością w którymś z przejeżdżających aut będą wracający z uroczystego lunchu ich rodzice.

— Nie tutaj — powiedziała.

Gus rozwalił się niedbale na chodniku, jeszcze mocniej napał plecami na mur i próbował naśladować małpę. Otworzył kretyńsko usta, zaczął bezmyślnie obracać głową na wszystkie strony i robić okropnego zeza. Zniecierpliwiona Sophy trąciła go nogą i ruszyła przed siebie. Znała Gusa tak dobrze, jakby był jej bratem. Ale nie był, a ona, kiedy odbijała mu szajba, nie zamierzała brać za niego odpowiedzialności. W to sobotnie popołudnie wybrała się z nim do szkoły na mecz koszykówki. Wcale nie miała na to ochoty, ale tak marudził i brzęczał jej nad uchem niczym najbardziej natrętna pszczoła, że w końcu miała

tego serdecznie dosyć i uległa jego namowom. Uważała więc, że jak na jeden dzień zrobiła dla Gusa aż nadto.

Szła główną ulicą Whittingbourne. Panował upał, zapowiadający wielką burzę z piorunami. Nad majaczącą za jasnobrązowym dachem ośrodka sportowego i wzniesioną ze złocistego kamienia wieżą kościelną gromadziły się purpurowawo-szare, ciężkie, przypominające dekorację teatralną chmury. W porywach gorącego, niosącego tumany kurzu letniego wiatru cienka sukienka Sophy z indyjskiego jedwabiu przylegała ściśle do ciała, uwydatniając wszelkie szczegóły jej sylwetki. A tego bardzo nie lubiła. Gdy minęła ośrodek sportowy i miała skręcić za róg, popatrzyła do tyłu. Gus zdążył już podnieść się z ziemi. Oparty o ścianę domu, rozpostarł ramiona i gapił się przed siebie wytrzeszczonymi oczyma, jakby stał przed plutonem egzekucyjnym. Nic dziwnego, że bracia wołali na niego Ośła Łąka. Wiedząc, iż całe to przedstawienie zainscenizowane jest wyłącznie dla niej, Sophy doszła do wniosku, że byłoby bez sensu je oglądać. Wzruszyła więc ramionami i ruszyła szybko swoją drogą.

Za zbudowanym niedawno ośrodkiem sportowym, którego ściana frontowa skonstruowana została z ogromnych szklanych płyt, dzięki czemu widać było dziwaczne sylwetki baraszkujących w basenie pływaków, choć nie docierał stamtąd żaden dźwięk, ulica gwałtownie skręcała w lewo, biegła obok garaży, a następnie uskakiwała w prawo, do pochodzącego jeszcze z czasów średniowiecznych muru otaczającego Whittingbourne Park. W parku stała wysmakowana wiktoriańska rezydencja — zastąpiła skromniejszą, neoklasyczną — w której mieścił się dom dla młodzieży niepełnosprawnej. Przed dwoma laty, w wieku czternastu lat, Sophy z entuzjazmem zgłosiła się na ochotnika do pracy w ośrodku i każdą sobotę oraz większość dni wolnych od szkoły spędzała właśnie w Whittingbourne Park. Kaleka młodzież — przeważnie starsza od niej — okazała się dzielna, pełna zdecydowania i radości życia, jak wszystkie zresztą dzieciaki na świecie. Obecnie mieszkańcy tej rezydencji, gdy spotykali Sophy u Smitha lub na rynku,

podjeżdżali do niej na wózkach i triumfalnymi okrzykami wyrażali swą radość ze spotkania.

Dom Sophy stał dokładnie naprzeciwko bramy prowadzącej do Whittingbourne Park. Zgodnie z tym, co mówił znający się na tych sprawach jej ojciec, Fergus, budynek pochodził jeszcze ze średniowiecza i tylko w siedemnastym stuleciu dobudowano do niego pewne elementy. Od ruchliwej ulicy odgradzał go wysoki mur, a na tyłach posesji znajdował się maleńki, zaciszny ogródek, w którym Fergus z pasją hodował znane jeszcze w średniowieczu rośliny — malwy, żarnowce, ślazy, miętę i mydlnicę lekarską. W ogrodzie stała też oryginalna gotycka drewniana ława, pochodząca z zamku w Winchesterze, altanka opleciona różami i dzikim winem, a środek zajmował trawnik porośnięty rumiankiem.

Sophy przystanęła naprzeciwko swego domu, lecz wcale nie miała ochoty do niego wracać. Będzie pusty, będą w nim jeszcze pobrzmiwać echa porannej kłótni. Jeśli poczeka, aż wrócą z przyjęcia podchmieleni rodzice, kiedy rozproszą się już dźwięki tego, co powiedzieli i wykrzyczeli sobie nawzajem, Sophy bez lęku wejdzie do domu. George, starszy brat Gusa, oświadczył kiedyś, że zazdrości jej tego, iż mieszka w domu, w którym przebywają tylko trzy osoby.

„Wcale by ci się to nie podobало — odparła wówczas. — Uwierz mi. Tam wszystko jest na pokaz, wszystko. W naszym domu nie ma niczego, co by nie posiadało ogromnej wartości. Dotyczy to nawet szuflad na noże i widelce”.

Usłyszała tupot stóp na chodniku i dziki wrzask:

— Nie zostawiaj mnie! — darł się Gus. — Nie zostawiaj!

Poczekaj na mnie! Poczekaj!

Dopadł do Sophy i chwycił ją w ramiona.

— Ktoś mógł mnie porwać — wydyszał ciężko.

— A kto by cię zechciał? — parsknęła Sophy.

— Jakiś zboczeniec na pewno. Wracasz do domu?

— Nie. — Odepchnęła Gusa. — Zjeżdżaj. Lepisz się od potu.

Gus popatrzył na majaczące nad murem okno na pierwszym piętrze domu Sophy.

— Dlaczego twój dom nosi nazwę Jego Wysokość? Przecież wcale nie jest wysoki.

— Tata twierdzi, że to nazwa metaforyczna. Do naszego domu miał zwyczaj przychodzić biskup, żeby odbierać dziesięcinę.

Gus natychmiast przybrał znudzony wyraz twarzy. Ziewnął. Wyciągnął z kieszeni pogniecioną paczkę marlboro, wyjął papierosa i wsunął go do ust.

— Rany, ale chce mi się palić...

— Czy mogę iść do ciebie?

— Jasne. Dlaczego pytasz?

— Nie wiem. Po prostu...

— Przecież i tak praktycznie u nas mieszkasz.

Sophy poczuła, że coś ściska ją za gardło. Ujęła w palce niebieski koralik, który nosiła na rzemyku zawieszonym na szyi, wsunęła go do ust i zacisnęła na nim zęby. Często branie było trudniejsze od dawania; upokarzało, sprawiało, że nienawidziła samej siebie.

— Tak naprawdę...

Gus zapalił papierosa i głęboko się nim zaciągnął. Wypuścił z płuc wielki kłęb dymu i popatrzył przez błękitny obłok na Sophy. Strasznie chciał, żeby poszła z nim do jego domu.

— No, chodź — ponaglił.

— Tak naprawdę — powtórzyła, wypluwając koralik — to chyba pójde jednak odwiedzić Ba.

— Po co? — zapytał Gus, wyraźnie tracąc humor.

— Nie zrozumiałbyś.

— Dlaczego nie?

Sophy zdjęła opaskę z długich i raczej rzadkich, ciemnych włosów, potrząsnęła nimi, po czym znów ją włożyła.

— Bo to skomplikowana sprawa. Kwestia dumy.

— Zrobię ci pepsi z lodami.

— Innym razem.

Popatrzył na nią.

— Płaczesz?

— Wcale nie! — krzyknęła.

Gus znów przeniósł wzrok na Jego Wysokość. To miejsce nigdy nie wydawało mu się odpowiednim domem dla Sophy. Jego zdaniem

naturalniej wyglądała w szkole lub w dziwnym, poplątanym domu, gdzie mieszkał on, jego rodzice i bracia. Gus nie lubił wizyt w Jego Wysokości. Obowiązywało tam zbyt wiele niepisanych zasad, których nie wolno było łamać. Wzruszył ramionami.

— Jak chcesz.

— Cześć.

Popatrzył na nią. Zauważył niewielkie wgłębienie między obojczykami, lekki zarys stanika pod jej cienką sukienką, niebieski koralik na szyi.

— Cześć — odparł ze smutkiem.

Sophy, zanim zniknęła z zasięgu wzroku Gusa, szła zdecydowanym krokiem. Później jednak przystanąła i oparła się plecami o mur. Była to kamienna ściana, szorstka i pełna brunatnożółtych lizajów. Z takich samych kamieni zbudowana została większość domów w Whittingbourne. Budynki w starszych partiach miasta miały dachy wykonane z tego budulca, porośnięte grubą warstwą rozchodnika. Wiktorianie oczywiście do budowy domów używali przeważnie czerwonych i żółtych cegieł oraz niebieskich dachówek z łupka, a wiek dwudziesty uzupełnił to wszystko lichym, funkcjonalnym budownictwem płytowym. A jednak Whittingbourne zachowało charakter kamiennego miasta w tonacji szarości i złota. Sophy, podobnie jak jej matka, urodziła się w tym miasteczku. Tutaj też, po swych braciach, przyszedł na świat Gus. Jego ojciec przybył do Whittingbourne w wieku trzech lat i tu skończył szkołę podstawową dla chłopców. Matka Sophy z kolei ukończyła miejscową szkołę podstawową dla dziewcząt. Zbliżyli się do siebie, kiedy obie instytucje wystawiały wspólnie sztukę André Obeya „Noe”, w której matka Sophy grała rolę żony Noego, a ojciec Gusa, z twarzą poczernioną zwęglonym korkiem, Chama. Działo się to w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym i oboje mieli po szesnaście lat. Gina Sitchell i Laurence Wood mieli na sobie kostiumy, które uszyły im ich matki. Wood dodatkowo nosił perukę, uplecioną nieudolnie z czarnej wełny. Zachowała się fotografia z tego

spektaklu przedstawiająca matkę Sophy. Na zdjęciu widnieje twarz do złudzenia przypominająca buzię Sophy; ale ładniejsza. Gina Sitchell miała urodę typową dla młodzieży lat sześćdziesiątych. Pod grzywą puszystych włosów widać było wielkie oczy i wielkie usta.

„Na scenie nosiłam sztuczne rzęsy — powiedziała Gina córce — więc domalowałam sobie dolne, co nadawało mojej twarzy wyraz nieustannego zdziwienia”.

Sophy bardzo rzadko robiła sobie makijaż. Fergus oświadczył, że bardzo tego nie lubi, a ona odparła, że nawet nie wie, jak się malować. Zawsze zresztą tak mówiła o sprawach, co do których nie była pewna. „Nie wiem, jak tego słuchać” — twierdziła na temat współczesnej muzyki. „Nie wiem, jak na to patrzeć” — mówiła o mało reprezentacyjnej, nowoczesnej sztuce. Fergus doceniał takie stanowisko i zawsze nakazywał córce uczciwość. Teraz oparta o ciepły, szorstki mur, pomyślała przelotnie o uczciwości. Nie była w stosunku do Gusa uczciwa. Powinna była mu odpowiedzieć: „Bardzo chciałabym pójść z tobą, ponieważ za rodzinny dom, taki jak twój, sprzedałabym duszę diabłu”. Ale nie powiedziała tego, powiedziała, że chce odwiedzić Ba, oszukała go, że to właśnie woli. No cóż, powinna zatem zrobić wszystko, by łgarstwo zamieniło się w prawdę i rzeczywiście odwiedzić Ba. Oderwała się od muru i wyprostowała plecy. Obserwujący ją z okna na pierwszym piętrze domu stojącego po przeciwnej stronie ulicy mężczyzna pomyślał, że mimo iż dziewczyna jest zbyt wysoka i zbyt chuda, ma coś w sobie. Może z powodu kształtu jej szyi.

Vi Sitchell zajmowała mieszkanie w bloku przeznaczonym dla starych ludzi. Dom, który zbudowano na planie kwadratu, posiadał wewnętrzny dziedziniec zarośnięty bez reszty francuskimi nagietkami i szkarłatną szalwią. Na podwórze prowadziła niewielka brama, na noc zamykana na glucho. Ryglowano ją jeszcze przed zamknięciem okolicznych pubów. Do tej bramy Vi miała nieustanne pretensje. Niekoniecznie musiała pozostawać w pubie aż do chwili jego zamknięcia, ale lubiła krzepić się myślą, że w każdej chwili może tak zrobić.

„Przekłęci faszyści” — mawiała zazwyczaj o dozorcach

Tak naprawdę gospodarzami domu było łagodne małżeństwo w średnim wieku, na przekór wszelkim pozorom uważające iż mieszkańcy Orchard Close są poczciwymi, starymi istotami pogodzonymi już ze spokojnym, samotnym zmierzchem ich długiego życia.

„Zmierch! — mruzczała Vi. — Już ja dam im mierch! Moje najlepsze lata jeszcze nadejdą, i lepiej niech o tym nie zapominają”.

Vi skończyła osiemdziesiątkę. Ginę, jak na obyczaje panujące w jej czasach, urodziła późno, bo w wieku trzydziestu pięciu lat. Ojcem był amerykański lotnik, który po zakończeniu wojny doszedł do wniosku, iż w Anglii rozpocznie nowe życie. Gdy jednak dowiedział się, że ma zostać ojcem, natychmiast dał drapaka do Avenel w stanie New Jersey, zostawiając za sobą jedynie kolekcję płyt gramofonowych oraz spodnie od munduru, z których Vi zrobiła Ginie szmacianą świnkę.

„Wygląda dokładnie jak on”.

Nigdy nie wyszła za mąż ani nie udawała, że ma męża. Gdy zrozumiała, iż jest w ciąży, a ojciec dziecka czmychnął w siną dal, wyjechała z Londynu do Whittingbourne, zainspirowana głównie, jak mówiła, ślicznym plakatem widzianym w jakimś pociągu. Na plakacie widniała reprodukcja akwareli przedstawiającej panoramę miasteczka, a pod nią napis: „Wrota do Serca Anglii”. W Whittingbourne podjęła pracę w największym magazynie towarów tekstylnych, gdzie dzięki swemu londyńskiemu sposobowi myślenia, wymowy i działania oraz zorganizowaniu w magazynie baru i działu mody szybko została zastępcą dyrektora. Gina przyszła na świat w szpitalu miejskim Whittingbourne. Wychowywała się w niewielkim domu o płaskim dachu, bez ogrodu i widoku z okien. Mała Gina miała do tego domu własny klucz. Od siódmego roku życia, w miarę jak Vi pochłaniała sprawy zawodowe, coraz częściej samotnie do niego wracała. W zimowe popołudnia — jak oświadczyła potem Sophy — brała książkę, kaganek, szła do spiżarni — jedyne ciepłego miejsca w domu — i tam czytała aż do powrotu Vi.

„Czytałam wszystkie powieści, jakie wpadły mi w ręce. Dickensa, Louisa M. Alcott, Tolstoja, Noela Streatfield, Daphne du Maurier, Enida Blytona. Wszystko. I czasopismo »Home Chat«, które przynosiła Vi. Czytałam je zapamiętałe ze względu na zamieszczane w nim opowieści o miłości. Kiedy pismo przestało wychodzić, przerzuciłam się na »Woman's Own«, i Thomasa Hardy'ego”.

Na Orchard Close Vi nie miała żadnych książek. Gdy Gina wyszła za mąż, zabrała ze sobą całą bibliotekę, a jej matce nawet nie zaświtała w głowie myśl, by założyć nową. Vi cieszyła się, że jej córka lubi książki, choć sama za lekturę nie przepadała. Mieszkanie na Orchard Close pod numerem siódmym bez reszty wypełniały szydełkowe robótki, robótki na drutach, makramy, ceramiczne naczynia, czekające cierpliwie, aż Vi ozdobi je wyrazistymi, migotliwymi rysunkami kwiatów, niewykończone parawaniki przed kominek i inne dekoracje. Były tam kolaże, przedstawiające krajobrazy ze srebrzystymi, przetykanymi złotem jeziorami i zielonymi, jedwabistymi wzgórzami oraz malowane w jaskrawych barwach wizerunki przepysznych bukietów kwiatów, które Vi pod koniec dnia kupowała prawie za bezcen na rynku.

Vi kochała kolory. Kochała też Ginę, Sophy, transmitowane przez telewizję walki bokserskie, sobotnią wieczorną brandy i piwo imbirowe oraz Dana Bradshawa.

„On jest miłością mego życia — oświadczyła Ginie. — Ale za skarby świata nie wyznałabym mu tego”.

Dan Bradshaw był wdowcem. Miał siedemdziesiąt siedem lat i mieszkał po drugiej stronie dziedzińca bloku przy Orchard Close, w mieszkanku schludnym niczym kabina na statku. Kochał muzykę chorałową — „Nie cierpię muzyki”, mówiła Vi, „nie cierpię hałasu” — historię naturalną i Vi. Laurence, ojciec Gusa, oświadczył Sophy, iż Dan jest zakochany w Vi po uszy, zupełnie jakby miał dwadzieścia siedem, a nie siedemdziesiąt siedem lat. Vi darzyła Dana Bradshawa nieskrywanym i głębokim uczuciem. Czasami o siódmej rano w czerwonym płaszczu przeciwdeszczowym, zarzuconym prosto na nocną koszulę, szła przez podwórko, żeby go obudzić. Dostarczało to

mieszkańcom Orchard Close tematu do rozmów, plotek i domysłów. Dwoje z nich zdjęło nawet w oknach koronkowe firanki, żeby mieć lepszy widok na wędrującą przez podwórze Vi.

Kiedy Sophy weszła na dziedziniec przy Orchard Close ujrzała Dana Bradshawa, klęczącego na rozłożonej wśród nagietek macie. Stary człowiek przesłał jej nieśmiały uśmiech i pstryknął palcami w rondo słomkowego kapelusza.

— Plaga ślimaków — wyjaśnił. — Plaga. To chyba przez te deszcze.

Obok niego stał plastikowy kubek z masą pozlepianych ze sobą stworzeń.

— I co z nimi zrobisz?

— Zniosę na teren dawnego opactwa i wyrzucę w krzaki. Muszę to zrobić szybko. Inaczej Vi spróbuje je usmażyć.

Sophy przykucnęła przy Danie. Był on drobnym mężczyzną o wypielęgowanych dłoniach i schludnie zaczesanych włosach.

— Tak tylko żartuje — pocieszyła go Sophy. — Vi nigdy by czegoś podobnego nie zrobiła. Nie cierpi zagranicznego jedzenia.

— I tak nie dałbym jej ich usmażyć. Nie pozwoliłbym, żeby cierpiały. Teraz, jak już jesteś po egzaminach, masz zapewne dużo wolnego czasu, prawda?

— Tak — przyznała. — A dziś jest jeden z tych dni, gdy wszyscy moi znajomi mają coś do roboty, a ja nic.

— Myślałem, że lubisz czytać.

Sophy wyjęła z wiaderka ślimaka, do którego skorupki mocno przyłgnęły dwa inne.

— Lubię — odparła i pospiesznie, z lekkim wstrętem, odrzuciła stworzenie do kubka. — Ale po egzaminach mam trochę dosyć słowa pisanego.

— W twoim wieku należałem do skautów. Uczyliśmy się zaradności, samowystarczalności, rozbijania obozów i biwaków. Szkoda, że dzisiaj nie jest to już tak bezpieczne. — Zaczął rozrzucać wśród nagietek jasnyniebieski środek owadobójczy, który trzymał w plastikowym pojemniku. — Nie znoszę tego robić, ale muszę. Wybaczcie, ślimaki.

Sophy wyprostowała się.

— Idę odwiedzić Ba.

Dan uśmiechnął się i twarz niezwykle mu złagodniała.

— Powiedz jej...

— Co mam powiedzieć?

— Mniejsza o to — machnął ręką skrępowany nieoczekiwanie Dan. — Mniejsza o to. Sam jej później powiem.

— A jednak poszli na to przyjęcie — stwierdziła Vi.

Przyozdabiała właśnie kremem czekoladowe ciasto. Vi była jedyną znaną Sophy osobą, która umiała i lubiła przyrządzać ciasta.

— Pojechali wszyscy — odrzekła Sophy. — Mama, tata, Laurence i Hilary. Ciągnęli losy, kto nie będzie pić i odwiezie całe towarzystwo do domu. Wypadło na Hilary.

— Powinni zamówić taksówkę — stwierdziła praktycznie Vi. Wyciągnęła do Sophy łyżkę. — Spróbuj. Będzie to przyjęcie, na którym pojawią się wszystkie byłe żony. Zabawne, jak hucznie niektórzy ludzie muszą obchodzić urodziny. Pięćdziesiąte? Jakie pięćdziesiąte, pytam! Zwłaszcza przy trzecim małżeństwie... Nie jest za słodkie?

— Troszeczkę.

— Nie dla mnie. Zostało mi to z czasów wojny. Nie potrafiłam wtedy myśleć o niczym innym jak tylko o gorących kąpielach i cukrze. Czy Dan ciągle jeszcze ratuje ślimaki?

— Ma ich w wiaderku chyba z pięćdziesiąt.

Vi włożyła do zlewu łyżkę i brudny przyrząd do wyciskania kremu, po czym puściła głośny strumień wody z kranu.

— Dan ma serce miękkie jak wosk. Gdyby tylko miał możliwości, bez namysłu założyłby ośrodek pomocy dla szczurów i stonóg. — Zakręciła kran i popatrzyła na Sophy. — Jak leci?

Sophy splotła palce.

— Jak zwykle.

Vi przeszła przez ciasną kuchnię i zatrzymała się przed oprawionym w czerwoną plastikową ramkę lusterkiem w kształcie serca. Ze

stojącego na sąsiedniej półce dzbanuszka wyjęła szminkę i obserwując w zwierciadle odbicie wnuczki, zaczęła malować sobie usta.

— Opowiedz.

Sophy usiadła przy stole i starła palcem pacynkę kremu, która spadła na blat.

— Ranek był raczej paskudny. Zaczęli, zanim jeszcze wstałam. Słyszałam wszystko. Kiedy zeszałam na dół, spierali się dalej...

— Jak zwykle to samo?

— Mmm...

Vi zakręciła szminkę, przechyliła głowę i przeglądając się w lusterku, podziwiała swe dzieło. A swoją drogą, jeśli się głębiej nad tym zastanović, szminka to osobliwa rzecz. Dziewczęta w czasach wiktoriańskich przygryzały sobie wargi, żeby mieć czerwone usta. Robiły to czasami tak energicznie i mocno, że pojawiała się krew.

Vi odwróciła się do Sophy.

— Sama, ptaszyno, rozumiesz, że oni już tak muszą. Ale to nic nie znaczy.

Sophy nie odpowiedziała. Wiedziała, o co chodzi Vi, rozumiała, że jej rodzice kłócili się niemal bez przerwy od bardzo dawna, ale czuła, iż tym razem w ich awanturach kryje się coś więcej. Matka sprawiała wrażenie bardziej udręczonej, ojciec obojętnego. I byli tak zawzięci, odnosili się do siebie z taką pogardą.

„To, co ty nazywasz brakiem lojalności z mojej strony — powiedział tego ranka bardzo głośno, ogarnięty dziką furią Fergus — jest po prostu desperacką próbą zdobycia czegoś własnego, osiągnięcia czegoś wyłącznie o własnych siłach”.

Gina krzyknęła, że Fergus celowo wypacza sens jej słów. Czyż nie rozumie — wrzeszczała — że jest samotna, żyjąc z kimś, kto marzy jedynie o tym, by zostawić ją na lodzie? Miała na sobie podomkę, którą Sophy uwielbiała, tę z ciemnozielonej bawełny prowansalskiej, ozdobioną drobnym, jaskrawym, czerwonym i żółtym haftem. Gina przez nieuwagę rozlała sobie na nią kawę. Wycierała błękitnym

gałgankiem plamę i krzyczała, że być samotną, żyjąc w związku z mężczyzną, jest czymś znacznie gorszym, niż nie mieć przy sobie nikogo. Sophy bardzo współczuła matce, a jednocześnie była na nią wściekła i pragnęła, aby przestała już krzyczeć. Wyszła z kuchni, wróciła na piętro i przez dwadzieścia minut siedziała na sedesie, oglądając bezmyślnie komiksy z Tintinem.

Vi zajęła miejsce naprzeciwko Sophy i ujęła jej dłoń. Ręka Vi była ciepła i delikatna, na palcach pobłyskiwało dużo pierścionków, zabrudzonych w tej chwili ciastem.

— No, mów.

— Nienawidzę tych awantur!

— Oczywiście. A oni nie powinni klócić się przy tobie. Ale sprzeczki te trwają jeszcze od ich czasów narzeczeńskich. — Ścisnęła dłoń Sophy i pochyliła się w jej stronę. Pachniała ciastem i wodą kolońską Yardley's Red Roses. — Pamiętam, jak twój ojciec oświadczył nam, że zmienił imię. Na chrzcie nazwano go Leslie, na pamiątkę Lesliego Howarda, aktora, za którym przepadała jego matka. Gdy spotkał Ginę, zmienił imię. Dał do prasy ogłoszenie, że od tej chwili nazywa się Fergus Bedford. Gina zrobiła mu za to piekielną awanturę. Powiedziała, iż nie znosi bufonów, którzy wstydzą się swoich korzeni, i nawet nie dała mu szansy się wytłumaczyć. Zamknęłam się w kuchni; pozwoliłam im załatwić sprawę między sobą. Po sprzeczce wyszli z pokoju, trzymając się za ręce i nigdy już do tematu zmiany imienia nie wrócili.

— Teraz to już nie są sprzeczki — mruknęła dotknięta do żywego Sophy.

Vi baczniej się jej przyjrzała. Sophy sprawiała wrażenie zmęczonej, ale na to akurat mogły mieć wpływ nieprzespane noce, kiedy przygotowywała się do egzaminów, a Sophy zawsze była obowiązkowa, pracowała sumiennie i bardzo przykładała się do nauki. Poza tym przez ostatnie dwa lata znacznie urosła, a jednocześnie zaczęła to całe wariactwo z wegetarianizmem. Gina i Sophy zapewniały Ba, że proteiny znajdują się nie tylko w krwistym mięsie, ale staruszka nie potrafiła jakoś w to uwierzyć. Sophy, blada i szczupła, z długimi, cienkimi rękami sterczącymi z luźnych, pozbawionych mankietów rękawów

jej sukienki, zdaniem Vi aż prosiła się o solidny kawałek pieczonej wołowiny. Ponownie ścisnęła dłoń wnuczki.

— Ptaszyno, mogę jeszcze raz porozmawiać z twoją mamą, ale nie sądzę, by chciała mnie słuchać.

Sophy potrząsnęła głową.

— Nie posłucha. Poza tym nie chodzi przecież o mnie, ale o nich.

— Oczywiście, to bardzo ładnie z twojej strony, że tak właśnie myślisz.

— Po prostu... — zaczęła gwałtownie Sophy, czując, że już drugi raz tego popołudnia zbiera jej się na płacz. — Po prostu nie chcę z nimi mieszkać pod jednym dachem, dopóki ma tak być.

— A nie możesz gdzieś wyjechać? Przecież zaczęłaś już wakacje.

Sophy znów potrząsnęła głową.

— Pomogłabym ci, ptaszynko...

Dziewczyna spojrzała na Vi i powiedziała zdławionym głosem:

— Wiem, wiem. I bardzo ci dziękuję. Ale widzisz, mam pracę. Muszę zarobić na podróż. Pracę dała mi Hilary. W Pszczelim Domu.

— Jaką pracę? — parsknęła Vi. — Zmywanie garów?

— Rodzaj...

— Trzy funty za godzinę?

— Mam tylko szesnaście lat, a chcę zarobić. Ja...

— Pewnie — powiedziała Vi i pocałowała Sophy. — Zarobić zawsze warto. — Wstała od stołu. — Pora zająć się imbrykiem. Ciekawa jestem, co by się stało, gdybym porozmawiała z Hilary...

— O mamie i tacie?

— I o tobie.

Sophy myślała długą chwilę, bawiąc się koralikiem.

— Z Hilary w każdej chwili może porozmawiać mama. Ja...

— Co ty, kochanie?

— Ja... cóż, ja nie sądzę, że powinnaś porozmawiać z Hilary. Nie sądzę, że powinna z nią porozmawiać mama. Nie sądzę też, abyśmy

my powinny rozmawiać o tym ze sobą. — Nieszczęśliwa Sophy mówiła coraz szybciej. — Nie sędzę, by ludzie powinni gadać i gadać, dyskutować i dyskutować, analizując wszystko na okrągło. To tylko pogarsza sprawę, wyolbrzymia problem, sprawia, że czuje się taka winna, czuje się tak, jakbym wściubiała nos w nie swoje sprawy.

Teraz już Sophy zakryła dłonią twarz i wybuchnęła płaczem.

Vi odstawiła czajnik i objęła wnuczkę.

— Jeśli ktoś jest w tym wszystkim niewinny, to ty, kochanie.

— Ale ja czuję, że jest inaczej — odparła Sophy stłumionym z emocji głosem. Cały czas tuliła twarz w letnią, jedwabną sukienkę Vi w barwne kwiaty. — Czuję, że wszystkiemu winna jestem właśnie ja.

— Hmm — mruknął Dan, stając w drzwiach kuchni.

Wyciągnął przed siebie plastikowe wiaderko, by pokazać, że jest już puste, a Vi grymasem dała mu do zrozumienia, że z Sophy nie jest najlepiej.

— Było ich siedemdziesiąt siedem — oświadczył z dumą. — Uwierzysz? Siedemdziesiąt siedem ślimaków na szesnastu roślinach. — Zbliżył się do stołu i położył dłoń na ramieniu Sophy. — Potrzebuję twojej pomocy. Wykorzystam cię przy rozwiązywaniu tej wielkiej krzyżówki.

Objedzona ciastem Sophy wracała do domu, gdy zamykano już pierwsze sklepy. Specjalnie wybrała dłuższą drogę. Przeszła całą Orchard Street aż do miejsca, gdzie przechodziła w Tannery Street, a kawałek dalej zaczynał się rynek. W dni nietargowe cały plac wypełniały zaparkowane samochody, a po prawej stronie, na rogu, na szerokich, wyłożonych kamieniami miejscach przed kościołem parafialnym gromadzili się chłopcy. Vi określała ich mianem obwiesiów. Niektórzy z nich chodzili z Sophy do szkoły, ale w weekendy, poubierani w zbyt obszerne dżinsy i przyciasne skórzane kurtki, udawali zuchowato, że nie odróżniają jej od innych dziewcząt zaczepianych lub witanych gwizdami. Sophy nic sobie z nich nie robiła. Dawno już odkryła, że jeśli napotka wzrokiem spojrzenie któregoś z nich albo

bojaźliwie spuści oczy, może zwrócić na siebie uwagę. „Należałoby posłać ich do wojska — oświadczyła Vi. Vi, która przez całe życie głosowała na Partię Pracy. Tego dokładnie im potrzeba”.

Pewnego razu, gdy któryś z nich zachował się wobec niej grubiańsko, powaliła go uderzeniem torby, gdzie niosła rzepę i kilogram cebuli. Za ten wyczyn doczekała się swego zdjęcia na pierwszej stronie lokalnej gazety.

Sophy przeszła przez plac. Z lekkim, czysto mechanicznym zainteresowaniem zerknęła na witrynę sklepu odzieżowego, który w tym roku szkolnym najbardziej lubiła. Wybrała sobie w myślach dwa stroje, jakie chętnie przyjęłaby w prezencie: parę butów na platformach (bardzo by jej się podobały, gdyby kosztowały pięć, a nie trzydzieści pięć funtów) oraz długą, robioną na drutach kamizelkę, prawie, choć nie do końca, wartą tego, aby odkładać na nią pieniądze. Minęła ją koleżanka z klasy. Szła za rękę z chłopakiem, którego Sophy widziała kiedyś, jak pracował w miejscowym sklepie z mrożonkami, zwożąc pozostawione przez kupujących na parkingu wózki sklepowe.

— Cześć, Sophy! — powiedziała z wyraźnym triumfem koleżanka.

— Cześć!

Znajdujący się za jej plecami na wieży kościelnej, niebiesko-złoty zegar wybił dźwięcznie pół godziny. Sophy odwróciła się i uniosła głowę. Siedemnasta trzydzieści.

„Powinnaś wracać — powiedziała jej Vi. — Będą się o ciebie niepokoić. Może zadzwonię?”

„Nie trzeba. Dzięki. Pomyślą, że jestem u Gusa i...” — urwała.

Vi poklepała ją po dłoni.

„Zawsze możesz tu wpadać. Kiedy tylko zechcesz”.

Sophy skinęła głową. W salonie Vi było stanowczo za ciepło, a powietrze przesączał zapach ciasta. Odgadła Danowi siedem hasel. Stary mężczyzna był pełen podziwu dla jej wiedzy, ale na nim nie było trudno wywrzeć wrażenie, więc poczuła do samej siebie niesmak; zupełnie jakby oszukała staruszka. „Niech cię Bóg błogosławi, moja

miła” — powiedział Dan, gdy opuszczała mieszkanie, a ona pomyślała nieszczerze, iż wcale jej na tym nie zależy.

Teraz stojąc pośrodku rynku, rozejrzała się po niebie.

Nad miastem ponownie zebrały się ciężkie, bure chmury i płynęły szybko nad dachami domów, kominami i wieżami niczym gruba, miękka, ciemna opończa. Niebawem przyjdą kolejne deszcze i kolejne ślimaki rozpoczną swój bezgłośny, nieubłagany marsz w kierunku nagietek Dana. Sophy zaczerpnęła głęboko powietrza, jakby zamierzała wskoczyć do basenu, po czym ruszyła zdecydowanym truchtem w stronę Jego Wysokości.

Pierwsza kropla deszczu, wielka i ciepła niczym rozbijające się jajko, spadła na nią w chwili, gdy otwierała ciężką, wysoką bramę, którą Fergus obstalował na zamówienie. Zatrzasnęła ją za sobą z hukiem i pobiegła wokół domu do kuchennego wejścia. Na głowę, na ramiona spadały jej krople deszczu tak wielkie, jakby ktoś chochlą chlustał na nią wodą. Oszklone drzwi do kuchni stały otworem. Przytrzymał je znaleziony przez Ginę w ogrodzie kamień z niezdarnie wykutymi z jednej strony liśćmi różdżeńca. Kuchnia była pusta i czysta. List, który Sophy zostawiła przed wyjściem, leżał dokładnie tam, gdzie go położyła, na głównym stole, przyciśnięty na brzeżku białą porcelanową doniczką z różową pelargonią.

Zamknęła prowadzące do ogrodu drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Cisz.

— Czy jest ktoś w domu? — zawołała.

Odpowiedziała jej cisza. Przeszła przez kuchnię i popatrzyła na papużkę w klatce zawieszanej przy dalszym oknie. Wygrała tego ptaka przed dwoma laty podczas dorocznego Jarmarku Whittingbourne. Papuga, kiedy ogarniały ją nastroje towarzyskie, spoglądając w maleńkie lustereko, z ożywieniem rozmawiała sama ze sobą. Teraz jednak spała lub pogrążona była w głębokiej zadumie. Maleńkie oczy w zielono-żółtej główce spoglądały martwo w przestrzeń.

— Gdzie się wszyscy podziali? — zapytała papugę i zakołysała klatką.

Ptaka nie zareagował. Sophy opuściła kuchnię — znalazła się w

mrocznym od ciemnej boazerii i czarnych chmur kłębiących się za oknami korytarzu. Drzwi do salonu były otwarte. W pokoju, w półmroku, siedział jej ojciec ubrany w wyjściowy, letni garnitur, który kupił, gdy pojechali na wakacje do Veneto i na dwie noce zatrzymali się w Vicenza. Ani nie czytał, ani nie pisał, ani nic nie robił. Po prostu siedział.

— Cześć — powiedziała, trzymając się za futrynę.

Fergus uniósł głowę i popatrzył w jej stronę.

— Cześć, Sophy — odparł. Nigdy nie mówił do niej „kochanie”, choć wiedziała, że ojciec bardzo ją kocha. — Cześć. — Poruszył się lekko, jakby chciał wyciągnąć w jej stronę ramiona, ale najwyraźniej zmienił zamiar. — Właśnie na ciebie czekałem.

Rozdział drugi

W marnie wydrukowanym i lichy wydany przewodniku, rozdawanym przez Biuro Informacji Turystycznej w Whittingbourne, Pszczeli Dom widniał w rozdziale zatytułowanym „Budowle o znaczeniu historycznym”. Może zresztą nie tyle sam budynek był interesujący z historycznego punktu widzenia, co jego otoczenie. Dom wyglądał dziwnie, stanowił konglomerat różnych stylów, wyczuwało się w nim obecność wielu nieustannie zmieniających się użytkowników, a co więcej, był bardziej niż niefunkcjonalny. Odwiedzający go ludzie, omijając ostrożnie osobliwe kąty i załomy murów, uważając na nieoczekiwane zmiany poziomu podłóg mogli wprawdzie mruczeć o niebywałym uroku i ekscentryczności, ale w duchu dziękowali Bogu, że to nie oni odpowiedzialni są za utrzymywanie w nim porządku czy też za naprawę dachów. Później turyści sięgali po ulotki rozłożone na stojaku w holu głównym i szli zwiedzać ogród, gdzie stały barcie.

To właśnie tym ulom dom zawdzięczał swą nazwę i miejsce w przewodniku turystycznym. Ciągący się na północ długi ogród ograniczał od wschodniej strony wysoki zabytkowy ceglany mur, przy którym rosły liczne, rozpięte na kratkach drzewa owocowe. W murze porobiono nisze, wystarczająco szerokie i głębokie, by w każdej z nich mieściła się barć i, jak twierdziła ulotka, każda z tych barci pierwotnie nakryta była słomianym dachem, a w czasach średniowiecza wikliną. Każdy ul posiadał drewnianą deseczkę wylotową dla owadów, a ściany

o wschodniej wystawie wybrano dlatego, że poranne słońce wcześniej skłaniało pszczoły do pracy. Hilary Wood, matka Gusa, chciała sprowadzić do tych starodawnych pasiek współczesne pszczoły, ale nikt nie traktował tego pomysłu poważnie. Powszechnie wiadomo, że pszczoły są znacznie wydajniejsze, gdy mieszkają w nowoczesnych, pomalowanych na biało i przypominających ustępy ulach poustawianych na okolicznych polach obsianych rzepakiem.

Na ścianach baru w Pszczelim Domu wisiało kilkanaście historycznych dokumentów oprawionych w ramki. Jednym z nich był fragment testamentu Adama Cullinge'a z roku tysiąc czterysta siódmego; testator wszystkie pszczoły i barcie w Pszczelim Domu zapisał komitetowi parafialnemu w Whittingbourne, *a dochód z nich przeznaczony ma być na naprawę trzech wytłaczarni wosku, które spłonęły...* Inny dokument to spis inwentarzowy, sporządzony pod koniec szesnastego wieku przez jednego z kolejnych właścicieli Pszczelego Domu. Spis wymieniał między innymi 8 *pszczelich karmników*; 16 *szylingów*. *Pszczeli karmnik* — głosiła notatka wystukana na maszynie przez Hilary i zawieszona pod spisem — *to nic innego jak ul w doskonałym stanie*. Jeszcze późniejszy mieszkaniec Pszczelego Domu, dzierżawca, zostawił po sobie memorandum, napisane czarnym atramentem i zdecydowanym charakterem pisma. Oświadczał w nim, że udaje mu się płacić rentę wyłącznie z pieniędzy uzyskiwanych ze sprzedaży miodu i wosku. W dopisku zamieścił ostrzeżenie dla każdego adepta sztuki pszczelarskiej: *Ule buduj raczej za małe niż za duże. Duże źle wpływają na rozmnażanie się i dobrobyt pszczół*.

Właśnie ze względu na te owady Woodowie postanowili zamieszkać w Pszczelim Domu i stworzyć tam hotel. W udomawianiu i hodowli pszczół oraz urodzie i historii budynku było coś, co sprawiło, iż Laurence i Hilary czuli, że nie mają wyboru i muszą przejąć ów osobliwy legat, czuli, że wybór w jakiś tajemniczy sposób został już dokonany bez ich udziału. Dopiero co skończyli po dwadzieścia lat, nie byli jeszcze małżeństwem, a Laurence'owi marzyła się włóczęga po świecie. Później zamierzał zostać architektem. A może wytwórcą mebli. W każdym razie jego przyszła praca musiała wiązać się w jakiś

sposób z projektowaniem, szkicowaniem i rysunkiem. Wtedy właśnie nadszedł list z firmy prawniczej Askew and Payne mieszczącej się przy Tower Street w Whittingbourne. Prawnicy zawiadamiali, że Ernest Harrison, który Laurence'a i jego kolegów uczył w szkole podstawowej łaciny i greki, zostawił Woodowi w spadku dom mieszkalny znany pod nazwą Pszczelego Domu. Budynek znajdował się w fatalnym stanie, ale na wolnym rynku, gdyby wystawić dom na sprzedaż w miesiącach letnich, można było wytargować za niego dobrą cenę.

„Sprzedam go” — oświadczył Laurence, a przed oczyma stanęły mu już obrazy biletów lotniczych do Australii oraz forda mustanga z podnoszonym dachem.

„Nie możesz tego zrobić — sprzeciwiła się Hilary. — W każdym razie musisz tę sprawę dobrze przemyśleć. Stary Harrison tobie zostawił ten dom”.

„Zastanawiam się, dlaczego właśnie mnie”.

Hilary chwilę milczała.

„Sądzę, że nie miał komu go zostawić”.

Laurence przypomniał sobie letnie popołudnia spędzane w klasie wypełnionej po brzegi chłopcami, których z kolei po brzegi wypełniały eksplodujące hormony, chłopcami, którzy musieli znosić starego Harrisona. Stanowił on typ odrętwiająco nudnego nauczyciela. Podczas prowadzonych przez siebie lekcji byłby dużo bardziej interesujący i zabawny, gdyby czytał im po prostu książkę telefoniczną Whittingbourne. Nosił podniszczone ubrania w szarych i brązowych barwach, bredził bez związku o mitach i bitwach, recytował poematy i egzorty do bogów, jakby czytał wykazy oddanej do pralni bielizny. A jednak Laurence czuł, że pod całą bezbarwnością i drętwotą bijącą od nauczyciela, w starym Harrisonie było coś, czego nie potrafił określić ani też nie odważał się przekazać swoich odczuć kolegom. Szczególnie zapadły mu w pamięć dwa zdarzenia. Pierwsze, gdy stary Harrison oświadczył im, że żaden z nich nie spotka w życiu nic tak wstrząsającego jak „Iliada”. Drugie zdarzenie, to uwaga zrobiona przez nauczyciela podczas jednej z lekcji, iż prawie każde wielkie dzieło artystyczne musi być wywrotowe. Laurence zapisał ukradkiem to zdanie, ale Harrison najwyraźniej to dostrzegł. Za brudnymi szklami okularów,

przelotnie, słabo załśniły mu oczy. Czyżby za samo zapisanie uwagi, która z całą pewnością nie była myślą oryginalną, ktoś mógł podarować rozpadający się dom z piwnicami pochodzącymi z dwunastego wieku, z kilometrami wypaczonych boazerii i podłóg, z ogrodem i zabytkowymi barciami?

„I co my z tym fantem zrobimy?” — zwrócił się Laurence do Hilary.

Od dwóch lat przebywała w Londynie, gdzie w Guy's Hospital przygotowywała się do podjęcia studiów medycznych. Laurence poznał ją na zabawie sylwestrowej, zorganizowanej przez ich wspólnego znajomego w mieszkaniu na Fulham. Hilary była tam jedyną dziewczyną w okularach i kiedy już po przywitaniu Nowego Roku Laurence przystąpił do pijackich zalotów, powiedziała: „Ależ ty jesteś beznadziejny”, po czym zirytowana wyszła z imprezy. Następnego dnia, gdy już trochę opuścił go kac, odnalazł ją. Wynajmowała pokój w Lambeth. Ponieważ było zimno, siedziała w łóżku, na głowie miała zieloną, bezkształtną czapkę i studiowała budowę ludzkiego ucha. Było to zaledwie w rok po tym, jak Ernest Harrison zostawił Laurence'owi Pszczeli Dom.

„I co my z tym fantem zrobimy?” — zapytał Laurence Hilary.

Popatrzyła na niego ostro.

„My?”

Zawahał się, zmieszał i lekko poczerwieniał. Hilary obserwowała go jeszcze przez chwilę z wyrazem twarzy, którego nie odważał się zgłębiać, a następnie oświadczyła, cicho i spokojnie, że musi jeszcze zdążyć podjąć pieniądze, zanim zamkną bank.

Wahanie Laurence'a powodowały nie tylko fantazje o plażach Nowej Południowej Walii i fordzie mustangu. Wpływ na nie miała również Hilary. Już wtedy był zdecydowany, choć jeszcze jej tego nie zaproponował, że ją poślubi, gdyż posiadał pełną świadomość tego, że jako córka i wnuczka lekarzy bardzo poważnie traktuje myśl o poświęceniu się medycynie. Poza tym obawiał się trochę jej poglądów, których wprawdzie nie wypowiadała często, ale jeśli już

zabierała głos, to mówiła z takim zdecydowaniem, że wywierały na słuchaczach piorunujące wrażenie. Jeden z tych poglądów (wygłoszony dosłownie na chwilę przed tym, jak Laurence zamierzał prosić ją o rękę) sprawił, że młody Wood nie odważył się na oświadczyzny. Rzecz dotyczyła macierzyństwa.

„Jako społeczeństwo powinniśmy uznać, iż macierzyństwo nie jest wszystkim — oświadczyła, odwracając w jego stronę twarz ozdobioną charakterystycznymi okularami. — Dla pewnych kobiet rzeczywiście stanowi cały świat, ale nie dla wszystkich. Macierzyństwo rodzi wprawdzie związek między dwiema istotami, między matką a dzieckiem, który trwa całe życie, ale podobnie rzecz ma się w przypadku rodzeństwa czy prawdziwych przyjaciół. Matki nie mogą mieć monopolu na podziw całej ludzkości. Ostatecznie dzieci stanowią jedynie to, do czego zaprojektowana została cała ludzka maszyna”.

Laurence przełknął tylko głośno ślinę. Przez chwilę wyobrażał sobie Hilary w ciąży i na samą tę myśl doznał lekkiego zawrotu głowy.

„Nie zamierzam zostać ani czczoną Madonną, ani zmęczonym dziwadłem, które nie potrafi złożyć sensownej myśli poza myślą o dziecięcym nocniku. Czy mnie rozumiesz?”

„Tak” — odparł Laurence.

„Jedni ludzie powinni mieć dzieci, a inni nie. Ci drudzy muszą po prostu zająć się swoimi sprawami”.

„Tak”.

„I nikt nie powinien nieustannie wmawiać kobietom, że nie są w pełni kobietami, lub są kobietami nieodpowiedzialnymi, ponieważ nie mają dzieci”.

„Nie”.

„To okropne, gdy kobieta matkuje dziecku przez całe jego życie. Matka powinna wiedzieć, kiedy przestać”.

„Tak. Dlaczego mi to wszystko mówisz?”

„Ponieważ ten właśnie problem nie daje mi ostatnio spokoju”.

Nie mogę przecież prosić kogoś takiego o rękę — myślał później Laurence, przemierzając zatęchłe, skomplikowane labirynty pokoi Pszczelego Domu. Bardzo jej pragnę, ale z drugiej strony chciałbym mieć w stosownym czasie coś tak naturalnego jak dziecko. Najlepiej

więc zrobię, jak opędzluje tę kupę gruzu, pojedę do Australii i tam na jakiś czas zamieszkać-Kiedy wrócę, zobaczę, czy Hilary jeszcze o mnie pamięta

„Jeśli wyjedziesz do Australii, zapomnę o tobie” — oświadczyła mu dwa dni później.

„Naprawdę?”

„Poza tym to już niemożliwe tak sobie wyjeżdżać do Australii”.

Ujął dłoń Hilary i zaczął się uważnie jej przyglądać, jakby chciał z tej ręki coś wyczytać.

„A co jest modne?”

„Coś, co nie jest rzuceniem się w zwykłą przygodę. Na przykład... zrobić coś z Pszczelim Domem”.

Przybliżył twarz do jej twarzy.

„Na przykład, co?”

„Na przykład... urządzić w nim hotel. Niewielki hotel”.

Laurence zamknął oczy.

„Mógłbyś zapisać się na kursy hotelarskie. My... my oboje mogliśmy je ukończyć”.

„Ale przecież zamierzasz zostać lekarzem!”

„Zamierzałam...”

Roześmiała się szeroko, radośnie, a jej oczy za okularami stały się niczym dwie ogromne lampy. Laurence, który nie płakał już od lat i sądził, że zapomniał co to łzy, wybuchnął płaczem. Dużo, dużo później, kiedy już bolały ich usta od pocałunków, zapytał:

„A co z dziećmi?”

Popatrzyła w niebo. Laurence zdjął jej okulary. Tym razem nie zaprotestowała. Bez szkieł wyglądała bardzo bezbronne.

„Mniejsza o to — odparła. — Jedno czy dwoje, co za różnica. Dopóki będą to twoje dzieci...”

Wydarzyło się to w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym; sześć lat przed przyjściem na świat George'a, osiem lat przed Adamem i dziesięć przed Gusem. Było to również przed tym, jak Laurence opowiedział Hilary o Ginie.

„A cóż to za Gina?” — zainteresowała się natychmiast Hilary.

Byli właśnie w ogrodzie Pszczeliego Domu i grabili śmieci, które później mieli zamiar spalić.

„Moja najlepsza przyjaciółka” — odparł szczerze i poważnie.

„Jaki rodzaj najlepszej przyjaciółki?”

„Osoba, z którą rozmawiałem o życiu, z którą snułem swe życiowe plany, pożyczaliśmy sobie książki, chodziliśmy razem do kina”.

Hilary oparła się na grabiach. Na szyi miała czerwony szal, a ciemne, krótkie włosy były wzburzone.

„Jaka ona jest?”

„O co ci chodzi?”

„Pytam, ile ma lat, co robi, dlaczego została twoją najlepszą przyjaciółką, jak wygląda, dlaczego, choć znamy się już ponad rok, nigdy o niej nie wspomniałeś”.

„Skoro wiedziałem, że i tak zostaniesz moją żoną, nie było potrzeby wspominać o Ginie” — odparł po prostu Laurence.

„Mówisz poważnie?”

„Jak najbardziej”.

„Czyli trzymałeś ją w zapasie? Na wypadek, gdybym ja nie chciała za ciebie wyjść?”

„Nie”.

„Laurence! — wrzasnęła nieoczekiwanie Hilary i cisnęła grabiami z taką siłą, że o mało się nie złamały, gdy uderzyły w pień drzewa. — Ty o dziewczętach nie wiesz nic a nic. Wiesz tylko, że jesteś wystarczająco szalony, aby jedną zdobyć”.

Laurence nie odpowiedział. Przeciągnął kilkakrotnie palcami po włosach, lecz Hilary spostrzegła, że nie był to gest odruchowy, ale próba uspokojenia się, jak zamknięcie oczu, żeby zebrać myśli.

„A czy ty masz najlepszego przyjaciela lub przyjaciółkę?” — zapytała po długiej chwili.

Hilary podniosła z ziemi grabie i uważnie obejrzała ich zęby.

„Nie, tak naprawdę to nie”.

„Ale masz za to dwóch braci i siostrę. Ja ich nie mam. Poznałem Ginę, gdy miałem szesnaście lat. Chodziła do żeńskiej szkoły. Jak ja była jedynaczką i jak ja nigdy nie poznała swego ojca. Matkę pamiętam, ale niezbyt dobrze, ponieważ umarła, gdy skończyłem sześć lat.

Tak więc myślę, że to właśnie nas połączyło. I nie przepadaliliśmy za swymi domami. Przyjaźń zawiązaliśmy w teatrze, na spektaklu »Króla Leara«, gdzie w tytułowej roli występował Paul Scofield. Na tę sztukę wspólnie wybrały się nasze szkoły. W drodze powrotnej w autobusie siedziałem obok Giny».

Hilary ponownie zaczęła energicznie grabić śmieci, wrywając przy okazji z ziemi czarne korzenie i kępki szorstkiej, zabloconej trawy. Chciała zapytać Laurence'a, czy kochał Ginę, ale coś jej mówiło, że nie powinna. Instynktownie rozumiała, iż znalazła się w krajobrazie uczuciowym, jakiego nie znała, i z powodu tej właśnie ignorancji mogła popełnić jakieś niewybaczalne *faux pas*, które by kompletnie ją skompromitowało.

„Dlaczego wybrałeś akurat dziewczynę?” — zapytała okrutnie.

„Nie wybierałem — wyjaśnił spokojnie Laurence. — Wybrałem osobę. Teraz Gina jest w Montélimar, gdzie w *lycée* uczy angielskiego i gry na pianinie. Wyjechała, zanim cię poznałem. Dlatego nigdy ci jej nie przedstawiłem”.

„I to tyle?”

„Tyle”.

„I nikt inny tak ważny, żebyś chciał mi o nim powiedzieć, nie przychodzi ci do głowy?”

„Nie”.

„Do licha — mruknęła, zdejmując okulary, aby przetrzeć oczy szalem. — Do licha, panie Wood, przeraziłeś mnie”.

Kiedy w jakiś czas później Hilary poznała Ginę, nieco się uspokoiła. Nosiła już na palcu zabytkowy pierścionek zaręczynowy z topazem i zapisała się na kursy hotelarskie. Laurence przyłączył się do firmy zatrudniającej architektów, która specjalizowała się w renowacji starych domów. Rodzice Hilary, którzy po swych dzieciach spodziewali się czegoś więcej niż prowadzenia hotelu, byli głęboko rozczarowani; okazywali to rozczarowanie niczym otwarte i bolesne rany. Odniosło to taki skutek, że Laurence i Hilary nabrali do siebie jeszcze większego zaufania, a jednocześnie utwierdzili się w słuszności swego postanowienia. A Gina, jak się okazało, stała się ich głównym sojusznikiem.

Hilary poznała ją całkiem przypadkowo. Gina siedziała na schodach krużganka wielkiego, średniowiecznego kościoła parafialnego w Whittingbourne i wytrząsała z buta kamyk.

„Oto Gina” — oświadczył Laurence.

Powiedział to z ogromnym zadowoleniem, bardzo ciepło, ale bez ekscytacji.

Gina, podobnie jak Hilary, miała ciemną karnację, choć była drobniejsza, włosy do ramion, na czoło opadała jej grzywka, a szeroko rozstawione oczy nadawały jej twarzy pogodny wyraz. Przywitała oboje wylewnie, jakby знаła Hilary od wieków, co zapewne było wynikiem listów, które Laurence wymieniał z nią co tydzień. Każdy list zaczynał się od słów: *Droga Gino*, a kończył absolutnie szczerym i wcale nie niepokojącym: *Z wyrazami miłości, Laurence*.

„Miałaś całkowitą rację odnośnie Pszczelego Domu — oświadczyła Gina, wkładając but i podnosząc się ze schodów. — To wspaniały pomysł. Wielka sprawa”.

Przed powrotem do Montélimar, gdzie zgodnie z kontraktem miała przepracować jeszcze rok, od czasu do czasu pomagała im porządkować dom. Początkowo Hilary odnosiła się do niej z dużą rezerwą, ale szybko pojęła, że nie ma powodów do obaw, że między Laurence'em a Giną nie istnieją żadne sekretne związki. Tak naprawdę łączyła ich jedynie ogromna zażyłość i wyraźnie widać było, że Laurence i Gina życzą sobie jak najlepiej.

„Nigdy nie poszliśmy do łóżka” — oświadczył Laurence.

„Naprawdę? Dlaczego nie?”

„Bo nie o to w tym chodziło. Czasami byliśmy tego bliscy, zwłaszcza ja, ale na tym się kończyło. A teraz jesteś ty”.

Przed powrotem do Francji, Gina powiedziała Hilary:

„Będziemy w kontakcie”.

„Ale Laurence...”

„Tak, wiem. Ale chcę, żebyś i ty pisała. Albo razem z nim, albo zamiast niego. I miej oko na Vi. Wprawdzie obiecał mi to również twój mąż, ale wiesz, jaki czasami potrafi być zapominalski”.

Po zakończeniu kontraktu w Montélimar Gina pojechała do Pau. Kiedy tam przebywała, Pszczeli Dom, dzięki pożyczce hipotecznej, po

raz pierwszy otworzył swe podwoje dla gości. Sukces ten zachęcił Laurence'a, który zdobył już kwalifikacje konserwatora budownictwa, do rozwijania talentów kucharskich. Hilary, która doszła do połowy kursu księgowości i pochłonięta była tworzeniem planów dalszego rozwoju hotelu, zapytała, gdzie chce zdobyć te umiejętności.

„Tu — odparł. — Sam się wszystkiego nauczę”.

Nie jestem tego taka pewna — napisała Hilary do Giny. — *Nie jestem pewna, czy mamy czas na tę jego naukę i eksperymenty. Poza tym powinien skoncentrować się na tym, co czeka nas w najbliższej przyszłości. Sądzę, że jestem w ciąży.*

Gina nie odpisała. Bardzo to Hilary podłamało, ponieważ ciąża skończyła się fatalnym poronieniem i potrzebowała kogoś, kto by podtrzymał ją na duchu, a nie powtarzał w kółko jak jej rodzina, że pracowała zbyt ciężko i w złym fachu, i że nigdy by do tego nie doszło, gdyby, jak planowała, skończyła medycynę i podjęła pracę we właściwym zawodzie. Powód milczenia Giny wyjaśnił się po pewnym czasie. W Pau spotkała starszego od siebie mężczyznę, Anglika, Lesliego Bedforda, i wyjechała z nim na dwa miesiące do Włoch. Oświadczyła później, iż kierował nią zwykły impuls i kaprys, ale też nigdy jeszcze w życiu nie była tak szczęśliwa. Przed spotkaniem Lesliego nie знаła wielu rzeczy, nie wiedziała, jak je smakować. Twierdziła, że pod każdym względem nawiązała z nim cudowny kontakt i czuła się absolutnie wyzwolona. Później przywiozła Bedforda do Whittingbourne.

„No cóż, jest przystojny i świetnie się prezentuje — stwierdziła Vi. — Jeśli, oczywiście, podoba się komuś taki typ urody”.

Wybranek Giny był rzeczywiście przystojny, wysoki i jasnowłosy, wyższy od Laurence'a o kilkanaście centymetrów. Wychował się w ambasadach w różnych stolicach europejskich, gdyż jego ojciec był zawodowym dyplomatą niższej rangi. Bedford władał biegle francuskim, niemieckim, hiszpańskim i włoskim. Whittingbourne go oczarowało, oczarowało do tego stopnia, że gdy ojciec Laurence'a, emerytowany agent firmy handlującej nieruchomościami, wspomniał, iż Jego Wysokość, jedna z najbardziej interesujących budowli w mieście,

zostanie niebawem wystawiony na sprzedaż, oświadczył, że zamierza kupić ten dom i przenieść swoją firmę z Londynu na prowincję. W tym też mniej więcej czasie zmienił imię. Stwierdził, że Fergus to imię jego ojca. Gina odszukała w *Who's Who* starego Bedforda. Okazało się, że ogólnie znany był jako John, a Fergus było dopiero jego trzecim imieniem.

„Dlaczego nie John?” — zapytała Gina.

„Połowa ludzi w tym kraju nosi imię John”.

„Dokładnie! — wykrzyknęła Gina. — Jesteś snobem najgorszego rodzaju!”

Leslie zmienił imię na Fergus i na papierze listowym oraz na swych wizytówkach, nad nowym adresem Jego Wysokości, umieścił napis: *Fergus Bedford, sztuki piękne*. W tym samym roku, gdy urodził się George („To wcale nie jest wspaniałe — oświadczyła podczas porodu Hilary. — Wiedziałam, że tak będzie. To boli jak wszyscy diabli”), Gina stała się panią Fergusową Bedford i wraz z pianinem, które dostała w prezencie ślubnym od męża, przenieśli się do Jego Wysokości.

„Czy teraz wszyscy zostaniemy przyjaciółmi?” — zapytała Hilary, studiując w „Whittingbourne Standard” rubrykę poszukujących pracy.

Potrzebowała miejscowej dziewczyny do opieki nad George'em.

„Sądzę, że tak. A ty?”

„Co myślisz o Fergusie?”

„Od chwili gdy przestał być Leslieem, chyba bardziej go lubię. Po prostu powinniśmy się pogodzić z tym, że ma więcej oglady niż my”.

„Do George'a odnosi się z ogromną sympatią. To chyba dobra cecha u mężczyzny, jeśli interesuje się dziećmi... Córka rolnika, wykształcenie średnie, poszukuje miejskiej posady przy milej rodzinie. Spróbujemy?”

„Nie podoba mi się ta »miejska posada«. I nic nie wspomina o tym, że lubi dzieci”.

„Czy twoim zdaniem Gina będzie miała dzieci?”

„O, tak — odparł Laurence. — Z całą pewnością. Zawsze chciała je mieć. To jedna z rzeczy, o których często rozmawialiśmy”.

Sophy urodziła się w kilka miesięcy po Adamie, drugim synu Laurence'a i Hilary. Oba dzieciaki przyszły na świat w nowym skrzydle oddziału położniczego szpitala w Whittingbourne. Okna tego skrzydła wychodziły na brązowy, wiktoriański blok, w którym urodziła się Gina, i gdzie po jej narodzinach Vi spędziła pięć dni bez niczyich odwiedzin, z wyjątkiem rutynowych wizyt pastora, który z potępieniem spoglądał na jej palec bez obrączki. Sophy bardzo zbliżyła obie rodziny. Od tej chwili zaczęły uczestniczyć we wspólnych przyjęciach urodzinowych, pomagały sobie podczas epidemii wietrznej ospy i zgodnie wychowywały pulchną, pogodną dziewczynkę, która nigdy nie przejmowała się tym, o co ją proszono, ponieważ i tak rzadko się do tych próśb stosowała.

Wtedy też zaczęła powstawać prawdziwa przyjaźń między Hilary i Giną. Początkowo zasadzała się na przynależności do tego samego związku zawodowego młodych matek karmiących oraz na codziennym luksusie — zgoła żądzy, jak czasami myślała Gina — wylewania przed sobą żalów, raz bezpośrednio, raz przez telefon. Owe sesje rzędziły się kilkoma niepisanymi prawami, z których jedno kategorycznie zabraniało źle wyrażać się o mężach lub dzieciach. Inne nakazywało mówić o codziennych nieszczęściach jak najpogodniej. Później, wracając myślami do tych rozmów, Gina zrozumiała, że nie zniosłaby nieuniknionej harówki w okresie niemowlęstwa i wczesnego dzieciństwa Sophy — od tej pracy Fergus zdecydowanie się odciął — gdyby nie miała możliwości wygadania się przed kimś, kiedy czyściła dywan, podłogę lub kanapę po kolejnym drobnym incydencie, jak nazywała to Vi. Ale do tego przyznała się Hilary dużo później.

Siostra Hilary, Vanessa, fizykoterapeutka specjalizująca się w urazach sportowców, uważała, że ich przyjaźń zaczyna nabierać niezdrowych elementów.

„Chodzi mi o to, że praktycznie ona tu mieszka...”

„Lubię to. Poza tym jest niebywale użyteczna”.

„Czy nie ma własnych zajęć?”

„No cóż, ma, uczy gry na pianinie, daje korepetycje z literatury, ale i tak zostaje jej dużo wolnego czasu”.

„Podejrzewam, że ma masę pieniędzy. Tak w każdym razie się

zachowuje. Nie sądzisz, że powinniście coś zrobić z tym zaciekiem?”

Hilary spojrzała do góry. Na suficie w kuchni mieszkania, które urządzili dla rodziny na poddaszach Pszczelego Domu, znajdował się długi zaciek przypominający, jak zauważył Laurence, mapę Włoch, z której zniknęła Sycylia.

„Nie możemy. Obok mieści się bar. To najbardziej uczęszczane miejsce w hotelu i farba szybko znów by popękała”.

Mapa Włoch pozostawała na kuchennym suficie jeszcze prawie przez cztery lata. Przez ten czas zdążył się pojawić na świecie Gus. Podczas ponurych zimowych wieczorów po Bożym Narodzeniu, kiedy w hotelu przebywało niewielu gości, kończyli urządzać mieszkanie. Jedno z nich pełniło wówczas dyżur za barem, a drugie nieustannie pochłapane było farbą emulsyjną. W dwunastą rocznicę ślubu kupili pierwszą kanapę godną tego miana. Cała piątka ceremonialnie zasiadła na niej, by zademonstrować światu, że w końcu osiągnęli coś, co symbolizuje stabilizację i rodzaj kruchego jeszcze wprawdzie, ale sukcesu.

Czasami Hilary denerwowały nostalgiczne obrazy tamtych wczesnych lat. Zapamiętała je jako pasmo hałaśliwych, wypchnionych kurzem i brudem, niespokojnych i wyczerpujących dni; ale tylko technicznie. Podobnie jak porody, z których pozostało wprawdzie w jej świadomości wrażenie bólu, ale wypadło już jej z pamięci, jak wielki był to ból. We wspomnieniach głównie dominowały nadzieje, jakie w tamtych latach mieli, poczucie, iż przeżywają wielką przygodę i perspektywa przyszłości, którą osiągną zmęczeni, lecz triumfujący, niczym żeglarze po długiej podróży przez wzburzone morza. Problem polegał na tym — rozmyślała, gapiąc się niewidzącym wzrokiem na nielubiane, lecz konieczne, cotygodniowe wykazy, jakie musiała sporządzić, chociaż przed chwilą wróciła z uroczystego lunchu — iż teraz już znajduje się właśnie w przyszłości, wszyscy znajdują się w przyszłości, która okazała się całkiem inna od tej, jakiej oczekiwała. Hotel był komfortowy, a dzięki wzrastającym nieustannie talentom kulinarnym

Laurence'a niezwykle popularny, lecz Hilary zapomniała już — choć bała się do tego głośno przyznać, aby nie zawieść swej rodziny — czemu to przedsięwzięcie miało służyć.

Była bardzo zmęczona. Przez cały tydzień hotel pękał w szwach, a restauracja pracowała na pełnych obrotach, zorganizowali przyjęcie weselne w specjalnie do tego celu przeznaczonych sali, którą urządzili przed dwoma laty („Chyba musieliśmy wtedy stracić rozum” — stwierdził ostatniej nocy Laurence). Na jej biurku w niewielkim gabinecie, jaki urządziła sobie w małej alkoce o stoczonych przez korniki ścianach, przeznaczonych niegdyś na pomieszczenie na buty, leżały nie tylko wszelkie rachunki i faktury z całego tygodnia, lecz również stos rezerwacji i preliminarzy budżetowych, szczególnie nieprzyjemny list od gościa w sprawie zaginionego depozytu, za który nie otrzymał odszkodowania, oraz siedemdziesięciostronicowa instrukcja rządowa zawierająca nowe przepisy EEC, dotyczące kuchni w hotelach i pensjonatach określonej kategorii (do trzyciogwiazdkowych) w miastach i osadach. Stał tam również koszyk z papierami spraw do załatwienia. Hilary zatytułowała go w myślach: *Rzeczy, z którymi za chińskiego boga dziś się nie uporam*. Znajdował się tam między innymi raport ze szkoły Gusa o jego postępach w nauce (bardzo mierne) oraz szereg prospektów z uniwersytetów i innych szkół wyższych, jakimi, jak dotąd, nie zdołała w najmniejszym stopniu zainteresować Adama.

Ziewnęła. Na przyjęciu piła wyłącznie sok pomarańczowy — cóż za nieprzyjemny napój o metalicznym i niezadowolającym smaku, jeśli stanowi jedyny wybór — ale wciąż odczuwała senność spowodowaną bijącym od innych gości zapachem szampana i papierosowego dymu. Było to raczej upiorne przyjęcie, pełne wymuszonej, nienaturalnej wesołości ludzi w średnim wieku, którzy udawali, że wcale w średnim wieku nie są. Nieszczęsna trzecia żona (z rozmażanym pod oczyma granatowym tuszem) wysłuchiwała z udręką w jasnych oczach przemowy wygłaszanej po pijanemu przez najstarszego przyjaciela jej męża, a zakończonej toastem: „Za Johnniego i Mags, żeby nigdy nie postarzeliby się i nie zmądrzeli”. Trzecia żona nazywała się Marsha.

Mags, pierwsza żona Johnniego, była zdumiewającą brunetką mającą ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Odeszła od męża z dużo młodszym od siebie reżyserem filmowym, który jednak w ostatniej chwili wycofał się z obietnicy porzucenia swojej żony. Ubrana w szkarłatną suknię, czarne rękawiczki i z długą cygarniczką w dłoni bez reszty zdominowała przyjęcie. Już samo to wystarczało, żeby wszystkim kobietom rozmazywał się tusz.

No i oczywiście byli na tym bankiecie nieodzywający się zupełnie do siebie Gina i Fergus. Trzymali się po przeciwnych stronach wymyślnego, wielkiego namiotu (uszytego z różowych i białych pasów brezentu, wyposażonego w wielkie, przeszklone okna i wspartego na jońskich kolumnach ozdobionych wstążkami oraz pnącymi się kwiatami) i okazywali wszystkim wyjątkową serdeczność i uprzejmość, jakby chcieli w ten sposób podkreślić, że sobie nie zamierzają w najmniejszym stopniu okazywać jakichkolwiek względów. Fergus był sztywny jakby kij połknął; Gina miała nawiedzoną twarz.

„Ile jeszcze dajesz im czasu?” — zapytał Hilary Stewart Nicholson, starszy członek izby lekarskiej w Whittingbourne.

„Lata — odrzekła ostro Hilary. — Lata. Kłótnie są im potrzebne jak tlen do oddychania”.

Stewart Nicholson ugryzł wielki kęs pasztecika, obsypując Hilary okruchami francuskiego ciasta.

„Skoro tak twierdzisz” — mruknął i puścił do niej perskie oko.

Później, już w samochodzie w drodze do domu, Hilary, mając w perspektywie zarzucone papierami biurko i pracowity wieczór, a za sobą nudne przyjęcie i zbyt wiele wypitego soku pomarańczowego, dała się ponieść nerwom. Po skomplikowanej pantomimie informującej, kto ma gdzie w samochodzie siedzieć, Laurence wsunął się na fotel obok żony, a Gina i Fergus zajęli miejsca z tyłu, starając się trzymać jak najdalej od siebie. Podczas drogi Hilary obserwowała ich we wstecznym lusterku. Sposób, w jaki wyglądali przez okna po swoich stronach, sprawił, iż pękła w niej ostatnia nić samokontroli.

„Skoro nie potraficie zachowywać się w towarzystwie jak istoty cywilizowane — oświadczyła, wrzucając wsteczny bieg — zupełnie nie

rozumiem, dlaczego zadajecie sobie tyle fatygi i wciąż jeszcze ze sobą jesteście”.

Po tych słowach zapadło niezręczne milczenie. Nikt z jadących w samochodzie nie patrzył na Hilary, która z uwagą wlepiała wzrok w szosę przed sobą. Ciszę przerwał dopiero Laurence. Odezwał się zamysłonym głosem, jakby nie słyszał ostatniej uwagi Hilary:

„Co za koszmarnie przyjęcie! Skąd przyszedł nam do głowy pomysł, żeby na nie iść?”

Za plecami Hilary skrzypnęły otwierane drzwi.

— Mamo...

— Tak — odparła, nie odwracając głowy.

— Myślę, że powinnaś przyjść...

— Po co?

Adam wsunął się w wąskie przejście między biurkiem a ścianą. Podniosła głowę i popatrzyła na syna. Jego włosy, króciutkie z tyłu, spadały gęstą grzywą na twarz, a dłonie niknęły w długich, pogniecionych i niezapiętych mankietach koszuli. Hilary westchnęła. Uwielbiała Adama, ale czuła, że w tej chwili nie jest w nastroju na jakiegokolwiek pogawędki.

— Coś się stało?

— Gina. Jest u nas w mieszkaniu. Nie powiedziała wprawdzie nic, co mogłoby cię zaniepokoić, ale ciągle płacze. Gus zaparzył jej kawę.

— Gina? Przecież zaledwie dwie godziny temu odwiozłam ją do domu.

Adam wzruszył ramionami. Szybkim ruchem odrzucił z twarzy włosy, zza których wyłoniło się lustrzane odbicie oblicza jego ojca, tyle że młodsze i pełne pryszczki.

— Lepiej tam idź. Czy mogę wziąć z barku brandy?

— Boże, to aż tak źle...

Adam znów wzruszył ramionami, skrzywił się, próbując zrobić odpowiednią minę i powiedział:

— Gina wygląda tak, jakby już nie żyła.

Rozdział trzeci

Dan Bradshaw leżał w łóżku i obserwował, jak poranne, letnie słońce rozjaśnia cienkie, bawełniane firanki w stokrotki zawieszono w oknie sypialni. Z całą pewnością nie będzie to poranek Vi, ponieważ było już dwadzieścia po siódmej i gdyby miała przyjść, dawno by już się pojawiła z herbatą, rozsunęła firanki, usiadła na skraju łóżka Dana i obdarzyła go jednym z tych pachnących olejkiem różanym pocałunków. Dan, krótko i bez powodzenia, próbował zwalczyć uczucie rozczarowania. Tego ranka pragnął ją zobaczyć; więcej, potrzebował Vi.

W nocy wydarzyło się coś dziwnego, coś, czego dobrze nie zapamiętał, ale był pewien, że się wydarzyło. Przypominał sobie, że wstał z łóżka i szukając po omacku włącznika, strącił na podłogę nocną lampkę. Pamiętał, że nie mógł znaleźć kapci, pamiętał, jak bardzo ziębiła go w boscie stopy podłoga łazienki. Vi od dawna twierdziła, że powinien położyć tam wykładzinę termiczną. „Jest przyjemna, miła w dotyku i praktyczna” — oświadczyła.

Później wspomnienia się urywały i następne, co pamiętał, to, że siedział skulony na podłodze obok sedesu ze spodniami pidżamy w upokarzający sposób spuszczone do kolan, odrętwiały, jakby ktoś obrzucił go kostkami lodu. Przez chwilę był kompletnie oszołomiony, było mu zimno, a język tak opuchł, że nie był w stanie wykrztusić słowa. Wszystkie te sensacje minęły bardzo szybko. Dan wrócił do łóżka i zapadł w ciężki sen, z którego obudził się za pięć siódma, zanim

jeszcze zadzwonił budzik. Miał nadzieję, że Vi go odwiedzi. Postanowił, że opowie jej o swej nocnej przygodzie, nie wspominając jednak o spuszczonej spodniach od pidżamy.

O siódmej dwadzieścia pięć ostrożnie usiadł na łóżku i zamyślił się. Czuł się w miarę normalnie. Był trochę znużony i odrętwiały, ale składał to na karb swych siedemdziesięciu siedmiu lat. Ostrożnie spuścił nogi na podłogę — jakżeż nienawidził tych białych, słabych kulasów, jak o nich mówił, które bardziej przypominały sztywne, zdrewniałe korzenie niż nogi — i podczłapał do okna. U Vi firanki zostały już rozsunięte i przez kryształowo czyste szyby widział kropelki rozpylonej wody na niebieskich lobeliach i różowych pelargoniach, które posadził w jej okiennej skrzynce. Ostatecznie był piątek, dzień targowy, a Vi zawsze utrzymywała, że jeśli człowiek nie pojawi się na targu przed ósmą piętnaście, to może się w ogóle nie trudzić, ponieważ znajdzie tam już wyłącznie ochłapy. Na rynku kupowała przeważnie warzywa i ostry korzenny sos, który dodawała do kanapek z serem. Dan tęsknił za warzywami z własnego ogródka. Hodował je podczas swego życia małżeńskiego, spokojnego, niczym niezakłóconego życia małżeńskiego, w ogrodzie usytuowanym za edwardiańskim domem z tarasem, w którym mieszkał przez trzydzieści dwa lata. Dom ów znajdował się w odległości zaledwie dziesięciu minut marszu od siedziby rady miejskiej Whittingbourne, gdzie pracował w urzędzie podatkowym. Vi obrzucała go wyzwiskami za tę profesję, twierdząc, że poborcy podatkowi zawsze byli niegodziwi, a w obecnych czasach są jeszcze gorsi. Ale nigdy dłużej się z Danem na ten temat nie spierała. Kiedy zaczynał jej wszystko logicznie tłumaczyć, ona udawała, że temat już ją nudzi. On z kolei natychmiast ustępował, gdyż nie umiał i nie chciał sprzeczać się z Vi o cokolwiek.

Wszedł do maleńkiej, lśniącej czystością kuchenki i postawił czajnik. Kuchnię sprzątał osobiście, podobnie zresztą jak całe mieszkanie, stosując metody, których nauczył się przed sześćdziesięcioma laty w marynarce handlowej. Vi utrzymywała, że pucowałyby na wysoki połysk nawet brykiety węgla, gdyby miał w domu piec kaflowy. Zanim w jego życiu pojawiła się Vi, nie wiedział, co to mieszkanie, z którego

nic się nie wyrzuca, gdyż jego właściciel lubi wszystko gromadzić. Z drugiej strony odnosił wrażenie, że przed pojawieniem się Vi znalazł niewiele rzeczy.

I oto teraz, właśnie teraz, nagle wszystkiego zrobiło się za dużo. U Vi na dwie noce zatrzymała się nieszczęsna, mała Sophy. Oświadczyła spokojnie, jak miała to w zwyczaju, że nie zniesie widoku ojca, który się od nich wyprowadzał. Vi uważała, że dziewczyna powinna zabrać Ginę i przenieść się z nią na kilka dni do Pszczelego Domu, ale Sophy kategorycznie się temu sprzeciwiła.

„Zdenerwujesz tylko matkę” — ostrzegła Vi.

Sophy popatrzyła tępo na ścianę, gdzie wisiał kołaz przedstawiający zimowy krajobraz urozmaicony ciemnymi pasmami czarnego brokatu rozdzielającego jasnoszare pola jak płoty.

„Dokąd zatem chcesz pójść?” — dopytywała się Vi.

„Do ciebie. Proszę”.

Dan spodziewał się, że Sophy wybuchnie płaczem, ale nie wybuchnęła, w każdym razie nie w jego obecności. Rozważał pomysł, czy nie zaprowadzić jej do Denny'ego Pagetta, który dla rozrywki zajmował się ochroną łabędzi na rzece Bourne, ale doszedł do wniosku, że to dziecinny pomysł. Tak czy siak, łabędzie, mimo że są piękne, ze swymi paskudnymi manierami i rojącym się im w piórach robactwem, nie były czymś, co dodałoby człowiekowi otuchy. Zaczął zatem wprowadzać Sophy w arkana *mah-jong**, * Gra pochodzenia chińskiego. ale ona słuchała go uprzejmie, lecz bez najmniejszego zainteresowania, jakie przejawiała zazwyczaj przy rozwiązywaniu krzyżówek. Przez cały czas Dan odnosił wrażenie, że podczas pobytu na Orchard Close nieszczęśliwej, poruszonej do głębi dziewczyny nie wolno mu zbyt demonstracyjnie okazywać względów Vi.

Wcale się nie dziwił, że Sophy jest wstrząśnięta.

„Odechodzę, choć rozstanie to rozdziera mi serce — oświadczył jej ojciec. — Po prostu twoja matka i ja nie jesteśmy już w stanie dłużej ze sobą żyć. Pozabijalibyśmy się nawzajem”.

„Nie w dosłownym tego słowa znaczeniu — szybko sprostowała Sophy w rozmowie z Vi. — Pozabijaliby swoje osobowości. Nie wiem

dokładnie, o co mu chodziło, ale tak właśnie powiedział. Oświadczył, że oboje się zmienili, a on zaczął się dusić. Dławi się. Powiedział, że mama straciła swa niezależność i pragnie tylko żyć jego życiem, nie swoim”.

„Fergus chce sprzedać Jego Wysokość — poinformowała Dana Vi — i wrócić do Londynu. Dom zapisany jest na niego, bo tam mieści się siedziba jego firmy, więc, choć połowa formalnie jest własnością Giny, decyzję o jego sprzedaży mógł podjąć sam”.

Dan oczekiwał, że Vi wpadnie w straszliwy gniew, że będzie wyzywać Fergusa od najgorszych. Tak jednak się nie stało. Podeszła do sprawy osobliwie obojętnie, oświadczyła, że Fergus na swój sposób był dobrym mężem, a małżeństwo z Giną to nie piknik. Uczucie okazała dopiero wtedy, gdy rozmowa zesłała na temat Sophy.

„Ukrzyżowałabym ich za to, co uczynili temu dziecku — stwierdziła, wsuwając energicznie do kuchenki patelnię. — Pozostało w nim tyle zaufania do świata, że zmieściłoby się na główce od szpilki”.

Dan zrobił sobie herbatę i przeszedł z czajniczką do salonu, gdzie przez kilka minut oglądał telewizję śniadaniową. Uwielbiał ten program za jego absurdalną pogodę. Vi pogardzała tą audycją, podobnie jak pogardzała ludźmi, którzy celebrowali parzenie herbaty w imbryku, gdy pod ręką mieli kubek i torebki z piórkami. Usiadł na kanapie. Nalewając do filiżanki herbatę, spostrzegł, że trochę trzęsą mu się ręce. Zauważył też, iż pokrowiec na kanapie — zrobiony z imitacji tkanego ręcznie płótna, który przed piętnastoma laty Pam wybrała z katalogu firmy meblarskiej Chambers and Sons — należy już oddać do pralni. Popijał herbatę i rozglądał się po meblach, które kupił w trzydziestym ósmym roku, kiedy miał się żenić. Kanapa, kredens, biurko, stół i krzesła; wszystko z ciemnej dębiny. Na myśl, że mógłby te meble utracić, ogarnęła go straszliwa zachłanność. Zastanowił się, czy Fergus Bedford żywił podobne uczucie do wszystkich skarbów, jakie zgromadził, do wszystkich obrazów, rzeźb i mebli, które sprawiały, że Jego Wysokość przypominał bardziej muzeum — lub w najgorszym przypadku sklep z antykami — niż zwyczajny dom

mieszkalny. Najwyraźniej zamierzał zabrać do Londynu dokładnie połowę tego dobytku. Dokładnie połowę. Robili właśnie inventaryzację. Dana przeszył zimny dreszcz. Odstawił filizankę. Na myśl o tym miał ochotę tylko zamknąć oczy.

Ubiarał się powoli i dokładnie. Włożył koszulę z krótkimi rękawami, zawiązał krawat i spiął go złotą spinką ze swym monogramem. Zawsze nosił krawaty. Od czasu gdy zrzucił mundur, nigdy nie pokazywał się bez krawata. Jego zdaniem wszystkie współczesne T-shirty stanowiły jedynie odpowiednik kamizelek i nosząc je na wierzchu, człowiek nie okazywał samemu sobie szacunku. Podobnie jak sportowe obuwie, którego nie trzeba pastować i wycierać do glansu. Pucował swoje buty — oraz buty Vi, jeśli mu na to pozwoliła — codziennie, przed wiadomościami radiowymi o ósmej rano i przed śniadaniem złożonym z uświęconych tradycją płatków kukurydzianych, trzech ugotowanych suszonych śliwek i dwóch grzanek.

„Jesteś jak stara baba” — przygadywała mu czasami Vi.

Nie obrażał się. Po prostu uśmiechał się i odpowiadał:

„Jestem za stary, żeby tańczyć wśród drzew. Nawet dla ciebie”.

Po śniadaniu przeszedł podwórko i skierował się do drzwi oznaczonych numerem siedem. Przez okno dostrzegł w salonie Sophy ubraną w pawioniebieskie kimono Vi i oglądającą telewizję. Była najwyraźniej nie w sosie, ponura, załamana i jadła herbatniki w czekoladzie prosto z paczki. Danowi serce ścisnęło się na ten widok, ale jednocześnie pełna współczucia delikatność nie pozwoliła mu zapukać w okno. Cóż on, stary, sentymentalny osioł mógł tej dziewczynie powiedzieć? Dlaczego miałby dokładać jej kolejny kłopot silenia się na uprzejmość wobec niego? Postanowił, że poczeka na powrót Vi, która rzuci na kuchenny stół fasolę jasek i młodą marchewkę, po czym ułatwi mu — jak zwykle samą swą obecnością — to, by mógł pomóc jakoś Sophy.

Wyszedł przez otwartą żelazną bramę na Orchard Street. Tam natknął się na dozorczynię, panią Barnett, wracającą do domu z kartonem mleka i gazetą.

— Dzień dobry, panie Bradshaw. Piękny dziś mamy dzień.
— Dzień dobry, pani Barnett. Miejmy nadzieję, że będzie taki aż do wieczora.

Dozorczyńni popatrzyła poufale na Dana.

— Bardzo się z Dougiem zmartwiliśmy, gdy usłyszeliśmy o kłopotach rodzinnych pani Sitchell.

— Tak?

— Pani Bedford to taka miła osoba. I ta biedna Sophy. Podejrzewam, że tam już do żadnego pojednania nie dojdzie.

— Nie wiem — odparł zgnębionym głosem Dan i zaczął odchodzić.
— Naprawdę nie wiem...

— I proszę powiedzieć pani Sitchell, żeby nie zamartwiała się, siedząc samotnie w domu — dorzuciła Cath Barnett. — Zawsze ma w pobliżu mnie i Douga. Wie pan, żeby sobie pogawędzić, a nie rozdrapywać rany. Rozpamiętywanie nigdy jeszcze nie doprowadziło do niczego dobrego i...

Dan, mrużąc pod nosem słowa pożegnania, wycofał się na ulicę. Nad głową rozciągało mu się jasnoblękitne niebo, po którym płynęło kilka obłoków. Powietrze na Orchard Street przesączała woń taka sama jak dawno, dawno temu, gdy na tyłach stojących przy tej uliczce starych domów rzeczywiście znajdowały się jeszcze sady, chlewiki, grządki z kapustą i ceglane przybudówki, gdzie mieściły się ubikacje i trzymano balie do prania. Matka Dana w ich rodzinnym domu w Preston również miała taką balię. Tyranizowała nią syna, który każdy tydzień musiał zaczynać od niebezpiecznych kaprysów matki. Gdybym miał żyć nawet dziewięćset lat — myślał Dan — poniedziałek zawsze będzie mi się kojarzył z gruntowną kąpielą.

Ale teraz był piątek. A w piątki w miejskiej bibliotece pojawiała się ulubione czasopismo Dana. Postanowił wybrać się do miasta po gazetę. Przy okazji kupi kilka peruwiańskich lili. Te właśnie kwiaty, które mogły stać w wazonie bardzo długo, uwielbiała malować Vi. Chciałby też kupić coś dla Sophy, lecz nie wiedział co, a nie chciał zmuszać nieszczęśliwego dziecka do grzecznościowych uprzejmości. Nie, zostanie przy gazecie i kwiatkach. Później wstąpi do biblioteki i przeczyta zapowiadany artykuł o dawnych metodach nawadniania pól, a następnie

pospaceruje trochę po terenach opactwa, skąd wróci prosto do domu. Do tego czasu, jeśli będzie miał szczęście, powinna też wrócić Vi.

Opactwo w Whittingbourne nigdy nie podniosło się ze zniszczeń dokonanych za panowania Henryka VIII w czasach reformacji. Dachy ogołoczone z ołowianego pokrycia zgniły i zapadły się, a praktyczni mieszkańcy okolicy, widząc taką ruinę, zaczęli wykorzystywać kamienie i cegły do własnych celów. W całym Whittingbourne można było dostrzec w ścianach domów lub w ogrodach dziwne rzeźbione kamienie, takie jak ten z liściem rożdżeńca, który w Jego Wysokości służył do przytrzymywania otwartych drzwi. Opactwo powoli zniknęło w gęstej zieleni, a nietknięty pozostał tylko samotny, wdzięczny łuk piętrzący się nad żaloznymi resztkami ścian i schodów. Wiktorianie zachwycili się tym tak malowniczym krajobrazem zniszczenia i uporządkowali ruiny, tworząc wokół nich typowy dla ich epoki park publiczny z krzewami, alejkami i starannie utrzymanymi rabatami kwiatowymi. Wzdłuż alej porobiono w zaroślach i krzewach zatoczki, gdzie ustawiono kute, żeliwne ławki, obecnie wmurowane dla bezpieczeństwa w betonowe bloki, a obok okazałe kosze na śmieci. Każda ławka, zgodnie z obyczajami tamtych czasów, miała swego użytkownika — jedna była dla starszych członków Legionu Brytyjskiego, jedna dla starszych osób nienależących do legionu, jedna dla młodych matek ze spacerówkami, kilka dla osób w średnim wieku z Bishop Prior's School, lubiących jak najczęściej pojawiać się publicznie, jedna dla dziwaków, cwaniaków i włóczęgów oraz dwie, z pełnym widokiem na zachowany łuk, dla ludzi takich jak Dan Bradshaw czy sekretarki z okolicznych biur prawniczych, które pojawiały się w parku, by zjeść swój niskokaloryczny lunch.

Dochodziła dopiero dziesiąta i w parku było prawie pusto. Dan dostrzegł tylko kilku chłopaków w wieku szkolnym, palących papierosy, oraz dwie kobiety z małymi pieskami na smyczach przemierzające szybko alejki; takich bab Dan nie znoślił wręcz patologicznie. Niósł

gazetę, zawinięty w papier bukiet kwiatów i rozmyślał o tym, ile w tym wieku Anglia zawdzięcza Danii, która przed trzystoma laty udzieliła jej porad, jak należy nawadniać pola. Dan postanowił pójść na ulubioną ławkę, posiedzieć na niej w promieniach grzejącego coraz mocniej słońca i przeczytać pierwszą stronę gazety, artykuł redakcyjny i listy od czytelników. Lubił hołdować swoim zwyczajom, podobnie jak lubił sadzić rośliny w rządkach i wieszac obrazy w idealnie równych liniach. Ruszył szybko żwirową alejką w stronę majaczącego na tle nieba wielkiego łuku — widok ów zawsze poruszał go do głębi — stojącego w wielkim kręgu wykoszonej trawy. Nagle stanął jak wryty. Na jego ławce siedziało dwoje ludzi. Byli wprawdzie odwróceny do niego plecami, ale natychmiast ich rozpoznał. Laurence Wood i Gina Bedford. Mieli twarze lekko zwrócone do siebie i dzieliło ich około pół metra. Laurence pochylił się nieco, wsparł łokcie na kolanach. Dan również bardzo lubił przybierać tę pozę, ponieważ dzięki niej człowiek nie musiał się martwić, co ma robić z rękami. Dan przeżył chwilę rozterki. Czy powinien się odezwać? Czy to grzecznie odejść bez przywitania? Czym różni się tchórzostwo od uprzejmości? — pomyślał, ściskając kwiaty i gazetę. W tej chwili Gina ukryła twarz w dłoniach, a Laurence wyciągnął rękę i przelotnie dotknął jej ramienia. Dan cofnął się o krok.

— Dzięki Bogu — szepnął niedosłyszalnie. — Dzięki Bogu.
Odwrócił się i ruszył w stronę, z której nadszedł.

— Powiedział mi — odezwała się Gina, chowając twarz w dłoniach — że nie zniesie mnie już ani chwili dłużej.

Poczuła na ramieniu przelotny dotyk dłoni Laurence'a.

— Powiedział też, że dobry chirurg tnie bardzo głęboko, ale szybko i tylko raz, i tak właśnie on zamierza postąpić ze mną. Próbował też wyjaśnić, dlaczego odchodzi, dlaczego nie jest możliwe, aby był dłużej moim mężem, lecz w pewnej chwili po prostu odszedł, nie poruszywszy już więcej tego tematu.

Zamilkła.

Laurence odwrócił głowę, wbił wzrok w swe złożone dłonie.

Począł. Błysnęła mu myśl, że Gina wygląda okropnie, przeraźliwie, zupełnie jakby ktoś tak mocno smagnął ją w twarz, że starł jej rysy. Ubrana była w dzinsy, bawełniany golf i czerwone baletki. Nie miała ani makijażu, ani kolczyków. Pomyślał, że nieumalowanej Giny nie widział chyba od czasów szkolnych, choć i wtedy większość dziewcząt chowała w ubikacjach szminki i sztyfty do malowania rzęs, by używać ich dopiero przed wyjściem ze szkoły, przed drogą powrotną do domu, tak ekscytującą, bo właśnie wtedy mogło wydarzyć się tyle interesujących i niespodziewanych rzeczy.

— Oświadczył, że pozwoliłam, aby moje życie zamieniło się w wegetację, i że nie tylko nie poszerzam horyzontów umysłowych, ale nawet o tym nie myślę. Powiedział, że ganiam jedynie za nim i za Sophy, że próbuję wyrwać pazurami ochłapy z ich życia, że wykazuję coraz wyraźniejsze oznaki hysterii, wszczynam karczemne awantury, nieustannie urządzam sceny. Stwierdził, że siedzę na emocjonalnej huśtawce, a całą energię kieruję na manipulowanie ludźmi. Utrzymuje też...

— Dosyć — przerwał łagodnie Laurence i odwrócił twarz w jej stronę. — Ma kogoś?

— Twierdzi, że nie. Dlaczego pytasz?

— Ponieważ wszystkie oskarżenia, jakie rzuca pod twoim adresem, są głupie i wyssane z palca. Zastanawiam się, czy po prostu za pomocą tych wymówek, wymysłów i oskarżeń nie buduje sobie łodzi, którą będzie mógł od ciebie odpłynąć.

Gina zdjęła obrączkę i po kolei wsuwała ją, po czym zdejmowała z palców.

— Zdaję sobie sprawę z tego, że ostatnio byłam trochę niezrównoważona, marudna, płaczliwa, domagałam się od niego większej uwagi, której nie poświęcał mi wcale. Wiem, że to przeczy ludzkiej godności, ale gdy człowiek jest zrozpaczony, o godności nie myśli. Laurence...

— Tak?

— Ja... ja sobie bez niego nie poradzę. Po prostu nie poradzę.

— Gino — napomniął ją Laurence z lekkim rozdrażnieniem.

— Ale to prawda. Bardzo go potrzebuję. On mnie uzupełnia,

stymuluje. Laurence, byliśmy szczęśliwi, naprawdę szczęśliwi. Awantury nie znaczą...

— Awantury nigdy nic nie znaczą.

— Czasami znaczą, ale nasze nie były okrutne, naprawdę nie były. Jesteśmy dwiema silnymi osobowościami wyznaczającymi swoje terytorium.

Laurence podniósł głowę i popatrzył na wznoszący się nad ich głowami kamienny łuk.

— Uważasz, że nie ma szans, by do ciebie wrócił?

— Nie.

— Nawet ze względu na Sophy?

— Powiedział, że tylko ze względu na Sophy pozostawał ze mną tak długo. Chciał odejść, gdy miała dwanaście lat.

Laurence wstał z ławki i wsunął ręce do kieszeni spodni. Ostatnie dwie noce Gina spędziła w Pszczelim Domu, bo nie chciała oglądać zaparkowanej przed Jego Wysokością wielkiej ciężarówki z firmy przewozowej. Jak na kogoś nieustannie zapracowanego i nieodznaczającego się zbyt dużą cierpliwością, Hilary wykazuje ogromne zdyscyplinowanie — pomyślał Laurence. Dopiero tego ranka w kuchni, przygotowując do przepisania na maszynie karty dań, powiedziała:

„Dopóki nie jesteś zajęty, zabierz ją gdzieś na godzinę. Aż pali się do rozmowy z tobą, a ja naprawdę nie zamierzam się w to mieszać. Uważam Fergusa za pozbawionego serca, samolubnego łajdaka, a ona nie pozwoliłaby mi tak o nim mówić”.

„Oczywiście — odparł Laurence z poczuciem winy. — Oczywiście, zrobię, jak chcesz”.

— Gino — powiedział, pobrząkując drobnymi w kieszeni spodni.

— Gino, sądzisz, że się zmienił?

Wsunęła obrączkę na palec, na którym zawsze ją nosiła.

— Tak.

— A zatem musisz po prostu udawać, że człowiek, jakiego znałaś, nie żyje — stwierdził z namysłem, odwracając się i patrząc na Ginę ze współczuciem i miłością. — Skoro tak bardzo się zmienił, że jest już innym mężczyzną niż ten, którego poślubiłaś, musisz o nim zapomnieć i wyrzucić ze swego życia. Tak właśnie musisz zrobić.

Firma Fergus Bedford, Sztuki Piękne często korzystała z usług tego przedsiębiorstwa przewozowego. Przez ostatnich ponad dwadzieścia lat dostarczało do Whittingbourne wiele pieczołowicie popakowanych w skrzynie przedmiotów z sal licytacyjnych i aukcji w wiejskich posiadłościach oraz zabierało je z Jego Wysokości, aby wysłać do Ameryki lub na Daleki Wschód. Tak więc i teraz firma przetransportowała już mnóstwo przedmiotów i mebli do domu w Holland Park w Londynie, który pan Bedford kupił tuż po Bożym Narodzeniu. Pan Bedford oświadczył kierownikowi ekipy, że rozbudowuje swój interes, ale zdaniem kierownika, wywożenie z domu całych ciężarówek dobytku, w tym garderoby i wyśmienitych kijów wędkarskich, niewiele miało wspólnego z rozwijaniem interesu. Wyglądało to raczej na podział majątku. No i nigdzie nie było widać pani Bedford, która zawsze częstowała robotników herbatą i kanapkami.

Fergus stał w holu z listą wpiętą w kołotonatnik. Odptaszkowywał wynoszone z domu kredensy, obrazy, krzesła, stoliki i parawany, jakby to były wychodzące ze szkoły dzieci. Zachowywał się beznamytnie, lecz tak naprawdę czuł się skrajnie udręczony. Całą operację zaplanował przed ponad rokiem i przystąpił do jej realizacji po burzliwej, głupiej i ohydnej kłótni, udając, że powoduje nim gwałtowny, nagły impuls. Zamierzał, jak oświadczył Ginie, ciąć raz, głęboko, boleśnie i dokładnie. „Odchodzę, bo dalsze życie z tobą stało się nie do zniesienia” — powiedział i niezwłocznie rozpoczął wyprawdzkę.

Ale tu się przeliczył. Przecenił Ginę; kompletnie nie orientowała się w sytuacji. Powinien był ją przygotować na swoje odejście, a przynajmniej poprosić Laurence'a i Hilary, których szanował i podziwiał, aby udzielili wsparcia jego żonie. No i całkowicie, w okrutny sposób, spaskudził sprawę z Sophy. Sądził — zapewne dlatego, że tak mu było wygodnie — iż mając lat szesnaście, nie dba o kwestie bezpieczeństwa, nie jest już tak bezbronna jak w dzieciństwie, a ponadto dobrze rozumie kruchą i skomplikowaną przędzę uczuciowego życia dorosłych.

Kiedy powiadomił ją o swych zamiarach, Sophy wpadła w panikę.

Panikę. Najwyraźniej kompletnie nie docierało do jej świadomości to, co do niej mówił.

„Co masz na myśli, twierdząc, że się wzajemnie pozabijacie?” — zapytała w dniu, gdy odbyło się to okropne przyjęcie Johnniego, po którym próbował porozmawiać z nią jak dorosły z dorosłym.

Sprawiła, że poczuł się jak morderca, oszalały morderca, ponieważ przez cały czas, gdy mówił, Sophy jak dziecko trzymała w ustach tani, niebieski koralik, jaki nosiła na rzemyku na szyi. Ssała koralik i patrzyła na ojca nieruchomym wzrokiem. Pod wpływem tego spojrzenia chciało mu się jednocześnie wyc z rozpacz i wrzeszczeć na nią w ojcowskim gniewie.

„Czy odejdziesz ze mną?” — spytał, kierowany nieoczekiwanym impulsem.

Gapiała się na niego martwymi niczym ten niebieski koralik oczami.

„Nie mogę — odparła dziecinnie. — Mam szkołę”.

„Do szkoły możesz chodzić i w Londynie”.

Zamrugęła powiekami, w oczach stanęły jej łzy i Fergus pojął nagle, że sprawa całkowicie ją przerasta. Nie mogła pogodzić się z tym, że całe jej życie gwałtownie się zmienia, a nikogo nie interesuje, czy ona pragnie takiej zmiany. Przełknęła głośno ślinę i gwałtownie zacerpnęła tchu.

„Nie... nie mogę opuścić mamy. Nie możemy od niej tak sobie odejść!”

Fergus poczerwieniał i spuścił wzrok.

„Nie”.

Pod sam koniec rozmowy, kiedy Sophy już oświadczyła, że najlepiej będzie, jak wróci do swego pokoju, zatrzymała się jeszcze w drzwiach i wciąż odwrócona do ojca plecami powiedziała ostrym, prawie dorosłym tonem:

„„Sądzę, że masz jakąś narzeczoną”.

„Nie — odparł. — Nie, Sophy. Nie mam”.

Zerknęła na niego przez ramię.

„Nie potrafię wymyślić nic bardziej upokarzającego niż to, że opuszczasz mnie, bo wszystko jest lepsze niż pozostanie ze mną — oświadczyła. — Skoro nie możesz zostać nawet przez wzgląd na... —

Jej głos zadrżał i dokończyła szeptem: — ...mnie, to rzeczywiście lepiej odejść”.

Od tamtego czasu w ogóle się do niego nie odzywała. Nie mógł też zapytać Giny, czy Sophy z nią rozmawiała, ponieważ jego żona, ogarnięta ponurym triumfem, iż córka wybrała jednak ją, i tak nic by nie powiedziała. Pakował się samotnie i znajdował się w takim stanie ducha, jakiego nigdy już więcej nie chciałby doświadczyć, nawet na chwilę. Z drugiej jednak strony kierował nim przemożny instynkt, nakazujący mu odejść bez względu na wszystko. Gdy poruszał się po domu, który tak starannie przebudowywał i urządzał — nikt nie mógł odmówić mu bałwochwalczego stosunku do staroci — ogarniała go furia na myśl, że wszystkie te osiągnięcia, całe jego życie, zostały wymazane przez umyślną arbitralność ludzkiego postępowania uosabiającego się obecnie w jednej osobie, w Ginie. Dostrzegał zdjęcia Sophy — na sankach, gdy miała dwa lata, w słomkowym kapeluszu, gdy miała siedem, w gondoli z Giną, gdy miała lat trzynaście — i miejsce palącego gniewu zajął w jednej chwili dojmujący ból i żal. Pakowanie prezentów od niej stanowiło najstraszliwszą torturę. Zastanawiał się krótko i tylko raz, gdyż było to tak bolesne, iż nie odważył się pomyśleć o tym ponownie, jak zniesie nieobecność Sophy, jak zniesie to, że nie będzie jej codziennie widywał, nie będzie jej budził każdego ranka, nie będzie znał nowych obyczajów i wydarzeń w jej życiu, poczynając od kanapek, jakie brała do szkoły, a na wypracowaniach, które pisze, kończąc. Błysnęła mu myśl, że gdyby nie okazał się człowiekiem tak przykrym i podłym, Sophy mogłaby stanowić najwspanialszą nagrodę. Niebawem zamieni się z „taty” w „mego ojca”, powstanie mitologia, która sprawi, że wszystko znów stanie się przyjemne, znosne i możliwe do przeprowadzenia. W obliczu potrzeb psychiki innych ludzi prawda błędnie, aż w końcu traci się ją z oczu niczym wylane do rzeki wiadro wody. Ale czym była prawda dla Sophy? Prawda, rzeczywisty powód, dla którego Fergus opuszcza ukochany dom i uwielbianą córkę, znana była wyłącznie jemu i Ginie. Tak już miało zostać.

— Proszę przenieść je pojedynczo i w obu rękach! — krzyknął ze złością na widok robotnika, który na każdym z ramion dźwigał niebiesko-biały dzban z chińskiej porcelany.

Naczynia od dziesięciu lat stały na półpiętrze schodów po obu stronach szerokiego parapetu okna wychodzącego na średniowieczny ogród. Sophy, mając sześć czy siedem lat, gdy zakupił owe wazon, nazwała je po swojemu.

— Nie trzeba od razu krzyżeć, proszę pana — odparł bez urazy robotnik. — Nie jestem głuchy.

— No, nie — zgodził się Fergus. — Oczywiście, że nie. Przepraszam.

Sophy powiedziała, że dzbany te przypominają jej dwoje grubych ludzi, matkę i ojca, a niewielkie, owalne wieczka są ich czapkami.

„Kup jeszcze kilka — domagała się, ubrana w czerwony szlafroczek z guzikami w kształcie biedronek. — Tylko kup małe, dobrze? Kup małe i będziemy mieli rodzinę”.

Rozdział czwarty

George Wood wysiadł z pociągu na małej, pustej stacyjce w Whittingbourne. Dźwigał zapinaną na zamek błyskawiczny sportową torbę oraz neseser z rzeczami do prania. Przyjechał do domu na weekend. Studiował w Birmingham i w ramach praktyki pracował w kuchniach wielkiego hotelu. Kuchnie były wielkie, przestronne, załoczone, wszyscy się w nich ze wszystkimi kłócili, a George, pod kierunkiem szefa, który otwierał usta tylko po to, aby kłąć, cały tydzień spędził na nauce posługiwania się nożami. Poprzedniego dnia późnym wieczorem George i kilku młodych kuchcików oraz praktykantów wybrali się do klubu, by przy kieliszku popsioczyć na świat, popalić papierosy oraz porozmawiać o seksie i piłce nożnej. Teraz wciągając w płuca powietrze Whittingbourne, George uświadomił sobie, że po raz pierwszy od wielu tygodni naprawdę czuje woń otwartej przestrzeni.

Przed dziewięcioma miesiącami z ulgą opuszczał Whittingbourne. Pomyślnie przebrnął przez maturę i mógł wreszcie zostawić za sobą mieszkańców małego miasteczka wraz z ich hierarchią wartości, sztywnymi zasadami oraz śmiesznymi interesami i ruszyć w szeroki świat. Sądził, że na uczelni spotka ludzi o szerokich horyzontach, że dozna wizji hotelarstwa i pokaże rodzicom, jak należy taki interes prowadzić, że ośmieszy ich przestarzałe metody i wieloletnie nawyki. Był zdumiony, iż tak długo potrafili prowadzić swój hotel. Teraz nie

wiedział, jak ma przekazać im wiadomość, że nie ma zamiaru wchodzić w ich interes. Spojrzał na torbę z rzeczami do prania. Dziewiętnastolatek nie powinien ich przywozić, mimo że automatyczna pralnia w jego domu była zamknięta od czasu, kiedy zniszczyli ją wandalę. Przecież nie zakomunikuje: „Mamo, nie chcę już dłużej uczęszczać na kursy hotelarstwa, a poza tym mam ze sobą rzeczy do przeprania”. Powinien sam pójść do pralni na Tower Street, zrobić pranie, a w tym czasie dobrze się zastanowić, co powiedzieć rodzicom, którzy, gdy zapisywał się na kursy, powtarzali mu wiele razy: „Czy jesteś pewien, że całe życie chcesz spędzić w hotelu, czy naprawdę tego chcesz?”

Wszedł do pralni. W środku była tylko dziewczyna. Chodziła z nim do szkoły, lecz o dwie klasy wyżej. Teraz siedziała w odległym kącie i czytała jakieś czasopismo. Obok niej stała spacerówka z dzieckiem. Dzieciak był łyśy i ssał ogromny, różowy smoczek. George zastanawiał się chwilę, czy nie powinien zagadnąć dziewczyny, ale w końcu zdecydował się użyć pralki stojącej jak najdalej od niej. Ostatecznie co miał powiedzieć? „To ty?” zapytać ze zgrozą i z niedowierzaniem?

Zabrania się — głosiła instrukcja — przeladowywać pralek; używać zbyt dużo proszku, gdyż zatyka maszynę; zostawiać prania; prać narzut na łóżka.

George wyciągnął z torby brudne rzeczy i białe spodnie, które pozyczył od swego szefa. Wszystko to wsunął w otwór wybranej pralki.

Wybierz program — głosiły niezdarnie wypisane kulfony. — POCHEM wsyp proszek. Automat przyjmuje tylko właściwe monety.

George sięgnął do kieszeni. Brakowało mu drobnych, znalazł jedynie kilka jednopensówek, monetę jednofuntową, pognieciony banknot pięciofuntowy, żeton telefoniczny, kawałek paczki po papierosach z wypisanym numerem telefonicznym do kogoś, kogo nie pamiętał. Podniósł głowę.

— Czy możesz mi rozmiąć na drobne? — zapytał, wyciągając banknot w stronę koleżanki ze szkoły.

Dziewczyna oderwała wzrok od czasopisma.

— Cześć, George.

— To ty?

Dziewczyna skinęła głową.

— Pamiętasz Colina? Colina Weavera? Mieszkamy u jego matki. Colin jeździ ciężarówką w browarze. A to — oświadczyła, wskazując bez szczególnego zainteresowania wózek — jest Emma.

— Bomba, dziecko! — mruknął George.

— Nieplanowane — poinformowała młoda matka. — Studiujesz?

— Tak. Ale nie chcę tych brudów nieść do domu.

— Widuję twojego brata. Adama. Jest w wieku mojej siostry.

George nie chciał rozmawiać o Adamie. Adama rozśmieszy wiadomość, że George ma już dosyć hotelarstwa.

„Jesteś stuknięty — oświadczył George'owi, gdy ten wyjeżdżał do Birmingham. — Kompletny świr. Hotele! Czy nie masz już dosyć tych pieprzonych hoteli?”

— Czy możesz mi rozmienić na drobne? — zapytał ponownie George. — Na pięciopensówki.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Nie mam. Czekam, aż Col skończy pracę. Nie chcę bez niego wracać do domu. Nie do tej starej krowy.

— Jesteście małżeństwem?

Dziewczyna znów sięgnęła po czasopismo.

— Chyba żartujesz — odparła sucho.

George, ściskając w dłoni pomięty banknot, wyszedł na ulicę. Zamierzał rozmienić go w kiosku, w którym Adam i on kupowali czasopisma muzyczne, a George dodatkowo papierosy, które później ukradkowo palił w otwartym oknie sypialni. Robił tak nie dlatego, że rodzice kategorycznie zabraniali mu palić, ale dlatego, że Hilary, ilekroć wyczuła od niego woń tytoniu, robiła bardzo kąśliwe uwagi. Przed kioskiem omal nie wpadł na Sophy Bedford. Była bardzo blada, miała prawie przezroczystą cerę, a na jego widok wykrzywiła twarz, zupełnie jakby miała zemdleć lub wybuchnąć płaczem.

— George...?

Klepnął ją mocno po ramieniu. Stara, dobra, zabawna Sophy.

Raczej koleżanka i rówieśnica Adama, ale George bardzo ją lubił, choć traktował z wyższością. Gus adorował ją od zawsze.

„Gus zaprzysiągł jej miłość do grobowej deski” — oświadczyła kiedyś Hilary.

— Cudownie, że cię widzę — powiedział.

Sophy skinęła głową. Włosy miała zaplecione w jakiś bardzo skomplikowany warkocz, wytarte dżinsy i obszerną spłowiałą bluzę z obdartymi mankietami i ściągaczem pod szyją.

— Nie wiedziałam, że wróciłeś do domu.

— Tylko na weekend. Chciałem... no cóż, chcę uprać trochę ciuchów, zanim spotkam się z mamą. — Wyszczrzył zęby. — Rozumiesz, dyplomacja. Idę właśnie do Skinnera rozmienić pieniądze.

— Mam drobne — odparła Sophy. — Mogę ci pożyczyć. — Zaczęła grzebać w plecionym koszyku na skórzanym pasku, który trzymała na ramieniu. — Pójdę z tobą.

— Nie trzeba — odparł uprzejmie.

— Tak...

Zerknął na nią z ukosa.

— Soph? Czy wszystko w porządku?

Wyciągnęła z koszyka brezentową, purpurową portmonetkę.

— Masz...

George ujął ją za nadgarstek.

— Co się stało?

— Opowiem ci — odrzekła. Jej nadgarstek był niczym krucha gałązka. — W pralni. Ty będziesz prał, a ja ci o wszystkim opowiem.

Dziewczyny z dzieckiem w spacerówce w pralni już nie było. Pozostało tylko rzucone na pomarańczowe, plastikowe krzesło czasopiśmo, które czytała, „Real Life Modern Romances”. George posadził Sophy na krzesło obok pralki, wysypał proszek do maszyny, puścił wodę i uruchomił urządzenie. Usiadł obok dziewczyny.

— Może wpadniemy gdzieś na kawę?

— Nie, wolę zostać tutaj. Tutaj jestem bardziej... niewidzialna.

George pochylił się.

— A więc co się wydarzyło?

Sophy sięgnęła na plecy po warkocz i zaczęła bawić się jego końcem.

— Kiedy... kiedy wrócisz do domu, zastaniesz tam pewnie moją matkę.

— Ginę? I co z tego?

— Chodzi o to... Nie chodzi o wizytę, ona zapewne zostanie u was przez jakiś czas. Raz sypia u was, raz u nas. Gdy wraca do Jego Wysokości, ja wracam z nią. Kiedy jej tam nie ma, nocuję u Ba.

— Sophy...

— Tata odszedł — oświadczyła, kręcąc nerwowo koniec warkocza.

— Odszedł. Trzy tygodnie temu. Zabrał połowę naszego dobytku i wyniósł się do Londynu.

George ukrył twarz w dłoniach.

— Och, mój Boże!

— Ba twierdzi, że było o jedną kłótnię za dużo. Tata powiedział, że matka się zmieniła, że nie jest już tą osobą, z którą się ożenił, i że wzajemnie się zabijają. Oświadczył, że nie ma żadnej narzeczonej. Powiedział, że nie zostanie w tym domu ani jednego dnia dłużej, nawet ze względu na mnie.

George uniósł twarz i popatrzył na Sophy. Nie płakała, ale wyglądała tak, jakby po prostu już zabrakło jej łez i przypominała zmiętą kartkę papieru lub starą szmatę.

— Boże, to straszne!

— Gus nieustannie przynosi mi kwiaty. Zupełnie jakby mój tata umarł. Nie wiem, gdzie je wstawiać. Nie wiem nawet, gdzie jest mój dom.

Pralka zaczęła wirować, wyjąc przy tym przeraźliwie.

— Mama nic o tym nie wspominała — odezwał się George. — Rozmawiałem z nią w zeszłym tygodniu, ale nic mi nie mówiła.

— Podejrzewam, że prosiła ją o to moja matka. Słyszałam, jak na siebie krzyczały. Rozumiesz, nie pozwoli Hilary zadzwonić ani do taty, ani do nikogo. Sądzę, że moja matka nie może uwierzyć w to, co się stało, i udaje, że nic się nie stało. Mówi, że to tylko skończył się sen, skończyła się wizja. Twoja rodzina jest taka miła. Nawet Adam.

— Na twarzy Sophy pojawił się cień uśmiechu. — Gdybym piła wszystkie kieliszki brandy, jakie mi przynosi, usmarowałabym się na cacy.

George wstał z plastikowego krzesła, uklęknął przed Sophy i ujął jej drżące dłonie.

— To straszne. Nie wiem, co powiedzieć, ale załamałaś mnie. Biedactwo. Biedna Sophy.

— Poprawiłam statystyki, prawda? Kolejny rozwód, kolejna rodzina opuszczona przez ojca... — Pochyliła głowę. — Nie wierzyłam, że coś takiego może się stać. Myślałam, że już zawsze będą tak na siebie krzyżeć i krzyżeć. — Znów zaczęła bawić się warkoczem, a George dopiero teraz spostrzegł, że Sophy ma paznokcie poobgryzane do żywego mięsa. — Teraz oddałabym wszystko za te krzyki i wrzaski. Wszystko.

Pralka wydała ostatni, triumfalny szczeł i stanęła. George podniósł się z kolan i zwolnił klapę urzędzenia.

— Pójdiesz ze mną? — zapytała nieoczekiwanie.

— Dokąd tylko zechcesz. Oczywiście. Dokąd?

— Do mojego domu. Obejrysz go sobie. Nie mogę iść tam sama...

George zaczął wkładać do plastikowej torby mokre ubrania. Sophy nic się nie zmieniła. Zawsze musiała chodzić z kimś. Do ciemnego pokoju, do ubikacji, na wagary. „Nie mogę iść sama” — mawiała. „Idźcie z nią — prosiła Hilary synów. — Idźcie. To tylko dziecko, wy samolubne potwory. Ona jest zawsze sama”.

George odwrócił się w stronę spoglądającej prosząco Sophy.

— Oczywiście.

W Jego Wysokości było cicho jak w kościele. Sophy przekręciła klucz w zamku w oszklonych drzwiach od strony ogrodu i wpuściła George'a do kuchni. Pomieszczenie wyglądało jak kuchnia na wystawie, lśniąca i nienaturalnie schludna z wyjątkiem dziur w ścianie, gdzie kiedyś przymocowana była zmywarka. Dziwne — pomyślał George. — Zabrać zmywarkę? Stoły, krzesła, obrazy, rzeczy, z którymi człowiek jest związany, to rozumiem! Ale zmywarkę? To tak, jakby

zabierać zapasowe żarówki czy papier toaletowy; zimne, bezduszne, wyrafinowane postępowanie.

— Kiedy tu po raz ostatni jadłaś? — zapytał.

Sophy przeniosła doniczkę z różową pelargonią ze stołu do zlewu.

— Całe tygodnie temu. Teraz z mamą przynosimy jedzenie z baru, ale ona niewiele je.

— A gdzie twoja papużka?

Sophy puściła wodę na kwiatek.

— U Ba. Bardzo jej się tam podoba. Ba całe dni z nią rozmawia. Chodź, obejrzyj sobie resztę domu. Chodź, a wszystko zrozumiesz.

George wyszedł z kuchni do mrocznego, wyłożonego boazerią holu, a potem do salonu. Za nim postępowała Sophy, przekonana, że chłopak podziela jej uczucia.

— Sam popatrz.

George popatrzył.

Umebłowanie pokoju przedstawiało się żałośnie. Było za mało sprzętów, te, które zostały, rozmieszczono pod dziwacznymi kątami, na ścianach widniały ohydne ślady po zabranych rzeczach, brakowało lamp i zasłon w oknach.

— Wziął kanapę — informowała Sophy. — Zabrał kilka stołów, komód i obraz przedstawiający katedrę w Rouen. Matka nie pozwoliła mi przemeblować pokoju. Oświadczyła, że ma być taki, jak go ojciec zostawił.

— Dlaczego mówisz na Ginę „matka”?

— Cóż, jest przecież moją matką.

— Ale przecież nigdy tak jej nie nazywałaś. Mówiłaś zawsze „mama”.

— Ale nie w tej chwili — odpowiedziała ostrożnie.

George zrobił krok w stronę drzwi. Wyczuwał, że w tym pokoju panuje atmosfera bólu i złości.

— Jak jestem tu z matką, przypominamy ludzi próbujących żyć w domu do połowy zniszczonym przez bombę lub jakiś inny kataklizm.

George oparł się o framugę drzwi.

— Widziałaś się z ojcem po jego odejściu?

— Nie.

— Dlaczego?

— Jeszcze nie mogę. Ze względu na matkę. Jest jak odrętwiła.

George nagle doznał przelotnej, lecz wyraźnej wizji, jak musi wyglądać życie w Pszczelim Domu: lato, wakacje, wszystkie pokoje zajęte przez gości, jego ojciec nieustannie krząta się w kuchni, matka, popędliwa i niemogąca usiedzieć w jednym miejscu. A między nimi Gina, odrętwiła po straszliwym ciosie, jakim było odejście Fergususa.

Zerknął na schody.

— Wazony też zabrał — powiedziała Sophy, podążając oczyma za wzrokiem George'a. — Chińskie wazy. Gdy byłam mała, myślałam, że stanowią rodzinę.

George oderwał się od framugi drzwi i wziął Sophy w ramiona.

— Ponuro tu, prawda? — zapytała.

— Chwilowo...

— Nic nie jest już takie jak dawniej. Nic. Ktoś zrobi coś, co mu się podoba, i wszyscy inni leżą jak po ciosie.

— Może gdybyś z nim porozmawiała...

— Nie chcę — odparła Sophy, sztywniejąc w jego objęciach. — Nie mogę. Aż kipię z gniewu.

— Na niego?

— I na nią. — Sophy wyswobodziła się z objęć George'a i zaczęła z całych sił okładać pięściami ścianę. — Jak śmieli? Jak, do cholery ciężkiej, śmieli? Najpierw wzbudzili we mnie poczucie winy, a teraz zrobili coś takiego! — Odwróciła się na pięcie do George'a i wrzasnęła: — Zniszczyli mi życie! To właśnie mi zrobili! Zniszczyli mi życie!

Gdy George dotarł wreszcie do Pszczelego Domu, barman Don otwierał właśnie bar dla wieczornych gości. Czekają już dwoje, którzy pogrążeni w lekturze przewodników i gazet udawali skwapliwie, że nie interesuje ich pierwszy wieczorny kieliszek. Hilary miała niejakie kłopoty, aby wyperswadować Donowi jego skłonność do muszek w szkocką kratę i wymyślanie nazw koktajli — Szrapnel Pszczelego Domu

czy Miodowe Niebiosy — ale on ciągle zachowywał się niczym barman z archiwalnego filmu gangsterskiego.

— Jak leci, George?

— Chujowo — odparł George, zapominając, że słyszą go goście hotelowi.

Don puścił do niego oko.

— Twoja mama szaleje. Nad pokojem numer siedem pękł zbiornik na wodę. Zupełnie nowy zbiornik. Miał wadę konstrukcyjną. Dobrze bawisz się w Brum?

— A gdzie tam. To mordęga.

— Nie ma wybaczenia dla niewdzięczników — stwierdził Don, podnosząc kratę baru. — Będziesz dziś wieczorem pracować. Wszystkie stoliki w restauracji zarezerwowane, a Michelle z powodu migreny nie przyszła do pracy. — Odwrócił się do czekających gości. — Czym mogę zaspokoić państwa fantazje?

George minął wahadłowe drzwi na tyłach baru i znalazł się w wąskim korytarzu, gdzie znajdowało się wejście do biura Hilary, do łazienki dla personelu i na schody prowadzące na najwyższe piętro, do mieszkania rodziny. Na schodach panował półmrok, a ściany nosiły ślady licznych uderzeń plecakami, kiedy po stopniach przez całe lata wbiegali i zbiegali chłopcy.

„Dom — wyszczała dziko Sophy, przekręcając klucz w drzwiach Jego Wysokości. — Dom! To nie dom, to tylko budynek!”

George chciał, by poszła z nim do Pszczelego Domu, lecz Sophy odmówiła.

„Ironia losu, prawda? — powiedziała. — Całe lato powinnam spędzić u was. Hilary zaproponowała mi pracę, ale teraz zmarło to śmiercią naturalną, podobnie zresztą jak wszystko inne. Myślałam, że powinnam być przy mamie, ale nie mogę znieść jej towarzystwa. I nie wiem, co mam powiedzieć Hilary, skoro wszystko to odeszło”.

George wspiął się po schodach na najwyższe piętro. Doszedł do wniosku, że pokrzepi go na duchu rozmowa z Gusem lub z Adamem. Ale w mieszkaniu nigdzie nie grała muzyka, w kuchni pusto, a w sypialniach chłopców, mimo że drzwi były pootwierane na oścież, ukazując znajomy bałagan, niepościelone łóżka i porozrzucane ubrania

oraz sprzęt sportowy, nikogo nie zastał. Zajrzał do salonu. Był w nim porządek, troszeczkę przepaszający, jaki zawsze panuje w rzadko używanych pokojach. Była także Gina. Leżała na boku na kanapie i tuliła do siebie poduszkę. Miała zamknięte oczy, a na podłodze obok niej stał kubek, talerzyk z ogryzkiem jabłka i wsunięte do połowy pod kanapę buty; buty bardzo małego rozmiaru — jak zauważył George. Gina ani drgnęła. George zawahał się, wziął głęboki wdech i na palcach ruszył korytarzem do swego pokoju. Cichutko otworzył, a następnie zamknął za sobą drzwi. Rzucił torbę na podłogę, ściągnął buty i z ulgą wszedł z głową pod kołdrę. Dosyć — powiedział do siebie, smakując cudowną, przesiąkniętą znajomym zapachem ciemność. — Dosyć, dosyć.

— Dobrze wie, że to nieprawda — oświadczyła gwałtownie Hilary. — Wie, że nie jest histeryczką, która straciła cel w życiu! Wie, że musiał stworzyć sobie doskonały pretekst do odejścia! Nie winię jej za to, że pragnie naszej troski, ale ja już dłużej nie zniosę tych bzdur w stylu: „Biada mi, ponieważ wszystkie te okropne rzeczy, jakie mówił o mnie Fergus, to prawda”. Słyszając to, dostaję wprost białej gorączki.

Laurence, wsuwając listki bazylii pod skórę na piersiach ułożonych w rzędzie kurczaków, zerknął na żonę i odparł, iż jego zdaniem Hilary postępuje nieuczciwie.

— Nieuczciwie? Co rozumiesz przez słowo: nieuczciwie? Znam ich oboje od prawie dwudziestu lat, od trzech tygodni wysłuchuję Giny i nie mam nawet prawa wyrazić własnego zdania?

— Prawo masz — mruknął Laurence, nie podnosząc głowy. — Uważam jednak, że twoja opinia nie jest do końca zgodna z prawdą. Fergus doprowadził do tego, że Gina czuje się jak jakieś dziwadło. I w tym cały kłopot. Sprawił, że nie czuje się kobietą, wmówił jej, że jest bezpłciowa, neurotyczna, umie tylko siać destrukcję. To tak jakby tobie ktoś nieustannie i chytrze wmawiał, że jesteś wariatką. Ginę prześladuje to, co nagadał jej Fergus. A sama wiesz, że naopowiadał jej wiele okropnych rzeczy.

Hilary popatrzyła na białawe kurze piersi dziwacznie poznaczone wsuniętymi pod skórę i przypominającymi blizny ziołami.

— Oczywiście, wiem. Ale chodzi mi tylko o to, że takie rzeczy wygadywać może wyłącznie człowiek podły, a Gina twierdzi, że Fergus nie jest podły. Więc pytam ciebie.

Laurence zerknął w stronę, gdzie dziewiętnastoletni Steve i o rok od niego młodszy Kevin siekali warzywa.

— Gdyby przyznała, iż Fergus jest człowiekiem podłym — odparł spokojnie — to logicznie rzecz biorąc, musiałyby się też przyznać do zmarnowania ostatnich dwudziestu lat swego życia.

— Wielkie nieba! — wykrzyknęła Hilary, uderzając dłonią w kołnotatnik, który przyciskała do piersi. — Wielkie nieba! Dlaczego Gina miałaby sądzić, że jest inaczej? Przecież wszyscy wiemy, że tak właśnie jest! Dlaczego Gina miałaby być w jakiś sposób uprzywilejowana?

Laurence nacisnął mocno czubkiem noża deskę z kurczakami. Policzył do pięciu. I jeszcze raz do pięciu. Następnie odezwał się, jak miał to w zwyczaju, tonem, jakby zupełnie ignorował ostatnie słowa Hilary:

— Porozmawiam z Giną.

— O czym?

— O stanie jej umysłu. Postaram się jej pomóc.

— Dobrze.

Chciała powiedzieć: dziękuję, ale jakoś to słowo nie przeszło jej przez gardło. Wyciągnęła tylko rękę i dotknęła dłoni Laurence'a.

— Może naprawdę nie wiemy, co to prawdziwy ból — mruknął.

— Nie wiemy?

— Nie. Wiemy jedynie, co to rozczarowanie.

— Tak — przyznała Hilary.

Otwierała już usta, żeby dodać, iż w tej kwestii stała się ekspertem, ale poskromiła język. Czując niejasno, że w jakiś sposób musi sprawę załagodzić, trochę niezręcznie zmieniła temat.

— Ten przeklęty zbiornik na wodę też nam spraw nie ułatwia.

- Masz rację, Hil. Muszę...
- Wiem, wiem. Ale tak trudno nam porozmawiać, kiedy hotel jest przepelniony, a dodatkowo jeszcze zadomowiła się u nas Gina.
- Powiedziałem, że jakoś to załatwię. Powiedziałem...
- W porządku, w porządku, mówileś. — Poprawiła na nosie okulary w czerwonej oprawce, które nadawały jej wygląd dzikiego, egzotycznego ptaka. — Powiedz mi tylko jedno.
- Tak?
- Jakie, twoim zdaniem, są ostateczne granice zobowiązań wobec przyjaciół?
- Laurence popatrzył na Hilary.
- Nie wiem. Nigdy dotąd nie miałem okazji tego sprawdzić.

Ginę obudziły dobiegające z kuchni odgłosy krzątających się tam chłopców. Trzaskały drzwi od lodówki, rozlegały się wybuchy gromkiego śmiechu, dochodził zapach grzanek. Ostatnio nienawidziła snu równie mocno jak chwil czuwania. Sen był jedynie żalonym wykretem, rodzajem narkotyku, ucieczką, chowaniem głowy w piasek. Wypełniały go odrażające koszmary, z których wydobywała się z najwyższym trudem, cała obolała i otumaniona. Nie obchodziło jej, gdzie przebywa, ale tu, w Pszczelim Domu, było łatwiej, tu miała świadomość, że na niższych piętrach mieszka wielu ludzi i toczy się zwyczajne, codzienne życie. A Gina w tej chwili swego życia nade wszystko potrzebowała codzienności. Obserwowała gości spędzających wakacje w Pszczelim Domu. Obserwowała, jak kompensują sobie skromną egzystencję, jaką prowadzili przez cały rok, ubieraniem się w ekstrawaganckie, specjalnie na urlop kupione stroje i paradowaniem dumnie z mapami i płaszczami przeciwdeszczowymi. Zazdrościła im tej pozornej beztroski bezradną zazdrością zarezerwowaną dla księżniczek lub gwiazd filmowych.

Przekręciła się na plecy i wbiła wzrok w spadzisty sufit. Czowała w tej chwili rozpaczliwy smutek, pławiała się w smutku. Wiedziała jednak, że żal nie będzie trwać długo, że przekształci się w depresję, w poczucie

winy albo też wszystko potoczy się inaczej — smutek ów przemieni się w straszliwy, oślepiający gniew i żądzę zemsty. Próbowala to wytłumaczyć Hilary. Starala się wyjaśnić owo uczucie bezsilności, kiedy człowiekiem miotają sprzeczne emocje, ową karuzelę uczuć, która przez jakiś czas wiruje, po czym bez ostrzeżenia ciska ją w odrętwienie spowodowane straszliwym odejściem Fergusa.

„To chyba normalne” — zauważyła Hilary.

„Normalne? Apatia i odrętwienie to stan normalny?”

„W sytuacji takiej jak twoja, tak. Podejrzewam, iż jest to rodzaj instynktownej samoobrony przed bólem, jaki ma nastąpić. Podobnie jest z ludźmi, którzy w trakcie pogrzebu zachowują się spokojnie i rozsądnie i dopiero później rozpadają się na kawałki”.

Ale ja już teraz rozpadam się na kawałki — myślała Gina. — Nie jestem nawet w stanie pomóc Sophy. Uniosła poduszkę i zaczęła ją z uwagą oglądać. Poszewka wykonana była z indyjskiej bawełny w czerwone, różowe, zielone i kremowe tulipany otoczone zygzakowatymi obwódkami. Musiała myśleć o tej poduszce, musiała się zastanawiać, skąd się wzięła w tym domu, kto ją uszył, dlaczego Hilary — cóż, zapewne Hilary — wybrała właśnie ją, a nie jakąś inną, na przykład z goździki lub róże. Oczy Giny nieoczekiwanie wypełniły się łzami.

— Jak mógł? — szepnęła do poduszki. — Jak mógł zrobić mi coś takiego? Jak mógł sprawić, iż czuję się tak, jakbym to ja była wszystkimu winna?

Usiadła i rzuciła poduszką w telewizor. Ogarnęła ją nagła furia. Jak Fergus śmiał doprowadzić ją do takiego stanu? Bóg świadkiem, że podczas długich niczym wieczność nocy obsesyjnie wspominała każdy szczegół ich małżeństwa, szukając rzeczy, za które mogłaby siebie winić.

Czy rzeczywiście byłoby lepiej, gdyby to wszystko naprawdę wynikało z jej winy? Czy pomogłaby jej świadomość, że to Fergus stał się jej ofiarą, a nie na odwrót? Gdyby okazało się, że to ona jest wszystkimu winna, Fergus stałby się utraconą nagrodą, cudowną szansą, która trafiła się jej na tyle lat po to tylko, żeby lekkomyślnie ją przeświatała. Czy zniosłaby taką myśl? A czy mogła znieść myśl, że nienawidzi Fergusa? Czy istniało coś, co mogła znieść tego piątkowego,

sierpniowego popołudnia bez chęci wycia z bólu i żalu?

— Cześć.

Gina spojrzała w stronę drzwi. W progu stał Adam. Miał na sobie dzinsy, koszulę w szkocką kratę naciągniętą na szary podkoszulek z napisem: Cincinnati — Miasto Które Idzie Na Całość, oraz bose stopy.

— Napijesz się kawy?

— Chyba nie, ale dziękuję za pamięć — wydukała z trudem.

— Chodź, przyjechał George.

Gina wstała z kanapy. Zdaniem Adama nie wyglądała najlepiej, ale to akurat mu nie przeszkadzało. Tak naprawdę wołał Ginę taką, dziewczyną i zmieszaną, od Giny, jaką znał przez całe swe życie; piękną, zawsze elegancko ubraną i bardzo energiczną. Teraz przypominała kogoś, kto podczas całonocnego przyjęcia najadł się jakiegoś paskudztwa, zachorował, a przez to stał się o wiele bardziej dostępny. Dawno już przestała pracować w szkole jako nauczycielka gry na pianinie i jak inni prowadziła miłe, nieuporządkowane życie. Podszedł do Giny i podsunął jej łokieć.

— Oto moje ramię, proszę pani.

— Och, Adam, tak mi przykro. To jakby zamieszkał u was inwalida...

— Cicho, już wszystko dobrze. Poproszę Dona o brandy i wleję ci do kawy.

— Żadnej więcej brandy. Ale dzięki. Zapomniałam o George'u. Gdzie jest Sophy?

— U Vi.

Zaprowadził ostrożnie idącą chwiejnie Ginę do kuchni. Przy zaśmieconym stole siedział George i gapił się w kubek, a Gus nakładał łyżką z plastikowego pojemniczka margarynę na grzankę.

— Cześć, Gina — odezwał się, wstając George.

Przesłała mu uśmiech.

— Cieszę się, że cię widzę.

Adam podsunął Ginie krzesło.

— Spotkałem Sophy — powiedział George, ponownie siadając za stołem. — Przed chwilą. Jestem... naprawdę bardzo mi przykro.

Gina uważnie mu się przypatrzyła. Miał twarz Laurence'a, przystojną, wesołą, szeroką twarz Laurence'a. Adam również był podobny do ojca. Jedyne Gus przypominał matkę. Miał ciemniejszą cerę i piękne oczy, był przystojniejszy. Nagle serce Giny zaląła fala niewymownej otuchy i choć uczucie to prawie natychmiast minęło, błogosławiła los nawet za tę sekundę. Podniosło ją na duchu to, że siedzi w tej ciasnej, zagraconej kuchni na poddaszu w towarzystwie trzech chłopców, których znała od ich urodzenia, których nie odmieniło ani nie wywarło na nich piętna odejście Fergus'a. Oni też ją znali i bardzo jej współczuli. I wcale się na nią nie złościłi. Nie tak jak Sophy.

Uśmiechnęła się do Adama.

— Jeśli twoja propozycja wciąż jest aktualna, to chętnie napiłabym się kawy.

Rozdział piąty

*„Jeśli w oczach nie ma łez, w duszy nie ma tęczy”. Autor niezna-
ny — głosił napis wiszący naprzeciwko Giny.*

Obok niego znajdował się inny, zapisany na niebieskiej kartce i
okolony wieńcem kwiatów migdałowca: *„Ptak nie śpiewa, aby dać
odpowiedź; śpiewa, ponieważ zna pieśń”. Przysłowie chińskie.*

Poradnia psychologiczna mieściła się w niewielkich pokoikach na
tyłach wysokiego, niezamieszkanego georgiańskiego budynku za szpi-
talem w Whittingbourne. Okna poczekalni przesłonięte były niebie-
skimi firankami z materiału przypominającego tweed i wychodziły na
tyły największego supermarketu w mieście. Sklep, a w każdym razie
linię jego dachu zaprojektowano tak, że kojarzył się z średniowiecz-
nym dworzyszczem wymyślonym przez architektów z Disneylandu.

Okna biura lśniły czystością, a poczekalnia przypominała do złu-
dzenia szpitalną. Tyle tylko, że na ścianach wisiały liczne sentencje
oraz wielka fotografia przedstawiająca utrzymany w kolorycie miedzi
zachód słońca nad morzem.

Na niskim, oklejonym drewnopodobną wykładziną stoliku, przy
którym siedziała Gina, stała niepasująca trochę do pory roku rdzawa
doniczkowa chryzantema — Fergus, krzywiąc usta, określiłby ją jako
„bardzo praktyczną” — oraz ułożone w wachlarz ulotki. *Leczenie i
rozwój przez smutek* — głosiła jedna. — *Zmiana i utrata. Pomóż
samemu sobie.*

„Tego ci właśnie teraz potrzeba — oświadczył Laurence łagodnie, lecz z tonem zniecierpliwienia charakterystycznym dla osób bardzo zapracowanych i zajętych swoimi sprawami. — Zrozum, my już bardziej nie jesteśmy ci w stanie pomóc. Teraz już ci nie pomagamy, a tylko utrwalamy twój stan. Potrzebujesz pomocy z zewnątrz, pomocy kogoś, kto pokaże ci, jak możesz pomóc sobie sama”.

„Nie chcę pomocy — odrzekła głośno, odsuwając kieliszek z winem, który podał jej Laurence. — Chcę miłości”.

Laurence popatrzył w sufit, przeniósł wzrok na drzwi lodówki, w miejsce, gdzie Hilary przymocowała za pomocą magnesu w kształcie hipopotama kartkę z napisem: *Niesolone masło jest odpowiednie tylko dla MĄDRYCH DOROSŁYCH*, a następnie wlepił wzrok w chwiejny stos kubków na suszarce.

„Ależ ciebie nie daje się kochać — powiedział. — Nie w stanie, w jakim się znajdujesz. Można ci współczuć, ale na pewno nie kochać”.

Gina drgnęła, jakby uderzył ją w twarz.

„Jesteś łajdakiem”.

„Wcale nie”.

„Ależ tak! Ależ tak! Co ty możesz o tym wiedzieć?”

„Dużo — odparł znużonym tonem. — Bardzo dużo”.

„Naprawdę? Naprawdę?”

„Kochasz to — odpowiedział Laurence, wstając od stołu i dopijając z kieliszka resztę wina. — Kochasz sytuację, w jakiej się znalazłaś. Twoim zdaniem z tym szaleństwem bardzo ci do twarzy”.

Gina nigdy w życiu w nikogo niczym nie rzuciła. W trakcie najgorszych awantur i kłótni z Fergusiem oboje wiedzieli, że zgromadzone w domu przedmioty są zbyt cenne i zbyt je lubią, aby narażać je na zniszczenie. Teraz jednak sięgnęła gwałtownie po kieliszek, żeby ciśnąć nim w Laurence'a, lecz ręce tak jej drżały, że potrafiła tylko naczynie, rozlewając wino na stole i leżącej na nim książce telefonicznej. Laurence wybuchnął śmiechem.

„Gino...”

Nakryła kałużę rozlanego wina serwetką, a Laurence podszedł do niej i chwycił ją za nadgarstek.

„Przestań robić z siebie osła!”

„To się dzieje naprawdę! — krzyknęła, uwalniając dłoń z jego uścisku. — Nie widzisz tego? Niczego nie zmyślam! To się dzieje naprawdę!”

„Wiem. Wiem. Ale nasze życie też jest prawdziwe. Nasze życie, ten hotel, Hilary, ja, nieszczęsny George, który pomylił się przy wyborze szkoły, jutrzejsze śniadanie dla dziewiętnastu osób, w następny wtorek inspektorzy sanitarni w naszej kuchni... to wszystko dzieje się naprawdę, z tym wszystkim musimy się uporać. Możemy cię wspierać duchowo, ale nie możemy nosić na rękach”.

Gina spuściła głowę i zaczęła powoli i dokładnie wycierać książkę telefoniczną, wygładzając jednocześnie palcami nasiąkniętą wilgocią okładkę.

„W porządku”.

„Doskonale. Zuch dziewczynka”.

Nie pytaj mnie — modlił się w duchu Laurence — tylko mnie nie pytaj, czy jeśli będziesz potulna, ktoś łatwiej cię pokocha. Nie pytaj.

Gina podniosła przewrócony kieliszek i odniosła go do zlewu.

„Wybacz — powiedziała oschle. — Wybacz, że sprawiłam wam tyle kłopotu”.

„Wcale nie...”

„Coś zrobię. W przyszłym tygodniu. Umówię się na konkretny termin. Zobaczysz”.

I wyszła z kuchni z wysoko uniesioną głową. Nawyk ten pozostał jej jeszcze z czasów szkolnych, kiedy porzucił ją ojciec.

„Przypuszczam — oświadczył później Laurence, kładąc się w łóżku obok Hilary — że Fergus postąpił dokładnie tak samo jak jej ociec. Po prostu ją zostawił”.

Ale Hilary nie słuchała. Odbyla właśnie godzinną rozmowę z George'em, podczas której powtarzał nieustannie, że choć nie chce robić tego, co robi, to jednocześnie nie ma zielonego pojęcia, czym chciałby się w życiu zająć. Po całym dniu pracy i po bardzo przykłej rozmowie z przygnębionym synem Hilary po prostu padała z nóg.

„Tak — mruknęła. — Nie”.

Laurence wtulił twarz w jej plecy, między łopatki i głęboko wciągnął w płuca powietrze.

„W końcu obiecała, że pójdzie”.

„Tak”.

„W tym tygodniu”.

„Tak”.

„Próbowała rzucić we mnie kieliszkiem z winem. Prawie się jej to udało”.

Hilary odsunęła się. George podczas rozmowy z nią również przewrócił filiżankę i rozlał kawę na pszenicznej barwy dywan. Był blisko leż.

„Czy uważasz mnie za wykolejeńca?”

Zadał to pytanie, mając zaledwie osiemnaście lat.

„Idź spać — powiedziała Hilary. — Po prostu idź spać”.

„Ależ sądziłem, że się ucieszysz. Sądziłem...”

Urwał. Niby z czego miała się cieszyć? Dlaczego uważał, że powinna mu pogratulować tego, iż zrobił coś, co każdy przyzwoity dorosły człowiek zrobiłby w imię przyjaźni do innej osoby dorosłej, zwłaszcza że przyjaźń ta trwa od ćwierć wieku?

„Nie oczekuj ode mnie podziękowań i klepania po plecach, jeśli o to ci chodziło — odrzekła Hilary, przyciągając do siebie poduszkę. — To twoja przyjaciółka”.

„Nasza”.

Milczenie.

„Nasza” — powtórzył Laurence, podnosząc trochę głosu.

Hilary odwróciła na chwilę głowę i popatrzyła na męża.

„Nie ja ją wybierałam. To był twój wybór. Nie zapominaj, że zaakceptowałam ją ze względu na ciebie... — Urwała. — Proszę, nie zapominać o tym” — zakończyła z emfazą, położyła głowę na poduszce i zamknęła oczy.

W poniedziałek rano Gina, ubrana w legginsy i niebieską kurtkę z denimu, pojawiła się w kuchni bardzo wcześnie. Od progu oświadczyła, że wraca do domu. Hilary, która segregowała właśnie w wielkim koszu z przykrywą brudy do prania, przestała określać kolejne pozycje z listy i powiedziała:

„Jak sobie życzysz”.

Gina popatrzyła na nią hardo. To była Hilary, ta Hilary, która przez te wszystkie trudne lata niemowlęstwa i dzieciństwa Sophy i przez jeszcze trudniejsze lata narastającej wojny z Fergussem była jej głównym sprzymierzeńcem, ale która teraz myślała już tylko o poszewkach na poduszki i ręcznikach i wykazywała tyle serdeczności i współczucia co plot z drutu kolczastego. Pewnego razu, pamiętała to dokładnie, wybrali się z Fergussem do Londynu na sztukę w National Theatre. Przedstawienie zaczynało się sceną, w której mężczyzna leżał na łóżku i jęcząc, skarżył się na bóle kręgosłupa. *Dlaczego?* — dopytywał się żałośnie. — *Dlaczego nic a nic mi nie współczujesz? Powiem ci dlaczego* — odrzekła żona. — *Po pierwsze, urodziłam się z niewielkim zapasem współczucia, a po drugie, cały już wyczerpałam.* Zapewne Hilary była do niej podobna.

„Okazałaś mi tyle sympatii. Wszyscy okazaliście”.

„No wiesz. Przecież po to tu jesteśmy”.

„Mam nadzieję, że nie dałam się wam zanadto we znaki” — odparła Gina, usiłując naśladować jej uprzejmy ton.

Hilary milczała. Pochyliła się i wyciągnęła ze sterty brudów prześcieradło.

„Może nie jestem najwłaściwszą osobą, do której mogłabyś zwrócić się o pomoc...”

„Nie” — sprzeciwiła się Gina.

Wkraczały na bardzo śliski grunt.

„Słyszałam, że zwróciłaś się z prośbą o pomoc do specjalisty” — odparła stłumionym głosem pochylona nad koszem Hilary.

„Czy to Laurence...”

„Och, naturalnie”.

Gina popatrzyła na głowę Hilary pochylonej nad białą, lnianą bielezną pościelową i zielonymi ręcznikami. Miała wielką ochotę wepchnąć ją do kosza z tą brudną pościelą używaną przez obcych ludzi i obrzucić stekiem wyzwisk. Założyła ręce za plecy.

„Jestem bardzo wdzięczna. Naprawdę. Nie wiem, co bym bez was zrobiła. I dokąd bym poszła”.

Hilary wyprostowała się. Przez chwilę w powietrzu wisiały słowa: Było nam bardzo miło gościć cię u nas. Zamiast tego Hilary podeszła do Giny i musnęła ustami jej policzek.

„Niech Bóg ma cię w swej opiece” — powiedziała z wyraźną ulgą.

Gina wróciła do Jego Wysokości i weszła do domu. Najwyraźniej niedawno była tu Sophy, ponieważ doniczka z różową pelargonią, która zawsze stała na środku stołu, teraz znajdowała się w zlewie. Z leciutko odkręconego kranu z monotonnym, doprowadzającym do szaleństwa dźwiękiem kapała woda. Gina zastanawiała się, czy nie zadzwonić do córki. „Wróciłam — powiedzialaby. — Zamierzam zostać tu już na stałe”. Podeszła do telefonu, wykręciła numer Vi, lecz natychmiast odłożyła słuchawkę. Nie. Jeszcze nie teraz. Dopiero po spotkaniu z psychologiem. Wtedy będzie już mogła zademonstrować córce oraz duchowi nieobecnego Fergusa, że zrobiła pierwszy, niewielki krok, oddalając się od krawędzi życiowej przepaści, nad którą się tak nieoczekiwanie znalazła. Popatrzyła na kuchenne krzesła. Na wzór szwedzki leżały na nich poduszki. Zapragnęła naraz na którymś z nich usiąść, oprzeć na lśniącej powierzchni stołu ręce i ukryć w nich głowę. Ale tego zrobić nie mogła. Nie wolno jej było myśleć w taki sposób, nie wolno się jej poddać. Odwróciła się, gwałtownie i mechanicznie, jak targany wiatrem kogucik na dachu i zdjęła książkę telefoniczną z półki, którą Fergus zawiesił tam specjalnie w tym celu. Zrobił ją z drewna wiązowego wygrzebanego w składzie odpadów. Boże, o ile łatwiej musi być kobietom porzucanym przez mężów, którzy traktowali swe domy wyłącznie jako praktyczne miejsce do przechowywania kolekcji płyt z lat sześćdziesiątych lub części do samochodów, które kiedyś posiadali! Ten straszliwy ból, kiedy spoglądała na przypominające jej Fergusa przedmioty, mimo całej jego nieczułości, jego kompletnego braku poczucia odpowiedzialności za nią, za żywą istotę, żywą, oddychającą istotę, której ślubował... Dosyć — powiedziała do siebie Gina. — Dosyć. Położyła książkę telefoniczną na stole i zaczęła energicznie ją kartkować.

— To bardzo miło z pani strony, że zgodziła się spotkać Ze mną tak szybko — powiedziała układnie Gina.

Psycholog nazywała się Diana Taylor. Była mniej więcej w jej wieku, miała pociągłą twarz, kręcone, rude włosy, a jej strój nic nie mówił o właścicielce — spódnica, bluzka koszulowa, wełniana kamizelka, na szyi sznur koralu, na palcu ślubna obrączka. Siedziała przy stole naprzeciwko Giny. Przed sobą położyła teczkę, dużą teczkę z papierem kancelaryjnym, na którym nic jeszcze nie zapisała, nawet imienia i nazwiska Giny.

— Skoro zdecydowała się pani do nas przyjść, nie mogliśmy pozwolić pani czekać — odparła z uśmiechem Diana Taylor.

Gina popatrzyła na nią.

— Tak naprawdę to wcale nie chciałam tu przychodzić.

— Rozumiem.

— Chodzi mi o to, że wcale nie chcę być osobą, która musi tu przychodzić.

— Nikt nie chce.

— Czy w taki sposób zamierza pani ze mną rozmawiać? Przez cały czas? Przez cały czas przyznawać mi rację? Twierdzić, że wszystko, co mówię lub robię, jest wprost idealne, a katastrofa, jaka mnie dotknęła, to rzecz całkiem normalna?

Diana Taylor ponownie się uśmiechnęła.

— Tak.

— Do diabła! — wykrzyknęła Gina, pochyliła się nad stołem i ukryła twarz w dłoniach. — Doprowadzi pani do tego, że wścieknę się na panią jak na Fergususa!

— Na Fergususa? — zainteresowała się Diana Taylor. — A kim jest Fergusus?

— Ma pani męża?

— Tak.

— Czy to pani pierwsze małżeństwo?

— Nie, drugie. Mój mąż prowadzi farmę rybną. Hoduje pstrągi tęczowe.

— Czy pierwszy mąż panią zostawił?

— W pewnym sensie. Umarł. Moja matka, pełna współczucia, powiedziała, że kroi się jej serce na myśl, że już nigdy w życiu nie zaznam szczęścia. Pomyślałam sobie wtedy: Mój Boże, jeśli to prawda, że nigdy już nie będę szczęśliwa, to nie chcę żyć ani chwili dłużej. Ale wcale tak nie było. Wcale. Gina zerknęła na nią.

— Dlaczego w poczekalni wisi tyle napisów? Jak u baptystów...

— Wieszają je nasi klienci. Sentencje, które pomogły im przetrwać złe chwile.

— Pomoc — powiedziała głośno Gina. — Pomoc. Wszyscy mi to mówią. Poszukaj pomocy, Gino, profesjonalnej pomocy... my już nie jesteśmy ci w stanie pomóc, a i ty nie pomożesz Sophy. Moja matka nie jest w stanie mi pomóc, nie jest w stanie pomóc alkohol. Po nim jest jeszcze gorzej...

— Pomoc polega jedynie na dodawaniu ludziom bodźca do działania — odparła Diana Taylor, tocząc powoli długopis po blacie biurka. — W naszym przypadku polega to na samoleczeniu. To wszystko. — Zamilkła i po chwili dodała prawie obojętnie: — Ze smutku człowiek może wyleczyć się jedynie sam.

Gina chrząknęła.

— Proszę przeczytać kolejny cytat. Mój ulubiony. To, oczywiście, Szekspir. *Wyraź smutek słowami. Smutek, który nie mówi, zawładnie przepojonym żalością sercem i sprawi, że ono pęknie* *.

* Przekład Michał Wroczyński.

Gina milczała. Popatrzyła na swoje dłonie, a następnie spuściła wzrok na białe mokasyny, o których Fergus mawiał, że nadają się jedynie na wyjazdy na urlop do południowej Hiszpanii, gdzie całe dnie spędza się na polach golfowych.

— Czy może mi pani opowiedzieć więcej o Fergusie, Sophy, o swojej matce i o sobie? — zapytała Diana Taylor, bawiąc się długopisem. — Wtedy wszystko przeanalizujemy... ile lat ma Sophy?

— Szesnaście. Ja mam czterdzieści sześć, moja matka osiemdziesiąt, a Fergus, który odszedł, pięćdziesiąt trzy.

— Odszedł?

— Tak! — prawie wrzasnęła Gina. — Tak! Odszedł! Do licha, jak pani sądzi, dlaczego tutaj jestem?

Diana Taylor nie odpowiedziała. Gwałtownie, z hałasem, włożyła długopis do glinianego dzbanuszka do połowy już wypełnionego innymi. Położyła ręce na biurku i czekała. Gina popatrzyła na jej dłonie, zwykle, trochę zaniedbane dłonie. Wyobraziła sobie pana Taylora od tęczyowych pstrągów, jak wkłada na palec jej lewej ręki obrączkę, składając obietnice pomocy, wierności i miłości. Popatrzyła na własną rękę. Na palcach miała pierścionki, które wybrał dla niej Fergus: wiktoriański, zaręczynowy, z wygrawerowanymi liliami, obrączkę ślubną oraz edwardiański z perłami i małutkimi diamentkami. Pięć dużych pereł, jak pięć słów: Czy chcesz zostać moją żoną?

— Popelniam tyle głupstw — przerwała milczenie Gina.

— Jakich?

— Fergus zabrał połowę mebli. Dokładnie połowę. Zabrał zmywarkę do naczyń, ale zostawił pralkę. Zabrał kanapę, ale fotele zostały. Z jadalni kredens, ale bez stołu. Nie mogę patrzeć na to, co zostało. To jeden z powodów, dla których nienawidzę tego domu. Cały czas widzę przedmioty, zupełnie jakby ich nie zabrał, jakby wcale nie zniknęły. Nie mogę na to nic poradzić. — Umilkła i popatrzyła na Dianę Taylor. — Zatrzymałam się u przyjaciół. Na trzy tygodnie. Ale sądzę, że mieli mnie już serdecznie dosyć. Nie wiem, czy to żona kazała mężowi powiedzieć mi, abym już sobie poszła, czy też był to jego pomysł. Nie wiem, ale dał mi to do zrozumienia w oględny sposób. Nie mam do nich pretensji.

— A Sophy? Czy też mieszka u pani przyjaciół?

— Nie.

— A gdzie?

— U babci. Sama decyduje... zdecydowała. Czyż to nie okropne, czyż to nie straszne, że nie jestem nawet w stanie pomóc własnej córce?

— Wcale nie. Nie teraz.

Gina wstała.

— Dlaczego mi pani po prostu nie powie, że to ja narobiłam całego bigosu? Dlaczego siedzi pani tak spokojnie, ociekając cierpliwością i zrozumieniem? Dlaczego mi pani nie powie, iż takie postępowanie zupełnie nie przystaje czterdziestosześcioletniej kobiecie?

Diana Taylor również wstała.

— Bo pani wciąż jeszcze jest w szoku.

— Ja?

— Życie człowieka to pasmo nieustannych strat. Zapewne pierwszą jest utrata młodości. Pani doznała straty ogromnej, która z pewnością panią odmieni, ale nie zabije. W takich przypadkach pierwszą reakcją często jest właśnie szok.

— Często? A więc jestem taka sama jak inni? A zatem widząc, jak opuszcza mnie mąż, oświadczywszy przy tym, że wszystko inne jest już lepsze niż kolejna godzina w moim towarzystwie, powinnam krzepić się myślą, że to samo przytrafia się wielu innym kobietom?

Diana Taylor pochyliła się w jej stronę. Gina zauważyła, że ma jasnobrązowe oczy i nie umalowane rzęsy.

— Pani przypadek jest jedyny w swoim rodzaju. Podobnie jak pani sytuacja. Ja mówię tylko o uczuciach, naturalnych, burzliwych, wprowadzających w zmieszanie uczuciach, jakie są udziałem innych ludzi. Żal. Żal i strata.

— Żal...

— Żal. Sophy również odczuwa ogromny żal i gorycz. Rozpacz i tęsknotę.

— Chyba mam chwilowo dosyć — oświadczyła Gina.

— Rozumiem.

— Wróć...

Diana Taylor otworzyła przed Giną drzwi. Skinęła głową, najwyraźniej nie oczekując podziękowań. Gina również kiwnęła głową. Czuli, że nie jest to odpowiedni moment na towarzyskie konwenanse. W poczekalni ujrzała młodego mężczyznę z prawie całkowicie wygoloną głową i przypominającą czaszkę twarzą. Spoglądał gniewnie na kartkę, którą ktoś zostawił na okapie kominka nad nieczynnym i dokładnie wyczyszczonym paleniskiem. Napis głosił: „Jeśli życie ofiaruje ci lemonki, rób z nich lemoniadę”.

Mężczyzna zerknął na Ginę.

— Niech to szlag trafi — burknął pod nosem.

Vi szyła zasłony okienne. Czerwony materiał zdobiły wizerunki słoneczników. Zdaniem Sophy, która przez większość popołudnia obserwowała postępy Vi, zasłonki nie były całkiem kwadratowe; miały kształt rombu. Nie komentowała tego faktu. Vi pracowała w szaleńczym tempie, koniecznie chciała skończyć szycie przed wieczorem i zawiesić zasłonki w oknie kuchni na miejsce starych, zielonych, by sprawdzić efekt kolorystyczny, gdy przez żółte kwiaty przeświecać będą promienie zachodzącego słońca. Zatopiona w pracy milczała. Poza tym w ustach trzymała cały pęczek szpilek ze szklanymi łebkami. Maszyna do szycia hałaśliwie terkotała, więc Sophy szybko przestała udawać, że interesuje ją zajęcie babci i zagłębiła się w myślach. Przyszło jej do głowy, że warto by odwiedzić Dana, który tego popołudnia zajmował się swą kolekcją znaczków pocztowych. Vi nazywała to zabawą w pocztę. Sophy, która знаła się trochę na filatelistyce i czasami pomagała mu za pomocą pincetki segregować i układać delikatne, egzotyczne papierki, oświadczyła pewnego razu Vi:

„W znaczkach jest jakaś magia. W niczym nie przypomina to zbierania podstawek pod piwo”.

„W samym zbieraniu nie ma żadnej magii — odrzekła Vi. — To dopiero człowiek dorabia sobie filozofię”.

Po odejściu Sophy — Vi obserwowała ją, jak przechodzi przez dziedziniec — zastanawiała się, czy ma zaobrębić zasłonki ręcznie. Tak właśnie powinna uczynić, gdyż było to bardziej fachowo, a firanki zyskałyby na urodzie, ale trwałoby to dziesięć razy dłużej, więc Vi zdecydowała się jednak na maszynę. Rozłożyła i strzepnęła zasłonkę. Materiał z jednej strony trochę się marszczył. Mocno go szarpnęła, rozległ się trzask pękającej nici.

— Wielkie nieba! — odezwała się od drzwi Gina. — Gdzie te firanki mają wisieć?

— W kuchni — odparła krótko Vi i popatrzyła na córkę. Gina nie wyglądała najlepiej. — Chodź tu i pocałuj mnie na dzień dobry.

Gina pochyliła się. Policzek Vi był ciepły i przypudrowany niczym płacuszek z jęczmiennej mąki.

— Mamo, czy Sophy kręci się gdzieś w okolicy?

— Przed chwilą wyszła do Dana. Zastanawiałam się właśnie, kiedy po nią przyjdiesz.

— Czy sprawia kłopoty...

Vi odłożyła zasłonkę w jaskrawych barwach i przeszła do kuchni, aby nastawić imbryk.

— Sophy, jeśli tylko chce, jest uroczym i niekłopotliwym dzieckiem. To wy, wy obie, ty i ona razem stanowicie kłopot. Powinnyście zamieszkać jednak pod jednym dachem.

— Właśnie po to tu jestem — wyjaśniła Gina. — Byłam u psychologa...

Vi, trzymając czajnik, błyskawicznie odwróciła się w jej stronę.

— U psychologa? U jednego z tych magików od psychiki?

— Tak.

— Chyba oszalałaś! — wykrzyknęła gwałtownie Vi.

— Mamo, ja...

Vi zaczęła z chłupotem wlewać do czajnika wodę, po czym energicznie postawiła naczynie na płycie kuchenki.

— Typowe — oświadczyła. — Typowe. Ja, ja i tylko ja. I tylko o tym potrafisz myśleć. A moje pokolenie? Jak sądzisz, jak przed pięćdziesięcioma laty radziłyśmy sobie bez tych łapiduchów w białych fartuchach? Po prostu robiłyśmy swoje. Tak właśnie postępowałyśmy. Tak ja postąpiłam. Byłam w ciąży, zabrałam walizkę, wsiadłam do pociągu i rozpoczęłam nowe życie. Przy duszy miałam siedemnaście funtów, w ręce walizkę z ubraniami, a w brzuchu dziecko, które miało przyjść na świat. A co ty masz? Cholernie wielki dom, rzeczy tyle, że sama nie wiesz, co z nimi robić, pieniędzy więcej, niż potrzebujesz, zawód i dorastające dziecko. Nieszczęśliwe dziecko. I co robisz? Biegniesz zapłakana do Hilary i Laurence'a, którzy już i tak mają za dużo na głowie, a następnie do przekłętego psychologa. Gino Sitchell, ja ci udzielę porady. Co ci powiedział psycholog? Z całą pewnością nie to, że wszystkiemu jesteś winna ty. O, nie! To nie twoja wina. To moja wina, wina Fergus'a, wina pogody, ogólnej sytuacji politycznej...

Gina oparła się o framugę kuchennych drzwi i zasłoniła uszy dłońmi.

— Mamo, dosyć!

— No cóż, zatem...

Gina weszła do kuchni i przysiadła na stole.

— Co cię ugryzło? Dlaczego jesteś taka wściekła? Gniewasz się, że szukam pomocy u innych?

Vi nie odpowiedziała. Naszła ją nagle ochota do płaczu, więc bez reszty skupiła uwagę na wyjmowanych z kredensu kubkach i dużej blaszanej brytfance z ciastem, nakrytej poobijaną przykrywką z wizerunkiem pałacu w Windsorze.

— Mamo?

Vi otworzyła duży gliniany słój i wyjęła z niego dwie torebki z herbatą.

— Mamo. O co chodzi?

Vi bez słowa wrzuciła torebki do kubków, a potem ciężko usiadła na taborecie i położyła ręce na stole.

— Miałaś męża — powiedziała, nie patrząc na Ginę.

— Miałam.

— I dom. I dziecko, które miało ojca.

Gina usiadła naprzeciwko Vi, która bawiła się pierścionkami, przekręcając je na palcach.

— I wszystko to straciłaś. Kłóciłaś się, kłóciłaś i kłóciłaś, aż to wszystko odeszło. Gino, nie musiałaś z tym walczyć, nie musiałaś być sama i sama podejmować decyzji, które podejmowałaś dzień po dniu, - rok po roku.

— Ej, spokojnie — przerwała jej Gina. — To nie ja rzuciłam Fergus. To on mnie rzucił.

— Wzajemnie się rzuciliście — odparła gwałtownie Vi i wstała, by zdjąć z kuchenki gwizdzący imbryk.

— A więc nie możesz mi wybaczyć, że miałam to, czego ty nie miałas, a następnie to utraciłam?

Zapadło milczenie. Gina spostrzegła, że kiedy Vi nalewała do kubków wrzątek, jej pokryte starczymi plamami dłonie drżą.

— Taka już jesteś — powiedziała Vi. — Nigdy nic sama dla siebie nie zrobisz i nie pozwolisz, by ktokolwiek cię o to prosił.

— Czy nigdy nie popadłaś w depresję?

Vi przesunęła w stronę Giny kubek z parującym napojem.

— A jak myślisz, dlaczego nieustannie wynajduję sobie jakieś zajęcie? Poczekaj chwilę, aż naciągnie.

— Mamo, jeśli to prawda, to czy nie lepiej przyznać się do depresji i poszukać pomocy u innych, a nie samej się przed nią bronić, a następnie przelewać wszystko na mnie?

— Niczego na ciebie nie przelewam. Nie wykręcaj się. Po prostu myślę o twoim życiu. I o życiu Sophy. No właśnie, co z Sophy?

— Sophy...

Vi za pomocą srebrnej łyżeczki, którą dostała z okazji chrztu, wyjęła z kubka Giny torebkę.

— Tak, Sophy. To twoja córka. Jesteś za nią odpowiedzialna.

— Ja... ja trochę boję się Sophy...

Vi wytrzeszczyła oczy.

— Co?

— Ona uwielbia ojca — wyjaśniła Gina. — Oddawała mu bałwochwalczą cześć. Kocha go miłością prawie... romantyczną. Jest na mnie zła, wręcz wściekła, a to sprawia, że czuję się bardzo niepewnie, boję się. Nie wiem, co mam jej powiedzieć. Jeśli więc połączysz to z tym wszystkim, co mnie gnębi, z moim poczuciem winy, z nieszczęściem, jakie mnie dotknęło, lękiem, jaki mnie ogarnia, zrozumiesz, dlaczego zamiast samą siebie strofować, udałam się do psychologa.

Vi wstała, otworzyła brytfankę i podsunęła ją córce. Wewnątrz znajdowała się połowa grubo polukrowanego ciasta z wielkimi, lśniącymi wiśniami, przypominającymi klejnoty w koronach używanych przez dzieci w szopkach bożonarodzeniowych.

— Nie, mamo, dziękuję.

Vi zamknęła brytfankę.

— Też nie mam ochoty na słodczyce.

Zabrała ze stołu ciasto.

— Zawsze w końcu zostajemy same, prawda? Nie potrafimy się zmienić. Musimy pozostać sobą.

Gina czekała.

— Kiedy odszedł twój ojciec, pomyślałam sobie: W porządku, to jest właśnie to, nigdy już nikomu nie zaufam, zawsze będę liczyć wyłącznie na siebie.

— Naprawdę tak wtedy myślałaś? A może tą refleksja naszła cię później?

— Wtedy. Kiedy zrozumiałam, że on odszedł na dobre, usiadłam w mieszkaniu przy Chicksand Street w Bethnal Green, i powiedziałam sobie: Vi Sitchell, już nigdy nikt nie sprawi, że będziesz czuła się tak paskudnie.

— Dokładnie tak samo paskudnie ja czuję się teraz — mruknęła Gina.

Vi popatrzyła na nią z uwagą.

— Mój psycholog — wyjaśniła lekko drżącym głosem Gina — nie jest mężczyzną w białym fartuchu. To kobieta, nazywa się Taylor, ubiera się zwyczajnie i jest mniej więcej w moim wieku. Jej mąż, jej pierwszy mąż, umarł. Powiedziała, że jestem w szoku. Twierdzi, że reaguję w sposób normalny i typowy. Jest miła, bardzo miła. To ja zachowałam się niegrzecznie.

— No tak. Zawsze tak reagowałaś, gdy ktoś okazywał ci sympatię. Zwłaszcza kobieta. — Popatrzyła na Ginę, po czym odwróciła się i zaczęła wyglądać przez okno na ogród, gdzie na sznurze schło pranie. — Sądzę, że powinnaś zabrać Sophy do siebie.

— Tak.

— Ona chce, żebyś się o nią zatroszczyła.

— Tak.

Vi odwróciła się od okna i uważnie popatrzyła na córkę.

— Jestem twoją matką, a ty jesteś matką Sophy. Na dobre i na złe. Nie wolno nam o tym zapominać ani na chwilę.

Rozdział szósty

Bywały chwile, głównie po południu, kiedy to mniej więcej na pół godziny kuchnia w Pszczelim Domu zamieniała się w sanktuarium. Przytulna, ciepła i czysta, wszystko w niej błyszczało, lunch się skończył, do kolacji pozostawało jeszcze trochę czasu i można było się spodziewać, że do pomieszczenia nikt nie wejdzie i nie zburzy spokoju. W ładne dni, przez wychodzące na zachód okna wpadały do środka promienie słoneczne, kładąc się łagodnym blaskiem na deskach do krojenia, na blatach stołów, dotykając rzędów garnków, noży i chochli, jakby odkreślając je życzliwie w spisie inwentarzowym. Były to jedyne chwile dnia, kiedy Laurence mógł zastanowić się nad tym, dlaczego poświęcił życie hotelowi, a nie architekturze, projektowaniu mebli lub włóczędztwu po południowej półkuli, jaką mógł gardzić jedynie człowiek w starszym wieku, który nigdy nie był wagabundą.

Miał w rogu kuchni stolik ze zwykłych sosnowych desek, na którym w czasach edwardiańskich stał dzban z wodą i miednica. Laurence trzymał na tym stole dzbanuszek z werbeną, bo jej delikatny i subtelny zapach pomagał mu w pracy, gdy sporządzał jadłospisy lub, znacznie mniej chętnie, zajmował się rachunkami. Często siedząc przy tym stoliku, zagłębiał się w rozmyślaniach. Rysował wtedy automatycznie śmieszne ludziki z balonikami myśli nad głowami lub bawił się sznurem koralików kupionych niegdyś w porcie piruskim, dokąd wybrał się z Hilary na krótki urlop. Koraliki wykonano z chropawego niebieskiego szkła, a w każdy z nich wprawiono

malutkie, czujnie spoglądające, czarno-białe oczko. Na stole stało też jajo z siwego marmuru, drewniany żołędź, w którym, gdy się go rozkręciło, znajdował się mniejszy, zrobiony z innego rodzaju drewna. Stał tam też pomalowany na czerwono gliniany smok, dzieło Gusa, gdy chłopiec uczęszczał jeszcze do szkoły podstawowej. Ale poczesne miejsce zajmowały rzędy notesów, podniszczonych, zaczytanych, o kartkach z poszarpanymi brzegami. Notesy te Laurence zaczął prowadzić, odkąd po raz pierwszy oświadczył Hilary, będącej wówczas w ciąży z George'em i spoglądającej niechętnym okiem na zbyt dużą niezależność męża, że zamierza zostać kucharzem.

„A gdzie się tego nauczysz?” — zapytała, przecierając okulary skrajem czerwonej ciężowej sukienki.

„Tu — odparł. — Sam się tego nauczę”.

Zakupił komplet książek autorstwa kucharzy, naukowców i psychologów, zajmujących się teorią sztuki kulinarnej. Sporządzał niekończące się listy zmysłowych reakcji na potrawy. *Bukiet zapachów* — zapisał w pierwszym notatniku. — *Siedem głównych reakcji. Dekoracja, mięta, spalenizna, zgnilizna, ostrość, soczystość i aromat. Pears Encyclopaedia* 1924. Nabył siedem noży i tak długo uczył się nimi posługiwać, aż doszedł do takiej wprawy, że zioła i czosnek siekał z szybkością pięciu lub sześciu uderzeń na sekundę. Kupił sprzęt kuchenny z żeliwa, nierdzewnej stali, miedzi, drewna bambusowego, porcelany oraz ze szkła i nieustannie tłumaczył Hilary różnicę między soleniem a moczeniem w solonej wodzie, między marynowaniem a macerowaniem i w najbardziej nieprawdopodobnych porach dnia kazał jej kosztować to rosół na kościach, to duszoną dziczyznę, to ostry sos korzenny, domagając się natychmiastowej opinii. Czytał książki Elizy Acton, M.F.K. Fishera, Elizabeth David i Jane Grigson, robił na marginesach zwięzłe notatki miękkim, czarnym ołówkiem. Gdy na świat przyszedł Adam, Laurence pojawił się w szpitalu nie z kwiatami, szampanem lub sznurem granatów, który Hilary ostentacyjnie podziwiała na wystawie sklepu jubilerskiego na rynku, ale z ciastem. Wielkim, przypominającym bochenek chleba ciastem własnego pomysłu, suto

nasyconym wiśniami nasączonymi likierem maraskino i wypisanym za pomocą smażonych w syropie skórek pomarańczowych imieniem nowo narodzonego syna.

Uwielbiał wspominać tamte lata. Czuł się wówczas jak alchemik, prawie jak czarnoksiężnik, a kuchnia stawała się zarazem świątynią, laboratorium i maszynownią. Był absolutnie szczęśliwy, oddawszy inicjatywę w prowadzeniu hotelu i wychowywaniu chłopców Hilary, by skupić całą uwagę na kuchni. Bardzo wcześnie wytłumaczył chłopcom, że kiedy przebywa w kuchni, znaczy to, że jest zajęty. Nieuchronne zmiany przyszły wraz z rozwojem hotelu. Hotel rozrastał się. Liczba sypialni z siedmiu wzrosła do dwunastu. W kuchni pojawiła się pierwsza seria Steve'ów i Kevinów, którzy prosto ze szkoły, z dyplomami cechu, trafili do hotelu, gdzie podejmowali pracę pod kierownictwem Laurence'a. Żaden z nich nigdy do końca Laurence'a nie zadowalał. Nieustannie sypali żartami, palili papierosy, grali w piłkę pustymi puszkami po coca-coli i całkiem nieświadomie odebrali kuchni jej intymność, atmosferę, a nawet magię. Po sześciu miesiącach większość z nich odchodziła kierowana jakimś stadnym instynktem; podobnie jak George, który doszedł do wniosku, że Whittingbourne nie jest dla niego, że jego miejsce jest w Birmingham lub w Londynie. W takich razach Laurence musiał zaczynać z kolejnymi dwoma pracownikami, z dwoma nowymi Steve'ami i Kevinami, którzy ze szkół wynieśli wiedzę, jak zagęszczać mąką sosy i nie tyle przyrządzać potrawy, co dostarczać klientom jedzenia. Tłumaczyli Laurence'owi, że wybrali branżę żywienia zbiorowego, ponieważ zawsze znajdą w niej zatrudnienie; recesja czy nie, ludzie jeść muszą.

Wielu się ich przewinięło — dumiał melancholijnie Laurence — ale tylko niewielu pracowało ze zrozumieniem i ciekawością tego, co robią. Jeden z nich, chłopak z domu, w którym zdaniem Laurence'a z naczyń kuchennych była tylko patelnia, uczył na wieczorowe kursy francuskiego. Większość jednak po prostu odwaliała swoją robotę. Siekali, usuwali kości, mieszały, lecz nie byli w stanie, mimo nieustannych nauk wygłaszanych im przez Laurence'a, zrozumieć, że między gotowaniem a zwykłym przyrządzaniem posiłków jest wielka różnica.

Siedząc w kuchni w chwilach popołudniowego spokoju, Laurence dochodził do bardzo przykrego wniosku, że i on ostatnio coraz częściej ma skłonność jedynie do przygotowywania posiłków. Czuł się czasami jak nauczyciel, który ze względu na swe wybitne zdolności i umiejętności, awansowany został na dyrektora szkoły i nauczanie musi ustąpić miejsca przynoszącemu nieskończenie mniej satysfakcji zarządzaniu, organizowaniu środków finansowych i prowadzeniu interesów. Kiedy hotel się rozrósł, zmienił swój charakter, co było nieuniknione, i stał się czymś kompletnie innym niż na początku.

A on i Hilary pozostali tacy jak przed laty. Pozwolili, by wraz z hotelem zmieniło się ich życie, ale nie dopuścili do tego, żeby zmienili się sami. Hilary zawsze stała nieugięta na stanowisku, że hotel ma stanowić interes rodzinny, ma zostać domem, w którym mieszkają jej dzieci, a jednocześnie przedsiębiorstwem użytku publicznego. Nigdy nie pozwoliła zatrudnić w nim kierowników. Kierownicy — twierdziła — sprawiliby, że hotel stałby się bezosobowy, nabrał innego posmaku i atmosfery niż posmak i atmosfera panująca w rodzinie Woodów; posmak i atmosfera, które w mniejszym lub większym stopniu stanowiły o istocie Pszczelęgo Domu. Ale Hilary zbyt była obciążona pracą i pewne sprawy musiała przenieść na terytorium Laurence'a, burząc tym jego spokój. Ostatnio kilka razy już wspomniała, iż zażyczyła mu jego twórczego królestwa w kuchni. W każdej chwili mogła zaostrzyć te uwagi, mówiąc: „Ty to masz tam rajskie życie”.

Czasami Laurence zastanawiał się, czy jego żona pamięta jeszcze swe dawne marzenia i aspiracje. Czy żałuje, że nie została lekarzem? Przed kilkoma laty mógł ją jeszcze o to spokojnie zapytać. Teraz zrozumiał, że nie chce wcale znać jej odpowiedzi. W jakimś mglistym sposób czuł, że Hilary podświadomie układa listę zarzutów pod jego adresem: Pszczeli Dom, Whittingbourne, jego rola szefa. I Gina; Gina, która z ich wspólnej przyjaciółki przekształciła się w osobę, za którą Laurence ponosi odpowiedzialność.

„To twoja przyjaciółka” — powiedziała z dziecinną pretensją.

„Nasza” — odrzekł wtedy.

„Nie ja ją wybierałam. To był twój wybór. Zaakceptowałam ją ze względu na ciebie”.

Ja też jej nie wybierałem — myślał Laurence, krusząc w palcach listek werbeny. — Ona mi się po prostu przytrafiła; podobnie jak ja przytrafiłem się jej. Szliśmy po kursie na zderzenie; podobnie jak później ja i Hilary. Nigdy Giny nie kochałem; a jednak w jednej chwili ją pokochałem, ponieważ była taka śliczna i miła jak cudowny, mały owoc. Miała lśniące włosy, piękną cerę i olśniewająco białe zęby. Kochałem ją wtedy za jasną duszę, ciekawość świata i nieprawdopodobną wyobraźnię. Chciała uczyć się języków obcych i podróżować, a ja widziałem ją oczyma wyobraźni, jak z zapalem przemierza oceany i kontynenty — zawsze ciekawa, zawsze roześmiana.

Kiedyś powiedziała mu, że wykształcenie otwiera przed człowiekiem bezlik drzwi. Za każdymi drzwiami rozciągają się inne horyzonty, a człowiek pragnie przekroczyć jak najwięcej tych pootwieranych drzwi. Później jednak spotkała Fergusa. Zapewne sądziła, że stanowi kolejne otwarte drzwi. I na swój sposób był takimi drzwiami. Z tym tylko, że kiedy przekraczała próg, te drzwi zatrzasnęły się jej przed nosem, kompletnie wytrącając z równowagi. Sam Fergus jakoś potrafił zachowywać równowagę tak długo, jak długo nie mogła utrzymać jej Gina. Był w stanie żyć tylko wtedy, gdy niszczył równowagę żony. Biedna Gina, biedna, zagubiona Gina, zawsze zdobywająca strome wierzchołki i zawsze strącana w przepaść, gdy tylko dotykała palcami ostrza szczytowej grani. A najgorsze w tym było to, że Fergusa to nic nie obchodziło. Po prostu potrzebował tego, więc tak postępował.

Laurence zerknął w wypełnioną niedawno przez siebie kartę dań. *Kozi ser pieczony* — napisał. — *Małże smażone w muszelkach*.

W recepcji, która dzięki dziwnym różnicom poziomów podłóg w Pszczelim Domu znajdowała się prawie o dwa metry wyżej niż kuchnia, uparcie dzwonił telefon. W końcu ktoś podniósł słuchawkę; Hilary lub Don. Za oknem przejechał samochód, kierując się na hotelowy parking znajdujący się za ogrodem. Parking był tak mały, że wielu hotelowych gości konkurowało ze sobą, niektórzy specjalnie

wracali wcześniej, nawet w letnie, upalne dni, żeby znaleźć na nim wolne miejsce.

Otworzyły się tylne drzwi i do kuchni wkroczył Kevin w czerwonej, baseballowej czapce włożonej daszkiem do tyłu. Pod pachą niósł zwinęty egzemplarz „Whittingbourne Evening Echo”.

— Serwus — powitał go bez entuzjazmu Laurence.

— Cześć — odparł Kevin, zamykając za sobą drzwi tak energicznie, że zatrzęsała się cała kuchnia. — Będziemy mieli tu objazd. I supermarket DIY. Tak piszą w „Echo”. Cudownie, co?

— Mogę zapalić?

— Nie — odrzekła Sophy.

Siedziała w swoim pokoju przy biurku ustawionym pod mansardowym oknem wychodzącym na niewielki, zaprojektowany przez Fergusa w stylu średniowiecznym ogród i w skupieniu studiowała jakiś papier. Głowę pochyliła tak nisko, że na oczy spadała jej postrzępiona kurtyna włosów, zasłaniając jednocześnie kartkę na biurku.

— Och, daj spokój — burknął Gus.

Leżał na łóżku i tulił do piersi zielonego hipopotama. Zabawkę tę Sophy dostała na siódme urodziny od Vi, która dobrze wiedziała, że Sophy marzy o takim zwierzaku z różowym, pluszowym nosem i cudacznymi, spuszczoneymi skromnie, brązowo-białymi oczyma.

— Nie. To mój pokój, ja w nim rządzę i będzie tak, jak mówię. A mówię: nie.

Gus przyniósł Sophy bukiet kwiatów, trzy różowe róże otulone gipsówką i dwoma szarozielonymi liśćmi eukaliptusa. Bukiet, który wybrał po długim i ciężkim namyśle, sprawił Sophy wielką radość, więc natychmiast wstawiła kwiaty do stojącego na biurku wazonu z czarnego szkła.

— Soph...

— Mmmm?

— Co robisz?

— Piszę.

Gus trącił nosem nos hipopotama.

— Co? Co piszesz?

Sophy odwróciła się na krześle w jego stronę.

— Przelewam na papier swe uczucia.

— Bomba. Cudownie. — Położył sobie hipopotama na brzuchu i wsparł się na łokciach. — Adam skołował trochę towaru. Dobre prochy. Kupił je od Keva.

— Adam jest głupi.

— Nie chcesz spróbować?

— Nie.

Uniósł się jeszcze bardziej na łokciach.

— Jesteś zła?

— Nie. A w każdym razie nie na ciebie.

Gus wyszczerzył zęby. Kilkakrotnie podrzucił hipopotama. Bardzo podobało mu się leżenie na łóżku, na którym każdej nocy spała Sophy. Wiedział, że sypia w obszernych męskich podkoszulkach rozmiaru XL. Na drzwiach pokoju wisiał jeden, ciemnozielony. Na przodzie miał jakiś napis, ale nie mógł go odczytać. Miał wprawdzie ochotę powiedzieć, że po odejściu jej ojca w Jego Wysokości znacznie poprawiła się atmosfera, ale wyczuł, że takie stwierdzenie nie zostałyby dobrze przyjęte. Zapytał więc tylko:

— Z twoją mamą wszystko w porządku?

— Chyba tak. Spotyka się z psychologiem. Doradził jej to twój ojciec.

— Dziwne — stwierdził Gus i rozejrzał się po pokoju.

Sypialnia utrzymana była w kolorach białym i niebieskim i choć znajdowało się w niej wiele przedmiotów, panował tam idealny porządek. Pokój sprawiał wrażenie, że w każdej chwili można w nim od razu znaleźć wszystko, czego człowiek akurat potrzebuje. Jednocześnie jednak, na swój sposób, dominował w nim nastrój samotności; mimo książek, obrazków, ozdób i poduszek od razu dawało się wyczuć, że mieszka w nim osoba samotna.

— Widziałaś się z Maggie?

— Nie — odrzekła Sophy, nie przerywając pisania.

— Ani z Paulą?

— Nie. Gdy nie ma egzaminów, rzadko się z nimi spotykam.

— Soph, ty potrzebujesz przyjaciół — oświadczył nieoczekiwanie Gus, spuszcżając nogi z łóżka.

Sophy nie odpowiedziała, tylko jeszcze bardziej pochyliła się nad kartką.

— Soph...

— Nie potrafię nawet myśleć o życiu towarzyskim — odparła napiętym głosem.

Gus wstał. Przesłał hipopotamowi ostatni uśmiech i rzucił zwierzaka na łóżko tak, że widać było jego kremowy, pluszowy brzuch.

— Idę.

— W porządku. Dzięki za kwiaty.

— Niebawem George na dobre wróci do domu.

— Naprawdę?

— Tak. Rzuca kursy.

Sophy uniosła głowę i wyjrzała przez okno.

— Wszyscy tak robią, prawda? Coś się nie podoba, więc fruu, rzucają to. Proste...

Urwała. Gus stał przy drzwiach, miętosił w palcach skraj wiszącego na wieszaku podkoszulka i czekał, aż Sophy dokończy zdanie. Ale Sophy milczała. Znow zgarbiła się nad biurkiem i gorączkowo coś zapisywała.

— No to cześć — powiedział.

Po schodach zszedł bardzo ostrożnie. Mimo że na ulicy za wysokimi murami budynku panował wielki ruch i zgiełk, w domu panowała cisza, nienaturalna cisza. Dywan na schodach był nowy i gruby, a wszystkie, pomalowane na białą drzwi w korytarzu pozamykane na głucho. Wolał nie spotkać Giny. Nie miał ochoty zaczynać kolejnej, błażej rozmowy w stylu: Cześć, co słyhać?, a nie miał siły podejmować poważnych tematów. Z Sophy rzecz się przedstawiała inaczej, bo nawet kiedy się wściekała, Gus chciał, żeby była: a) z nim, b) stosunkowo szczęśliwa. Dokładnie w takiej kolejności. Ale Gina była jej matką. A uszczęśliwianie matki wydawało się Gusowi sprawą niewykonalną i głupią; dosyć miał kłopotów z własną mamą, a więc co tu dopiero mówić o cudzych. Na dole schodów przystanął. W salonie

Gina rozmawiała przez telefon. Przez otwarte drzwi widział, jak ubrana w dżinsy siedzi na wielkim dywanie. Hilary prawie nigdy nie nosiła dżinsów. Twierdziła, że mając trzech synów nabawiła się głębokiej alergii na denim.

— Chciałam ci tylko podziękować — mówiła Gina. — Spotkałyśmy się trzy razy i zaczynam ją lubić. W pierwszej chwili wydawała mi się w odrażający sposób współczująca. Teraz już tak nie myślę. Uważam, że jest sympatyczna, zachowuje odpowiedni dystans i jest świetnym fachowcem. A ja nie czuję się już tak bezradna...

Gus przełknął ślinę. Była to rozmowa, jakiej należało za wszelką cenę unikać, rozmowa w rodzaju tych, jakie miały miejsce w rodzinnej kuchni w Pszczelim Domu, kiedy przebywała u nich Gina, kiedy mieszkała tam przez długie trzy tygodnie, i jeśli nic nie mówiła, to albo płakała, albo spała. Gus niczym włamywacz przesunął się wzdłuż ściany do kuchennych drzwi, prześlizgnął się przez nie i wybiegł z domu.

Kiedy Hilary dotarła na parking przed magazynem *cash-and-carry*, rozpadał się deszcz. Ciepły, lepki, letni deszcz, który sprawiał, że asfalt stał się lśniący i bardzo śliski. Wykonała drobny, lecz efektowny manewr — wyprzedzając jakiegoś mężczyznę w furgonetce, zajęła mu przed nosem ostatnie wolne miejsce na parkingu, tuż obok drzwi z bramką kontrolną. Gdy zatrzymała auto, natychmiast włączyła radio, żeby zagłuszyć potok przekleństw, jakimi obrzucił ją niefortunny kierowca. Na jego miejscu też byłabym wściekła — błysnęła jej myśl. — Ale tylko gdybym była mężczyzną. Mężczyźni za kierownicą zachowują się irracjonalnie. Samochody sprawiają, że ich właściciele cofają się do epoki kamienia łupanego, zmieniając się w warczących na siebie i wymachujących maczugami troglodytów. Wysiadła, zamknęła samochód, po czym machnęła ręką kierowcy furgonetki i przesłała mu uśmiech.

Nie miała nic przeciwko wizytom w *cash-and-carry*. Częściowo dlatego, iż kupowanie tu, mimo że przyjeżdżała po rzeczy bardzo prozaiczne, było proste, a towary zgrabnie popakowane, ale głównie

lubiała te zakupy, ponieważ dawały jej okazję do oderwania się od spraw hotelu. Pewnego razu zabrała ze sobą swą siostrę, Vanesse, którą zdumiał świat magazynu. Świat, gdzie królowały potwornej wielkości puszki z pieczoną fasolą, gigantyczne bele kuchennego papieru, wielkie niczym płyty chodnikowe pudła z proszkiem czyszczącym, platy boczku tak duże, że każdy wykrojony był chyba z całej świni. Podobnie jak wszyscy inni członkowie rodziny Hilary Vanessa była zdumiona, że jej siostra naprawdę pragnie takiego życia. Przyznawała, że Laurence jest człowiekiem nader sympatycznym, ale z pewnością nie należał do ludzi, którzy bezkompromisowo dążą do swych celów i przeważnie je osiągają. A co ze zdolnościami Hilary? Co z jej wykształceniem? W oczach rodziny Hilary rezygnując ze studiów, popełniła śmiertelny grzech nie do wybaczenia.

Hilary wsunęła plastikową kartę do automatu przy wejściu i przeszła przez kołowrót. W środku grała muzyka, łagodna i słodka, muzyka, która nie zapada w pamięć, a ma jedynie na celu przekonanie klientów, że domowe zakupy nie są wcale czynnością odrażającą, lecz na swój sposób miłym i chwytającym za serce zajęciem. Przed Hilary ciągnęły się zalewane neonowym światłem przejścia między ustawionymi w stosy towarami; stosy wysokie niczym katedry i sprawiające, iż klienci i personel maleli do rozmiarów karzełków. Przejściami jeździły ogromne widłaki, zdejmujące z metalowych półek paki i bele równie delikatnie jak żyrafy zrywające liście z wierzchołków drzew.

Hilary nie miała przygotowanej z góry listy zakupów. Po dwudziestu latach prowadzenia hotelu nie potrzebowała jej; spis miała ułożony w głowie niczym fiszki w bibliotecznym katalogu. Pamiętała, jakie wrażenie wywarło to na Vanessie. Jej siostra oświadczyła, że chciała by mieć taką samą pamięć do szczegółów chorób wszystkich swoich pacjentów. Obie wtedy nagle zamilkły, zdawszy sobie sprawę z dzielących ich życia kontrastów.

Vanessa ze swą uporządkowaną praktyką lekarską i stałymi godzinami pracy, Hilary nieustannie zaabsorbowana czymś, co w pojęciu Vanessy nie było ani karierą, ani zawodem. Poprzedniego wieczoru

Hilary zatelefonowała do siostry bez specjalnego powodu. Po prostu, co nieczęsto się jej zdarzało, nagle zapragnęła z nią porozmawiać.

Vanessa wyszła za prawnika i miała dwie córki oddające się bez reszty pracy. Jedna została dentystką, druga uczyła się na kursach dla księgowych. Dentystka wyszła już za męża, ale telefon odebrała druga, mieszkająca jeszcze z nimi córka, która uczyła się księgowości.

„Och, ciocia Hilary! Co u cioci słuchać? U mnie? Cóż, u mnie wszystko byłoby w porządku, gdyby nie te upiorne egzaminy. Jeśli ich nie zdam, przysięgam, że się utopię. Nie, jest tutaj, rozwiązuje krzyżówkę i nie ma nic innego do roboty. Jasne, już ją daję”.

„Hilary — odezwała się Vanessa, gdy córka przekazała jej słuchawkę. — Zostałam fałszywie przedstawiona. Wcale nie rozwiązuje krzyżówki, lecz komponuję sążniste, stanowcze listy do »Telegraph« o szwindlach w ubezpieczeniach społecznych. Masz do mnie jakąś sprawę?”

„Sama nie wiem. Chyba chcę tylko trochę ponarzekać”.

Wyobraziła sobie siostrę w komfortowym salonie w mieszkaniu w Putney wypełnionym obitymi skórą fotelami i rycinami przedstawiającymi ptaki.

„Aha — zainteresowała się Vanessa. — Na coś konkretnego?”

Hilary przeleciała przez głowę szybka myśl, że zważywszy na ogromny pragmatyzm jej siostry, telefon ten stanowił kompletny idiotyzm. Z drugiej jednak strony Vanessa była jej siostrą, a Hilary nie miała nikogo innego, komu mogłaby się zwierzyć i przed kim wylać wszystkie swoje żale.

„Cóż, wygodnie siedzisz, siostrzyczko?”

„Nie — odparła Vanessa. — Zaczekaj chwileczkę... O, już dobrze. Zaczynaj”.

„Od pięciu tygodni hotel pęka w szwach i jest zajęty do ostatniego miejsca. Mamy wielkie kłopoty z personelem. George doszedł do wniosku, że powinien nas posłuchać, gdy usiłowaliśmy wyperswadować mu pomysł pójścia do szkoły hotelarskiej, i po roku zrezygnował z dalszej, nauki. Adam najwyraźniej nie zamierza podczas wakacji podjąć pracy, czym doprowadza mnie do szału. Ostatnio nie znoszę

nawet jego towarzystwa. Gus ma dopiero czternaście lat, ale kumple Adama bardzo mu imponują. Laurence nie robi nic poza pracą w kuchni, a ponadto Fergus oszedł od Giny i przez trzy tygodnie mieliśmy ją na głowie. W końcu nie wytrzymałam i oświadczyłam, że powinna wrócić do domu i zacząć żyć własnym życiem, nie naszym”.

„Dobry Boże! Dlaczego oszedł? Myślałam, że to idealne małżeństwo, któremu wszystko doskonale się układa”.

„Zachował się paskudnie. Oświadczył Ginie, że zmieniła się i stała kimś, kogo nie może już dłużej strawić. Załamala się. Najgorsze w tym jest to, że bardzo mi jej żal, a jednocześnie nie potrafię znieść jej towarzystwa dłużej niż przez minutę”.

„Rozumiem. Ale czy ona nie ma jakichś innych przyjaciół, którzy by się nią zajęli?”

„Nie ma. Aż tak bliskich nie ma. Nie wiem dlaczego. Z hotelem na głowie trudno prowadzić życie towarzyskie i zawierać przyjaźnie. Ciągłe brakuje czasu, a spotykani ludzie to głównie kontrahenci lub goście. Gina i Fergus z kolei nie zapraszali na herbatkę. Przy ludziach nieustannie się kłócili, a w domu mieli zbyt wiele drogich przedmiotów, żeby tolerować palaczy i pijaków. Jestem straszliwie zmęczona”.

„To słyhać po twoim głosie. A Laurence?”

„Już ci mówiłam. Przesiaduje w kuchni. Szczerze mówiąc, złości mnie to jak cały worek kotów w marcu”.

Nastąpiła chwila milczenia. Hilary czekała, aż Vanessa tonem starszej siostry przypomni jej, jak to ona, Hilary, od dzieciństwa była niecierpliwa i wyolbrzymiała każdy, najbardziej błahy problem. Czekala, aż poda przykłady wybryków, jakich dopuszczała się podczas spędzanych rodzinnie wakacji lub świąt Bożego Narodzenia.

„Hil, zdajesz sobie sprawę z tego, że okazywana od czasu do czasu niechęć wcale nie zburzy prawdziwej miłości” — powiedziała tymczasem Vanessa.

„Co?!”

„Kroczysz złą drogą. Laurence reaguje tak, a ty inaczej. To wszystko. Poza tym już tak bardzo za tobą nie szaleje”.

„Boże. Czy w taki sposób rozmawiasz ze swymi piłkarzami?”

„Nie. My rozmawiamy o ich kolanach. Kolana stanowią dla nich środek wszechświata. Twój środek leży gdzie indziej. Biedny George”.

„Wiem”.

„Czy Adam robi coś naprawdę groźnego? Narkotyki?”

„Myślę, że coś bierze”.

„Musisz dać mu po uszach. I to zdrowo”.

Hilary mocniej zacisnęła palce na słuchawce.

„Człowiek zawsze ma na głowie tyle problemów, prawda? Za dużo jak na jedną osobę”.

„Takie już jest życie, Hil. Powiedz mi, kiedy trzeba będzie coś zrobić z Adamem. Znam się na tym. Wiem to od pewnej osoby, z którą zasiadam w jednej z rad. Nie możesz pozwolić, żeby sprawy zaszły za daleko. I o to w tym wszystkim chodzi”.

Hilary pomyślała o dwóch białych pastylkach zawiniętych w folię, które znalazła w kieszeni dżinsów Adama, gdy przygotowywała je do prania. Zapytany, wyjaśnił, że dostał to na jakiejś imprezie, gdzie wszyscy trochę épali. Ale przysięgał, że nie bierze nic mocnego.

„Ile za to zapłaciłeś?” — zapytała Hilary.

„Niewiele” — odparł, spoglądając jej w oczy, a ona, gdy na jej polecenie spuścił z wodą w toalecie tabletki, spostrzegła po jego zachowaniu, że jest wyraźnie spięty.

„Ty skończony durniu — oświadczyła. — Głupi, durny szczeniaku. Jedyne, co trochę zmniejsza twoja winę to to, że chciałeś, abym te prochy - znalazła i pomogła ci się z tego wyciągnąć. No cóż, może i nie będziesz miał kłopotów z prawem, ale będziesz miał je ze mną”.

„Dzięki — powiedziała teraz do Vanessy. — Dzięki. Powiadomię cię. I dzięki, że wysłuchałaś moich żalów”.

Znów zapadło milczenie i znów Hilary czekała, aż pierwsza odezwie się Vanessa, aż powie, iż do żadnych tego rodzaju komplikacji by nie doszło, gdyby Hilary przykładała stosowną wagę do priorytetów. Ale Vanessa stwierdziła tylko:

„Hil, dzwoń do mnie, kiedy tylko zechcesz. Poza czwartkami jestem w domu od osiemnastej”.

Gdy wrzucała do wózka paczkę dwunastu pojemników ze środkiem czyszczącym do łazienek, pomyślała, że Vanessa dała się ponieść uczuciom. Nigdy nie była uczuciowa, ani jako dziecko, ani jako dziewczyna. Nigdy nie pożyczała koleżankom ciuchów ani nie brała udziału w eksperymentach z farbowaniem włosów. Była drobiazgową, zawsze pamiętała o urodzinach znajomych, odwiedzinach w szpitalu, wysyłaniu kartek z życzeniami z okazji egzaminów, ale nie chciała za to od nikogo podziękowań. Dawno temu Laurence i Hilary mieli zwyczaj rozprawiać z rozbawieniem o życiu płciowym Vanessy z Maxem, jej mężem prawnikiem, który w wolnym czasie hodował fuksje i miał bzik na punkcie map. Czy w ogóle to ze sobą robią? A jeśli, to zapewne robią to w taki sposób, żeby jak najmniej się wzajemnie dotykać. Może używali w tym celu krzesła? A może drabiny? Trapezu? Niektóre z pomysłów były rzeczywiście paskudne. Dorzucając do zakupów folię aluminiową i pudło z pięcioma tuzinami mydeł dla gości, Hilary przypomniała sobie, jak wówczas pękali ze śmiechu. Teraz, gdy wspominała tamtą radość, ogarniał ją lekki smutek.

Skierowała wózek do działu z papierowymi serwetkami i papierem toaletowym. Mogła wprawdzie poprosić o pomoc Adama, ale zostawiła go w domu, gdzie strzygł trawniki, a Gus w tym czasie sekatorem przycinał żywopłoty. Zgodziła się płacić Gusowi dwa funty za godzinę, a Adamowi dwa i pół. Wprawdzie szaleństwem było dawanie Adamowi dodatkowych pieniędzy, ale wolała to, niż by jej syn zdobywał gotówkę nielegalnymi sposobami. Westchnęła. Białego papieru toaletowego akurat nie było, jedynie pastelowe, w barwach jogurtów owocowych. Najbardziej znośny wydał się jej zielony, w dwóch paczkach po czterdzieści osiem rolek każda. No i muszę coś zrobić w sprawie Sophy — pomyślała Hilary. — Obiecałam, że latem ją zatrudnię, lecz później, gdy jej wredny ojciec wykręcił ten swój wielki numer, kompletnie o tym zapomniałam. Nieszczęsna Sophy po uszy ugrzęzła w domu, gdzie zmuszona była przebywać z Giną, która albo zmywała mopem podłogi, albo dreptała do swojej pani psycholog. Sophy mogłaby przecież pomagać przy zmywaniu naczyń i sprzątanii pokoi. Hilary nie sądziła, by Sophy miała coś przeciwko takim zajęciom.

— Biedna Sophy — mruknęła, tym razem półgłosem, Hilary i nagle poczuła wdzięczność do Adama za jego siłę, nawet jeśli prowadziło to do pewnych komplikacji i nieposłuszeństwa.

Biedna, mała Sophy. Taka słodka i miła dziewczyna, a spotkało ją takie nieszczęście. Hilary wyciągnęła rękę, po czym zdjęła z półki ogromne pudło z proszkiem do szorowania. Nie sądziła, by należało spodziewać się po Sophy jakichś dramatycznych reakcji.

Rozdział siódmy

— Wszystko w porządku — odezwał się Dan. — Jestem po prostu trochę zmęczony.

Vi postawiła na stole w jego salonie jaskrawoniebieski wazon z pomarańczowymi mieczykami.

— Nie wiem tylko po czym — burknęła. — Cały ranek się wałkonięś.

Dan siedział w jednym z obitych perkalem foteli, a na kolanach trzymał schludnie złożoną gazetę.

— To przez ten upał. On mnie dobija.

— Nic cię nie boli? — zapytała Vi, obrzucając go baczным spojrzeniem. — A może coś ci jest, tylko nie chcesz mi o tym powiedzieć?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Nic mnie nie boli.

— Przyniosę ci lunch. Sałatkę i kawałek ciasta...

Znów pokręcił głową.

— Nie, dzięki, Vi. To przez ten upał. Mam ochotę tylko na lemoniadę. Co z Sophy?

Vi usiadła naprzeciwko niego. Miała na sobie letnią sukienkę w szmaragdowe i żółte wielkie kwiaty. Wyglądała na kolanach marszczący się lekko materiał.

— W ogóle się nie odzywa.

— O, Boże.

— Nie żądam od niej, aby cały czas o wszystkim mi mówiła, ale trochę powinna. O swoim ojcu. Na Boga, mniejsza o to, czy jest dobrym,

czy złym człowiekiem, ale to przecież jej ojciec i wcale nie umarł.

— Dzwonił do niej? — zapytał Dan, rozkładając gazetę, by za chwilę znów ją złożyć.

— Gina twierdzi, że dzwoni co kilka dni, ale Sophy nie chce z nim rozmawiać. Utrzymuje, że napisała do niego list. — Vi parsknęła. — Listy! Jeśli chodzi o mnie, to uważam, że listy sprowadzają tylko na człowieka same kłopoty; jak już raz coś się napisze i wyśle, nie można tego cofnąć.

— Gdy służyłem w marynarce handlowej, z utęsknieniem wypatrywałem listów od Pam. A jednocześnie bardzo się ich obawiałem, ponieważ Pam nie umiała przelewać uczuć na papier i czasami po lekturze listu czułem się gorzej niż przed jego otrzymaniem. Myślałem, że Pam coś ukrywa lub pomija.

— Ja bym tak nie robiła. Waliłabym wszystko prosto z mostu.

Dan przykrył ręką jej dłoń. Miał zimne palce.

— Wiem, wiem. Ale za to są z tobą inne problemy.

— Jest ci zimno — oświadczyła Vi, cofając dłoń.

— Nie...

— Wyjdźmy na słońce. Wystawisz krzesło, a ja przyniosę szycie.

— Kochanie, tu mi lepiej — odrzekł Dan. — Tam jest bardzo jasno. Jak na mój gust słońce dziś świeci stanowczo za mocno. Poza tym wcale nie jest mi zimno. Kiedy jesteś ze mną, nigdy nie marznę.

Vi popatrzyła na niego. Wyglądał bardzo schludnie w jasnozielonej koszuli, wełnianym, wzorzystym krawacie i płowym pulowerze.

— Gdyby coś ci się stało...

— A niby co miałyby mi się stać? My, starzy żeglarze, jesteśmy nie do zdarcia, jak stare żelowy. Zamarynowani w słonej wodzie. Czy pamiętasz, żebym kiedykolwiek chorował?

— Zawsze kiedyś nastąpi ten pierwszy raz. Dobrze spałeś dziś w nocy?

— Jak kamień — odparł zbyt szczerze Dan. — Zresztą już mnie o to pytałaś, gdy pojawiłaś się rano z herbatą.

Vi zachichotała.

— I jak ci się podobał mój nowy nocny strój?

— Ciutek za jaskrawy...

Miał kolor różowej fuksji, a karczek obszyty białą koronką — ko-szula pod narzuconym na nią płaszczem wyglądała cokolwiek drama-tycznie.

— Och, ty i ta cała twoja jaskrawość. Dla ciebie istnieje tylko bez i przeciwsloneczne okulary na...

— Kocham cię — nieoczekiwanie przerwał jej Dan.

Vi pochylila się lekko i znieruchomiała.

— Nigdy nikogo nie kochałem tak jak ciebie. W każdym razie ni-kogo takiego nie pamiętam.

Poczuła napływające do oczu łzy. Sięgnęła do rękawa sukienki po chusteczkę.

— Och, Dan...

— Odmieniłaś moje życie. Wpuściłaś w nie promień słońca. Słowo daję.

Vi głośno wytarła nos.

— A ty? — zapytał Dan.

Znów wytarła nos.

— Tak samo — odparła schrypniętym szeptem. — Tak samo.

— Ale afera — mruknęła i dodała z uśmiechem: — Takie stare graty.

— Nieważne...

— Pewnie. Oczywiście, że nieważne. Więc jak, przyniesiesz trochę tej lemoniady?

Wstała z cichym chrupnięciem w stawach.

— Przyniosę też szycie.

Uniół głowę i miękko popatrzył jej w oczy.

— Co szyjesz?

Musiał wiedzieć o wszystkim, co robiła.

— Parawan przed kominek. Kolaż. Sowa i kocur.

Dan ponownie uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Ty i ja, kochanie — powiedział. — Po prostu ty i ja.

Pracownik agencji mieszkaniowej oświadczył, że pojawi się naj-prędzej jak się da, ale dokonał już wszystkich pomiarów i pani Bedford

może je sobie obejrzeć. Pomachał jej przed nosem cienką tekturową teczką.

— Rozumie pani, dostałem instrukcje.

— Od pana Bedforda.

— Tak.

— Czy nie byłoby stosowniej — zapytała Gina, zdając sobie sprawę, że postępuje niezbyt taktownie — gdyby pan Bedford był na tyle uprzejmy, by przesłać owe instrukcje za moim pośrednictwem?

Urzędnik puścił to pytanie mimo uszu. Ubrany był w niebieski garnitur i krawat w maleńkie pingwiny. Sprawiał wrażenie zmieszanego. To przecież nie jego wina, że Fergus, który tylko raz przelotnie wspomniał o wystawieniu domu na sprzedaż, w tak bezceremonialny sposób podjął działania bez dalszych konsultacji z Giną.

— Przepraszam. To rzeczywiście nie pańska wina. — Rzeczywiście.

— Napije się pan kawy?

— Jeśli nie sprawi to pani kłopotu...

Gina zaprowadziła go do kuchni. Agent rozejrzał się. Najwyraźniej wyposażenie pomieszczenia zrobiło na nim wielkie wrażenie.

— Kredensy są z drewna wiązowego — wyjaśniła Gina. — Stół zbił z buka uczeń Ernesta Gimsona.

Agent zapisał: *Dwupoziomowa kuchenka, odprowadzenie do zmywarki naczyń, przelącznik ściemniacza światła.*

— Podłoga jest z oolitu. Mój mąż wynalazł go w jakimś wyburzonym właśnie domu.

Wystawa zachodnia — pisał agent. — Kredensy i półki w stanie dobrym. Drzwi do ogrodu.

— Czy zaznaczy pan, w jak perfekcyjny sposób dom został odnowiony? — zapytała Gina, wyjmując z kredensu maszynkę do parzenia kawy. Po chwili jednak zmieniła zamiar i sięgnęła po słoik z kawą rozpuszczalną. — Bez względu na moje sentymenty, został odnowiony bardzo pieczołowicie.

— Naturalnie, podkreślmy, że dom został wspaniale odremontowany — odparł agent.

Wsypując kawę do kubków, Gina pomyślała, że to jednak wielka

satysfakcja usłyszeć taki opis Jego Wysokości ze względu na ogromne zaangażowanie się Fergusa w ten dom. Stanowiło to dowód na to — niewielka to zresztą pociecha — iż Fergus miał zadziwiającą hierarchię wartości, że nie należy okazywać domom względów, jakie należą się ludziom. Zastanawiała się, czy taką samą miłością i starunkiem otacza swój nowy dom w Londynie. Oświadczył, że kupił go za pożyczone pieniądze, a sam budynek obłożony jest wielką hipoteką. Kiedy Jego Wysokość zostanie już sprzedany, uzyskaną kwotę Gina i Fergus podzielią dokładnie tak samo, jak podzielili wyposażenie domu.

„Tylko nie chodź do prawnika — powiedział jej przez telefon. — Nie zaczynaj tego wszystkiego. To wścibscy ludzie i bardzo drodzy”.

„Dlaczego nie?”

„Po co?”

„Naprawdę? — zapytała, podnosząc głos prawie do krzyku. — Naprawdę? Nie chcesz rozvodu?”

„Nie — odparł i powtórzył: — Po co? Po co? Dopiero jak ty zechcesz ponownie wyjść za mąż”.

„A ty? — wrzasnęła. — A ty?”

„O, ja nie zamierzam się ponownie żenić — oświadczył z emfazą Fergus. — Już nie. Poza tym rozwód źle wpłynąłby na Sophy”.

Cisnęła słuchawkę na widelki, nie wcelowała i słuchawka z brzękiem upadła na podłogę, po czym zawisła na sprężynowym kablu. Dobiegał z niej głos wołającego coś do mikrofonu Fergusa. To było po prostu nie do zniesienia. Fergus osaczył ją niczym pająk muchę, która wpadła w pajęczynę, a ona nie miała czym mu się odpłacić.

— Proszę za mną — powiedziała Gina, wręczając agentowi kubek z kawą. — Pokażę panu resztę domu.

Na samej górze zatrzymała się przed drzwiami sypialni Sophy.

— To pokój mojej córki.

Agent zwinął metalową taśmę mierniczą, a Gina lekko zapukała.

— Soph?

— Tak?

— Czy możemy wejść?

Drzwi otworzyły się i w progu stanęła Sophy. Na uszach miała przypominające opaskę do włosów słuchawki od walkmana.

— O co chodzi?

— To jest pan...

— Ellis — wpadł jej w słowa agent. — Ellis z firmy handlu nieruchomościami Barton and Noakes.

Sophy milczała. Podeszła do okna i odwrócona do nich plecami obserwowała szare niebo.

— Uroczy pokój — odezwał się z wyraźnym wysiłkiem pan Ellis.

— Tak — przyznała Gina.

Sophy ciągle milczała. Miała na sobie obszerną, przezroczystą, luźną bluzę z indyjskiej bawełny i dżinsy. Przez cienki materiał na tle okna przeświecały zarysy jej szczupłego ciała.

— Pan Ellis chce wymierzyć twój pokój — poinformowała Gina.

Sophy wzruszyła ramionami, odwróciła się do biurka i zakryła jakimś czasopismem kartkę papieru zapisaną gęsto ręcznym pismem.

— Podwójna wystawa — odezwał się pan Ellis. — Bardzo miły pokój.

— Sophy...

— Tak?

— Kiedy... kiedy już sprzedamy ten dom, razem wybierzemy sobie nowy. Być może będziesz miała tam dla siebie całe piętro, a nie tylko jeden pokój.

— Przepraszam — odezwał się pan Ellis, wsuwając koniec taśmy pod biurko i mierząc szerokość pomieszczenia. — Dziękuję. Trzy metry sześćdziesiąt pięć centymetrów.

— Chyba raczej trudno w tej chwili myśleć o nowym domu — mruknęła, nie odwracając się, Sophy.

„Próbuj nie rozpalać w sobie ogni resentymentu. To odnosi jedynie negatywny skutek. Całą swą energię kieruj na rzeczy pozytywne, rzeczy, które będą cię napędzać i popychać do przodu”.

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać.

— Sama najlepiej wiesz: to nie moja wina, musimy ten dom sprzedać — stwierdziła zbyt szybko Gina.

Sophy wykonała błyskawiczny obrót w jej stronę. Obrzuciła matkę płomiennym spojrzeniem, zerwała z głowy słuchawki i cisnęła je na łóżko. Następnie, omijając kłęzącego na podłodze pana Ellisa, wymaszerowała z pokoju i z hukiem zamknęła za sobą drzwi. Zapadła przejmująca cisza. Ellis zaczął bardzo powoli zwijać taśmę.

— Przykro mi — odezwał się.

Gina popatrzyła w jego stronę. Mógł mieć trzydzieści dwa lub trzy lata. Kościsty, o bladej cerze i brzydtko ostrzyżony mężczyzna znalazł się w samym środku zawieruchy. A przecież wykonywał tylko swoją pracę — mierzył pokój.

— Mnie również jest bardzo przykro — westchnęła. — Może mi pan wierzyć.

— Muszę naturalnie skonsultować się ze współnikami, ale sądzę, że cenę wywoławczą można ustalić na dwieście dwadzieścia pięć tysięcy funtów — poinformował, opuszczając dom pan Ellis.

Po jego wyjściu Gina przeszła do salonu i usiadła za pianinem. Nie dotykała klawiszy od tygodni, nawet o tym nie pomyślała. Podczas wakacji miała niewielu uczniów, a i tym, co zadzwonili do niej w poprzednim tygodniu, skłamała, że wyjeżdża na wakacje. Wystukała kilka taktów „Fantazji” Mozarta, utworu, który uczniom zdającym na czwarty stopień z upodobaniem każą grać egzaminatorzy, ale w tej chwili zupełnie nie miała serca do gry. W tej chwili nie interesowała jej ani sama muzyka, ani uczniowie, choć zależało jej na tym, by gdy skończą trzynaście lat, chcieli grać dalej. „Pragnę, byście już w wieku lat dziesięciu osiągnęli czwarty stopień — mówiła dzieciom. — A gdy będziecie mieli po dwadzieścia, zagrać wszystkie sonaty Beethovena”.

Westchnęła i zdjęła palce z klawiatury. Ogarnęła ją nagle straszliwa nostalgia za pełnymi czaru dniami, kiedy udzielała lekcji gry. Sophy w szkole, Fergus na wyprzedazy, kolacja w lodówce...

„Uważaj — ostrzegęła ją Diana Taylor. — Do przeszłości podchodź uczciwie. Nie gloryfikuj rzeczy tylko dlatego, że przeminęły. Zadławi cię żalność. I tęsknota. A tęsknota zabija”.

— Czy mogę wejść? — wdarł się w jej rozmyślania głos Laurence'a.

Gina odwróciła się w stronę drzwi. Stał w progu salonu, ubrany w bawełniane spodnie i rozpiętą pod szyją, błękitną koszulę z podwiniętymi rękawami. Trzymał pudełko z metalizowanej folii.

— Coś ci przyniosłem.

— Laurence!

Wstała z taboretu, podeszła do niego i pocałowała go w policzek.

— Chińskie pierożki — poinformował. — Wegetariańskie. Może więc je również zjeść Sophy. — Przyjrzał się uważnie Ginie. — Jak ci leci?

Odebrała od niego pojemnik i zdjęła foliową przykrywkę. W środku znajdowało się sześć niewielkich pierożków w kształcie półksiężyca polanych lśniącym, brązowym sosem.

— Jak to miło z twojej strony.

— Nic takiego. Pomyślałem sobie, że to lepsze od kwiatów. Pamiętam, jak kiedyś oświadczyłaś, iż twoim zdaniem kwiaty stanowią zwykłą makabrę przeznaczoną na najbardziej niewłaściwe okazje.

Gina popatrzyła na niego z uśmiechem.

— Naprawdę tak powiedziałam? Miałam rację. A to wygląda smaczkowicie.

— A i ty wyglądasz trochę lepiej.

— Chyba tak.

— Zresztą tak naprawdę wpadłem tu tylko po to, żeby sprawdzić, jak sobie radzisz.

Gina przeszła do kuchni i wstawiła pierożki do lodówki.

— Chodźmy do ogrodu. Mam dosyć przebywania pod dachem. Przed chwilą wyszedł agent z biura handlu nieruchomościami. Wszystko już wymierzył. Coś okropnego. Sophy uciekła z domu.

— Wiem. Jest u nas.

— Naprawdę?

— Tak. Hilary zamierza dać jej pracę. Od dawna chciała, ale jakoś ją lato wyprzedziło. Zanim zacznie się szkoła, Sophy miesiąc popracuje.

Gina zeszła po dwóch niskich stopniach na porośnięty rumiankami trawnik.

— Sophy nie mi o tym nie wspominała.

— Nie wspominała? Jak to?

— Nie wiem. Prowadzimy tu tak dziwaczne życie. Niewiele się do siebie odzywamy, panuje między nami ciężka atmosfera. Wiesz, ona mnie za to wini. Za odejście Fergususa. Twierdzi, że gdybym powstrzymała się przynajmniej od jednej uwagi, od jednej lzy, zostałyby z nami. Ale ja wypchnęłam go poza krawędź.

Laurence usiadł na drewnianej, gotyckiej ławie. „Nie zabieram tej ławy — oświadczył bolesciwym tonem Fergus, jakby ponosił największą ofiarę. — Bardzo chciałbym, ale została zrobiona jakby specjalnie do tego ogrodu. Zadbaj o to, by osiągnąć za nią właściwą cenę”.

— Oni się muszą widywać, Gino. Pamiętaj, jakie naprawdę mają osobowości, bez względu na to, co wydumałaś sobie już po jego odejściu.

— Nie mogę z nią o tym rozmawiać. Ona nie chce rozmawiać. Zwraca się do mnie tylko w kwestiach zupy, jaką chciałaby zjeść na obiad. Poza tym muszę uczciwie przyznać, że skóra mi cierpnie na myśl, że Sophy mogłaby się z nim widywać, że odwiedzałyby go w jego nowym domu, mieszkała z nim i, choćby w niewielkim stopniu, dzieliła z nim życie, co dla mnie jest niedostępne. — Usiadła na ławie obok Laurence'a i szepnęła namiętnie: — Cieszę się, że przyszedłeś.

— Nie chciałem być brutalny — powiedział łagodnie. — Nie chciałem cię wyrzucać z Pszczelego Domu. Stanowiło to raczej niezdarną próbę tak zwanej twardej, amerykańskiej miłości.

— Wcale nie byłeś brutalny. Wprawdzie w tamtej chwili byłam na ciebie wściekła, ale teraz już nie. Miałaś absolutną rację. Poszłam do tej, jak ją nazywa moja mama, psycholożki. Wspominałam ci o tym przez telefon. To niezły fachowiec.

Laurence pochylił się i wsparł łokcie na kolanach.

- Opowiedz mi o niej.
- Och, ma około czterdziestu pięciu lat, rude, kręcone włosy, ubiera się na niebiesko i szaro. Raczej chłodna, opanowana i bardzo obiektywna. Bardziej nauczycielka czy pielęgniarka niż przyjaciółka.
- Gina uśmiechnęła się. — Uwielbiam z nią rozmawiać.
- Laurence oddał przez ramię uśmiech.
- Tego jestem pewien.
- A jeśli chcę, potrafię też być brutalnie szczerą.
- To dobrze.
- Gina dała mu sójkę w bok.
- Jesteś świnią.
- Świnią, która zna cię od wielu, wielu lat. I która bardzo się cieszy, widząc, że wraca ci humor. Przedtem sprawiałaś takie wrażenie, jakby ktoś solidnie wysmagał cię po twarzy.
- Spuściła głowę i Laurence bacznie na nią popatrzył.
- Gino.
- Hmm?
- Czy wciąż chcesz, żeby wrócił?
- Zapadło milczenie. Gina splótła palce obu dłoni, rozplotła je, a następnie wsunęła ręce w kieszenie bawełnianej kurtki.
- Już nie tak bardzo — odparła powoli i z namysłem, jakby słowa te miały zostać zapisane i wykorzystane jako dowód przeciw niej.
- Laurence chrząknął i wstał.
- Idę do garów. Wczoraj mieliśmy czternastu gości, no i jeszcze domownicy.
- Jak się miewa Hilary?
- Laurence zmarszczył czoło.
- Ma wszystkiego powyżej dziurek od nosa.
- Obawiam się, że i ja przyłożyłam do tego rękę — odparła Gina, również podnosząc się z ławy.
- Wcale nie. A jeśli nawet, to na równi ze wszystkim innym. U Adama znalazła dwie tabletki *ecstasy*, a pod materacem Gusa paczkę marlboro.
- Mama powiedziałaaby, że należy zainteresować nimi komisję poborową.
- Laurence uśmiechnął się.

— Podejrzewam, że w obecnym stanie ducha Hilary całkowicie by się z nią zgodziła. — Pochylił się i pocałował Ginę w policzek. Jak zawsze pachniała ostrymi, agresywnymi perfumami. Hilary używała łagodnych, o słodkiej woni. — Trzymaj się. Niebawem znów do ciebie zajrzę i znów przyniosę coś pysznego. A jak będziesz w pobliżu Pszczelego Domu, to wpadnij.

Gina zawahała się. Pomyślała o pochylonej nad koszem z brudami Hilary, która z ulgą przyjęła wiadomość, że uciążliwy gość nareszcie wynosi się z jej domu.

— Kiedy będzie mniej pracy...

— Nie, wpadaj kiedykolwiek... Wymienili uśmiechy.

— Och, mawiałeś zawsze „przedryndaj do mnie”.

— No cóż, zatem przedryndaj do mnie.

Minął niewielki trawnik, zszedł po schodkach na szeroką, wyłożoną kamieniami ścieżkę biegnącą wokół domu i doszedł nią do bramy w murze oddzielającym posesję od ulicy. Tam przystanął, odwrócił się, przesłał Ginie całusa, otworzył bramę i wyszedł na ulicę.

W piątkowe popołudnia na rynku w Whittingbourne stały tylko dwa stragany z odzieżą. Dniem odzieżowym były poniedziałki. W poniedziałki stoiska z ubraniami ciągnęły się jedno za drugim i sprzedawano na nich głównie jaskrawe sportowe dresy i T-shirty. Ubrania kołysały się na długich poręczach, pod którymi znajdowały się pudełka ze sportowym, pachnącym gumą obuwiem wyprodukowanym w krajach azjatyckich. W piątki sprzedawano na targu żywność. W te dni pojawiały się tam stragany z serami, z rybami i najbardziej ulubionymi przez Sophy suszonymi owocami, orzechami, kielkami oraz pestkami dyni. Obrzydliwe stoisko z mięsem mieściło się w wysokiej, białej ciężarówce. Kołysały się w niej zawieszona na hakach i zawinięte w plastikowe worki całe połówki wołów. Pracujący tam ludzie mieli przekrwione, przypominające towar, którym handlowali, twarze, wywrzaskiwali na całe gardło ceny i rąbali kości

rzeźniczymi tasakami. Sophy, ilekroć przechodziła obok tego samochodu, zawsze z odrazą odwracała głowę. Jeden z jej kolegów z klasy w sobotnie poranki pracował u rzeźnika w Whittingbourne i podczas lekcji Sophy z niezdrową fascynacją obserwowała jego dłonie, gdy palcami odwracał kartki w książkach z utworami Szekspira.

„Kup sobie czarną spódnicę — powiedziała Hilary. — Nie jakiś łach, a normalną, przyzwoitą spódniczkę. I dwie białe bluzki. Żadnych ekstrawagancji. Nie kupuj nic drogiego, a potem przynieś mi rachunki. Najpierw spróbuj na rynku. Z pewnością znajdziesz tam między szmatami coś gustownego i w rozsądnej cenie. Jeśli nawet zniszczysz to w pracy, nie będzie wielkiej szkody”.

Pokazała Sophy jadalnię, kredensy, półki ze sztućcami i serwetkami, wyjaśniła, jak powinny być porozstawiane stoliki nakryte białymi obrusami, na których w poprzek kładzie się zielone serwety w kształcie rombu. Na każdym stoliku stał wysoki, wąski wazonik z kwiatami, a obok pojemniczki z solą i pieprzem.

„Nigdy nie wkładaj serwetek do kieliszków na wino. I nie życz gościom smacznego, bo Laurence cię udusi”.

Z kolei przedstawiła Sophy Lotte, młodą Szwedkę, która wyszła za chłopaka z Whittingbourne i pracowała w hotelu jako pokojówka. Pomagała jej Alma, kobieta mająca siedmioro wnuków i chory kręgosłup.

„Jest równie nieprzewidywalna jak pogoda — oświadczyła Hilary. — Ale kiedy już pojawia się w pracy, haruje jak koń pociągowy”.

Lotte miała jasnoblękitne oczy i zaczesane do tyłu, pszeniczne włosy ściągnięte elastyczną opaską. Poinformowała Sophy, że urodziła się prawie na samym kole polarnym, w miasteczku o nazwie Boden, i nie wróciłaby tam nawet za milion funtów. Pokazała Sophy, jak należy słać łóżka, żeby na pościeli nie było ani jednej zmarszczki.

„Niektórzy goście zostawiają łazienki w skandalicznym stanie. I palą w łóżkach. Palenie w łóżku jest wprawdzie zabronione, ale na to nie zwracają najmniejszej uwagi”.

W kuchni Steve powiedział:

„Znasz mojego brata”.

„Ja?”

„Tak. Alana. Chodzi z tobą do jednej klasy”.

„Alan?”

„Chudy typek. Wielkie zęby. Zupełny bęcwał. Alan Munns”.

Sophy skinęła głową.

„Będziesz tu zmywać. Ty i Kev. Kev to żartowniś”.

„Myślałam, że mam robić różne rzeczy — odparła Sophy. — Zależy, gdzie Hil... pani Wood... będzie mnie potrzebować. Albo od tego, który z pracowników ma akurat migrenę”.

Steve ugniatał właśnie ciasto na bułeczki.

„Nie jest tu źle. Stary Larry jest w porządeczku. Ma wprawdzie małpie pomysły, ale jest w porządeczku. Będziesz mieszkać w hotelu?”

„Tylko wtedy, jak będę pracowała do późna”.

W dni, gdy Sophy miała kończyć pracę tak późno, że nie będzie mogła wracać do domu, Hilary pozwoliła jej nocować w gościnnym pokoju. Wprawdzie do Jego Wysokości było tylko pięć minut drogi, ale Sophy rozumiała, że Hilary z innych względów zapraszała ją do przebywania w tym domu i zabranianie jej powrotu do Jego Wysokości głęboką nocą stanowiło jedynie wymówkę.

„Mogę posyłać z tobą któregoś z chłopaków — oświadczyła Hilary. — Ale nie zawsze mam ich pod ręką. Najlepiej więc, gdybyś w takich razach nocowała u nas”.

Sophy była bardzo zadowolona. Zapasowa sypialnia w Pszczelim Domu miała dziwaczny sufit i stało w niej stare, lekko zapadnięte łóżko z miedzi nakryte narzutą uszytą ze skrawków materiału i tak starą, że pewne jej partie wytarły się aż do osnowy. Sophy spędziła w tym łóżku wiele nocy, delektując się za każdym razem jego wielkością, skrzypieniem oraz dobiegającym zza ścian po obu jej stronach pochrapywaniem śpiących pod pierzynami chłopców, Gusa i George'a. Na najwyższym piętrze Jego Wysokości spała tylko ona, ponieważ był tam jeden pokój. Poza sypialnią Sophy mieściła się tam jedynie pakamera zawalona walizkami oraz sprzętami, pochodzącymi z czasów jej niemowlęstwa i dzieciństwa. Nie przeszkadzało jej, że mieszka sama na

piętrze, ale lubiła też odmianę, lubiła, gdy po obu jej stronach, tuż za ścianami, spali inni. Nawet jeśli chrapali.

Właścicielem straganu z odzieżą był sikh z włosami całkowicie ukrytymi pod wytwornie zawiniętym turbanem z cieniutkiej, błękitnej bawełny.

— Bluza z Mickiem Hucknałem? — zasugerował. — Z Simply Red? A może z „Lady in Red”? Z Chrisem de Burghem?

Sophy pokręciła głową. Nad nią kołysały się w podmuchach wiatru ubrania, tanie i nędzne, wykonane w warunkach, na myśl o których ogarniały ją podobne uczucia jak te, gdy mijała ciężarówkę rzeźnika. W dodatku do niedzielnej gazety umieszczono reportaż ozdobiony przerażającymi zdjęciami przedstawiającymi nędzny, brudny, licho oświetlony warsztat pełen pracujących na czarno ludzi; ludzie wystraszonych, wyczerpanych, wykonujących swą pracę prawie za darmo.

Wyciągnęła rękę i dotknęła czarnej spódnicy.

— Czy ma pan rozmiar dziesięć? — zapytała. — A może osiem...

Hindus uśmiechnął się.

— Czy mam panienkę zmierzyć?

— Nie trzeba. Sprawdź na oko.

Za pomocą długiej tyczki sprzedawca zdjął wskazaną spódnicę i podał ją Sophy. Spódniczka wyglądała nieciekawie, ale za to bardzo stosownie.

„Żadnych rozcięć — poleciła kategorycznym tonem Hilary. — Żadnych niedopiętych guzików, żadnych mini. Przykro mi, Sophy, ale tak już jest. Musisz się ubrać jak do szkoły”.

Pomacała materiał. Był szorstki, a zarazem delikatny.

— Poproszę też o dwie bluzki koszulowe. Jak najjaśniejsze. Również dziesiątki.

Sikh zdjął bluzkę z jasnobłękitnego materiału przypominającego jedwab. Miała czarne guziki w kształcie gwiazdek.

— Proszę — powiedział. — Osiem funtów dziewięćdziesiąt dziewięć pensów. Poliester w najwyższym gatunku. Śliczna robota.

— Muszę zwrócić im uwagę — oświadczyła Cath Barnett, stojąc w oknie swego służbowego mieszkania.

Za szybą rozciągał się widok na Orchard Close i ogródek Dana porośnięty rzędami kwiatów, przypominających szeregi żołnierzy w bajecznie kolorowych mundurach.

Doug Barnett pochylony nad poranną gazetą stawiał typy na popołudniowe gonitwy końskie w Wincanton.

— Och, Cath, daj im spokój.

Chwilę się wahała.

— Chodzi mi o to, że miałam skargi. Ludziom nie podoba się, że o siódmej rano chodzi do niego w koszuli nocnej i pozostaje tam przez godzinę lub dłużej.

Doug zrobił długopisem gwiazdkę obok Podwójnego Kłopotu, który miał biec o piętnastej dziesięć, oraz Mantry wyznaczonej na piętnastą czterdzieści pięć.

— Cath, nie bądź głupia. Przecież oni mają po osiemdziesiąt lat! Co są w stanie wykombinować? A jeśli, to kogo to obchodzi. Gdyby nawet przy tym umarli, to rzeczywiście polegliby na polu chwały. Piękna śmierć.

— Doug, nie chodzi o nich. Chodzi o innych. O panią Hennell, emerytowaną dyrektorkę szkoły, i o pana Pageta, który pełnił wysokie funkcje w radzie miejskiej. To bardzo szacowni ludzie. Mają swoje wymagania i standardy. Nie chcą oglądać Vi Sitchell, włóczącej się w desusach po ogrodzie niczym jakaś dziwka.

Doug wyszczerzył zęby.

— Wspaniale, stare desusy.

— Słowo daję, chyba jednak zwróć im uwagę.

— Zje cię z butami, Cath. Ma tak ostry język, że jeśli zechce, może nim zdrapywać farbę.

Cath odeszła od okna, usiadła przy stole, składając dłonie na obrusie z bawełny indyjskiej, i popatrzyła surowo na gazetę męża.

— Tylko nie szalej, Doug.

— Nie zamierzam. Po dwa funciaki na każdy z dwóch wyścigów i pięć na gonitwę główną.

— Zastanawiam się, czy nie porozmawiać z panem Bradshawem — stwierdziła Cath. — To przesympatyczny, stary dżentelmen.

Zastanawiam się, czy ona mu nie przeszkadza. Ostatecznie może uważać ją za namolną, ale jest zbyt dobrze wychowany, aby jej to powiedzieć. Doug wzruszył ramionami.

— Spróbuj.

— Nie zaszkodzi. Nie wyrządę nikomu krzywdy, jeśli powiem to bardzo ogólnie.

Wstała od stołu.

— Czy wybierasz się do kolektury?

Doug zerknął na zegarek.

— Za dziesięć minut.

— Kup paczkę silk cutów, dobrze? Czuję, że jak już załatwię tę sprawę, będę miała ochotę na papierosa.

Dan wprowadził Cath Barnett do salonu. Był to bardzo czysty, lecz nieco mroczny pokój, gdyż zasłony w oknach zostały do połowy zaciągnięte. Skądś dobiegał cichy sopran, melodia, którą Cath знаła, dźwięczna i romantyczna, melodia kojarząca się z krynolinami, salą balową i z kryształowymi żyrandolami.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział Dan, szybko przeszedł przez pokój i wyłączył staroświecki gramofon. — To „Wesoła wdówka” — wyjaśnił przepaszajaco. — Jedna z moich ulubionych operetek.

— Śliczna — przyznała Cath. — Jak pan znosi te upały?

— Całkiem dobrze — odparł i wskazał krzesło. — Proszę usiąść.

— Panie Bradshaw, przyszedłam do pana w bardzo delikatnej sprawie.

Dan popatrzył na Cath. Nigdy za nią nie przepadał. Należała do ludzi, którzy działając w dobrych intencjach powodują tylko masę kłopotów. Usiadł ostrożnie na brzeżku krzesła naprzeciwko Cath.

— Słucham.

Cath poruszyła się nerwowo. Zawsze uważała Dana Bradshawa za drobnego, łagodnego i delikatnego człowieczka, lecz teraz nieoczekiwanie przekonała się, że nie jest ani drobny, ani łagodny, ani delikatny.

Ale ostatecznie przysłała w sprawie publicznej, w imieniu mieszkańców Orchard Close i jej obowiązkiem było podjąć walkę.

— Panie Bradshaw, chodzi o panią Sitchell.

Dan siedział nieporuszony.

— Widzi pan, doszło do mnie kilka... skarg. Od niektórych pańskich sąsiadów.

— Skarg? — zapytał Dan, podnosząc głos. — A na cóż to oni się skarżą?

— No cóż, chodzi o to... nie mówię w imieniu swoim, lecz w imieniu pańskich sąsiadów... że pani Sitchell gorszy ich, przychodząc każdego ranka do pańskiego mieszkania ubrana w strój nocny i pozostaje tu przez godzinę.

Dan niepewnie wstał z krzesła. Cały się trząsł.

— Jak pani śmie...

Cath również wstała. Wyciągnęła uspokajająco rękę.

— Panie Bradshaw, proszę się nie obrażać. Nie przyszedłam tu w złych intencjach. Skoro żyjemy wśród tak miłych i sympatycznych ludzi, to...

— Proszę wyjść. Proszę stąd wyjść. Nie mam zamiaru wysłuchiwać takich ohydztw.

— Ależ panie Bradshaw...

— Proszę opuścić moje mieszkanie, pani Barnett. Opuścić moje mieszkanie i powiedzieć tym prymitywnym, plugawym starym łobuzom, żeby pilnowali swoich zakichanych interesów.

— Przepraszam, panie Bradshaw. Przepraszam, nie chciałam pana obrazić...

— No cóż, obraziła pani. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek powiedział o niej złe słowo, rozumie pani? Słowo! Ona jest warta tysiąca takich jak pani i reszta was. W jednym palcu ma więcej życia i dobroci, niż wy macie w swych wstrętnych, wścibskich ciałach. A teraz wynocha stąd.

Kiedy Cath opuściła jego mieszkanie, Dan przeszedł przez niewielki pokój i usiadł na swoim ulubionym krześle. Ciągłe się trząsł, czuł się chory, chory, i to bardzo dziwnie, zupełnie jakby ogłuchł i oślepl.

Vi — pomyślał. — Och, Vi.

Odrażające babsko, odrażające, wścibskie babsko, które poza czubkiem swego głupiego nosa niczego nie widzi. Unurza w gnoju każdą dobrą, słuszną i przyzwoitą rzecz. Zapłakałby, gdyby mógł, ale w tej chwili nie był w stanie niczego zrobić. Jego umysł spowijał dym, czarny dym.

Po chwili przyszedł bardzo ostry ból, który przeszył mu lewe ramię i sprawił, że zdrętwiała mu cała ręka.

Och, mój Boże — pomyślał Dan. — Vi.

Rozdział ósmy

— Nie jestem pewna, czy nie dałam się nabrać na kobietę, która tylko robi z siebie ofiarę — odezwała się zamyślonym tonem Diana Taylor. — Chodzi mi o to, że ofiary są zawsze bardzo zaborcze. Stawiają innym wymagania, jakim ci nie są w stanie sprostać. Po prostu zakochują się same w sobie.

Gina założyła ręce za głowę.

— Mówi pani o mnie?

Diana obrzuciła ją baczny spojrzeniem.

— A jak pani sądzi?

— Czasami — powiedziała Gina, przeniosła ręce na kolana i pochyliła się do przodu — czasami mam ochotę panią uderzyć.

— Ale uważa się pani za ofiarę?

— Oczywiście! Skoro człowiek przez całe lata żyje z kimś, kto potrafi egzystować wyłącznie dzięki temu, że niszczy psychicznie najbliższą osobę, osoba ta siłą rzeczy staje się ofiarą.

— Ależ wcale nie musi stać się ofiarą. Nie musi zmawiać się ze swym dręczycielem. A teraz ma pani okazję w ogóle się z tego otrząsnąć.

Gina głośno westchnęła i przeciągnęła palcami po włosach.

— Jak?

— Choćby zmieniając nazwisko — odrzekła Diana. Siedziała nieruchomo, ściskając stopy przybrane w niebieskie zamszowe mokasy-ny i naciągając na kolana spódnicę. — Nie wmawiać w siebie, że jest

pani ofiarą. Traktować siebie jako osobę niezależną, nie jak kogoś, kto jest nierozzerwalnie związany z kimś innym. Ostatecznie każda ofiara zawsze jest czyjąś ofiarą, a w pani przypadku ten ktoś już odszedł. Może powinna pani wrócić do swego panińskiego nazwiska? Poszukać innego domu? Myśleć tylko o sobie, robić wiele drobnych rzeczy wyłącznie z myślą o sobie?

Gina rozważała usłyszane rady. Wstała, podeszła do okna, skąd roztaczał się ten sam widok co z poczekalni, na dach supermarketu, zastawiony samochodami parking oraz długi szereg sklepowych wózków. Przyłożyła czoło do zimnej szyby.

— A co robili ludzie, kiedy jeszcze nie było takich specjalistów jak pani, z którymi mogli porozmawiać? — zapytała. — Ludzie tacy jak moja matka...

— Niektórzy szli do księdza. Ale większość radziła sobie sama.

— Zmienić nazwisko — mruknęła zadumana. — Gina Sitchell. Gina Sitchell, nauczycielka literatury i muzyki. Kiedyś nią byłam.

— Nie — sprzeciwiła się zdecydowanie Diana. — Pani w dalszym ciągu jest nauczycielką literatury i muzyki.

Gina oderwała czoło od szyby i odwróciła się.

— Dlaczego pani tak uważa?

— Ponieważ musi pani iść do przodu. Musi pani sama sobie zadać pytanie, co ze sobą dalej robić. Jeśli uważa pani, że należy wrócić do przeszłości, trzeba zadać sobie pytanie po co i uczciwie na nie odpowiedzieć.

— Czy pani tak właśnie postępuje?

— Tak.

— Po co?

— Po to, żebym rozmawiała tu z panią, a nie zajmowała się hodowlą pstrągów, jak życzyłby sobie mój mąż.

— I?

— Bardzo tego potrzebuję — odrzekła szczerze Diana. — Muszę pomagać innym, by do własnego życia podchodzić ze stosownym dystansem i patrzeć na nie z odpowiedniej perspektywy. Interesuje mnie psychologia, mam doświadczenie i oddaję się tej pracy całym

sercem. Poza tym nie chcę pracować w gospodarstwie rybnym.

Gina podeszła do krzesła, na którym niedawno siedziała, i założyła ręce na piersi. Jej srebrne bransolety cicho zadzwoniły.

— Czy czuje się pani winna, że nie pomaga mężowi? — zapytała.

— Nie. Już nie. Czułam się, ale zapewne tylko dlatego, że on chciał, bym tak się czuła. A może dlatego, iż pragnęłam robić wszystko i nie godziłam się z faktem, że to niemożliwe, że nikt nie jest w stanie robić wszystkiego. Ale hodowla pstrągów była jego wyborem. A to że jestem tu z panią, to mój wybór. Teraz pani musi wybierać.

— Obawiam się, że zapomniałam już, jak to się robi. Przyzwyczyłam się tylko do reagowania na czyjeś postępowanie i zatraciłam umiejętność samodzielnego działania. Tak właśnie jest obecnie z Sophy. Chodzę cichutko na palcach wokół jej uczuć i nastrojów, choć naprawdę sama nie wiem, czy jej w czymkolwiek pomagam, czy też tylko wszystko pogarszam.

— Niech pani z nią porozmawia.

— Nie mogę. Chodzi o to, że ona nie chce rozmawiać. Jest układna, uprzejma, ale nie mam z nią najmniejszego kontaktu. Mur.

— Niemniej powinna pani próbować.

Gina obeszła krzesło i ponownie na nim usiadła, a Dianie błysnęła myśl, że jej klientka próbuje odpowiednio nastawić się psychicznie — jak kot lub tancerka.

— Nie chcę słuchać o tym, jak bardzo kocha swego ojca. Nie chcę nawet o tym myśleć. A obawiam się, że Sophy z sobie tylko znanych powodów chciałaby mówić mi o tym z najdrobniejszymi szczegółami i z wielkim zapalem.

Zapadło krótkie milczenie. Diana szybko zapisała coś w leżącym na kolanach kołonoratniku.

— Dlaczego? — zapytała jak zwykle chłodnym i opanowanym głosem.

Choć pytanie nie zabrzmiało natarczywie, w tonie było coś, co nakazywało Ginie odpowiedzieć. Ale milczała.

— Dlaczego? Dlaczego nie może pani słuchać córki, gdy mówi, jak bardzo kocha swego ojca?

— Bo...

— Bo co?

— Bo... — Gina nerwowo podciągnęła rękawy kremowej bawel-
nianej bluzki. — Bo może się okazać, że bardziej kocha jego niż mnie.
I... i że to samo dotyczy jej ojca. Kocha bardziej ją niż mnie. Z pewnością
zawsze ją kochał bardziej. Poza tym... — Zaczęła mówić szybciej, z
żarem, przekonująco. — Poza tym żadną miarą nie zniósłabym świa-
domości, że to ja przegrałam, że byłam tą osobą mniej kochaną, jeśli
w ogóle byłam kochana. Nie chcę być kochana na odczepnego.

— Czego zatem pani chce?

— Być kochaną. Dla mnie samej. Bez upiększeń. Czy proszę o du-
żo?

Diana zerknęła przelotnie na zegarek.

— Nie. Wcale nie. Tego pragną wszyscy, kobiety, mężczyźni i
dzieci. I właśnie od tego radziłabym pani zacząć przemianę. Sądzę, że
warto zacząć właśnie od miłości. — Uśmiechnęła się do Giny.
Uśmiech ten oznaczał, że ich godzina minęła. — Zobaczmy się we
wtorek.

Po powrocie do Jego Wysokości Gina nie zastała w domu nikogo.
Sophy przyniosła z Orchard Close klatkę z papuzką i powiesiła ją w
oknie. Ptak siedział osowiały, najwyraźniej brakowało mu obecności i
Vi i nieustannych dźwięków płynących z Radia 2. Sophy przebywała
w Pszczelim Domu, gdzie obsługiwała gościom przy stole. Miała na
sobie kupione na rynku ubranie, w którym wyglądała bardzo prze-
ciętnie.

„Ależ tak właśnie mam wyglądać — oświadczyła matce. — Kelnerki
nie mogą stanowić konkurencji dla gości, muszą trzymać się w tle.
Ludzie mają interesować się potrawami, nie mną. Laurence wpadłby
w furję”.

„Laurence nigdy nie wpada w furję — sprzeciwiła się Gina. — W
każdym razie nigdy nie miał takiego zwyczaju”.

„No cóż, teraz wpada — odparła szorstko Sophy, zatraskując
drzwi lodówki, w której miała wydzieloną półkę na swe wegetariań-
skie specjały. — Tak utrzymuje Hilary, a ona już wie lepiej niż ty”.

Teraz z kolei Gina zajrzała do lodówki. Nie była szczególnie głodna, ale zdawała sobie sprawę z tego, że lekka przekąska poprawi jej humor, ukoji nieco stargane nerwy. Na półce leżał białawy glon tofu, plastikowe torebki z jakimiś warzywami, karton gotowej zupy — szpinakowej z gałką muszkatołową — i oraz inne rzeczy: ser, kawałek salami, pół puszki fasoli oraz plastikowy pojemnik z pastą z przemielonego włoskiego grochu wymieszanego z oliwą sezamową, czosnikiem i ziołami. Wszystko to było bardzo zdrowe, ale mało apetyczne. Kojarzyło się z barem szybkiej obsługi, gdzie wszystkie dwadzieścia czy trzydzieści pozycji z karty smakuje tak samo, jest tak samo przybrane i zanadto przyprawione octem. Gina zamknęła lodówkę. Postanowiła, że sposobem chłopców i Hilary upiecze sobie grzanekę i posmaruje ją masłem i dżemem. „Rób wszystko z myślą o sobie — radziła jej Diana. — Rób dla siebie wiele drobnych rzeczy. Wybieraj”.

No cóż, wybrała. Grzanekę z dżemem zamiast pasty grochowej okraszonej marchewką i plasterkami ogórka. Nie był to jakiś oszałamiający wybór, ale ostatecznie w którymś miejscu trzeba zacząć.

Wsunęła do tostera dwie kromki chleba. Było to brązowe pieczywo z ziarenkami zboża; pieczywo to, zgodnie z zaleceniami Fergususa, Sophy stale kupowała na rynku.

Zadzwoił telefon i Gina szybko przeszła lekkim krokiem przez kuchnię. To mógł dzwonić Laurence. Zgłaszał się regularnie co kilka dni, aby ciepłym, przyjacielskim głosem zapytać, jak się czuje i co porabia.

— Halo — powiedziała z uśmiechem do słuchawki.

— Natychmiast przyjeżdżaj — usłyszała głos Vi. — Dan jest w szpitalu.

— Co...

— Miał atak serca. Godzinę temu. Próbuje i próbuje ciebie złapać. Zastałam go siedzącego na krześle. Po prostu siedział i niczego nie pamiętał. Nie pozwolili mi pojechać z nim karetką do szpitala. Oświadczyli, że mogą zabrać tylko najbliższą rodzinę. Chcę, żebyś poszła ze mną do szpitala. Mogłabym tam pójść sama, ale jesteś mi potrzebna. Chcę, żebyś porozmawiała z lekarzami.

— Och, mam, oczywiście, zaraz u ciebie będę...

— Pospiesz się — ponagliła Vi. Jej głos brzmiał niepewnie i bardzo starczo. — Pospiesz się, Gino. Czekam. On cały czas się zastanawia, gdzie jestem.

Dan leżał na wąskim, wysokim łóżku, oddzielony od reszty sali parawanem. Był w pidżamie, której nie poznawał, a lewą rękę miał podłączoną do jakichś urządzeń przypominających wynalazki Rolanda Emmetta z filmu *Chitty-Chitty Bang-Bang*. Uwielbiał ten obraz i był na nim w kinie aż trzy razy. To wesołe dziełko, wesołe i zwariowane. Ale Pam go nie lubiła. Ona uznawała jedynie filmy o miłości. Szczególnie amerykańskie, z Fredem Astairem. Pam nie miała poczucia humoru, zwłaszcza nie dostrzegała rzeczy naprawdę komicznych. Kiedy Dan śmiał się na całe gardło z czegoś, co go śmieszyło, Pam spoglądała nań z pogardą i mówiła: „Ty bęcwał”.

Czuł się dziwnie. Był znużony, ale ból minął. Widział już trochę lepiej, choć wciąż miał trudności z oddychaniem. Nie pamiętał zupełnie, jak go tu przywieźli, jak położyli do łóżka i przebrali w pidżamę. Nie podobało mu się, że obcy przebierali go w pidżamę i że widzieli go nagiego. Ostatni raz coś takiego przytrafiło mu się przed wielu, wielu laty, gdy pewnej nocy w Port Elizabeth pił się do nieprzytomności i kumple z maszynowni zawlekli go na statek niczym worek z rzepą. Ale to było coś innego, widzieli go tylko mężczyźni i w sumie wszyscy się dobrze bawili. Poza tym przed laty nie miał nic przeciwko temu, jeśli ktoś oglądał jego ciało... w każdym razie nie tak bardzo. Miał wówczas gładką skórę i prężne mięśnie. Podarował Vi swoją fotografię. Był na niej w mundurze i stał na pokładzie „Clan Ramsay”, barczysty, z lśniącymi od brylantyny, gładko zaczesanymi do tyłu włosami.

„No cóż, byłeś przystojniakiem” — skomentowała zdjęcie Vi.

Gdzie ona jest? Tak bardzo pragnął ją zobaczyć. Obaj lekarze, jeden biały, a drugi pochodzący z jakiegoś kraju azjatyckiego, byli bardzo uprzejmi, ale obojętni i oficjalni. Oglądali dokładnie wszystkie rurki i aparaturę, do której został podłączony, lecz na niego zwracali

niewielką uwagę. Cały czas szeptali coś do siebie o niedomaganiu aorty i fatalnym stanie serca. Podejrzewał, że znajduje się w dużej sali, ponieważ zza parawanu dobiegały liczne pokasływania i pociągania nosem, dźwięk włączonego telewizora i szmer opon sunących po linoleum wózków. Nie chciał przebywać w tej wielkiej sali pełnej chorób i starych ludzi, podłączony do tych wszystkich rurek i pompek. Chciał znaleźć się w domu, we własnym łóżku, odzyskać prywatność i godność. Ale przede wszystkim pragnął obecności Vi. Przede wszystkim Vi. Gdzie się podziewała?

Ginie zajęło dużo czasu, by doprowadzić Vi do jako takiego stanu. W pierwszym rzędzie udała się do mieszkania Barnettów, wyciągnęła ich z łóżka i poprosiła o odrobinę brandy lub sherry.

— Chcę dodać matce do gorącego mleka trochę alkoholu, a wszystkie puby są już pozamykane.

Doug Barnett wyciągnął butelkę. Na dnie zostało jakieś trzy centymetry Tia Maria. Bardzo przeproszał, że tylko tyle, a jego przeprosiny sprawiały wrażenie tym bardziej szczerych, że miał na sobie wytarty, musztardowożółty, stary szlafrok, który Cath od dawna już chciała wziąć na szmaty. Doug dokładnie się nim owinął i uśmiechnął do Giny. Dziękował w duchu Bogu, że zjawiała się u nich, zanim wyjął na noc sztuczną szczękę.

Vi leżała w łóżku w swej różowej niczym fuksja koszuli nocnej. Ciągle jeszcze miała w uszach kolczyki, a na palcach pierścionki. Była bardzo strapiona i bliska łez.

— To jakieś paskudztwo — fuknęła, odsuwając od siebie kubek z mlekiem. — Coś ty do niego dołała? Płyn do rozpuszczania farb?

— To Tia Maria.

— Zabierz to. Nie będę czegoś takiego piła. — Przekręciła się na bok. — Ci przekłeci lekarze.

Gina puściła tę uwagę mimo uszu. Lekarze bardzo się przypadkiem Dana przejęli i wykazali dużo troski. Powiedzieli, że cierpi na

starcze zmiany w zastawkach, spowodowane rzutem choroby reumatycznej, jaką przeszedł w dzieciństwie, ale że atak choroby wcale nie musi skończyć się fatalnie. Chory może po prostu stać się trochę bardziej drażliwy i mieć pewne kłopoty z oddychaniem, lecz powodów do niepokojów nie ma. Dan musi teraz prowadzić bardzo spokojny i uregulowany tryb życia. Vi rozmawiała z nimi bardzo szorstko. Później rozplakała się, rozmazując sobie tusz do rzęs, i oświadczyła lekarzom, że są zbyt młodzi, aby wiedzieć, o czym mówią, i że w takim domu wariatów jak ich szpital nikogo jeszcze nie spotkało nic dobrego. Gina próbowała mitygować matkę, ale Vi powtórzyła swoje oświadczenie jeszcze głośniejszym głosem, a młodzi lekarze sprawiali takie wrażenie, jakby zarzuty tego rodzaju słyszeli nie po raz pierwszy.

— Nie uciszaj mnie! — wrzasnęła Vi, stojąc pośrodku szpitalnej sali. — Proszę mnie nie uciszać! W takich chwilach jak ta nikt nie ma prawa zamykać mi ust!

Na widok Giny i Vi w oczach Dana pojawiły się łzy. Gina zostawiła ich samych i ruszyła po wypastowanej podłodze korytarzem, zaglądając do sal, gdzie na wózkach bezradnie siedzieli chorzy i inwalidzi w nocnych koszulach, w dłoniach ściskali kubki z herbatą i oglądali telewizję. Po godzinie pielęgniarka oświadczyła, że Dan musi się przespać i Gina, ciągnąc Vi za rękę niczym krnąbrne dziecko, wyprowadziła matkę na korytarz. Vi musiała znaleźć kozła ofiarnego, kogoś, kogo obciążąłaby za wszystko winą. Najpierw nakrzyczała na pielęgniarki, później na dwóch pielęgniarzy popychających wózek z leżącym na nim młodym mężczyzną z zamkniętymi oczyma i kredowobiałą twarzą, aż w końcu całą swą złość skierowała na Ginę.

— Mamo, przecież w niczym nie zawiniłam — powtarzała na okrągło Gina. — Jestem wstrząśnięta i zmartwiona tak samo jak ty. Sama najlepiej wiesz, że też kocham Dana.

— Kochasz! — parsknęła pogardliwie Vi, wyrwijąc ramię z uścisku córki. — Kochasz! Ciekawa jestem, skąd możesz wiedzieć cokolwiek o miłości do drugiego człowieka, skoro kochasz tylko siebie!

W domu Gina przygotowała grzankę z sadzonymi jajkami, ale Vi

nie chciała jeść. Stwierdziła, iż żółtka są zanadto ścięte. Kiedy Gina zaproponowała, że przygotuje coś innego, obrzuciła ją spojrzeniem płonąącym z oburzenia na tak głupi pomysł i ostentacyjnie wyrzuciła grzanki z jajkami do kuchennego kubła na śmieci. Wieczór ciągnął się w nieskończoność. Vi nieustannie wydzwaniała do szpitala, pytając o stan zdrowia Dana. „Pan Bradshaw śpi — informowała ją nieodmienne pielęgniarka. — Zapewne będzie spał do rana, a wtedy dostanie łagodne środki uspokajające. Proszę już dzisiaj nie dzwonić, pani Sitchell. Dopiero jutro. I proszę się nie martwić. On już wraca do zdrowia, a i pani powinna odpocząć”.

— Krowa — oświadczyła Vi, rzucając ze złością słuchawkę.

— Dlaczego jej nie wierzysz? — zapytała Gina. — Dlaczego nie wierzysz w to, co mówi o Danie, i nie pójdziesz do łóżka? To jej zawód, zna się na tym. Dobrze wie, co mówi.

— Ależ on nienawidzi tamtego miejsca! Czy tego nie rozumiesz? Nienawidzi tamtego miejsca. Upokarza go przebywanie między tymi starymi, paplającymi i zaślinionymi wrakami. Dlaczego musi tam leżeć? Dlaczego musi tam leżeć, a obcy ludzie mają się nim zajmować jak dzieckiem? „Dan, kochanie”. Tak właśnie mówiła do niego siostra. Niech się wypcha. Ja mogę się nim zaopiekować. Ja! Niech tylko wróci do domu, a ja już się o niego zatroszczę.

Udało się w końcu skłonić Vi, żeby wzięła kąpiel i poszła do łóżka.

— Nie będę zdejmowała biżuterii. Nie. Może w środku nocy będę musiała pojechać do szpitala?

— Chcesz, żebym z tobą została? Chętnie...

Vi spojrzała na Ginę ze złością.

— Rozumiem. Najpierw Dan nie był w stanie robić tego, co chce, a teraz ja. Przecież mam czynny telefon, prawda? Zabieraj ten obrzydliwy napój i już sobie idź. Zadzwoń do ciebie rano.

Gina pochyliła się nad matką. Stara, strapiona kobieta pachniała pudrem Red Roses.

— Wolalabym z tobą zostać. Nie chcę, żebyś była sama.

Vi zamknęła oczy.

— Chcę zostać sama.

— Obiecay, że zadzwonisz...

Vi skinęła głową. Na stoliku obok jej łóżka stały w nieładzie buteleczki z lakierami do paznokci, radio tranzystorowe, koszyczek z robótkami, torebki słodyczy oraz zrobiona jakieś dwa lata wcześniej fotografia beztroskiego, przybranego w płócienny, letni garnitur Dana. Za nią, w większej ramce znajdowało się zdjęcie stojących w ogrodzie przy Jego Wysokości Giny i Sophy. Obie roześmiane, w wielkich, słomkowych kapeluszach. Nigdzie nie było fotografii Fergusa. Gina pocałowała Vi w policzek.

— Teraz spróbuj zasnąć.

Vi chrząknęła.

— On szybko wróci do domu. Obiecuję.

Po szpitalnych oraz wypełniających mieszkanie Vi zapachach rzeńskie powietrze na Orchard Street miało cudowną woń. Gina stała chwilę w ciszy letniej nocy i głęboko oddychała. Wcześniej zadzwoniła do Sophy i wyjaśniła, dokąd poszła. Gdy powiedziała o tym, co przytrafiło się Danowi, Sophy natychmiast zapytała, czy mogłaby go odwiedzić.

„Myślę, że chwilowo nie ma takiej potrzeby. Dopiero jutro”.

„A zatem Ba. Odwiedzę Ba”.

„Ja się nią zajmę. Jest rozgniewana i kompletnie wytrącona z równowagi. Najlepiej będzie, jeśli poczekaś do jutra. Do jutra twoja babcia się wyśpi, uspokoi i minie jej pierwszy szok”.

„Skoro więc nie wolno mi nikogo odwiedzić, to pójdę do kina — odparła ze złością lodowatym tonem Sophy. — Z George'em.”

„Kochanie, niczego ci przecież nie zabraniam. Po prostu myślę o nich, oni są w tej chwili najważniejsi. Chcę...”

„Nie ma sprawy — odparła Sophy, nie zmieniając tonu. — Pójdę do kina. I zapewne przenocuję w Pszczelim Domu” — dodała i odłożyła słuchawkę.

„Rozmawiałaś z Sophy?” — zapytała Vi.

„Tak...”

„Czy wpadnie? Czy wpadnie mnie odwiedzić?”

Gina poczuła nieodpartą chęć, aby oświadczyć matce, iż Sophy poszła do kina. Zwalczyła jednak tę pokusę i stwierdziła tylko, że Sophy wpadnie następnego dnia rano.

„Co ty jej powiedziałaś?” — zapytała Vi ostro i podejrzliwie.

Gina uniosła twarz i popatrzyła w niebo. Było granatowe i usiane gwiazdami. Mimo że Fergus bardzo interesował się konstelacjami, ona nigdy nie nauczyła się ani nazw układów gwiazdnych, ani też ich rozróżniania. Czowała się kompletnie wykończona, a jednocześnie osobiście ożywiona. Myśl, że ma wrócić do cichego, czystego i pustego domu, napełniała ją odrazą.

„A jak będziesz w pobliżu Pszczelogo Domu, to wpadnij — powiedział był Laurence. — Wpadnij kiedykolwiek”.

Zerknęła na zegarek. Jego tarcza błyszczała niczym malutki księżyc. Wpół do dwunastej. Co znaczyło „kiedykolwiek”? Co powiedziałyby na jej widok Hilary, zmęczona i rozdrażniona po długim, męczącym i pracowitym dniu? Postanowiła, że tylko przejdzie obok Pszczelogo Domu i sprawdzi, czy są tam jeszcze jakieś oznaki życia, światła w oknach, ludzie w barze popijający ostatnie drinki oraz polerujący już znacząco szklanki i kurki od beczek z piwem Don. Jeśli dom będzie tętnić życiem, wstąpi. Jeśli nie, wróci do siebie i zajmie się grzanką, którą zaczęła robić przed dziewięcioma godzinami.

Na parterze od strony ulicy paliło się tylko w jednym oknie. Był to niewielki reflektor punktowy oświetlający zawieszoną nad barem niezbyt udaną, utrzymaną w ciemnych barwach akwarelę, przedstawiającą — bez zachowania odpowiednich proporcji i perspektywy — długi mur w ogrodzie przy Pszczelim Domu i zainstalowane w nim barcie. Dzieło jednego z gości. Gina zajrzała przez okno. Ze stolików zdjęto już obrusy, kratę oddzielającą bar od sali opuszczono, a rząd czarnych plastikowych worków ze śmieciami czekał, aż ktoś je rano wyniesie. Przez szparę pod zamkniętymi drzwiami kuchennymi sączyło się światło. Weszła na boczne podwórko i ujrzała, że w kuchni pali się kilka lamp, rzucając przez okno prostokąty bladej poświaty na wielkie, szaroniebieskie, pochodzące jeszcze z czasów wiktoriańskich płyty, jakimi wyłożone było podwórze. Gina podeszła do jednego z okien i zerknęła ciekawie do środka.

Laurence i Hilary siedzieli po obu stronach wielkiego, centralnego stołu, pośrodku którego w specjalnych otworach tkwiła cała galeria noży. Przed Laurence'em stał kieliszek wina, Hilary ścisnęła w dłoniach kubek z jakimś napojem. Podciągnięte wysoko na czubek głowy okulary burzyły jej krótkie włosy przypominające w tej chwili grube, ciemne piórka. Laurence miał na sobie fartuch szefa kuchni narzucony na codzienne ubranie. W pomieszczeniu panował nieskazitelny porządek, wszystko błyszczało czystością, obok łokcia Hilary leżała taca z przygotowanymi na rano jajkami.

Gina podeszła do drzwi i zapukała. Przez chwilę panowała cisza, po czym rozległo się szuranie odsuwanej krzesła oraz odgłos ciężkich kroków Laurence'a.

— Kto tam?

— To ja, Gina.

— Wielki Boże! — wykrzyknął Laurence, otwierając drzwi. — Czy coś się stało?

— Tak — odparła, mrużąc w jaskrawym świetle oczy. — Chodzi o moją mamę. Przepraszam za tak późne najście, ale miałam paskudny dzień i nie chcę jeszcze wracać do domu, bo...

Hilary wstała od stołu i nasunęła na nos okulary w czerwonej oprawce. Podeszła do Giny i szybko pocałowała ją w policzek.

— Co się stało?

— Chodzi o Dana. Biedny stary Dan. Miał atak serca. Zemdlął, a gdy go mama znalazła, był kompletnie otępiały i nic nie pamiętał. Leży teraz w szpitalu. Vi jest w fatalnym nastroju, jak zawsze kiedy Dan choruje. Zajęło mi cały wieczór, zanim w końcu udało mi się położyć ją do łóżka.

Hilary sięgnęła po czajnik.

— Herbaty?

— A może wina? — zapytał Laurence. — Zostało jeszcze trochę wyśmienitego merlota z RPA. Biedny, stary Dan. Biedna Vi.

— Nie, dziękuję. Już sobie idę. Po prostu musiałam się z kimś choć na chwilę zobaczyć.

Laurence położył jej ręce na ramionach i zmusił, by usiadła na krześle, z którego przed chwilą wstała Hilary.

— Nie opowiadaj głupstw. Oczywiście, że nigdzie nie pójdziesz. A w każdym razie dopóki się czegoś nie napijesz. Rozmawialiśmy właśnie o George'u. Bardzo się o niego martwimy.

— Prawdę mówiąc, to ja się martwię — oświadczyła Hilary, odstawiając imbryk. — Ty jak zwykle bredziłeś coś o tym, żeby nie zwracać mu głowy i pozwolić, by sam podjął decyzję. Ale rozumiesz, rzecz w tym, że George sam nie wie, czego chce. Potrzebuje naszej pomocy, rady. — Popatrzyła na Ginę. — Czy powiedzieli ci, co dokładnie jest Danowi?

— Coś z zastawkami.

— Ale to nie angina pectoris?

— Nie sądzę...

— Dziwne — powiedziała Hilary i dodała pouczającym tonem: — Zdajesz sobie sprawę z tego, że to poważna choroba.

Laurence podsunął Ginie kieliszek z czerwonym winem.

— No cóż, cały wieczór próbowałam wmówić mamie coś wręcz przeciwnego.

— Jeszcze dwadzieścia pięć lat temu osobom cierpiącym na schorzenia aorty odradzano wchodzenie w związki małżeńskie — oświadczyła Hilary.

— Hil — mruknął cicho z naganą w głosie Laurence i Hilary przesłała mu szybkie, karcące spojrzenie.

— Oni się kochają — oświadczyła nieoczekiwanie Gina. — Naprawdę.

— Tak.

— Mama najpierw nakrzyczała na wszystkich w szpitalu, a kiedy już nie miała na kogo się złościć, cały gniew skierowała na mnie. Jest przerażona.

— To oczywiste.

Hilary podeszła do stołu, wsparła się na nim i ziewnęła.

— Podobnie przerażony jest George. Przeraza go myśl, że sam nie wie, czego chce, że zmarnuje sobie życie, zejdzie na psy. Naprawdę współczuję Danowi. I, naturalnie, Vi.

— Wiem.

— Strasznie mi przykro — ciągnęła Hilary — ale padam z nóg. Poza historią z George'em przeżywamy czysty horror w dwojce. Zajmujący

ten numer goście pozornie są bardzo kulturalni, wręcz przymilni, lecz nieustannie na coś się uskarżają. Mieszkają tu już tydzień i nic im się nie podoba, ciągle marudzą. „Mamy nadzieję, że nie sprawi państwu kłopotu, jeśli poprosimy o zmianę pokoju, poduszek, rozmiaru ręczników w łazience, zmianę żarówek w nocnych lampkach na silniejsze, większą różnorodność gatunków porannych herbat”. Już naprawdę wolałabym, aby zachowywali się ordynarnie. — Hilary pochyliła się i objęła Ginę. — Muszę iść do łóżka. Ale ty zostań i porozmawiaj z Laurence'em. I staraj się nie przejmować. Rano świat wygląda lepiej.

— Nie zabawię długo. Obiecuję. Po prostu muszę sobie zrobić przerwę między mamą a Jego Wysokością.

Hilary szybko ucałowała męża i Ginę, po czym przez wahadłowe drzwi opuściła kuchnię. Laurence zdjął fartuch, rzucił go na oparcie krzesła i usiadł naprzeciwko Giny, tak samo jak przedtem siedział naprzeciwko Hilary.

— To przykre. To jeden z najpiękniejszych związków, jakie znam. Kochają się ze względu na to, kim są, a nie ze względu na to, czego potrzebują lub pragną.

— Wiem.

— Zazdrościsz im?

Gina ujęła kieliszek za nóżkę i zaczęła obracać go w palcach.

— Tak, na swój sposób im zazdrościsz. Moja mama po życiu, jakie miała, zasłużyła sobie na to. Pod wieloma względami jest naprawdę nieznośna, lecz Dana nic nie jest w stanie zrazić. Kiedy mama pojawiła się u niego w szpitalu, po prostu wybuchnął płaczem.

Laurence położył dłonie na stole i zaczął je krytycznie oglądać, zupełnie jakby ręce należały do kogoś innego, kto prosił go, aby je ocenił.

— Ich prawo. — Przeniósł wzrok z rąk na Ginę. — A jak z tobą?

Gina uśmiechnęła się.

— Nieźle. Z każdym dniem troszeczkę lepiej. Martwi mnie tylko Sophy. Nie wiem, od czego zacząć. Paraliżuje mnie strach, że zrobię coś niewłaściwego, coś, co jeszcze bardziej ją rozgniewa, urazi i wyobcuje.

— Podobne obawy żywią co do George'a. W dzisiejszych czasach niełatwo jest być młodym. Człowiek myśli, że jest wolny jak ptak, że może poczynić tysiące wyborów, ale tak naprawdę to niepokojąca świadomość i napawa lękiem.

— On jest taki miły.

— George?

— Tak, George.

Laurence uśmiechnął się z wielkim zadowoleniem.

— Tak, to prawda. Miły. I może dlatego jest taki bezradny i bezbronny. Adam ma dużo mniej wdzięku i choć doprowadza nas do wściekłości, nie obawiamy się tak o jego przyszłość.

— Jeszcze nie tak dawno sami byliśmy tacy jak oni. Nie pamiętasz? Obrażaliśmy się na rodziców, nienawidziliśmy domu, byliśmy zdecydowani robić wszystko w nowy, niecodzienny, pełen rozmachu sposób, a co ważniejsze, byliśmy przekonani, że potrafimy zrealizować nasze plany. Moja pani psycholog nieustannie każe mi spoglądać w przyszłość, ale ja uważam, iż czasami trzeba obejrzeć się za siebie, aby przypomnieć sobie, gdzie się ta cała bajka zaczęła, w jaki sposób układały się nam losy.

— Bajka...

— Tak, bajka.

Podniosła kieliszek do ust i upiła niewielki łyk. Laurence nie spuszczał z niej wzroku.

— Bo my mamy naszą bajkę, prawda?

Nie odpowiedział.

— Chodzi mi o to, że kiedy wpadam w rozpacz, kiedy czuję się bezradna i nie wiem, w jakim kierunku mam iść, przychodzę do ciebie. Prawda? Przychodzę do ciebie, ponieważ przeżyliśmy wspólnie długą drogę, ponieważ ci ufam. Podejrzewam, że to instynkt każe mi przychodzić właśnie do ciebie.

Popatrzyła na niego z uśmiechem.

— Wiele przeszłaś i...

— Czasami myślę, że to ty jesteś jedyną osobą...

— Nie.

— Laurence, jesteś taki delikatny. Jesteś tak delikatnym człowiekiem. Zawsze taki byłeś. Wrażliwość i delikatność to piękny rys charakteru mężczyzny.

Laurence wstał i popatrzył z góry na Ginę. Oddała mu spojrzenie.

— Czy mogę cię o coś prosić?

— O co tylko chcesz...

— Czy mógłbyś... czy mógłbyś mnie przytulić? Tylko na chwilę.

Laurence obszedł stół i wyciągnął ramiona. Gina wstała i ignorując jego wyciągnięte ręce, położyła mu dłonie na ramionach. Laurence schylił głowę i popatrzył na jej ciemne włosy, brwi i rzęsy, na ręce z cienkimi, srebrnymi bransoletkami. Poznał ją przez te wszystkie lata, wiedział, jak wygląda, co myśli, co czuje, jak postępuje; cały katalog faktów dotyczących innej osoby, faktów, które człowiek przez długie lata absorbuje prawie przez osmozę. Fakty te Laurence poznawał i gromadził z czułością, choć na chłodno. I teraz, gdy spoglądał na Ginę, odnosił wrażenie, że wszystko, co o niej wie, wszystkie owe drobne rzeczy, które przez lata zaobserwował, ściśle pasują do uczuć, jakie sam żywił w swym sercu. Przepęłniała go radość na myśl, jak wysoko Gina go ceni. Ogarniała go tak osobliwa rozkosz, gdy tulił ją do siebie, że prawie tracił dech.

— Gino — szepnął ochryple. — Och, Gino.

Przygarnął ją jeszcze mocniej, zamknął oczy i wtulił twarz w jej włosy.

— Och, Gino — powtórzył, pochylił twarz i pocałował ją w usta.

Rozdział dziewiąty

— Po prostu jedź — powiedział Adam. — Cholera jasna, jedź. My będziemy cię kryć.

Sophy popatrzyła na chłopców.

— Chyba powinnam... komuś o tym powiedzieć. Prawda, że powinnam?

— Nie — odparł George.

— Wynikną z tego tylko kłopoty — odezwał się leżący na końcu metalowego łóża z obwisłym materacem Gus.

— Masz do tego wszelkie prawa — upierał się Adam. — Masz. To przecież twój ojciec.

Sophy mięła w palcach skraj kelnerskiej spódniczki.

— Wiecie, moja matka ma już i tak dosyć zmartwień z Ba i Danem, a ja jeszcze...

— O niczym się nie dowie — przerwał jej George. — Będzie przekonana, że jesteś u nas. Ostatecznie masz dużo pracy.

Adam ziewnął.

— Po prostu tak zrób. Czy to wielki problem?

— W mojej rodzinie wszystko jest wielkim problemem — odparła automatycznie Sophy. — Zawsze tak było. Dobrze o tym wiesz. Musimy rozmawiać o wszystkim, o tym, co kto czuje, a nawet jak wkładać brudy do pralki...

— Wcale nie — przerwał jej Adam. — Teraz już twój tata odszedł.

Sophy chwilę milczała, po czym wrzasnęła dziko:

- Zamknij się! Nic ci do mego taty!
- Przepraszam. Miałem na myśli tylko...
- Nie znasz go. Nikt go nie zna.

Gus usiadł na łóżku i popatrzył w jej stronę. Sophy od wielu dni była w paskudnym nastroju i jak wszystkie dziewczyny, raz ożywiona i kapryśna, raz milcząca i osowiała, więc trudno było dojść z nią do ładu. Dziewczyny w gwałtowny sposób reagują na wszystko, co zostało w ohydny sposób zepsute, a później nabierają wody w usta. Sophy sprawiała wrażenie, że jest wszystkim śmiertelnie zmęczona. Kiedy tak wyglądała, Gus miał ochotę kupować jej kwiaty lub przyrządzać jeden ze swych Specjałów Tangowego Jajka z bułką i keczupem.

— Ja ci radzę rób, jak chcesz — odezwał się trochę niezręcznie, ponieważ byli z nim jego dwaj bracia.

Sophy skinęła głową i mocniej zacisnęła pasek spódnicy.

— No, zrób to — nalegał Adam. — Nasza mama pomyśli, że jesteś u siebie, twoja mama pomyśli, że jesteś tutaj, a my będziemy utrzymywać je w tym przeświadczeniu.

Sophy zerknęła na George'a.

— Czy... czy pojedziesz ze mną? Pokręcił głową.

— Nie.

— Ależ nie mogę...

— Możesz — odparł. — Musisz. To sprawa między tobą i twoim tatą.

— A co się stanie, jeśli ma już nową przyjaciółkę?

Zapadło milczenie. Rozważali pomysł, że Fergus Bedford ma przyjaciółkę. Już samo słowo „przyjaciółka” kojarzyło się z rysunkami, jakie Gus wymalował na ścianach swego pokoju pistoletem natryskowym, oraz z porozwieszanymi tam reklamami powycinanymi z czasopism.

— Jezu...

— Nawet nie myśl o takiej możliwości. Zapewne nikogo nie...

— Chyba umrę — westchnęła Sophy. — Po prostu zwariuję.

Gus ześlizgnął się z łóżka, zostawiając po sobie zmiętą narzutę.

— Masz kolejny powód, żeby tam pojechać — oświadczył. — Musisz się przekonać, że nikt nie zajął miejsca twojej mamy.

Adam chwycił poduszkę leżącą na łóżku i cisnął nią w Gusa.

— Ty pieprzona Ośła Łąko! Ty cholerna, pieprzona Ośła Łąko!

Dworzec kolejowy w Whittingbourne był jak wymarły. Na peronie przebywała tylko jakaś podejrzenie wyglądająca dziewczyna ubrana na czarno, która obgryzała paznokcie, oraz elegancka starsza pani z walizką oklejoną hotelowymi nalepkami. Wokół panowała popołudniowa cisza i bezruch. Na torach skakało kilka wróbli, pracowicie wydziobując coś spod szyn.

Sophy usiadła na ławce oddzielona od dziewczyny i starszej kobiety całą długością peronu. Nad głową miała dwa plakaty; jeden o zniżkach na rodzinne bilety wycieczkowe i drugi, zapowiadający koncert Tiny Turner. Sophy włożyła džinsy, białą koszulę i lnianą kurtkę w kolorze indygo, którą obstalował jej Fergus, gdy pewnego razu zakomunikował, iż pragnie, by jego córka miała coś eleganckiego i skrojonego na miarę przez dobrego krawca. Rzadko ją nosiła, więc materiał wciąż był gładki, nowy i marszczył się niczym papier. Kurtka wydzielala bardzo miłą woń, prawie jeszcze pachniała polami, na których rósł len, z którego została zrobiona; niebieski pod niebieskim niebem.

W drodze na stację odwiedziła Dana. Po części dlatego, że bardzo chciała go zobaczyć, a po części, aby zapewnić sobie alibi, że popołudnie i wieczór spędziła w Whittingbourne, a nie w Londynie, gdzie zamierzała zjeść z Fergussem kolację. Fergusza zdumiał jej telefon, później ucieszył, a w końcu zachwyił. Chciał, żeby przyjechała natychmiast i została z nim na weekend.

„Nie — odparła. — Tym razem zostanę tylko na kolacji, spędzę w Londynie noc, a rano wrócę do domu”.

„Czy mama wie o tej wyprawie?” — zainteresował się Fergus.

„Nie” — odrzekła po chwili milczenia.

„A czy nie powinna wiedzieć?”

„Nie”.

„Moim zdaniem raczej...”

„Nie — zaoponowała kategorycznie. — Nie tym razem. Nie chcę, żeby potem wypytywała mnie o wszystko... cały czas dręczyła się moją wizytą u ciebie”.

Dan był bardzo senny. Zaaplikowano mu środki uspokajające, ponieważ zaczął wyczytniać brewerie i wybierał się do domu. Na gałce szafki stojącej obok łóżka wisiała torba Vi, wykonana z czerwonego jedwabiu z wyszytymi na nim smokami i z drewnianą rączką. Były w niej przybory do szycia. Stały tam też kwiaty, które niewątpliwie przyniosła Vi, a w szklanej wazie leżała pomarańcza i szara reneta.

„Vi spędziła ze mną, z krótkimi przerwami, cały dzień — poinformował ospale Dan. — Szyła, opowiadała mi różne historie, czytała gazety”.

„Nie jest najlepszym lektorem — oświadczył z uczuciem. — Tak naprawdę to czyta fatalnie. W połowie każdego zdania przerywa, żeby skomentować to, co właśnie przeczytała. Doprowadzała mnie tym do rozpacz”.

Zdaniem Sophy, kiedy leżał tak pod nieskazitelnie wygładzoną kołdrą bez jednej zmarszczki, wyglądał marnie i krucho. Zauważyła też, jak bardzo jest zadbany. Starannie obcięte paznokcie i włosy, policzki i broda gładko wygolone, pidżama czysta i zapięta na wszystkie guziki.

„Czy mówili już, kiedy cię puszcza do domu?”

Przekręcił lekko głowę na poduszce.

„Nie, kochanie”.

Sophy chciała zapytać, czy Dan rzeczywiście tak nie znosi pobytu w tej sali pełnej łóżek i starych, bezradnych ludzi, pełnej jęków i westchnień chorych i cierpiących, ale poskromiła język. Czuła, że nie powinna tego robić, ponieważ gdyby nawet tego nienawidził i tak nie miał wyboru i musiał w tym szpitalu przebywać.

„A u ciebie wszystko w porządku, kochanie?” — chciał z kolei wiedzieć Dan.

Sophy skinęła głową. W ostatniej chwili powstrzymała się przed poinformowaniem go, co naprawdę zamierza zrobić.

„Tak, u mnie wszystko dobrze. Pracuję u Hilary. Głównie jako kelnerka, ale czasami sprzątam pokoje i zmywam naczynia. Jak dotąd zarobiłam czterdzieści dwa funty”.

„Dobra dziewczynka — stwierdził Dan i po omacku sięgnął po dłoń Sophy. Ujęła tę chłodną i drobną rękę. — Dobra dziewczynka. To właśnie jest bilet do życia”.

„Czy to twój dziadek?” — zapytała przechodząca pielęgniarka.

„Coś w tym rodzaju...”

„Bardzo miły pan — oświadczyła siostra. — Dżentelmen w każdym calu”.

„Czy...?” — zaczęła Sophy i zamilkła.

Pielęgniarka zaczęła wertować karty chorych rozłożone na biurku.

„Nie sprawia najmniejszych kłopotów — oświadczyła. — Zeszłej nocy spał jak dziecko”.

Ale Vi nie mogła zasnąć. O drugiej w nocy zadzwoniła, budząc Ginę i Sophy, po czym zażądała, by natychmiast we trójkę pojechały do szpitala. Gina niezwłocznie poszła na Orchard Close, a Sophy, leżąc bezsennie w łóżku w swym pokoju na najwyższym piętrze, nasłuchiwała, czy nie rozlegnie się dźwięk silnika samochodu wracającej do domu matki. W końcu jednak zasnęła. Samochodu nie usłyszała. Gdy się rano obudziła, drzwi do sypialni Giny były zamknięte, a na kuchennym stole leżała kartka: *Kochanie, nie budź mnie. Wróciłam dopiero o piątej. Zobaczymy się później. Nie* — odpisała Sophy na dole kartki. — *Nie zobaczymy się. Dziś wieczorem pracuję i zostanę w Pszczelim Domu na noc.* — Później ruszyło ją sumienie, więc dopisała: *Mam nadzieję, że dobrze spałaś.*

Pociąg był tylko do połowy wypełniony pasażerami. Sophy wybrała miejsce naprzeciwko pogrążonej we śnie Murzynki i chłopca ze słuchawkami walkmana na uszach, pochłoniętego lekturą jakiegoś czasopisma poświęconego komputerom. Na kolanach trzymała miękką torbę ze słomy. Miała w niej T-shirt do spania, szczoteczkę do zębów, walkmana, kilka kaset, czerwoną kosmetyczkę i książkę zatytułowaną „Zmysł i wrażliwość”, którą dostała od Fergususa, a której nigdy nawet nie zaczęła czytać. Nie była w nastroju do jakiegokolwiek lektury.

„Jane Austen — oświadczył Fergus, dając jej w prezencie książkę zapakowaną w firmowy papier największej księgarni w Whittingbourne — to autorka najlepszych książek dla nastolatków. Sama się o tym przekonasz”.

Sophy odwróciła głowę i popatrzyła za okno, na rozciągające się za szybą pola, bezbarwne pola, gdzie tu i ówdzie pasły się dziwnie bezbarwne zwierzęta. Za polami ciągnęła się droga, przy której stało kilkanaście domów. Pośrodku piętrzyła się wieża kościelna, a za nią kolejna wysoka konstrukcja — silos zbożowy. Podarowana przez Fergususa książka o intymności pozostawała w zupełnej niezgodzie z jego nagłym odejściem. Zupełnie jakby intymność taka nic dla niego nie znaczyła, jakby stanowiła jedynie element gry. George oświadczył, że to nie tak. Powiedział, że człowiek, aby zerwać coś, czego już dłużej nie jest w stanie znieść, zapewne musi zniszczyć wszystko to, co naprawdę kocha. Powiedział, iż to samo czuje, porzuciwszy szkołę. Nie nawidził jej i musiał z niej odejść, ale jednocześnie sprawił rodzicom, którzy żyją jak żyją, okropny zawód. W kinie ujął na chwilę dłoń Sophy, a następnie położył ją jej na kolana, jakby zwracał pożyczoną chusteczkę.

„Nie chcę robić nic normalnego — powiedział. — Nie wiem. Może chcę po prostu dryfować. Ale nie tu. Nie w Whittingbourne, gdzie oczekiwania wszystkich ludzi są takie same”.

Sophy zamknęła oczy. Kiedy Fergus mieszkał jeszcze w Jego Wysokości, istniały nadzieje — dla niego, dla Giny, dla Sophy, dla samego domu. Fergus ich prowadził, stymulował, sprawiał, że Sophy czuła, iż ma w życiu cele, że czekają na nią ukryte skarby, ale też czują niebezpieczeństwa. Zwłaszcza to ostatnie. Fergus nie był człowiekiem godnym zaufania, nie był ojcem godnym zaufania, był inny niż Laurence. Laurence'owi człowiek ufa — myślała Sophy. — Laurence zawsze był na swoim miejscu, odpowiedzialny, stały, solidny i pracowity; podczas pracy odpędzał od siebie wszelkie niemądre myśli. Fergus natomiast, kiedy otwierało się drzwi — poprawka, kiedy otworzyło się drzwi — a on był w domu, stanowiło to zawsze zaskoczenie i niespodziankę, a człowiekowi zaczynało grać w duszy. Nic nie było w stanie

oduczyć Fergususa wielkowiejskich manier. Nic. Dlatego może Jego Wysokość pozbawiony obecności gospodarza stracił całą atmosferę tajemniczości i potęgi. Stał się uroczym, starym domostwem; świetnie utrzymanym, starym domem, ale przestał już być miejscem, gdzie Sophy spędziła dzieciństwo, miejscem, które otacza się miłością i czcią ze względu na jego sędziwość i emocje, przestał być pałacem z bajki. Po raz pierwszy w życiu Sophy zrozumiała George'a, zrozumiała, dlaczego chce opuścić Whittingbourne. W Whittingbourne nie było nic, w czym można byłoby się zakochać, nie było perspektyw, możliwości wybiecia się ponad przeciętność. Być może — myślała Sophy, otwierając oczy i widząc migające za oknem pociągu podmiejskie domki, uliczki z rzędami automatycznych pralni, alejki, zaułki i podwórka — wszystko to w pojęciu Fergususa uosabiała sobą Gina. Zapewne dostrzegał owe ogromne, bezkresne, błękitne dale, które miał nadzieję poznać George, i zdawał sobie sprawę z tego, że tylko tam jest w stanie żyć w pełni.

Przed stacją metra Holland Park, obok stoiska z prasą, znajdował się stragan z kwiatami. Sophy przystanęła. Ogarnęła ją straszna chęć kupienia Fergusowi bukietu, a jednocześnie bardzo się tego wstydziała. Gdyby podarowała mu kwiaty, coś by to znaczyło. Ale co? Nie chciała, żeby Fergus odebrał to jako przesłanie: Całkowicie ci wybaczam. Przecież wcale mu nie wybaczyła. Stała dłuższą chwilę, spoglądając na wielkie bukiety niewielkich, żółtych róż o pączkach zwiniętych ciasno niczym główki maleńkich, uwięzionych w celofanie kapustek. Nieszczęsne rośliny, które wyrosły nie po to, aby być tym, czym być powinny, ale po to, by je sprzedawano. Nad kwiatami wisiały koszyki ze schludnymi sadzonkami z owocami awokado i małutkich melonów. Zdecydowała, że pójdzie na kompromis i zanieśe Fergusowi awokado — prezent, ale prezent praktyczny. Z awokado nikt niczego nie wyczyta.

W rozmowie telefonicznej Fergus wyjaśnił, jak trafić ze stacji metra do jego domu. „To tylko dziesięć minut piechotą — powiedział. — Gdy dotrzesz do Shepherd's Bush, rozejrzyj się, a ujrzysz śliczne domy”.

Sophy dostrzegła drzewa; wysokie, przypominające te rosnące na wsi. Wzdłuż ulicy ciągnęły się bardzo eleganckie sklepy. Sklep mięsny, który nie wzbudzał w niej odrazy, perfumeria z witryną zastawioną ślicznymi flakonikami, francuska *patisserie* z plackami owocowymi na wystawie. Przypomniały jej wakacje spędzane w dzieciństwie we Francji. Przed oczyma Sophy stanął obraz białych, spowitych kurzem dróg, hotelików z zatęchłymi pokojami, jedzonych na śniadanie bułeczek, które maczała w kawie z mlekiem.

„Idź prosto na zachód i licz ulice — poinstruował ją Fergus. — Dotrzesz na uroczy, okolony domami placyk. Z niego skręć w prawo”.

Sprzedawca kwiatów zapakował koszyczek z awokado w torbę z brązowego papieru. Do koszyka dołączona była etykieta z wypisanym czerwonymi literami napisem: *Wielki*. Sophy wyrzuciła do najbliższego pojemnika na śmieci etykietę i torbę. Woląa podarować Fergusowi owoc niczym nieozdobiony. Kiedy będzie się nachylać, żeby pocałować córkę, ona wsunie mu w rękę awokado, odwracając tym jego uwagę i ułatwi sobie niezręczną chwilę powitania.

Dotarła do domu Fergus. Zatrzymała się po przeciwnej stronie ulicy i popatrzyła na budynek. Miał płaski dach, prosty front, jedno piętro, a od poziomu ulicy do lśniących czarnych drzwi wejściowych prowadziły stopnie z ciemną poręczą. Dom pomalowany został na biało, w oknach zaś, jakby Fergus mieszkał tam od dawna, wisiały grube, ciężkie kotary. Jedna była odsunięta i uniesiona na jedwabnym sznurze. Sophy przełknęła ślinę. Dom sprawiał wrażenie tak... tak zamieszkanego. Przed frontowymi drzwiami stał nawet wielki ceber z pelargoniami, ciemnoczerwonymi pelargoniami o białych środkach i pnących się niczym winoroślą liściach.

Przeszła bardzo powoli przez jezdnię i zatrzymała się przed dwoma schodkami prowadzącymi do frontowych drzwi. Stąd mogła

dostrzec główny pokój, widziała wielkie lustro, wiszące dawniej w holu Jego Wysokości, oraz fragment kanapy Po przeciwnej stronie pokoju znajdowało się drugie okno, przez które wpadały promienie popołudniowego słońca, nadając wszystkiemu złocistą barwę. Nawet z tego miejsca, gdy spoglądało się na pokój z dołu i widziało tylko nieliczne szczegóły, dom dawał poczucie bezpieczeństwa, podobnie jak niegdyś Jego Wysokość. Sophy błysnęła przelotna myśl, że nie jest do końca przekonana, czy jej się to podoba.

Sięgnęła do koszyka i wyciągnęła awokado. Owoc był ciepły i miły w dotyku. Weszła po stopniach i rozejrzała się za dzwonkiem. Znajdował się obok drzwi. Wykonano go z brązu, a nad nim, w wąską ramkę, wsunięta została wizytówka Fergususa. Obok widniała też inna wizytówka: Anthony Turner, restauracja dzieł sztuki. Kim...

Drzwi się otworzyły.

— Nie chciałem robić niespodzianek, ale dostrzegłem cię przez okno z kuchni i od razu wiedziałem, że jesteś Sophy — powitał ją całkowicie obcy mężczyzna. — Znam cię z fotografii.

Sophy uważnie przyjrzała się gospodarzowi. Był niski, miał około trzydziestu lat, ciemne, kręcone włosy i ujmujący uśmiech. Nosił czerwoną koszulę, białe dżinsy i sandały.

— Nazywam się Tony Turner — powiedział, wyciągając rękę. — Fergus wyszedł po truskawki.

— Tak — mruknęła Sophy i ścisnęła mocniej awokado.

— Wróci za chwileczkę. Wejdz, proszę.

Sophy wkroczyła do holu o posadzce z czarnych i białych płyt, ciągnącego się przez całą długość domu. Na ścianach wisiały lustra, a w kącie stała statua. Sophy uważnie się jej przyjrzała. Był to posążek przedstawiający dziewczynkę, który, jak daleko Sophy sięgała pamięcią, miał swoje miejsce w małym, gotyckim letnim domku w ogrodzie Jego Wysokości. Fergus mówił córce, że statua wykonana została z gipsu i gdyby wystawić ją na deszcz, rozpuściłaby się jak cukier.

— Cześć — mruknęła do posążka i poklepała dziewczęcą postać.

— To śliczna rzeźba — oświadczył Tony Turner. — Taka delikatna.
— Ten posążek należał kiedyś do mnie — burknęła Sophy. — Do niedawna stał w moim ogródku.

Schowała do koszyka awokado.

— Zgadza się — powiedział Tony Turner i dodał żywym, serdecznym tonem: — Chcesz obejrzeć nasz ogród?

Nasz?

Sophy potrząsnęła głową.

— Myślę, że raczej poczekam na ojca.

— Twój ojciec prosił, żebym pokazał ci ogród — odparł cierpliwie Tony.

— Pokaże mi sam, jak wróci — warknęła Sophy.

Przepelniała ją złość. Odwróciła się na pięcie i weszła do pokoju, który widziała z ulicy. Zbliżyła się do znajomej, uroczej kanapy zdobiącej kiedyś salon w Jego Wysokości. Jej kanapa, kanapa Fergusa, ich kanapa. Tony przez chwilę obserwował pochyloną nad kanapą Sophy. Patrzył na jej wąskie ramiona i plecy, na które spadał cienki warkocz.

— A zatem do powrotu Fergusa zostawiam cię samą. Zobaczysz go przez okno. On zaraz wróci.

— Wybacz — powiedział Fergus. — Ale miałem ogromną ochotę na truskawki. Myślałem, że spotkam cię po drodze.

Stał przed Sophy, ściskając torbę z owocami. Czula dziwny, wywołujący wspomnienia i prawie syntetyczny zapach truskawek. Fergus nic się nie zmienił, był taki sam, tak samo pachniał, ale nosił inną koszulę, ciemnozieloną, chyba z kościanymi guzikami.

— Kim jest ten...?

— Tony? To mój wspólnik w interesach. Bez niego nie stać by mnie było na kupno tego domu.

Sophy odeszła od ojca.

— Powiedział: nasz ogród.

— Bo to prawda. Dom należy do nas obu.

— Nic o nim nie wiem — stwierdziła z dziecięcą prawie pretensją.

— Masz rację. Ale niebawem go poznasz. To bardzo miły człowiek. Od pięciu czy sześciu lat odnawia dla mnie dzieła sztuki. Niedawno umarła mu matka, po której odziedziczył trochę gotówki, i zainwestował ją w połowę tego domu.

— Mówisz bardzo rozsądnym tonem — zauważyła nadąsana Sophy.

Fergus ujął jej dłoń.

— W przeciwieństwie do ciebie. Daj spokój. Obejrzyj dom. Sama zobaczysz, ile jest w nim twoich fotografii. Nawet tutaj, w tym pokoju są dwie.

Sophy odwróciła się. Ujrzała dwa swoje zdjęcia zrobione, kiedy miała trzy i siedem lat. Wisiały w tym osobiście obcym salonie w londyńskim domu, a ona uśmiechała się z tych fotografii głupawo, ponieważ nie wiedziała jeszcze, co przyniesie jej przyszłość.

— Kuchnię mamy w suterenie — wyjaśnił Fergus. — Wychodzi się z niej po schodkach do ogrodu. Ja zajmuję parter, a Tony rozlokował się na piętrze, bo ma dużo młodsze ode mnie nogi i łatwiej mu chodzić po schodach. Zastanawiamy się, czy nie sprawić sobie kota.

Sophy milczała. Podeszła do okna i wyjrzała na niewielki ogródek z mnóstwem kwiatów, okrągłym, białym stolikiem i czterema również białymi krzesłami ustawionymi na niewielkim kręgu wyłożonym kamieniami. Dalej znajdował się budynek przypominający wielki garaż.

— Teraz rozumiesz, dlaczego zdecydowaliśmy się na kupno tego domu — powiedział Fergus, podchodząc do Sophy. — Tam mieści się pracownia Tony'ego i mój magazyn. Wszędzie zainstalowaliśmy alarmy przeciw włamaniom. Kosztowały prawie tyle co cały dom.

— Wygląda tu tak, jakbyś mieszkał tutaj już od lat — zauważyła, nie patrząc na Fergus.

— Naturalnie — odrzekł. — Przecież mnie znasz. Domy, to jak się w nich żyje... zawsze przykładalem do tego najwyższą wagę...

— Och! — wykrzyknęła ogarnięta nagłą furią. — Dobrze o tym wiem! Po tym, co zrobiłeś, znam to lepiej niż ktokolwiek inny!

Fergus położył ostrożnie torbę z truskawkami na stos czasopism poświęconych muzealnictwu.

— Posłuchaj, Sophy...

— Nie mów tak. Nigdy nie mów do mnie w taki sposób...

Uniósł uspokajająco rękę i powiedział bardzo stanowczo:

— Sophy, przecież ci wyjaśniłem. Wyjaśniłem ci wszystko. Jeśli mnie nie słuchałaś lub nie chciałaś zrozumieć, to twoja sprawa. Ale powiedziałem ci, prosto i uczciwie, dlaczego musiałem odejść, dlaczego koniecznie musiałem odejść.

Pochyliła się w jego stronę, oczy rozgorzały jej gniewem.

— Nie miałaś prawa odejść! — wyszczała. — Wcale nie pomyślałeś o mnie!

Fergus nic nie odrzekł. Ale wyraz twarzy mu się zmienił. Cała jego dotychczasowa pewność siebie i zdecydowanie zniknęły. Sophy postanowiła wykorzystać tę przewagę i wykrzyknęła tym samym, rozwiścieczonym tonem:

— Wyparłeś się mnie. Przez wszystkie te lata robiłeś mi zdjęcia, przygotowywałeś śniadania, rozmawiałeś ze mną o różnych rzeczach, czytałeś mi, dawałeś kieszonkowe, sprawiłeś, że uwierzyłam, że mogę na tobie całkowicie polegać, a ty się wyparłeś.

— To nie ty... — zaczął udreńczonym tonem.

— Ale na to wyszło, prawda? Zostawiłeś mnie bez względu na to, czy chciałeś tego, czy nie. Zostawiłeś mi cały ten bałagan, cały ten psychologiczny zamęt, cały smutek, żal, połowę domu i brak perspektyw na przyszłość. To mi właśnie zrobiłeś, prawda? Zrobiłeś to, co chciałeś, wszystko popsuleś i zostawiłeś mnie i mamę. Lubię mamę, jest mi jej bardzo szkoda, ale nie chcę borykać się ani z nią, ani ze wszystkimi innymi problemami. Po co? Po co miałabym robić cokolwiek dla ciebie po tym, co ty zrobiłeś mnie? Nauczyłeś nas pewnego sposobu życia, uparłeś się, że tak właśnie musimy żyć, a następnie sobie odszedłeś, mówiąc, żebyśmy dalej radziły sobie same. Teraz chcesz mi pokazać swój dom i tego typu Tony'ego, zupełnie jakby była to rzecz normalna, zupełnie jakbyś wszystkiego nie zniszczył, zupełnie jakbyś miał prawo żyć sobie w taki sposób, w jaki teraz żyjesz!

Fergus próbował ująć dłonie Sophy, ale gwałtownie się cofnęła, chowając ręce za siebie.

— Nie dotykaj mnie!

— Kocham cię — powiedział Fergus.

W jednej chwili się postarzał. W swej nowej, zielonej koszuli wyglądał nagle dużo mniej pewnie i mniej stylowo.

— Jasne.

— Naprawdę. Jesteś zapewne jedyną osobą, którą zawsze szczerze kochałem i zawsze będę kochać. Jesteś we mnie, jak krew w żyłach i powietrze w płucach. Nie chciałem, żeby tak się stało, nie przyszło mi nawet do głowy, że to tak właśnie będzie wyglądać. Miałem nadzieję, że zrozumiesz...

— Gdybym nawet zrozumiała, jak to ładnie ująłeś, znaczyłoby to, że musiałabym spojrzeć na mamę tak, jak ty na nią patrzysz. Czyżbyś się spodziewał, że patrząc na nią jak ty, mogłabym z nią mieszkać pod jednym dachem?

Skinął głową.

— A jednak nie znaczy to, że nie masz użyć swej wyobraźni. Nie znaczy to, że nie masz zrozumieć, biorąc pod uwagę moją i jej osobowość, iż między mną a twoją matką nigdy nie było porozumienia i harmonii.

Do ogródka wyszedł z kuchni Tony Turner. Niósł butelkę wina i kieliszki. Popatrzył w ich stronę, uśmiechnął się i uniósł zapraszająco ręce. Fergus odmachnął mu.

— Możemy do tego tematu wrócić wieczorem?

Sophy po raz pierwszy wzięła w palce niebieski koralik.

— Co masz na myśli? — odparła pytaniem.

— Powiedziałaś, co chciałaś powiedzieć, a ja potraktowałem to bardzo poważnie. Chcę, żebyśmy do tego wrócili, ale za jakieś dwie lub trzy godziny.

Wsunęła koralik w usta.

— Dobrze.

Fergus sięgnął po torbę z truskawkami.

— Polubisz Tony'ego — oświadczył. — Masz na to moje słowo.

Kolację jedli w ogrodzie przy świetle specjalnych, amerykańskich świec w szklanych lampach, których blask odganiał owady. Mężczyźni mieli na białych talerzach wiele gatunków salami, a dla Sophy Fergus przygotował ciasto ze szpinakiem, kruszone orzechy, kielki i paszteciki z topionym serem. Było dużo wina, włoski chleb, sałatka z liśćmi gorczycy, a na deser truskawki. Ponieważ Tony był półkrwi Amerykaninem, podał je na sposób amerykański, z sokiem z limonek, palonym cukrem i kwaśną śmietaną. Bardzo dużo rozmawiali. Mężczyźni opowiadali o swych podróżach i przygodach, jednych śmiesznych, innych niemiłych i dramatycznych, jakie spotkały ich w świecie muzealnictwa. Wciągali w rozmowę Sophy, którą pytali o poglądy na rozmaite tematy.

— Ona ma wyśmienite oko — oświadczył Fergus. — Już kiedy miała cztery lata, z ochotą i ze znanstwem zwiedzała galerie sztuki.

— Naprawdę? — zapytał z uśmiechem Tony.

— Nie miałam wyboru — odparła bez uśmiechu Sophy, która nie była jeszcze pewna, czy powinna włączyć się do ich gry.

Po kawie, zaparzonej w prawdziwym, miniaturowym ekspresie, Fergus zaprowadził ją do domu. W jego sypialni, której okna wychodziły na ogród, znajdowało się bardzo dużo rzeczy, które tyleż pragnęła przytulić do siebie, co nie mogła znieść ich widoku. Obok łóżka stało jej zdjęcie zrobione podczas ostatniego Bożego Narodzenia. Miała na sobie dodający jej tajemniczości sweter z kapturem, który dostała od Hilary i Laurence'a. Wyglądała w nim jak ścigana bohaterka osiemnastowiecznego romansu.

Do sypialni przylegała niewielka łazienka wyłożona niebieskimi i białymi kafelkami, schludna niczym kabina na statku. Dalej znajdowała się kolejna sypialnia, gdzie stało tylko łóżko, białe krzesło, przesłiczny stary stolik, a na nim lampa. Na ścianie wisiało małe zwierciadło w złoczonej ramie.

— Twoja — oświadczył Fergus.

— Co moja?

— Twoja sypialnia. Pomyślałem, że umebujemy ją wspólnie. Dlatego prawie niczego w niej jeszcze nie ma. Nie chciałem zaczynać bez ciebie.

Sophy w milczeniu rozejrzała się po pokoju. Było w nim chłodno i panowała cisza mącona jedynie szumem przejeżdżających ulicą samochodów. Poczła nagle, że za chwilę wybuchnie płaczem, co byłoby znacznie gorsze od furii, w jaką wpadła przed trzema godzinami.

— Och, Sophy — odezwał się z rozpaczą Fergus. — Moja najdroższa Sophy, proszę, pomóż mi.

Odeszła od niego i postawiła koszyk na jasnej narzucie łóżka.

— Nie powinienes mnie o to prosić.

— Ależ muszę...

— Nie powinienes mnie o to prosić, ponieważ nie jestem w stanie pomóc nawet samej sobie.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

— Tak, masz rację — przyznał prawie niedosłyszalnie, po czym dodał trochę głośniejsze: — Może chcesz się wykapać?

— Tak, chętnie, ale...

— Ale co?

— Kto pozmywa po kolacji?

— Tym się nie zajmuj. My to zrobimy, Tony i ja.

— Rozumiem.

— Sophy...

— Tak?

— Jeśli... jeśli będziesz nieustannie podsycać swój gniew i urazę, nigdy nie zdołamy porozmawiać.

Odwróciła się w jego stronę.

— Nie sędzę, żeby rozmowa miała tu cokolwiek do rzeczy.

Siejesz tylko wokół siebie zniszczenie. Najpierw żyliśmy razem, później zniszczyłeś nasze wspólne życie, a teraz to. Jeśli zamierzasz załatwić wszystko rozmową, to zapewniam cię, że nic nie wskórasz.

Spoglądał na córkę długą chwilę. Następnie zrobił krok w jej stronę, położył dłonie na ramionach i pocałował ją w czoło, które znajdowało się na wysokości jego ust.

— Dobranoc — powiedział z ogromnym smutkiem. — Dobranoc. I bez względu na to, co sobie myślisz, cieszę się, że tu jesteś.

Sophy zamknęła oczy.

— Dobranoc — odparła.

Słuchała, jak wychodzi z pokoju, zamyka za sobą drzwi, cicho schodzi po schodach, mija salon i idzie do kuchni, by wraz z Tonym Turnerem pozmywać po kolacji.

Rozdział dziesiąty

— Czy przypominasz sobie starego Harrisona z mojej szkoły? Tego, który zostawił mi Pszczeli Dom...

— Oczywiście — odparła Gina.

Leżała obok niego z głową złożoną na jego nagim ramieniu.

— Pamiętam, jak opowiadał nam o zimorodkach, halcjonach. Grecy wierzyli, że ptaki te zimą, w bezwietrzne dni budują unoszące się na morskich falach gniazda. Do dzisiaj pamiętam grekę. *Alkyon*. Nie jesteś pod wrażeniem? Starożytni, żeby słowo to pasowało do ich koncepcji pływających gniazd, zamienili je na *halkyon*, od *hals*, morze, i *kyon*, poczęcie.

— I co z tego? — zapytała.

Czuła się rozkosznie i bezpiecznie, kiedy Laurence trzymał ją w ramionach, a ona miała pod policzkiem jego skórę.

— Odnoszę wrażenie — wyjaśnił, spoglądając na sufit — jakbyśmy zbudowali gniazdo na morskich falach w okresie ciszy. Jakbyśmy pośród niepokoju, nieszczęść i burz trafili nieoczekiwanie na oazę spokoju dlatego, że znaleźliśmy odpowiedź.

— Naprawdę czujesz ten spokój?

— Tak.

Uniosła głowę, wsparła się na łokciu i popatrzyła na Laurence'a, popatrzyła na jego twarz znajdującą się w miejscu, gdzie zazwyczaj znajdowała się twarz Fergususa. Spoglądał na nią łagodnie i z niezmyślnym spokojem.

— Nawet mimo całej naszej konspiracji, kombinowania i kradzionych chwil?

— Nawet.

Zerknęła nad jego ramieniem na stojący na nocnym stoliku zegar, który Fergus postawił kiedyś po swojej stronie łóżka. Dwadzieścia po czwartej. Jeszcze dziesięć minut i mogła pojawić się Sophy. Albo Hilary zacznie podejrzewać, że wyprawa do sklepu po sery i mąkę tatarską zbytnio się przeciąga.

— A ja nie. Nie czuję spokoju. Jestem niewiarygodnie szczęśliwa, ale na pewno nie spokojna.

Odwrócił się i popatrzył jej w oczy. Przeciągnął palcem po twarzy Giny i zatrzymał opuszek na ustach.

— Dręczą cię wyrzuty sumienia?

— Tak. A ciebie nie?

Chwilę się zastanawiał.

— Też. Ale niewielkie. — Odwrócił głowę i popatrzył za okno. — Hilary i ja...

— Nie — przerwała mu szybko Gina.

— Co nie?

— Nie mów o sobie i Hilary. Nie znoszę tego. Hilary...

— Gdyby między mną a Hilary było wszystko w porządku, nie leżałbym z tobą w łóżku. Ani bym się w tobie nie zakochał... — Urwał i po chwili dodał: — Zastanawiam się tylko, czy przypadkiem nie kochałem cię od samego początku, ale byłem za głupi, aby to dostrzec.

Gina przesłała mu uśmiech. Pochyliła się i pocałowała go w usta.

— Musisz już iść.

— Smakujesz śliwkami.

— Lepsze to, niż stara popielniczka...

— Na Boga, skąd takie pomysły? — wykrzyknął, siadając i spuszczać nogi na podłogę.

— Nie wiem. Tak mi się głupio powiedziało.

Popatrzył na nią.

— Kocham cię.

Skinęła głową.

— Nie powtarzaj tego za często. Słowa się zużywają.

Wstał i owinął biodra ręcznikiem.

— Głupi pomysł.

— Laurence...

— Tak?
— Kiedy znów się spotkamy?
Zamknął oczy.
— Niebawem. Jak najszybciej. Może we czwartek.
— Między pasztetem a tortem cytrynowym...
— Tak, coś w tym rodzaju — odparł z uśmiechem. Ociągał się z odejściem.

Gina wstała z łóżka i sięgnęła po szlafrok.

— Powiesz Hilary?

Laurence chwilę milczał.

— Powiesz?

— Tak — odrzekł po drodze do łazienki. — Oczywiście, że powiem. Wtedy, gdy dokładnie już będę wiedział, co chcę powiedzieć.

Kiedy zamknął się w łazience, Gina wzięła szczotkę do włosów i zaczęła się energicznie czesać.

„Uwielbiam proste włosy — oświadczył jej kiedyś Laurence. — Proste, gęste, lśniące włosy. Są zdumiewająco seksowne. Co jest tak seksownego we włosach?”

Obecnie wszystko jest dla mnie seksowne — pomyślała z rozba-wieniem podczas szczotkowania. — Wszystko. Aż mi się nie chce w to wierzyć. Nie mieści mi się w głowie, że mogłam przejść całą tę drogę od kobiety porzuconej do kobiety pożądanej. Wprost nie wierzę w tę transformację; straszliwą, cudowną, wspaniałą transformację.

W końcu dotarliśmy do tego punktu, prawda ? — napisał do niej przed dwoma dniami. — Posuwaliśmy się według mapy, którą dostaliśmy, mając po szesnaście lat. Przebyliśmy góry, lasy, rzeki i dżungle po to, by znaleźć się właśnie w tym punkcie. Zastanawiam się tylko, dlaczego ta podróż zajęła nam aż tyle czasu.

Oświadczył, że kiedy Fergus odszedł, poczuł osobliwą ulgę, ale nie miał zielonego pojęcia, skąd się to uczucie bierze. I z jakim trudem okazywał sympatię Fergusowi, który zupełnie nie był w jego typie. Oświadczył, iż zawsze odnosił wrażenie, że Sophy jest dla niego kimś dużo więcej niż tylko córką bliskiej znajomej.

„Rozumiesz? — zapytał. — Płatałem się przez te wszystkie lata,

jakbym miał opaskę na oczach, i nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby ją zerwać”.

„Ale była przecież Hilary. Zakochałeś się w Hilary”.

„Zgadza się. Ale to wcale nie wykluczało ciebie”.

„Mnie tu nie było. Przebywałam w Pau”.

„Dlaczego zawsze tak chłodno traktujesz wszystkie moje deklaracje?”

„Ponieważ muszę mieć absolutną pewność co do twoich intencji. Muszę naprawdę nabrać do ciebie bezgranicznego zaufania. Nie zniosłabym kolejnego porzucenia”.

Teraz, kiedy wyszedł z łazienki, ubrany i pachnący pastą do zębów, powiedział:

— Czy nie wyglądam za czysto?

Gina uśmiechnęła się.

— Na pewno pachniesz czystością.

— Kupię więc trochę sera gorgonzola i całą drogę powrotną do domu będę ugniatać go w dłoniach.

— Nie znoszę myśli, że wracasz...

Stał nieruchomo i spoglądał na Ginę.

— Nie.

— Tak trudno nam się teraz ze sobą rozstawać. Jak udawała się nam ta sztuka przez wszystkie te lata...

— D.Z i P.Z. Do Zakochania i Po Zakochaniu.

— Nie mamy już odwrotu — powiedziała znacząco Gina.

— Nie. Nie mamy. Beznadziejna sprawa. Kanoe prześlizgnęło się przez liczący dziesiątki metrów wodospad i nie może już zawrócić.

— I dzięki Bogu.

— A co powiesz swojej pani psycholog? — zapytał z uśmiechem Laurence.

— Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Z całą pewnością nie wymienię żadnych nazwisk. Ale muszę jej powiedzieć, że z tą miłością to miała rację.

Trzymając Ginę za rękę, pochylił się i pocałował ją w usta.

— Żegnaj, kochanie. Laurence Wood kocha Ginę Sitchell.

Zamknęła oczy.

— A teraz zmykaj — wymamrotała cichutko.

Przez okno w salonie Vi obserwowała Adama i Gusa Woodów, którzy pielili rabaty kwiatowe Dana. Chłopców przysłała Hilary, twierdząc, że trochę pracy społecznej wyjdzie na dobre zarówno im jak jej, ponieważ będzie miała w domu chwilę spokoju.

„Bezrobotny mężczyzna jest nie do zniesienia — oświadczyła matce Giny. — Potwornie irytujący. Zawsze chciałam mieć córki”.

„Nie masz racji — odparła Vi. — Synowie nie traktują matek tak protekcyjnie jak córki”.

Chłopcom wyrywanie chwastów nie szło najlepiej i ich praca wcale by się Danowi nie podobała. Za każdym razem, gdy wyrywali jakieś zielsko, ziemię z korzeni strząsali na ścieżkę. Vi pomyślała, że później, kiedy poczęstuje już tych darmowych robotników herbatą i ciastem własnego wypieku, kawowym ciastem w czekoladzie i z włoskimi orzechami, będzie musiała tę ziemię zmieszać. Zabawne, jak włoskie orzechy przypominają małe mózgi. Cieszyła się, że miała w końcu komu zrobić ciasto. Sophy była zbyt zajęta i nie wpadała na Orchard Close, a Dan tylko troszeczkę, niczym żaloszny ptaszek, skubał specjalny, jakie przynosiła mu do szpitala. Była przekonana, że Dan w szpitalu marnieje i marnieje. Szpital! Raczej przytułek, w którym obowiązują surowe przepisy, bezduszna higiena, a jedzenie jest tak wstrętne, że nie ruszyłby go nawet wygłodniały pies. W tej chwili, gdyby nie to, że Dan ubłagał ją, aby zrobiła coś z chwastami w ogródku, bo nieustannie się o niego troskał, byłaby u niego i próbowała skusić kilkoma smakołykami. Z bólem serca myślała o tym, że leży w szpitalu dręczony okropnymi myślami i jest całkowicie bezradny. Pochyliła się gwałtownie, żeby otworzyć okno.

— Uważaj, gdzie włączysz tymi buciorami! — krzyknęła.

Adam zerknął na swe stopy, jakby zdumiony tym, że ponosi za nie odpowiedzialność.

— Co...

— Lobelie! — wrzasnęła Vi. — Kompletnie je podeptałeś!

Adam przesunął nogę i popatrzył na pogniecione niebieskie kwiatki.

— Przepraszam...

— I co mi z twoich przeprosin?

Adam zszedł z grządki i podszedł do okna. Bardzo lubił Vi. Wiedział, że jest miła i bardzo bezpośrednia.

— Przepraszam, Vi. Naprawdę. Nie chciałem tego zrobić. Po prostu moje nogi...

Oboje zerknęli na jego buty.

— Widzę.

— Kupię nowe sadzonki...

— Nie trzeba — powiedziała udobruchana Vi. — I tak do jesieni pozostało już tylko kilka tygodni. Czy widziałeś Sophy?

— Dzisiaj nie — odparł Adam.

Poprzedniego wieczoru wraz z Gusem w sypialni w Pszczelim Domu zrobili z poduszek imitację postaci Sophy i położyli ją pod kołdrą na mosiężnym łożu. Kukła wyglądała bardzo naturalnie, tyle tylko, że brakowało jej głowy i Gus żałował, że nie mają żadnej peruki. Ale Sophy nikt się nie zainteresował, a ponadto w najbardziej odpowiedniej chwili wybuchła awantura między Hilary i Laurence'em, po której ich ojciec wyszedł z domu o północy na spacer, by — jak oświadczył — zaczerpnąć świeżego powietrza. Adam nie był pewien, o co rodzice się pokłócili. Dotarły do niego jedynie strzępy jakichś niesprecyzowanych bliżej oskarżeń o niesprawiedliwy podział obowiązków i odpowiedzialności. Laurence kilkakrotnie użył określenia „niewdzięczna harówka”. Adama niewiele cała ta sprawa obeszła, ale Gus był dociekliwy, więc przez cały czas dopytywał się, o co rodzicom poszło oraz co może z tego wyniknąć. Adam próbował odwrócić jego uwagę i zająć brata wideo, lecz Gus nie potrafił skupić uwagi na filmie. Siedział przed telewizorem, bawił się kosmykami włosów i obgryzał skórki przy paznokciach, aż w końcu Adam stracił cierpliwość, huknął na brata i zajął się własnymi sprawami. Wtedy też weszła do nich Hilary. Poirytowana oświadczyła, że boli ją głowa, poprosiła, by wyłączyli hałaśliwy film, po czym dodała, że Laurence wyszedł na spacer.

„Po co?” — natychmiast spytał Gus.

„Żeby zaczerpnąć świeżego powietrza”.

„Po co?”

Hilary najwyraźniej nie dostrzegła, że chłopaka coś gryzie.

„O co ci chodzi? — zapytała. — Słyszałeś naszą...” Poszła do łóżka. Gdy do domu wrócił George, Gus zrobił gorącej czekolady i we trójkę udali się, by obejrzyć poduszkową Sophy.

„Nieźle” — stwierdził George.

— Zapewne zobaczę się z nią później — powiedział teraz Adam do Vi. — Czy mam jej coś przekazać?

Vi westchnęła. Zdjęła ze swej letniej kamizelki długą, szkarłatną nitkę i wyrzuciła ją przez okno.

— Nie trzeba. Nie kłopotz się. Po prostu chciałam się dowiedzieć, co u niej słychać.

— Jest trochę załamana — odparł bezradnie Adam. — Trochę spięta. Sama wiesz, jak to jest.

— Jak każdy — odparła znacząco Vi. — Po prostu jak każdy.

Adam wspiał się na palce i zaczął przeciągać ramiona tak, że jego podkoszulek podszedł w górę. Pokazał się pasek zielonkawobiałej skóry na brzuchu.

— Z wyjątkiem mnie — oświadczył z pozbawionym kompletnie wesołości uśmiechem. — Ja bawię się doskonale.

W Jego Wysokości na najwyższym piętrze, w służącej za magazyn pakamerce, Gina znalazła wreszcie to, czego szukała. Grube kartonowe pudło, gdzie kiedyś mieścił się tuzin butelek burgunda; teraz przechowywała w nim pamiątki ze swego pobytu we Francji: widokówki, mapy i przewodniki, fotografie i rachunki z lokali, niewielki posążek z białego gipsu, przedstawiający Henryka IV w kubraku, pończochach i trzewikach z klamrami, подарowany jej na pamiątkę przez wdzięcznych uczniów w Pau.

„Może wrócę do Francji — oświadczyła Laurence'owi podczas jego milej, niespodziewanej wizyty, jaką złożył jej o północy. — Właśnie o tym myślałam”.

„Do Francji?” — zapytał wyraźnie zaskoczony.

„No cóż, tutaj nie możemy zostać, prawda? A we Francji oboje znajdziemy pracę. Pau znam doskonale”.

„Tam spotkałaś Fergususa...”

„Czy to ci przeszkadza?”

Ściągnął usta.

„Możemy wyjechać. Po dzisiejszym wieczorze mam wszystkiego dosyć. Nie wiem, co bym ze sobą zrobił, gdybym nie miał ciebie i nie mógł do ciebie przyjść”.

„Zawsze mogłeś...”

Siedzieli przy kuchennym stole. Zamknięta w klatce papużka Sophy odwróciła się do nich ogonem i wsunąwszy łeppek pod skrzydło, spała. Laurence ujął dłoń Giny.

„Wiem. Ale nie tak jak teraz”.

„Nic nie jest już takie samo. Nic nie będzie takie samo jak teraz ani takie jak było. Dlatego właśnie przyszedł mi do głowy pomysł z wyjazdem do Pau”.

Pocałował jej dłoń.

„Kochanie, czuję się jak potłuczony. Nie jestem w stanie myśleć o niczym oprócz tego, jak bardzo nie chce mi się wracać do domu”.

Wyszedł około pierwszej. Dłuższą chwilę stali objęci w spowitym mrokiem ogrodzie, a następnie bezszelestnie odszedł, minął bramę i znalazł się na ulicy. Gina wróciła do domu, zaparzyła herbatę i postanowiła odwołać poranne spotkanie z Dianą Taylor, a w zamian odowiedzieć Vi. Podjąwszy tę decyzję, poszła do łóżka w tak radosnym nastroju, jakiego nie przeżywała od lat. Przed drzwiami sypialni zatrzymała się i zerknęła na strome, krótkie schody, prowadzące do pokoju Sophy. Sophy... W jednej chwili opuściła ją radość, zmroził ją strach, poczuła, że żołądek podchodzi do gardła, jakby znajdowała się w spadającej windzie. Czekala ją jeszcze rozmowa z Sophy. No cóż — pomyślała z rezygnacją. — Czekala nas jeszcze wiele trudnych chwil. Laurence musi powiadomić Hilary i synów, a ja Vi i Sophy.

Wyniosła karton po winie z pakamery na schody i postawiła go pod świetlikiem w suficie. Z rozczuleniem wspominała Pau, wspominała przepyszny widok na Pireneje i absurdalne, uroczne pozostałości czasów i obyczajów angielskich, polowania i Cercle Anglais, Klub Angielski z salą bilardową oraz popiersiem królowej Wiktorii. Była wtedy tak szczęśliwa. Mieszkała w osobliwym, małym mieszkanku tuż

obok Boulevard des Pyrenees, rankami uczyła w szkole, a popołudniami udzielała lekcji gry na pianinie. Naukę muzyki prowadziła w wysokiej sali przy Place de Verdun. Do pomieszczenia wpadało prze-filtrowane przez długie, koronkowe firanki światło z wewnętrznego dziedzińca, a w chińskim dzbanie rosła paproć z gatunku włoskiego złotowłosa. Na pianinie stał mosiężny, inkrustowany drewnem me-tronom w kształcie wieży Eiffla, z którego nigdy nie korzystała. Na-więzała w Pau liczne przyjaźnie i znajomości. Podczas weekendów robiła z przyjaciółmi wyprawy do doliny Ossau oraz na tereny winnic Juranon. Tam dzięki pewnemu Anglikowi posiadającemu w Pau willę wybudowaną przez jego dziadka w czasach, gdy Pau cieszyło się jesz-cze sławą wiktoriańskiego uzdrowiska, spotkała Fergusa. Przyszedł wycenić niektóre meble w willi. Anglik został na kolacji, na którą zaproszono również Ginę. Wtedy właśnie poznała wysokiego, jasno-włosego, przystojnego mężczyznę. Stał przy wielkim, przeszklnym, otwartym oknie salonu i oglądał rozciągający się za domem ogród.

„Niech pani tylko popatrzy na to — powiedział do Giny i wybuch-nął śmiechem. — Wyborne. Rośnie tu nawet araukaria, zwana chilij-ską sosną. *Araucaria araucana*. Komu, poza wiktorianami, mógł przyjść do głowy pomysł zasadzenia tu czegoś takiego?”

Obserwował Ginę przez cały wieczór i najwyraźniej był pod prze-możnym urokiem nowej znajomej.

Teraz gwałtownie otworzyła pudło i zerknęła do środka. Zapewne lepiej by dla niej było nie wracać myślami do tamtego wieczoru, po-nieważ cały kłopot ze sprawami, które ułożyły się źle, polegał na tym, że potrafiły zatruć najcudowniejsze wspomnienia z czasów, kiedy wszystko jeszcze toczyło się pomyślnie. Tak czy owak nie chciała my-sleć o Fergusie w Pau. Chciała myśleć o sobie i o ponownym odnalezieniu się w zdrowym, górskim powietrzu francuskiej miejscowości, tym razem jednak z Laurence'em u boku. Na samym wierzchu pudła leżała widokówka z panoramą Pau i ciągnącym się za miasteczkiem na horyzoncie odległym, zaśnieżonym masywem Pirenejów. Odwró-ciła kartkę pocztową. *Powinieneś tu przyjechać* — napisała po lewej stronie pocztówki. — *W Pau jest cudownie i naprawdę osobliwie.*

Pomyśl o tym. Proszę, potraktuj moją propozycję poważnie. Kochająca Gina. Po prawej stronie napisała: *Laurence Wood, 17 The Leas, Whittingbourne.* Nigdy tej kartki nie wysłała. Napisała ją, nie wiedząc jeszcze nic o Hilary, a później spotkała Fergusa i pocztówka poszła w zapomnienie. Teraz patrzyła na nią z niejakim zdziwieniem. List ów stanowił omen, wieszczy znak, kolejny niewielki, lecz znaczący punkt orientacyjny na mapie.

W witrynie agencji mieszkaniowej Barton and Noakes Hilary spostrzegła lśniąca fotografię Jego Wysokości.

Wyjątkowa okazja — głosił napis pod zdjęciem. — Piękny, historyczny dom w mieście. Polecamy szybkie zainteresowanie się sprawą.

Zdjęcie zrobił ktoś, kto wspiął się z aparatem fotograficznym na latarnię stojącą po przeciwnej stronie ulicy i przycupnął na niej, niczym słynny święty na słupie. Zdjęcie było bardzo wyraźne, obejmowało cały front budynku, ukazując jednocześnie przeuroczy, stary, kamienny balkonik, nieużywany przez mieszkańców domu i znany jedynie przelatującym ptakom. Hilary weszła do agencji. Tam dostarczono jej oprócz zdjęcia, które widziała już w witrynie, więcej materiałów dotyczących Jego Wysokości. Dostała folder ze sztywnego kremowego kartonu, zawierający fotografie samego budynku i jego wnętrza; wyłożonego boazerią holu, klatek schodowych, gotyckiej ławy w ogrodzie. Cena wywoławcza domu wynosiła dwieście dwadzieścia pięć tysięcy funtów.

Mając w torbie, obok odebranych od szewca butów Laurence'a i całej masy znaczków pocztowych na listy miejscowe, broszurę z ofertą sprzedaży Jego Wysokości, Hilary odczuwała niejasną radość. I to nie dlatego, żeby życzyła Ginie źle — od tego była daleka — ale było coś niepokojącego w kręcącej się nieustannie w pobliżu Ginie, która straciła męża oraz wypadła z utartych kolein, jak koń, co zbiegł z toru podczas gonitwy Grand National. Nie wykazywała wprawdzie oznak, że może zrobić coś nieprzewidywalnego, ale Hilary bacznie obserwowała. Była świadoma tego, że Laurence od czasu do czasu posyła do

Jego Wysokości wypieki z hotelowej kuchni. Choć nie mogła mieć o to pretensji — takie postępowanie jej męża było jak najbardziej na miejscu — to z jakichś względów drażył ją niepokój.

Lecz skoro Jego Wysokość wystawiony został na sprzedaż, po sfinalizowaniu transakcji Gina może dojść do wniosku, że nadeszła pora, aby zerwać z przeszłością i wynieść się z Whittingbourne. Zdając sobie sprawę z tego, że rozumuje zupełnie jak jej siostra Vanessa, Hilary doszła do przekonania, że byłoby to całkiem rozsądne rozwiązanie. Gina i Fergus to jedno, a Gina samotna to drugie. Poza tym Sophy miała przed sobą jeszcze tylko rok szkoły. Później niewątpliwie pójdzie w ślady innych młodych ludzi, którzy uciekali z miasteczka, gdzie, jak Hilary sama przyznawała, czekała ich bardzo nieciekawa przyszłość.

Na końcu Orchard Street, jakby mocą telepatii, Hilary spotkała Ginę. Gina wybrała się z Vi do szpitala. Dan był bardzo senny, otępliały, z trudem je rozpoznał. Vi zachowywała się nienaturalnie potulnie i milczała. Bardzo zaniepokojona Gina odprowadziła matkę do domu, a tylko dlatego zostawiła ją samą, że Vi uparła się, że chce być sama.

— Muszę ci coś wyznać — powiedziała Hilary, wsuwając rękę do torby.

— Co takiego?

— Mam przy sobie broszurę z ofertą sprzedaży Jego Wysokości. Z mojej strony to zwykła, babska ciekawość, nic więcej.

— To nie jest żadna tajemnica — odparła Gina.

— Wiem. Ale powinnam cię zapytać...

Gina popatrzyła na Hilary.

— Nie.

— Oferta brzmi bardzo zachęcająco. Warto ją rozważyć. — Umilkła, po czym siłąc się na obojętność, zapytała: — Czy wiesz już, co będziesz robiła po sprzedaży domu?

Gina, naśladując rozwlekły ton pytania Hilary, przeciągnęła powoli palcami po włosach.

— Sądzę, że wrócę do Francji.

— Naprawdę? Do Montélimar?

— Nie. Do Pau. Lubię Pau.
— Ale tam właśnie spotkałaś...
— Wiem. Ale mimo to lubię tamto miejsce. Poza tym bez trudu znajduję pracę w Pau. Ale to wszystko jest jeszcze w sferze planów, więc proszę, raczej nie...

— Nie, nie. Oczywiście, że nie. Co u Vi?

— Kompletnie załamana. Zamartwia się Danem na śmierć. Jego stan wprawdzie się nie pogarsza, ale i nie poprawia. Poza tym w pełni podzielam jej opinię o szpitalu. Personel jest bardzo miły, ale przeraża mnie panująca tam atmosfera urzędu.

— Posłałam do niej chłopców, aby trochę popracowali w ogrodzie. Przydali się na coś?

— W ogrodzie nie. Ale ich wizyta bardzo dobrze zrobiła mamie. Spalaszowali całe ciasto.

Hilary uśmiechnęła się. Ogarnęła ją ulga, z której wcale nie była dumna, ale która zalała jej ciało gorącą falą niczym niespodziewany łyk brandy.

— Zajmiemy się nią. Jeśli wyjedziesz do Francji...

Gina ponownie spojrzała na Hilary, tym razem twardo. Chwilę milczała, po czym mruknęła:

— To bardzo miło z twojej strony.

Hilary pochyliliła się i musnęła policzkiem policzek Giny o delikatnym, przyjemnym zapachu.

— Cieszę się z naszego spotkania — stwierdziła z zadowoleniem i ulgą. — Trzymaj się.

— Pewnie — odrzekła Gina. Głos miała zimny, prawie bezosobowy. — Trzymam się.

Tego samego dnia wieczorem, już po zamknięciu sali jadalnej, w biurze Hilary pojawił się Laurence. Chciał jej tylko powiedzieć, że Kevin i Sophy sprzątają kuchnię oraz to, że ostatnio nie podoba mu się wygląd dziewczyny. Sophy zawsze była blada, lecz tego wieczoru twarz miała wręcz nawiedzoną i białą jak kreda. Laurence uważał, że Hilary powinna odbyć z nią poważną rozmowę.

— Hil...

Hilary siedziała pochylona nad biurkiem. Obok niej leżał częściowo

już sporządzony harmonogram dyżurów i czynności Hilary na kawałkach papieru spisywała nazwiska i godziny, po czym wszystko to składała w całość.

— Tak?

— Pomyślałem, że powinnaś porozmawiać z Sophy i dowiedzieć się, czy z nią wszystko w porządku. Sprawia wrażenie bardzo wyędniałej.

— Ona zawsze jest blada.

— Ale dzisiaj wyjątkowo.

— Dlaczego sam jej nie spytasz? — odparła, nie odwracając się w jego stronę.

— Nie jestem jej matką.

Hilary odwróciła się gwałtownie w jego stronę.

— A co ma jedno do drugiego?

— Może ma okres. A tego z całą pewnością mi nie powie.

Hilary przyglądała się chwilę mężowi z uwagą, westchnęła, oświadczyła, że rozmawia z Sophy za dziesięć minut, po czym wyciągnęła coś spod harmonogramów.

— Popatrz na to.

Podaa mu broszurę o Jego Wysokości. Laurence skinął głową.

— Bardzo elegancka.

— Dwieście dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Widziałam się dziś z Giną.

Laurence oparł się o ścianę w ciasnym kącie między biurkiem a drzwiami.

— Tak?

— Tak. Właśnie wracała od Vi. Najwyraźniej wcale się nie przejmuje tym, że musi sprzedać dom.

— Nie? — zapytał po chwili milczenia.

— Nie. Zapewne po odejściu Fergususa nie chce dłużej tam być. Wcale się jej nie dziwię. To tak jakby mieszkać w wytwornym sklepie z meblami... Wspominała coś o wyjeździe do Francji.

— Tak?

— Tak, taki ma zamiar. Mówiła, że zapewne wróci do Pau. — Hilary popatrzyła na Laurence'a. — Nie interesuje cię to?

Wzruszył lekko ramionami. W tym drobnym geście było coś, co sprawiło, że Hilary, ku swemu zdumieniu, pomyślała, że jej mąż jest wciąż bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Boże — pomyślała. — On jest naprawdę bardzo kuszący.

— Myślę, że to niezłe rozwiązanie — stwierdził szybko, aby ukryć swe prawdziwe uczucia. — Wyjedzie do Francji i rozpocznie tam nowe życie. — Znów wzruszył ramionami. Oczy miał lekko zamglone. — Może...

— Chodzi mi o to, że teraz nie już jej tu nie trzyma, prawda? Obiecałam, że zaopiekujemy się Vi.

Laurence bardzo powoli oderwał plecy od ściany, przez nieuwagę stracił kalendarz i równie powoli zamknął drzwi. Hilary obserwowała go. W sposobie, w jaki się poruszał, w atmosferze, która zapadła nagle w maleńkim, zagraconym pomieszczeniu zalewanym ostrym światłem nieosłoniętej abażurem żarówki, było coś, co sprawiło, iż Hilary nie mogła wykrztusić słowa. Obserwowała w milczeniu, jak Laurence odwraca się od drzwi, pochyla nad biurkiem i opiera ręce na blacie, rozrzucając przy tym kartki harmonogramu i przewracając dzbanuszek z ołówkami i długopisami. Obserwowała, jak toczą się po biurku i zatrzymują, ale nie próbowała nawet ich pozbierać, by ponownie wstawić do dzbanka.

— Hilary — przerwał ciszę Laurence.

Milczała. Uniosła tylko głowę i popatrzyła na niego, na jego ramiona w znajomej niebieskiej koszuli z rękawami podwiniętymi na mankiety roboczego fartucha i nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

— Nie zamierzałem jeszcze mówić ci tego, co muszę ci teraz powiedzieć. Ale rozmowa poszła w takim kierunku, że muszę ci to wyznać. Nie zamierzałem tego mówić, gdyż nie byłem pewien, jak to powiedzieć. Ale myślę, że nie ma co dłużej kręcić i sprawę należy postawić jasno. Poza tym uważam, że nie jest to odpowiedni moment na taką rozmowę. — Odwrócił lekko twarz tak, że spoglądał w dół poważnym, nieruchomym wzrokiem prosto w oczy Hilary. Jej błyszcząca myśl, że tak właśnie spogląda ojciec oceniający swe dziecko.

Po chwili odezwał się głosem równie poważnym jak wzrok: — Chodzi o to, że zakochałem się w Ginie.

Zapadła martwa cisza. Hilary wydawało się, iż tej długiej, przerażającej ciszy żadne z nich nie przerywało, gdyż oboje, jak skamieniali, wsłuchiwali się w wiszące nieustannie w powietrzu słowa. Później dotarło do niej, że zasłania dłońmi twarz, że zdejmuje z nosa okulary i rzuca je na porozkładane na biurku papiery. Potem usłyszała jakiś skowyt, ale był to jej własny głos, dochodzący jakby z zewnątrz i wypełniający maleńki, duszny pokój.

— Och, nie! Nie to! Och, Laurence, tylko nie to!

Rozdział jedenasty

— Pani Hennell przysłała afrykańskiego fiołka — poinformowała Cath Barnett. — A pan Paget zaofiarował się pielnić i utrzymywać w porządku ogródek. Na razie.

Doug chrząknął. U Dana w szpitalu był już dwukrotnie, ale nie udało się mu skłonić do wizyty Cath.

— Nie możesz siebie winić — perswadował jej stale. — Jeśli człowiek ma dostać zawału, to i tak go dostanie, choćby leżał w łóżku bez ruchu i boży świat nic go nie obchodził.

— Pani Sitchell uważa inaczej.

— Dziwisz się jej?

— Jestem przekonana, że topi wosk ze świec i robi z niego moje figurki. Założę się, że później wbija w nie igły i przytrząskuje w szufladach.

— No cóż — stwierdził pogodnie Doug, gasząc niedopałek. — Niebawem przekonamy się, czy naprawdę to robi. Jak odpadnie ci noga.

Cath podeszła do okna wychodzącego na podwórze i uniosła koronkową firankę.

— Było to tak szczęśliwe miejsce...

— Nie kracz...

— Och, popatrz. Idzie to nieszczęsne dziecko.

Doug uniósł głowę i pod łokciem Cath dostrzegł ubraną w dżinsy i obszerną granatową bluzę Sophy Bedford z upiętymi wysoko włosami, przez co jej szyja wydawała się nienaturalnie smukła i długa.

— Miło popatrzeć na kogoś młodego...

— Pani Sitchell i tak nie ma w domu. Poszła do szpitala. Wyjdę i powiem o tym Sophy.

Doug otworzył gazetę na stronie poświęconej wyścigom konnym.

— Cath, zaprosz ją do nas — mruknął. — Zaprosz ją na kawę.

Zerknął do gazety. W Yorku miały odbyć się wieczorne zawody. Cieszył się z zakończenia sezonu gonitw. Zaczynały się skoki, a skoki były znacznie ciekawsze i bardziej ekscytujące. Przez okno widział Cath. Wielkie nieba! W porównaniu z Sophy Cath wyglądała jak istna legumina. Stanowczo nie powinna nosić legginsów; nie z takimi udami, jakie sobie wyhodowała. Cath położyła dłoń na ramieniu dziewczyny. Sophy była od niej troszeczkę wyższa. Trzymała się wyjątkowo sztywno, wysoko zadzierała głowę, co zdaniem Douga było postawą bardzo wyzywającą. Spoglądała na panią Barnett z nikłym, kurtuazyjnym uśmiechem. Śliczna dziewczyna — pomyślał Doug. — Do twarzy jej w tym uczesaniu. Jest taka naturalna i delikatna. Cath utrzymywała, iż Sophy, jak na swój wiek, ma zbyt wiele zgrzyzot i kłopotów. Doug nie zgadzał się z tym poglądem. Jego zdaniem nigdy nie jest za wcześnie, by poznać, jak parszywe potrafi być życie, jak sobie w nim radzić i zawsze utrzymywać się na powierzchni. Wystarczy popatrzeć na niego i na Cath. Długie lata wypełniała im beznadziejna praca, jeśli w ogóle ją mieli, mieszkali w smętnych, komunalnych mieszkaniach i podłych pensjonatach. Obecne zajęcie było najlepsze, jakie kiedykolwiek wykonywali, otrzymali najlepsze w życiu mieszkanie, a doszli do tego, gdy oboje przekroczyli już pięćdziesiątkę. Ta dziewczyna przynajmniej rozpoczęła życie w dobrym stylu i nigdy nie poznała, co znaczy dzielenie ubikacji z jedenastoma innymi lokatorami, nigdy nie poczuła, iż całe życie człowieka składa się jedynie z serii posępnych, deszczowych, poniedziałkowych poranków. Doug zauważył, że Sophy cofa się o krok i dłoń Cath zsuwa się z jej ramienia. Cath ruszyła w stronę domu. Ściągała na piersiach swą zrobioną szydełkiem kamizelkę, zupełnie jakby zdawała sobie sprawę z tego, że Doug obserwuje wszystkie wybrzuszenia i krągłości jej sylwetki. Pod

spodem miała różowy podkoszulek z nadrukowanym dużym wizerunkiem papugi. Może w wieku pięćdziesięciu lat nie powinnaś nosić również różowych podkoszulków z wymalowanymi na nich papugami — pomyślał. — A przecież Vi Sitchell również ubiera się w róże, czerwienie i purpury i jakoś jej w tym do twarzy. Zaiste, dziwne.

— Nie chciała przyjść — oświadczyła Cath. — Bardzo uprzejmie wyjaśniła, że ma własny klucz. Powiedziała, że chce pójść do mieszkania babci i tam trochę pomyśleć.

Doug zapalił kolejnego papierosa i głęboko się nim zaciągnął.

— No cóż, skoro tak woli...

— Postawiła sprawę jasno — odparła Cath. — Nigdy jeszcze nie widziałam jej tak zdeterminowanej. Otacza ją jakaś dziwna aura.

— Tak — przyznał Doug. — Tak. — Pochylił się nad gazetą. — Cath...

— Słucham.

— Cath — powiedział najobojętniej, jak umiał. — Czy przeglądałaś się ostatnio w lustrze? Takim wielkim, w którym widać całą postać?

Gus uważał, że jego matka wygląda fatalnie. Przypominała mu trochę Ginę, kiedy pojawiła się u nich tamtego dnia, gdy ojciec Sophy oświadczył, że odchodzi. Teraz Hilary sprawiała takie wrażenie, jakby zobaczyła lub usłyszała coś na tyle przerażającego, iż do teraz nie jest w stanie z tym się pogodzić. Twarz miała kredowobiałą, oczy zaczerwienione, jakby nie spała przez kilka nocy z rzędu, źrenice martwe i puste. I krążyła po domu niczym gradowa chmura.

— Mamo, czy wszystko w porządku? — zapytał, stając w korytarzu obok drzwi do sypialni rodziców z kubkiem z płatkami kukurydzianymi na mleku w ręce. — Mamo?

Hilary słała łóżko tak gwałtownie, jakby chciała podrzeć pościel.

— Nie — odparła, odwrócona do niego plecami.

Gus siorbnął kolejny łyk płatków i odezwał się z pełnymi ustami:

- Co się stało? Czy mogę w czymś...?
- Boli mnie głowa — odparła pełnym wściekłości tonem. — Mam okres, na głowie hotel pełen kompletnie obcych ludzi i syna w wieku czternastu lat, który rozlewa na dywan mleko, jakby miał dwa latka.
- Przepraszam — burknął i wytarł czubkiem buta krople mleka, które zmieniły się już w ciemną plamę.
- Nie tak, gamoniu!
- Przepraszam...
- Przynieś gałgan i wytrzyj to dokładnie, głupi szczeniaku. Plama będzie śmierdzieć.
- W porządku, już...
- Pospiesz się — burknęła Hilary, uklepując wściekle poduszkę.
- Pospiesz się. I weź trochę detergentu.

Później, kiedy spotkał matkę w korytarzyku za barem, ta serdecznie wzburzyła mu włosy.

- Przepraszam, synku — powiedziała. — Koniec sezonu, czy co?

Gus skinął głową. Głównie po to, aby pocieszyć samego siebie, miał nagle ochotę objąć matkę, tak jak próbował obejmować Sophy, ale ani Hilary, ani Sophy nie przepadały szczególnie za takimi czuły mi gestami. Co dziwniejsze, z tatą sprawa była prostsza. Ojciec zawsze odpowiedział, objął, poklepał po plecach. Hilary popatrzyła na niego tak, jakby naprawdę pragnęła jednego czy dwóch uścisków, lecz było bardziej niż pewne, że gdyby się do niej przytulił, natychmiast by go odtrąciła.

Ku własnemu zdumieniu z niecierpliwością oczekiwał początku roku szkolnego, prawie liczył dni, jakie dzieliły go od końca wakacji. Były to ciągnące się w nieskończoność i przeraźliwie nudne miesiące, toteż jedynie perspektywa szkoły dawała nadzieje na jakąkolwiek odmianę i zajęcia, życie towarzyskie oraz błogosławiony powrót do normalności. Gus uwielbiał, gdy wszystko toczyło się utartym torem; kochał to w takim samym stopniu, w jakim Adam tego nienawidził. Jeśli nawet łamał przepisy, był pewien, że są to przepisy normalne — na przykład, że dzieciom i młodzieży nie wolno palić papierosów — ale specjalnie z tym łamaniem ich nie przesadzał. Nie znosił, gdy

sprawy wymykały mu się z rąk, a w tej chwili czuł, że traci nad wszystkim kontrolę. Odnosił wrażenie, iż wszyscy w otaczającym go bezpośrednio świetle w jakiś sposób powypadali z szyn i krążą bez sensu, bez celu i bez przewodnictwa. Sytuacja wymaga, aby wydarzyło się coś zwykłego, coś zwykłego, co sprawi, że wszyscy znów staną się tacy sami jak dawniej, jacy być powinni. Mógł to sprawić koniec wakacji. Jeszcze dwa tygodnie i szkoła znów unormuje życie.

„A więc nudzisz się jak mała — stwierdził barman Don, kiedy pewnego dnia zaofiarował się, że pozamiata w piwnicy. — Już nie możesz doczekać się szkoły?”

„Tak”.

„Choroba! — mruknął Don. — Nie spodziewałem się, że z ust współczesnego małolata usłyszę coś takiego. Nie spodziewałem się. Nie wiem, czy nie powinienem wezwać facetów w białych fartuchach”.

— Sądzę, że ten pokój można będzie przerobić na bawialnię dla dzieci — odezwała się młoda kobieta, zatrzymując się w progu salonu w Jego Wysokości.

Gina uważnie ją obserwowała. Nie była może kobietą piękną, ale prezentowała się wspaniale. Miała obcięte na pazia włosy, czarny strój i usta pociągnięte grubą warstwą czerwonej szminki. Jej mąż stanowił męski odpowiednik żony. Twarz ocieniały mu przeciwsłoneczne okulary i ubrany był w czarny T-shirt. Oboje prowadzili jakąś firmę wzornictwa.

— Rozumie pani, mamy dzieci — wyjaśniła kobieta. — Dwójkę.

— Jak dotąd — zażartował mężczyzna.

Prawie puścił do Giny oko.

— Nasza córka... — odpowiedziała Gina i natychmiast poprawiła — ...moja córka zawsze bawiła się w kuchni i nieustannie plątała mi się pod nogami.

Kobieta skrzywiła się.

— My mamy chłopców...

— Sądziłam, że chłopcy lgną do matek jeszcze bardziej niż dziewczynki.

Kobieta podeszła do kominka i zaczęła studiować jego kamienną obudowę. Zupełnie jakby podziwiała rzeźbę: brodę wsparła na dłoni, łokieć podtrzymywała drugą ręką.

— Nie do takiej matki...

— Proszę nie zwracać na nią uwagi — odezwał się mężczyzna. — Zawsze się jej żarty trzymają.

Pojawili się w domu przed godziną. Gina zaparzyła kawę, a dla pani Pugh znalazła w lodówce wodę mineralną.

„Zara — przedstawiła się kobieta, wyciągając białą dłoń ze srebrnym pierścieniem wielkości gałki w drzwiach. — Zara Pugh”.

Gina wprowadziła ich po całym domu, pokazując wszystko trochę z dumą, a trochę z obawą, jak wszystkie osoby próbujące cokolwiek sprzedać. Pughowie sprawdzali każdy szczegół, każdą szafkę w kredensie i każdy kąt. W każdym pomieszczeniu pani Pugh przystawała i długo obserwowała otoczenie spod przymkniętych powiek, jakby przygotowywała się w myślach do fotografowania pokoi pod różnymi kątami. Stanowili już siódmą rodzinę, której Gina pokazywała dom, i choć byli cokolwiek śmieszni, najlepiej rokowali.

— Dobrze — oświadczył pan Pugh, patrząc na starannie wykonaną szafkę, w której znajdowały się korki elektryczne, i wywoskowane kamienne płyty posadzki w kuchni. — Dobrze.

Od czasu do czasu, żeby lepiej widzieć, unosił na czoło przeciwsłoneczne okulary.

Gina nie spuszczała z niego oka. Nie chciała, by choć przez chwilę myślał o niej jak o porzuconej przez męża, bezradnej kobiecie, której chwilową słabość można łatwo wykorzystać. Specjalnie na tę okazję włożyła elegancką marynarkę oraz złote kolczyki w kształcie kółek i zdecydowanie nie sprawiała wrażenia osoby łatwiejszej do oszukania lub wyprowadzenia w pole. Kiedy obserwowała wędrujących po jej pokojach Pughów, tak wielkomiejskich w swych czarnych strojach, tak egzotycznych i wyrafinowanych na tle Whittingbourne, ze zdumieniem stwierdziła, że nie robi to na niej najmniejszego wrażenia. Myślała jedynie o tym, czy mogą zapłacić za Jego Wysokość tyle, by ona była w stanie kupić sobie przyzwoity dom, dom odpowiedni dla

jej osobowości i osobowości osób kochanych, dom, którego nie musiałyby aż do absurdu urządzać i odnawiać. Zaczynała rozumieć — na co zresztą zwróciła jej już wcześniej uwagę Diana Taylor — że Fergus swym odejściem wyświadczył jej niemal uprzejmość.

„Musi pani uważać” — powiedziała Diana.

„Proszę nie wykorzystywać mojej chwili słabości...”

„Muszę. Tej sprawy nie wolno lekceważyć, należy zachowywać czujność”.

„Ale nie powiedziała mi pani nic, co pomogłoby mi znosić to wszystko lepiej...”

„Nie ma zmian bez ofiar — odparła Diana. — To oczywiste. Człowiek musi tylko być pewien, że nie każe tych ofiar ponosić osobom niewinnym”.

— Czy to buk? — zapytał pan Pugh, dotykając kuchennych półek.

— Wiąz.

— Wiąz — odparł z szacunkiem, rozglądając się po pomieszczeniu. — Nie hoduje pani żadnych agaw.

— Nie...

— Będziemy musieli jedną zasadzić — oświadczyła Zara. — Mam piękną w Camden Town. Kocham ją. — Wyjrzała przez oszklone drzwi do ogrodu. — Tam jest jakiś człowiek. Czy go pani zna?

Gina wyjrzała pospiesznie przez okno. Na gotyckiej ławie, z łokciami wspartymi na kolanach siedział Laurence i spoglądał niewidzącym wzrokiem w jakiś punkt w przestrzeni.

— Och, to mój znajomy.

— Nie wygląda najlepiej. Czy z nim wszystko w porządku?

— Sprawdź — powiedziała Gina, ruszając w stronę drzwi. — Za chwileczkę wrócę. Proszę oglądać dalej.

Zbiegła po schodkach na niewielki trawnik.

— Laurence...

Uniósł głowę, po czym wyciągnął ramiona w stronę Giny.

— Czy źle się...

— Nie, nie, nic mi nie jest.

Uklęka przed nim. Wyglądał tak, jakby od tygodni nie spał.

— Wyznałem wszystko Hilary. Wczoraj wieczorem. Początkowo nie miałem takiego zamiaru, ale nasza rozmowa tak się potoczyła, że nie miałem wyboru. Więc jej powiedziałem.

— Co jej powiedziałeś?

— Że cię kocham.

— I to wszystko?

Popatrzył na Ginę.

— A czy to mało?

Gina zerknęła za siebie. Pughów nie było w zasięgu wzroku.

— Co się stało?

Laurence delikatnie zabrał rękę z ramion Giny.

— Załamała się. Ja... ja myślałem, że ma już mnie serdecznie dosyć. Kompletnie dosyć. Ale okazało się, że to tylko znużenie codzienną rutyną i tak naprawdę to ona... — urwał.

— Wciąż cię kocha — szepnęła.

— Tak.

Podniosła się z kolan i usiadła obok niego na ławce.

— Nie mogę poświęcić ci teraz dużo czasu. Właśnie pokazuję dom przyszłym nabywcom. Czy...

— Co?

Przelknęła ślinę.

— Czy chcesz powiedzieć, że uczucia Hilary odmieńczyły również twoje?

Gwałtownie odwrócił się w jej stronę.

— Ani na jotę!

Splotła z całych sił dłonie, żeby ukryć ich drżenie.

— Dzięki Bogu.

— Gino. Gino. Jak w ogóle mógł ci przyjść do głowy taki pomysł! Pojawiłem się tu tylko dlatego, że kiedy dzieje się coś strasznego, instynkt zawsze każe mi przychodzić do ciebie. Niczego od ciebie nie chcę. Po prostu musiałem ci powiedzieć, jakie to było okropne, jak okropna była ta noc, jak...

— Co jak?

— Jak czuję się winny. Teraz.

Nakryła jego dłoń swoją.

— Laurence, tak mi przykro. Uniósł twarz.

— Widzisz, człowiek nie szuka miłości. Ale kiedy ona już nadchodzi, nie ma wyboru.

— Ja pragnęłam miłości. Pragnęłam jej bardziej niż czegokolwiek innego.

Ponownie zerknęła w stronę domu. Pughowie stali w oknie jej sypialni i gestykulowali gwałtownie do siebie, jakby sprzeczcali się, jak ładniej przystroić okno.

— Wybacz, ale muszę iść...

— Naturalnie. Przyjdę później. Po południu. Ostatecznie nie muszę już udawać, że idę do sklepu po pieprz. Och, Gino, jej twarz...

— Nie mów.

— Pozwól mi popatrzeć na twoją.

Odwróciła się do Laurence'a, a on przez kilkanaście sekund wpatrywał się w nią; bardzo poważnie i z uwagą, jakby chciał utrwalić w pamięci jej obraz.

— Pierwszy szok jest zawsze najgorszy — odezwała się Gina. — Podobnie było ze mną, gdy opuścił mnie Fergus.

Myślałam, że umrę. Dosłownie.

Laurence wstał z ławki.

— Nie wiem — powiedział. Popatrzył w błękitne niebo, po którym, niczym ogromne jasnoszare i białe balony, dryfowały obłoki. — Nie wiem. Boję się tego, co jeszcze mnie czeka.

Sophy przez dwie godziny spała na kanapie Vi. Zamierzała wprawdzie tylko posiedzieć i wpatrując się w wiszący na przeciwległej ścianie kolaż przedstawiający dwa białe łabędzie z brokatu unoszące się na zielonych falach jeziora z jedwabiu pośród brązowego welwetowego sitowia, skoncentrować się na własnych problemach, ale pokonała ją senność, lekko zatęchłe ciepło panujące w mieszkaniu i poczucie bezpieczeństwa, jakie dawał jej salon Vi. Położyła się na kanapie, pod głowę podłożyła poduszkę i spała, spała.

Unosiła się we śnie niczym w wodzie. Kilkakrotnie miała świadomość, że jej umysł powoli wypływa na powierzchnię snu, niczym wynurzająca się z topliweli ryba, która pragnie zaczerpnąć powietrza. Ale

Sophy nie chciała wychodzić ze snu, nie chciała się budzić, więc powoli znów zaczynała opadać ciężko, pogrążając się w sennych otchłaniach nieświadomości. Dręczyły ją dziwaczne wizje pełne olbrzymich mrocznych obrazów, rozkwitających niczym kwiaty, trochę przerażających, lecz śpiąca część Sophy zdawała sobie sprawę z tego, że te sny są lepsze od rzeczywistości, do której wróciłaby, gdyby ktoś ją z nich wyrwał.

Kiedy wreszcie się obudziła, była pora lunchu. Zastanawiała się chwilę, czy Vi wróci na czas ze szpitala i czy z tego względu nie należałoby otworzyć puszek z zupą i utrzcć na tarce ser do grzanek. Przeszła do kuchni. Na desce do krojenia, w morzu okruszków, leżał bochenek chleba, na stole stał słoik z marmoladą, fiolka ze słodzikiem, a w niewielkim rafiowym koszyku o zielonej krawędzi znalazła dwa pomidory. W zlewie stał kubek Vi z niedopitą poranną herbatą. Sophy otworzyła lodówkę i przykucnęła. W środku znajdowały się produkty, jakie Vi kupowała od zawsze, od chwili gdy Sophy sięgała pamięcią, a którymi tak pogardzał Fergus: kiełbasa, topiony ser, w blaszanej brytfance zjedzona do połowy zapiekanka z wieprzowiny i nerek. Sophy wyjęła ser i ukroiła dwa miękkie, gąbczaste plasterki. Jeden z nich zwinęła w rolkę i wsunęła do ust. Tak długo przyciskała go językiem do podniebienia, aż się rozpuścił. Następnie ukroiła kromkę chleba i położyła na niej drugi. Oparła się o zlew i zagryzając pomidorem, zaczęła jeść kanapkę. Ani chleb, ani ser, ani pomidor nie miały smaku. Umyła kubek Vi, napełniła go wodą z kranu i piła wodę wielkimi łykami tak długo, aż zrobiło się jej niedobrze.

Obok telefonu leżał plik kartek, na których Vi robiła notatki i zapisywała numery telefonów. Na pierwszej stronie napisane było czerwonym długopisem DAN, a obok jego szpitalny numer telefonu. Sophy wyrwała czystą kartkę i nakreśliła na niej: *Droga Ba, wpadłam do Ciebie i chwilę sobie posiedziałam. Chyba się nie gniewasz. Zjadłam trochę sera i jednego pomidora. Niebawem znów Cię odwiedzę. Mam nadzieję, że Danowi jest już lepiej. Całuję, Sophy.* Ponownie przeczytała liścik. Wydał się jej suchy i dziecinny. *Przepraszam — dopisała na dole kartki — nie napisałam tego, o co mi chodzi. Jeszcze więcej całusów od Sophy.*

Rozejrzała się po kuchni. Przyszło jej do głowy, żeby trochę posprzątać, lecz wtedy tknęła ją myśl, że: a) Vi i tak tego nie zauważy, b) Vi nic a nic to nie obchodzi, c) byłoby to wściubianie nosa w życie innych.

Włożyła zatem liścik do koszyczka z rafii, docisnęła go pozostałym pomidorem i wyszła z domu.

— Tu jej nie ma — oświadczyła Lotte. — Wyszła. Pan Wood jest w kuchni, jeśli cię to interesuje. — Schyliła się, by podnieść biały plastikowy worek ze śmieciami z sypialni. — Ku naszemu zdziwieniu mamy dziś bardzo spokojny dzień. Zajęte są tylko trzy dwuosobowe pokoje. I bardzo dobrze. Panią Wood boli głowa. Moja matka cierpiała na coś podobnego. Lekarz w Boden powiedział jej, że to migrena i nie powinna jeść wędzonych ryb.

— Kiedy przypada mój dyżur? — przerwała jej Sophy.

— Wieczorem — odparła Lotte. — W kuchni. Kevin ma wolne, a Michelle pracuje w jadalni. Moją matkę głowa bolała co miesiąc zawsze o tej samej porze, a zimą, kiedy noce są długie, dziennego światła mamy tylko troszeczkę w środku dnia, jest najgorzej. To okropne. Tamto miejsce wysysa z człowieka życie. Nie wróciłabym do Boden nawet za milion funtów.

— No tak — mruknęła Sophy, wymijając Lotte, jej wiaderko i worek ze śmieciami. — Jestem pewna, że byś nie wróciła.

— Powiedziałam pani Wood, że za dużo i za ciężko pracuje. Że ma na głowie za dużo spraw. Powiedziałam, że bardzo przypomina mi moją matkę...

Sophy pobiegła do schodów, które sforsowała, wskazując od razu po trzy stopnie. Na górze ktoś rzucił na podłogę opakowanie po chrupkach. Pamiętając o migrenie Hilary, podniosła torebkę. Z góry, z pokoi chłopców dobiegało tupanie oraz ryk muzyki. Kuchnia była pusta i podobnie jak u chłopców panował w niej bałagan. Drzwi od sypialni George'a były zamknięte.

Postała chwilę przed pokojem George'a, wepchnęła do kieszeni dzinsów opakowanie po chrupkach i zapukała. Nic się nie wydarzyło.

Muzyka grała dalej. Zapukała ponownie, tym razem mocniej.

Drzwi otworzyły się i w progu pojawił się George. Włosy miał potargane, był wyraźnie zaszpany.

— Dłaczego, do licha, pukasz?

— Sypialnia to prywatne terytorium — wyjaśniła.

George cofnął się i wpuścił ją do pokoju, gdzie śmierdziało brudną pościelą i dymem papierosowym.

— Gdybyś tak zechciała wytłumaczyć to moim braciom.

— Możesz przyciszyć muzykę?

— Jasne. — Sięgnął za jej plecy i przykręcił potencjometr głosu. — Nie widziałem cię od czasu twojego wyjazdu do Londynu, kiedy to pojechałaś...

— To prawda.

Przeszła przez pokój, wymijając porozrzucane na podłodze ubrania, czasopisma i gazety, po czym usiadła na nieposłanym łóżku. George zauważył, że usiadła bardzo sztywno, jakby przepraszała za to, że jest taka chuda, za to, że nazywa się Sophy, za to, że w ogóle żyje.

— Napijesz się kawy?

Potrząsnęła głową.

— Może później. Przeszkodziłam ci w czymś? George ziewnął.

— Nie. Po prostu leżałem i starałem się o niczym nie myśleć. Zaproponowano mi pracę w centrum ogrodniczym. Powinienem tę pracę wziąć, ale się boję. Podejrzewam, że choć może nie jest to zajęcie porywające, okazałoby się całkiem znośne, przyzwyczaiłbym się do niego i wsiąkł na dobre.

— Nie musisz...

— Nie. Ale tak dokładnie by się to potoczyło. — Popatrzył na Sophy i położył się na zmiętych poduszkach po drugiej stronie łóżka.

— Jak było w Londynie?

Sophy zeszytniała.

— Groteskowo.

— Groteskowo?

Uniosła ręce, potrząsnęła nimi i zamknęła oczy, jakby chciała odgonić jakieś natrętne myśli.

— Ma tam dom. Bardzo sympatyczny dom, piękny i urządzony jak

dom nowożeńców. Chce kupić kota i mieszka z nim facet, Tony.

George dosłownie zamienił się w słup soli.

— Jezu.

— Nie wiem — powiedziała Sophy, zadzierając brodę. — Po prostu nie wiem. Mogę się jedynie domyślać. Ale w kuchni jest tyle urządzeń i pierwszorzędnego sprzętu, jest zegar w kształcie ryby, wszystko nowoczesne, z metalu, a oni... cóż, oni są dla siebie tacy mili. Ich sypialnie mieszczą się na oddzielnych piętrach, a tata wciąż opowiadał o tym, jak Tony pomagał mu kupować ten dom, że bez jego pomocy nie byłoby go na ten dom stać, i ogólnie sprawiali wrażenie bardzo ze sobą zżytych.

— Jezu — mruknął znów George i przysunął się odrobinę do Sophy. — Ale numer...

— Byłam taka wściekła — ciągnęła. — Byłam już wściekła, gdy do niego jechałam, ale kiedy dotarłam na miejsce i drzwi otworzył mi ten upiorny Tony, który próbował różnych tanich sztuczek, aby mnie oczarować, wpadłam w taką furję, że myślałam, że rozpeknię się na kawałeczki. Później wrócił tata. Miałam ochotę jednocześnie przytulić go i zabić. Sprawiał takie wrażenie, jakby uważał... — urwała i wbiła pięści w pomarszczone prześcieradło — ...iż to całkiem w porządku, że odszedł ode mnie i oddał siebie komuś innemu. Że miał prawo tak postąpić!

— Soph, to niemożliwe, on nie może być...

— Bez względu na to, czy jest gejem, czy nie, żyje teraz z kimś innym, a ten ktoś nie jest mną. Ani moją matką. — Położyła się na boku i oparła na łokciu tak, że jej twarz znalazła się blisko twarzy George'a. — W tamtym domu robiło mi się niedobrze. Wszędzie widziałam swoje rzeczy wymieszane z obcymi. I wszędzie porozwieszał moje fotografie.

— Może mu na tym zależy. Może naprawdę chce, żeby tam wisiały. Daj facetowi szansę. — Umilkł i dodał: — Mówiłaś już o tym swojej matce?

— Nie.

George milczał. Obserwował twarz Sophy, jej policzki, zarys szczęki oraz śliczne łuki brwi i rzęs.

— Rozważałam ten pomysł w pociągu w drodze powrotnej. Ale postanowiłam na razie nic nie mówić. Widzisz, ona ostatnio jest dziwnie radosna. Myślę, że to dzięki tej pani psycholog. Nie chcę doprowadzić jej do kolejnego załamania nerwowego ani stawiać czoła jej reakcjom. Zresztą ona za wszystko obwinia siebie.

George chrząknął, ale nic nie powiedział.

— Tak czy owak, nie chcę, by się dowiedziała, że jestem zazdrosna — odezwała się po krótkim milczeniu Sophy.

— Naprawdę jesteś zazdrosna?

— Oczywiście! — wrzasnęła i zerwała się z łóżka. — Oczywiście, że jestem! I cały czas nie daję mi to spokoju!

George popatrzył na łóżko i położył dłoń we wgłębieniu materaca, gdzie przed chwilą jeszcze spoczywała głowa Sophy.

— Ja chyba też. Troszeczkę...

— Ty...

— Tak — powiedział i odwrócił głowę. — O twojego tatę. To zdumiewające, jak wiele o tobie myśli. I ty o nim. Zdumiewające.

— Nie sądzę, żeby to zauważał — odparła prawie szeptem.

— Zauważa na pewno. Świadomość, że jest się dla kogoś tak ważnym, musi mieć wpływ na wszystko, co człowiek robi. Chodzi mi o to, że moi rodzice bardzo martwią się o mnie i chcą dla mnie jak najlepiej, ale ja nie wypełniam im życia. Prawdopodobnie nienawidziłbym tego, gdyby rzeczywiście tak było... — Urwał, po czym dodał zmienionym głosem: — Ostatnio nieustannie drą ze sobą koty. Zeszłej nocy tata wyszedł z domu. To zapewne nic nie znaczy, ale sytuacja staje się tak paskudna, że...

Zamilkł i zakrył dłonią twarz.

— George?

Potrząsnął tylko w milczeniu głową.

— George — powiedziała, zbliżając się do niego. — George, nie płacz...

— Nie płaczę.

— No, już dobrze, już dobrze.

Pochyliła się pod jego wzniesioną ręką i przyłożyła usta do jego warg.

George opuścił rękę. Twarz miał suchą, tylko po policzkach spływały mu dwie łzy. Sophy cofnęła się i bacznie go obserwowała.

— Nie musisz... — zaczął.

Sophy potrząsnęła głową, a George wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy drżącą dłonią. Potem pochylił się, delikatnie pocałował Sophy w usta. Ona objęła go za szyję i George przygarnął ją do siebie. Opadli na skotłowaną pościel, ich twarze prawie się ze sobą stykały.

— Czy ktoś się dowie? — zapytała szeptem Sophy.

— Nikt.

Popatrzył na jej twarz i był zdumiony, że ma obok siebie dziewczynę, która spogląda mu prosto w oczy tak głęboko jak nikt dotąd.

— Nikt — powtórzył George i przyciągnął do siebie Sophy tak blisko, że widziała tylko jego, tylko jego na całym świecie. — Nikt się nie dowie.

Rozdział dwunasty

— Mam na głowie tyle spraw — powiedziała Vi.

Nie była pewna, czy do chorego dotarł sens jej słów, ponieważ Dan od kilku dni pogrążony był w półśnie, ale postanowiła spróbować. Potrzebowała rozmowy z Danem.

— Chodzi o Sophy. I o Ginę. A pan Paget oświadczył, że chce posadzić w twoim ogródku rośliny wiecznie zielone, żeby zaoszczędzić napraw. „Jakich znów napraw?”, zapytałam.

„Tego całego pielienia”, odrzekł. Powiedziałam mu: „Panie Paget, wolę pielic cały dzień i całą noc, niż doprowadzić do tego, że ogród zacznie przypominać kwitnący cmentarz”.

Zamilkła i zaczęła poprawiać coś w robótce, nad którą nieustannie pracowała.

— Czy odwiedziła cię Sophy?

Pogrążony w apatii Dan próbował powiedzieć, że ostatnio nie. Ze wcale jej za to nie wini, ponieważ wie, iż Sophy ma dużo pracy. Natomiast Gina zachodzi do niego co drugi dzień. Gdy pochyła się, żeby pocałować go na powitanie, a on akurat nie ma siły otworzyć oczu, rozpoznaje ją po zapachu perfum. Czytuje mu poezję. Niewiele wprawdzie z tego rozumie, lecz lubi dźwięk jej głosu, bo przypomina mu szmer wody w kamienistym strumieniu. Vi poinformowała go, że Gina występowała kiedyś w szkolnym teatrze, ale nie zdecydowała się zostać zawodową aktorką. Nic dziwnego, jeśli pomyśli się o teatrze w Whittingbourne i występujących w nim aktorach. Wszystko, co wystawili, to tylko *An Inspector Calis*, *The Importance of Being Earnest*

oraz bożonarodzeniowa pantomima pełna żartów i aluzji zrozumiałych jedynie dla samych aktorów.

— Wczoraj, pod moją nieobecność, wpadła do mnie Sophy — mówiła Vi. — Sądząc po stanie kanapy, musiała uciąć sobie drzemkę. Zostawiła mi zabawny liścik. Stwierdziła, że potrzebowała po prostu chwili samotności. Gdyby ktoś pytał mnie o zdanie, powiedziałabym, że biedaczka zbyt wiele razy w życiu skazywana była tylko na swoje towarzystwo, otaczali ją dorośli, za mało miała wokół siebie rówieśników. Kiedy ja byłam dzieckiem, wciąż bawiliśmy się całą gromadą na ulicy, na naszej ulicy wszyscy się znali. Mogliśmy nie mieć w domach ubikacji, ale wszyscy się znaliśmy. — Parsknęła i naciągnęła zsuwając się oczko na drut. — Biedna Sophy. Ma w domu więcej ubikacji, niż jej potrzeba, a żadnych przyjaciół... Podobna ci się wzorek, który robię?

— Bardzo — próbował odpowiedzieć Dan.

Gdzieś z otchłani w pamięci wynurzył mu się wierszyk, który poznał jeszcze jako dziecko. Wierszyk był o pająku Sammym. *Bardzo zdolny i milutki, Ale nie chciał nitki snuć, A tylko ją tkać.* Chciał teraz ten wierszyk powiedzieć Vi. Lubiała takie zwiariowane, nieszkodliwe żarciki. Otworzył lekko usta i oczy, żeby przyciągnąć jej uwagę.

— Vi — powiedział. — Mam dla ciebie wierszyk.

Ale ona nie słuchała. A może nie dotarł do niej jego głos. Nizała białą wełnę na druty, jakby Dan wcale się nie odzywał.

W sali bankietowej w Pszczelim Domu odbywało się przyjęcie z okazji osiemnastych urodzin. Solenizantką była dziewczyna, więc Hilary na prośbę jej rodziców poustawiała na stole z bufetem wazony z białymi i różowymi goździkami, a na ścianach rozwiesiła białe i różowe baloniki ozdobione wstążkami oraz opatrzone srebrnymi napisami: *Dziś masz już 18 lat.* Menu również utrzymane było w tonacji różowej. Łosoś i krewetki przybrane rozmarynem, maliny oraz musujące wino opisane na butelkach jako różowe. Wszystko to

przygotował Laurence na podstawie listy, którą wręczyła mu Hilary. Odebrał ją od niej bez słowa komentarza i, jak zauważyła, bez mrugnięcia okiem. Hilary poleciła też chłopcom sklecić i ustawić w końcu sali prowizoryczną, niewielką estradę dla zespołu muzycznego, w którego skład wchodził pracujący w kuchni i grywający w wolnych chwilach na perkusji Steve oraz dwóch jego kolegów, gitarzysta i klawiszowiec. Jeden z nich występował też jako wokalista. Gości miały obsługiwać Michelle, Lotte oraz dwie dziewczyny, wynajęte specjalnie na ten wieczór z miejscowej agencji. Hilary nie zamierzała w ogóle zajmować się obsługą gości, ponieważ ojciec solenizantki, dyrektor miejscowej filii Narodowego Towarzystwa Budowlanego, był człowiekiem o niebywałej *bonhomie* i oświadczył, iż w tak szczególnym dniu on i Pat pragną, aby Woodowie przyłączyli się do bankietu jako część rodziny.

Na ten wieczór w hotelowej jadalni zamówiono tylko dziesięć nakryć, a i to na wyjątkowo wczesną porę. O godzinie dwudziestej pierwszej Laurence zrobił w kuchni co miał do zrobienia, po czym zostawił przygotowanie kawy i kilku deserów Kevinowi i Sophy, co umożliwiło mu, jak podejrzewała Hilary, na złożenie wizyty w Jego Wysokości. Duma nie pozwalała jej prosić męża, aby tam nie szedł, zwłaszcza iż najwyraźniej sądził, że może już to robić otwarcie. Tak więc zdołała jedynie z siebie wykrztusić, że skoro Laurence jest pewien swych uczuć do Giny, to należy o wszystkim powiadomić chłopców.

„Naturalnie — odrzekł. Siedzieli na skraju łóżka i oboje, choć z różnych powodów, cofali się gwałtownie, ilekroć przypadkowo dotykali się nogami. — Ale zrobimy to wspólnie”.

„Cieszę się, że zostało ci na tyle przyzwoitości, aby to zaproponować”.

Nic nie odpowiedział. Wstał i wolnym krokiem ruszył w stronę krótkiego korytarza prowadzącego do łazienki. Miał na sobie jedynie dół od pidżamy, w którym wyglądał lak znajomo i obco jednocześnie.

Kiedy dotarł już do drzwi, odwrócił się i powiedział:

„Nie proponuję ci tego, Hil. Nalegam na to”.

„Co próbujesz mi zasugerować?”

„Dobrze wiesz”.

„Że zamierzam w jakiś sposób zemścić się na tobie?” — krzyknęła rozwścieczona.

„Może. Ale również dlatego, że chcę, aby chłopcy poznali prawdę. Zarówno z moich ust, jak z twoich”.

Hilary odwróciła się do niego plecami.

„To wprost nie mieści się w głowie, jakim stałeś się gnojem”.

Rozmowa ta miała miejsce poprzedniego dnia i była ich rozmową ostatnią. Hilary poszła do łóżka przed powrotem Laurence'a z Jego Wysokości i udawała, że śpi, kiedy mąż wślizgiwał się pod kołdrę. Bardzo mocno, aż do przesady, pachniał mydłem, jakby zamierzał podkreślić tym chęć oddzielenia swego nowego, ekscytującego życia od dawnej, monotonnej egzystencji. Odwrócony do niej plecami natychmiast zapadł w sen. Oddychał miarowo i był ciepły, jak zawsze w tym łóżku, które dzielili ze sobą od dwudziestu lat. Hilary aż do świtu nie mogła zmrużyć oka. Zastanawiała się, jak ma ukoić swój ból, zastanawiała się, czy w ogóle zdoła go ukoić, a jeśli nie, to co się z nią stanie. Przepędzał ją gniew na Laurence'a, rozżalała się nad samą sobą i czuła — w każdym razie w tej chwili — nienawiść do Giny. Była słaba, bezradna i zrozpaczona tą słabością i bezradnością. Leżała całą noc, wpatrując się w dziwaczne, brzoskwiniowe światło ulicznej latarni, sączące się przez szczelinę w okiennych zasłonach i padające na sufit. W głowie miała zamęt, pod czaszką kotłowały się jej niespokojne myśli, niczym dzikie bestie w klatce, które nie mogą ani usiedzieć za kratami, ani uciec na wolność.

Rano, wyrwawszy się już z najgorszego snu, jaki można sobie wyobrazić — krótkiego, niespokojnego i pełnego koszmarów — czuła, że musi coś zrobić, musi powiedzieć coś, co przyspieszy bieg wydarzeń, pozwoli ruszyć z martwego punktu. Wyszła z pościeli. W starej, bawełnianej koszuli nocnej stanęła na środku sypialni, założyła ręce na piersi i zaczęła spoglądać na plecy siedzącego na skraju łóżka Laurence'a. Próbowała nadać swemu głosowi spokojne, obojętne i rzeczowe

brzmienie. Chciała w ten sposób choć odrobinę zachować twarz i własną godność. Zupełnie jej to nie wyszło.

„Skoro już zdecydowałeś się wejść w ten... w ten niedorzeczny układ — powiedziała zdławionym, pełnym pogardy tonem — musimy o wszystkim powiedzieć chłopcom”.

Nastąpiła chwila ciszy.

„Naturalnie — odparł bardzo łagodnie. I po kolejnej chwili milczenia dodał bardziej zdecydowanie: — Ale zrobimy to wspólnie”.

Miał rację i dlatego czuła do niego złość. Biorąc pod uwagę stan moich uczuć — myślała, poszukując w prowadzonym na bieżąco notatniku listy koniecznych napraw w sypialniach, przepalonych żarówek, ciekących kranów, zepsutych klamek — nie chcę, żeby miał rację w jakiegokolwiek sprawie. Prawo do właściwego postępowania zachowywała teraz wyłącznie dla siebie, gdyż tylko tyle jej pozostało. Pragnęła — wstydzę się tego, mówiła sobie surowo, ale jednocześnie nie wolno mi wypierać się tych uczuć — by chłopcy oceniali zaistniałą sytuację z jej punktu widzenia, by dostrzegli całą złożoność tej zdrady, nadużycie przyjaźni, a co najgorsze, symulowanie miłości, by widzieli, w jakiej sytuacji została postawiona, ujęli się za nią, a kiedy już to uczynią, choć ona sama nie zająknęła o tym słowem, pojmą, jak bardzo jest załamana. Zerknęła bez zainteresowania w notatnik. *Numer trzy — przeczytała. — Nie domykają się drzwi w szafie. W umywalce urwał się łańcuszek od zatyczki. Numer dziesięć, pęknięta szyba po p. stronie l. okna.* Żadna notatka nie została wykreślona, a żadna usterka naprawiona. Hilary popatrzyła w sufit. Po pajęczynie zwieszającej się z giętkiego przewodu elektrycznego prowadzącego do lampy wspinał się pająk, mozolnie coś dźwigając. Stworzonko posuwało się powoli, ale pewnie, kołysało się na swej przędzy w lekkim przeciągu. Z przeciwnej strony ogrodu, z sali bankietowej, dobiegał stłumiony łoskot kapeli Steve'a i nierówny głos wokalisty śpiewającego z fatalnym akcentem starą piosenkę Elvisa Presleya. To *Are You Lonesome Tonight* — pomyślała Hilary i zerknęła na pająka pod sufitem. — Nie znasz tego.

Trochę później udała się na piętro. Jadalnia została już uprzątnięta, a w barze siedziało z pół tuzina osób bawiących się beczynnie i z zadowoleniem szklaneczkami z trunkiem. Jeszcze kilka lat temu — pomyślała Hilary — chciałoby mi się wyjść do gości, zamienić z nimi kilka słów, opowiedzieć o Pszczelim Domu, zapytać, czy smakowała im kolacja. Teraz już nie chcę mieć z nimi nic wspólnego, przeszkadza mi nawet sama ich obecność. Pragnę jedynie, by powsiadali do swoich vauxhalle'ów i wrócili do Surrey, Yorkshire, Walii czy skąd tam przybyli. Biedni, sympatyczni, nieszkodliwi ludzie, którzy nie mają zielonego pojęcia o tym, co się tu naprawdę dzieje, którzy myślą, że znaleźli miły hotelik, w miłym, prowincjonalnym miasteczku, prowadzony przez miłą rodzinę. No cóż, nikt z nas nie jest miły, a na pewno nie Laurence. Ponadto nie stanowimy już rodziny. A w każdym razie nie będziemy jej stanowić długo. Przez szybę w drzwiach do baru rzuciła Donowi pytające spojrzenie. On przesłał jej uśmiech i szybko uniósł kciuk. Hilary poczuła głęboką wdzięczność za to, że w tym zwariowanym, gnającym na złamanie karku świecie jest jedyną pewną i niezmienną osobą.

Po schodach wchodziła bardzo powoli. Nie wybiła jeszcze dwudziesta trzecia, a przyjęcie urodzinowe trwać miało do wpół do dwunastej. Wtedy on... — lub Laurence, jeśli łaskawie zechce do tego czasu wrócić — pójdzie do sali bankietowej, sprawdzi stan i zamknie na noc. Pomyślała, że dobrze zrobiłaby jej kawa. Skierowała się do kuchni, naląła wody do elektrycznego czajnika i włączyła go do kontaktu.

— Ja przygotowuję — odezwał się George.

Odwróciła się. Stał w progu. Był na bosaka, w dżinsach i starej, szarej, flanelowej koszuli bez kołnierzyka, która należała kiedyś do Laurence'a. Kupili ją dawno, dawno temu, podczas wakacji w Donegal.

— Czekamy — oświadczył George. — Rozumiesz, czekamy na ciebie. Już robię ci kawę. Adam przyniósł trochę wina...

— Dlaczego?

— Słucham?

— Dlaczego na mnie czekacie?

George wyminął matkę, zdjął z suszarki jeden z ustawionych tam do góry nogami kubków i wsywał do niego kawę.

— Musimy porozmawiać.

Hilary wyjęła z lodówki butelkę z mlekiem.

— Rozumiem.

Serce zaczęło nagle walić jej jak młotem; jakby się czegoś przestraszyła.

— Chłopaki czekają w salonie — poinformował George i wyciągnął do niej rękę, widząc, że jego matka zamierza wycofać się z kuchni. — Chodź.

Posłusznie ruszyła za nim. Adam i Gus, którzy siedzieli na podłodze oparci plecami o kanapę i oglądali telewizję, na widok matki, zupełnie jakby była przerażającym, lecz budzącym szacunek stworzeniem, natychmiast wstali. Gus wyłączył telewizor. I w jego twarzy, i w twarzy Adama dostrzegła nie lęk, strach czy szacunek, ale zwykłą troskę.

— Siadaj — powiedział George i podsunął jej krzesło. — Siadaj i mów.

— Mów, mamó — wtrącił Gus, kładąc jej rękę na ramieniu.

— Och, Boże — powiedziała Hilary i opadła na krzesło. Spuściła głowę i okulary zsunęły się jej na czubek nosa. Poprawiła je, a potem w ogóle zdjęła. Któryś z chłopców przysunął do niej mały stolik, na którym stał kubek z kawą i kieliszek białego wina. — Jeśli będziecie dalej tak się zachowywać, wybuchnę płaczem...

Adam przykucnął przy jej krześle, pochylił nisko głowę i popatrzył jej w oczy.

— Jeśli chcesz, płacz. Ale musisz nam wyjaśnić, dlaczego płaczesz. Potrząśnąła głową.

— No właśnie — dobiegł ją z bliska głos George'a. — No właśnie.

— Nie mogę.

— Dlaczego nie możesz?

— Nie mogę bez taty. Obiecałam mu...

— To fatalnie — odezwał się George. Przyklęknął po drugiej stronie jej krzesła. — Nie możemy czekać, aż będziecie razem. Nigdy nie jesteście razem. Mamó...

— Tak...

— Co się dzieje?

Hilary uniosła głowę. Przed nią stał Gus. Oczy miał szeroko rozwarte i wyglądał bardziej na dziesięć niż na czternaście lat. Włosy, spadające mu zawsze tak jak u Adama nonszalancko na czoło, były niemożliwie rozczochrane, jakby odbijały burzę uczuć szalejącą chłopcu pod czaszką.

Patrząc prosto w oczy najmłodszego z synów, Hilary powiedziała:

— Tata zakochał się w Ginie.

Dostrzegła, że twarze całej trójki stężały. Adam rzucił się na kanapę i wtulił głowę w poduszkę. Gus wybuchnął płaczem. George spurpurowiał, a twarz wykrzywił mu okropny grymas.

— Och, mój Boże...

— Twierdzi, że pokochał ją jeszcze w szkole, gdy mieli po szesnaście lat. Powiedział, że nie ma to nic wspólnego ani ze mną, ani z tym, co zrobiłam, czy czego nie zrobiłam. Oświadczył, że kiedy Gina sprzeda już Jego Wysokość, wyjadą razem na stałe do Francji.

Po twarzy Gusa spływały łzy. Chłopiec podbiegł do matki, wywracając po drodze stolik z kubkiem kawy i kieliszkiem wina i jak oszalały rzucił się jej w objęcia. Hilary mocno przytuliła syna do siebie.

— Uspokój się, Gus. Uspokój się, kochanie. To jeszcze nie koniec świata...

— Koniec! — zaskrzeczał Gus. — Koniec! Koniec!

Adam wstał z kanapy i odwrócił się w stronę Hilary. Twarz, podobnie jak George, miał purpurową.

— Skurwysyn...

George poderwał głowę.

— Raczej kurwa.

— Dosyć — zażądała Hilary. — Natychmiast przestańcie. To nic nie pomoże, i wcale tak... — Urwała, po czym dopowiedziała z najwyższym wysiłkiem: — I wcale tak nie jest.

— Ha! — wykrzyknął Adam i zaczął walić pięścią w podłogę. Miarowo, jakby coś miażdżył.

— Czy Sophy wie? — zapytał zdławionym głosem George.

— Nie. Tylko ja i wy.

— Ja nie chcę o tym wiedzieć! — zawył Gus.

Hilary pocałowała go we włosy.

— Ja również.

— Chciałbym kogoś zabić...

— Dwie osoby.

— Nie wysłuchaliście jeszcze taty — przypomniała im Hilary. Przesunęła się w fotelu tak, że zmieścił się obok niej Gus, który natychmiast wtulił twarz w jej ramię. — Mieliśmy wspólnie wam o tym powiedzieć. Obiecałam.

George, powoli, jak wyrwany ze snu, podniósł się z podłogi i odwrócił się do nich plecami. Spoglądał w skupieniu na wiszący na przeciwległej ścianie obraz, który Hilary podarowała kiedyś Laurence'owi. Była to reprodukcja przedstawiająca trzech irlandzkich rybaków wyciągających płaskodenną kryptę na dziką, ciemną plażę.

— Od jak dawna o tym wiesz?

— Od tygodnia. Nie, od ośmiu dni.

— Co za syf — mruknął George. — Fergus odchodzi, więc Gina uważa, że należy się jej jakaś rekompensata. A tata, jak ten dureń...

— Chce mi się rzygać — oświadczył Adam.

Przestał walić pięścią w dywan, oparł głowę o fotel, w którym siedziała Hilary, i kłął pod nosem, słowo po słowie, wyraźnie, miarowo, bez zająknięcia się, jakby czytał z listy.

Hilary położyła mu dłoń na karku.

— Nie...

Nie zwrócił na ten gest najmniejszej uwagi.

— Czy coś wspominał o nas? — zapytał George, nie odrywając wzroku od obrazu przedstawiającego rybaków.

Hilary drgnęła.

— O to musicie zapytać go sami.

— Nie wierzę — stwierdził George i zaczął kręcić głową. — Po prostu, cholera jasna, nie wierzę.

— To najgorsza rzecz — powiedział Gus stłumionym głosem, ponieważ tulił twarz do ramienia Hilary. — To najgorsza...

Hilary milczała. Miała wielką ochotę wybuchnąć płaczem, wybuchnąć płaczem i mieć ich obok siebie. Pragnęła czuć ich dotyk,

pragnęła nawet, by razem z nią płakali. Nie wolno mi — mówiła sobie. — Nie wolno mi, nie mogę pozwalać na to, aby próbowali mnie pocieszać.

— Chce ci się płakać? — zapytał Gus, podnosząc wzrok na matkę.

— Tak. A raczej zdecydowanie rozwiązać cały problem.

Adam przestał kląć i gwałtownie poderwał głowę.

— Możesz zacząć od tej cholерnej Giny. — Przybliżył twarz do twarzy Hilary. — Dlaczego się z nią nie spotkasz? Dlaczego się z nią nie spotkasz i nie powiesz, że nie wolno jej w taki sposób, wykorzystując naszego ojca, kompensować sobie utraty Fergususa?

— Nie jestem pewna, czy pragnę powrotu waszego ojca, skoro on mnie nie pragnie — powiedziała cicho Hilary.

— A może tylko współczuje Ginie i robi to, co ona chce? Idź do niej, mamó, idź.

Hilary westchnęła. Z daleka dobiegł ją dźwięk zegara na wieży kościoła w Whittingbourne wybijającego kolejny kwadrans.

— Zastanówię się. Teraz muszę sprawdzić salę po przyjęciu.

— Zostań...

— My pójdziemy...

Uśmiechnęła się i wyswobodziła z uścisku Gusa.

— Jesteście kochani, ale muszę zrobić to osobiście. Przepisy przeciwpożarowe i tak dalej. Nie zajmie mi to dużo czasu. — Wstała i popatrzyła na Gusa, który siedział skulony w fotelu, przypominając marionetkę z poprzecinanymi sznurkami. — Zastanawiam się, gdzie podziały się moje okulary... o są tutaj, cudownie. — Wsunęła je na nos wyćwiczonym od lat i naturalnym jak oddychanie ruchem. — Przepraszam was — dodała sztywnym, posępnym głosem, zupełnie innym, niż zamierzała. — Naprawdę bardzo mi przykro, chłopcy.

Poklepała przelotnie po ramieniu Adama i Gusa, podeszła do George'a, ścisnęła go za ramię i opuściła pokój.

Gdy zniknęła za drzwiami, żaden z chłopców nie wykonał najmniejszego ruchu. W salonie panowała głucha cisza, maćona jedynie pochlipywaniem Gusa i szumem przejeżdżających ulicą samochodów.

W końcu George podniósł z podłogi kieliszek, kubek i przewrócony stolik, po czym poszedł do kuchni po szmatę i wodę z mydłem. Kiedy sprzątał, bracia obserwowali go w milczeniu, Gus skulony w fotelu, Adam z podłogi, gdzie leżał na brzuchu z głową wspartą na rękach. Na ramieniu miał nowy tatuaż przedstawiający małą jaskółkę, replikę jaskółek, jakie noszą byli więźniowie na znak, że są wolni jak ptaki.

George uporał się ze sprząaniem, po czym wyciągnął papierosy i poczęstował braci.

— Chcecie...

Gus nieco uniósł się w fotelu.

— Tutaj?

— Dzisiaj — oświadczył George — możemy robić, co nam się żywnie podoba i gdzie się nam żywnie podoba.

Gus pochylił się w stronę płomyka zapalniczki. Wyglądał żałośnie, był wymizerowany i gamoniowaty, jak świeżo opierzony pisklak.

— Myślałem, że jest naszą przyjaciółką — odezwał się schrypniętym głosem.

Bracia milczeli. Zaciągnął się niepewnie papierosem i wypuścił z płuc wielką chmurę dymu.

— A wy nie? Nie traktowaliście jej jak naszej przyjaciółki? Chodzi mi o to, że zawsze była taka miła. I co? Zrujnowała nam życie.

— Powiedziałam im — oświadczyła Hilary.

Siedziała w łóżku z okularami na nosie i udawała, że czyta książkę.

Laurence stał właśnie przy szafie. Ze znajomym brzękiem kluczy i bilonu opróżnił kieszenie.

— Ty co?

— Powiedziałam chłopcom. O tobie i o Ginie. Nie miałam takiego zamiaru, ale oni sami mnie zapytali.

— No proszę, jak to się dobrze złożyło.

— Nie, wcale nie. Nie mogłam uniknąć tej rozmowy.

— Rozumiem.

— Gdybyś tu był...
— Rozumiem...
— Dokonałeś pewnego wyboru i musisz za to ponieść wszelkie konsekwencje — oświadczyła Hilary, nie mogąc nagle znieść jego widoku. — To nie był mój wybór.

Nie odpowiedział. Rozpiął bardzo powoli koszulę i wyciągnął ją spod paska od spodni. Następnie zdjął zegarek, rzucił go na stosik monet.

— Gdzie są teraz?
— Chłopy? W swoich pokojach.
— Och, Hilary — odparł głosem pełnym pretensji.
— Ich wybór. Nie mój. Moim wyborem w tej chwili jest nie spać z tobą. Sophy u nas nie nocuje, więc idź do pokoju gościnnego. Nie chcę, żebyś leżał w moim łóżku po tym, jak byłeś w łóżku Giny.

— Nie poszedłem z nią do łóżka — wyjaśnił spokojnie. — Rozmawialiśmy w kuchni. W domu była zresztą Sophy.

— Co ona o tym wszystkim sądzi?
— Nie wiem — stwierdził, zdejmując z drzwi szlafrok. — W ogóle z nami nie rozmawiała. Była na górze w swoim pokoju.

Otworzył drzwi na korytarz i obejrzał się na Hilary.

— Dobranoc — powiedział.

Hilary wpatrywała się w książkę, ale nawet nie widziała liter.

— Dobranoc — odrzekła.

Padła delikatna, ciepła letnia mżawka, napędzana lekkimi podmuchami wiatru. Hilary, klnąc pod nosem, że nie zabrała parasola, ze złością zerwała z nosa okulary, by przetrzeć szkła. Sama nie wiedziała co gorsze: czy zamazane deszczem okulary, czy jej wrodzona krótkowzroczność. Całe wieki zajęło jej podjęcie decyzji, jak ma się ubrać, wieki, podczas których rosły w niej gniew i pogarda do samej siebie za te dylematy natury garderobianej w chwili, kiedy walił się jej świat. Prawie wybuchnęła śmiechem na wspomnienie starego dowcipu z „New Yorkera”. Do klienta w sklepie odzieżowym sprzedawca mówi: „Czy jest pan podsądnym, czy powodem?” Czy jako okropnie

skrzywdzona żona — zastanawiała się Hilary — mam włożyć coś seksownego, czy też coś wyjątkowo niemodnego (takich strojów miała stanowczo za dużo). A może oblec się w szaty wiedźmy, łącznie z kiejem od miotły? Zdecydowała się na czerwień. Czarne spodnie i czerwona bluzka koszulowa mówiły wyraźnie, że bez względu na to, co się wydarzy, ona nie da się zastraszyć. Kobiety w czerwieni już z daleka sygnalizują, że niełatwo je pokonać.

Gdy dotarła w końcu do Jęgo Wysokości, bluzkę na ramionach miała kompletnie mokrą, a włosy opadały jej na czoło wilgotnymi kosmykami. Gina całkiem przez przypadek wyjrzała przez okno na piętrze i ujrzała przerażającą postać ubraną na czarno i szkarłatno, stojącą na ulicy przed bramą i przecierającą okulary skrajem czerwonej koszuli. Gina zacisnęła z całych sił palce na parapecie. Nie była przygotowana na tę wizytę, nie liczyła, że tak nieoczekiwanie z nicości wynurzy się Hilary. Zdawała sobie sprawę z tego, że spotkanie z nią jest nieuniknione, lecz sądziła, iż poprzedzi je rozmową telefoniczną. Myśl o tym spotkaniu skrętnie jednak wypychała ze świadomości i nawet do głowy jej nie przychodziło, że inicjatywa może wyjść od drugiej strony. Wierzyła, iż będzie to jej przywilej. I oto teraz, trzymając się z całych sił parapetu i spoglądając z góry na Hilary, Gina czuła, jak ogarniają ją fala strasliwego, paraliżującego strachu.

Wyszła na schody i popatrzyła w górę, w stronę pokoju Sophy. Drzwi sypialni były jak zwykle zamknięte i dobiegały zza nich głośne dźwięki muzyki najnowszego przeboju filmowego. Niekomunikatywność Sophy w ostatnim czasie objawiała się inaczej. Posępny nastrój ustąpił miejsca czemuś znacznie bardziej żalonnemu i przygnębiającemu. Obecnie Sophy stała się zawzięta, zdeterminowana. Systematycznie, z rezygnacją, lecz bez pretensji i złości, pakowała rzeczy ze swęgo pokoju. Z dołu schodów Gina widziała kilka kartonowych pudeł stojących na półpiętrze. W pudłach znajdowały się książki, ozdoby i taśmy magnetofonowe. Z jednego wystawała pluszowa mordka hipopotama. Gina pomyślała, iż przez najbliższe pół godziny Sophy zapewne nie opuści swęgo pokoju, nie zejdzie na dół i widząc Hilary, nie domyśli się prawdy, którą Gina skrętnie dotąd przed nią ukrywała.

„Powiem jej — oświadczyła Laurence'owi. — Ale wtedy, gdy ty powiesz chłopcom. Powiemy im jednocześnie. Inaczej byłoby nieuczciwie”.

Hilary czekała przed oszklonymi drzwiami kuchennymi. Dostrzegła wchodzącą do kuchni Ginę, ale nie naciskała klamki. Po prostu czekała, obserwując, jak gospodyni powoli przechodzi przez kuchnię i otwiera drzwi.

— Cześć.

Gina przelknęła ślinę.

— Cześć.

Przesunęła się w bok i wpuściła Hilary do środka.

— No cóż — powiedziała Hilary, strząsając z włosów kropelki wody i zdejmując okulary. Gdy popatrzyła na Ginę, jej oczy bez szkieł wydawały się dużo większe i młodsze. — Nigdy jeszcze tego nie robiłam. Nie wiem, jak należy postępować. Nie znam form.

— Nie.

— Ale domyślasz się, dlaczego tu przyszłam. I jak się czuję.

Gina zamknęła drzwi i podeszła do stołu. Stała po jego drugiej stronie, naprzeciwko Hilary.

— To nie było zamierzone. Nic nie było zamierzone. Żadne z nas tego nie chciało...

— Nie?

— Nie — odrzekła zdecydowanie Gina.

— Rozumiem.

— Taka jest prawda. To nie było zamierzone.

— Ale jakiś związek istnieje, prawda? Jednego dnia jesteś załamana po odejściu Fergususa, drugiego idziesz do łóżka z mężczyzną, którego poza Fergususem znasz najlepiej na świecie. Nie ma tu żadnego związku?

Gina pochylała się nad stołem. Jej srebrne bransolety ześlizgnęły się na dłonie z cichym brzękiem.

— Hilary, nie zabrałam ci Laurence'a dlatego, aby się pocieszyć po Fergusie.

Hilary również położyła płasko dłonie na stole i pochylała się w stronę Giny.

— Dobrze wiesz, że tak właśnie było.

— Nie, ja...

— Posłuchaj — powiedziała Hilary. — Po prostu mnie posłuchaj. Przez całe życie byłaś zaborcza w stosunku do Laurence'a i nigdy nie omieszkiałaś dać mi do zrozumienia że poznałaś go dużo wcześniej niż ja. Dopóki miałaś Fergusa tolerowałaś to, że Laurence jest ze mną. Ale gdy Fergus cię rzucił, zapragnęłaś ponownie mieć Laurence'a, ponieważ zawsze uważałaś, że należy do ciebie. Podejrzewam, że uważałaś nawet, iż jest do ciebie przypisany.

Gina gwałtownie szarpnęła głową; pukle włosów, niczym dwa lśniące skrzydła smagnęły powietrze.

— Nie zabrałam go, Hilary. Sam tu przyszedł. Przyszedł do mnie.

— Takiej decyzji nikt nie podejmuje nagle. Nikt nie pojawia się bez sygnałów. A już na pewno nie Laurence.

— Ale tak właśnie było. Odszukał mnie.

— A tobie nawet do głowy nie przyszło, żeby odtrącić jego zaloty? Nie zaświtała ci myśl, żeby powiedzieć: wybacz, ale kocham cię jak przyjaciela i tylko jak przyjaciela. Poza tym muszę być lojalna wobec twojej żony i twoich synów. A to sprawia, że nawet nie chcę o tobie myśleć.

— Też go kocham! — krzyknęła Gina.

Hilary wyprostowała się.

— No właśnie. I jak się teraz czujesz? Jak się czujesz, kiedy zrujnowałaś już moje życie, życie chłopców, życie Sophy? Jak będziesz z tym egzystować? Czy zdołasz wesoło, radośnie i beztrudnie odpłynąć sobie do Francji i z czystym sumieniem wieść tam szczęśliwe życie?

Zadzwoił telefon.

— Nie odbieraj.

— Nie, nie mogę. Ja...

— Jesteś śmierdzącym tchórzem. Nie zdradliwą przyjaciółką, ale zwykłym, cuchnącym tchórzem.

Gina chwyciła słuchawkę.

— Tak...? Co? Och Boże, mamó. Tak. Kiedy? Oczywiście. Oczywiście, już idę. Czekać, czekać na mnie. Już idę. Tak, mamó, tak. Wiem. Wiem. Dziesięć minut...

Odłożyła słuchawkę i przez chwilę stała ze spuszczoną głową, wpatrując się w aparat telefoniczny.

— Więc? — odezwała się Hilary dużo łagodniejszym tonem.

— Musimy naszą rozmowę odłożyć na później — powiedziała Gina, odwracając się w jej stronę. — Nie mogę teraz z nikim rozmawiać. Telefonowała Vi. Dan nie żyje. — Uniosła głowę i po raz pierwszy popatrzyła Hilary prosto w oczy. — Umarł dwadzieścia minut temu.

Rozdział trzynasty

— Nie gap się na mnie tak, jakbyś tylko czekała, aż wyślizgnie mi się z ręki filiżanka — burknęła Vi.

— Mamo, ja...

— Ten wyraz twojej twarzy! Ten wyraz...

— Mamo, bardzo ci współczuję...

Vi cicho chrząknęła i skrzywiła się, żeby znów nie wybuchnąć płaczem. W dłoni trzymała jedną ze swych wyszywanych w kwiatki i obrębionych koronką chusteczek; ligninowych nie cierpiała. Kręciła ją w palcach tak mocno, że materiał przypominał już wilgotny sznurek.

— Pielęgniarka — powiedziała. — Mówię o tej Irlandce.

Początkowo jej nie znosiłam za te tyrady o Jezusie Chrystusie.

Ale dla Dana była miła i pełna szacunku. Mówiła do niego „panie Bradshaw”, a nie „Dan” czy „kochanie”. Kiedy odszedł, powiedziała mi, że muszę w imię Jezusa Chrystusa wybaczyć Cath Barnett i pokochać ją. „Chyba pani żartuje — odparłam. — Pokochać Cath Barnett! No cóż, jeśli nie w imię czegokolwiek, to przynajmniej w imię Chrystusa, ponieważ w imię nikogo innego na pewno jej nie pokocham”.

Gina dołała herbaty do filiżanek. W salonie było stanowczo za ciepło, a jednak Vi, mimo że miała na sobie wełnianą kamizelkę i szal, który Gina znalazła w ściennej szafie, nieustannie dygotała.

— To nie Cath, mamo.

Vi owinęła ciasno chusteczkę wokół palca.

— Ktoś to musiał zrobić.
— Wiem.
— Byłoby to zbyt niegodziwe, gdyby bez przyczyny...
— Mamo, przyczyna była. Dan miał bardzo słabe serce.
— Och, wiem — mruknęła Vi. — Wiem o tym bardzo dobrze. — Zamknęła oczy. — Wiem.

Gina odwróciła się i zerknęła na Sophy, skuloną na jednym z prostych i niewygodnych krzeseł stołowych Vi. W ręce trzymała ściśnięte w kulkę chusteczki ligninowe, oczy miała zaczerwienione.

— Soph?

— Nie pożegnałam się z nim — szepnęła Sophy. — Tak rzadko go odwiedzałam.

— To trudne — powiedziała Vi. — To bardzo dla ciebie trudne. — Sięgnęła po filiżankę z herbatą, zajrzała do naczynia i nie upiwszy ani łyka, odstawiła ją na stół. — Żal zawsze jest trudny, ale ten jest wyjątkowo trudny, ponieważ nic już nie jesteś w stanie zmienić. Musisz odważnie spojrzeć mu w twarz i po prostu go znieść. — Wstała i chwiejnie przeszła przez pokój do miejsca, gdzie między dwoma wazonikami z małymi czerwonymi różami stała, niczym na ołtarzyku, fotografia Dana. — Zastanawiam się, jak będę mogła bez niego żyć, i dochodzę do wniosku, że nie zdołam. A jednak wiem, że jakoś sobie poradzę. Opróżnię jego mieszkanie, zabiorę jego ubrania i rzeczy do Oxfam, zapakuję wszystkie pamiątki Dana z marynarki i prześlę je jego siostrzeńcowi, który mieszka w King's Lynn. Poza tym pozwolę staremu Pagetowi, aby posadził w ogrodzie te przeraźliwe krzaki, później będę świadkiem, jak ktoś wprowadza się do mieszkania Dana i przestanie to już być mieszkanie Dana. — Wyciągnęła drżącą dłoń, dotknęła palcem twarzy na zdjęciu. — Ale nie poddam się. To by mu się nie podobało. Mnie zresztą też.

Sophy znów zaczęła płakać. Gina wstała, podeszła do córki, objęła ją i próbowała pocieszać, jak umiała.

— Przede wszystkim, jeśli nie czujesz bólu, znaczy, że nie kochałaś — odezwała się Vi, odwracając się w ich stronę. — Ale zmarli odchodzą, a ci, co zostają, muszą robić swoje.

Wróciła na krzesło, na którym poprzednio siedziała. Idąc, dla zachowania równowagi, chwytiała się mijanych mebli.

— Mamo, jesteś niesamowita — stwierdziła Gina.

Vi potrząsnęła głową. Z ucha odpiął się jej klips i spadł przed nią na podłogę. Vi wykonała niezdamny wysiłek, żeby go podnieść, ale prawie natychmiast dała za wygraną i usiadła z ulgą na krześle, zupełnie jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

— Nie. Byłam szczęśliwa. Zaznałam z Danem szczęścia, zaznałam szczęścia w tym okresie życia, kiedy człowiek nie spodziewa się już go zaznać... — Urwała i dodała ochryple, prawie do siebie: — Lub miłości.

Zapadła głucha cisza, mącona jedynie pochlipywaniem Sophy. Gina zerknęła nad głową córki na przeciwległą ścianę, na której brokatowe łabędzie Vi płynęły spokojnie po zielonym, jedwabnym jeziorze. W szkle osłaniającym kolaż dostrzegła odbicie matki — do połowy otulona szalem siedziała pogrążona we wspomnieniach o swym szczęściu i miłości.

— Bóg dał nam wspomnienia, abyśmy nawet w grudniu mogli mieć różę — odezwała się nieoczekiwanie Vi.

— Och, Ba — powiedziała Sophy, uśmiechając się przez łzy. — Och, Ba, przecież one do tego czasu zwiędną.

Hilary skierowała samochód na północ od Whittingbourne, w stronę majaczących na horyzoncie wzgórz, zbudowanych z wapieni oolitycznych. Nadawały się do wypasu owiec, lecz nie pod uprawę zboża. Usytuowane na ich stokach wioski wyglądały raczej tak, jakby wyrosły z trawy porastającej zbocza, niż zostały na nich zbudowane. Kraina ta leżała na wyżynie, przez trzy czwarte roku była pusta i niegościnna. Kiedy chłopcy byli mali, Laurence i Hilary w wietrzne popołudnia zawozili ich na te wzgórza i puszczała latawce. Z wypraw tych wracali ożywieni, choć zmęczeni walką z wiatrem. Adam miał prześliczny, pozornie prosty do zrobienia chiński latawiec z czerwonej i żółtej bawełny; latał niczym ptak, zataczając koła i pętle, czuły na każde szarpnięcie linki, na której dziecko go puszczało. Adam stracił tę zabawkę, kiedy opadła na zarośla ciernistego janowca, a pies, sądząc, że latawiec stanowi jakiegoś śmiertelne

niebezpieczeństwo, rozszarpał go na strzępy. Nieszczęsny właściciel zwierzęcia tak się tym przejął, że przysłał Adamowi inny, zrobiony ze lśniącego, niebieskiego i srebrnego nylonu. Ale ten zachowywał się w powietrzu — jak to określił Laurence — niczym próbujący wzbic się w przestworza budyń. Najmniej tym wszystkim przejął się sam Adam, bo w tym czasie zachorował już na deskorolkę.

Hilary zatrzymała samochód przy prowadzącej na łąkę drewnianej bramie. Był cichy, słoneczny dzień, a ciągnące się za bramą pola upstrzone równymi płatami płowóżółtego rżyska pozostawionego przez żniwiarzy. Teren łagodnie się obniżał i kończył ścianą drzew o liściach utrzymanych w tonacji ciemnej późnoletniej zieleni. Linia drzew biegła wzdłuż koryta strumienia. Dalej teren ponownie się wznosił, przechodząc w stromą łąkę z pasącymi się owcami, które prawie całkowicie już wygryzły trawę, zostawiając tylko twarde, ostre, ciemne kępy ostów.

Widok nie jest imponujący — pomyślała Hilary. Typowy, spokojny, monotony, rolniczy krajobraz, jaki spotkać można w całej Anglii, choć z drugiej strony w jakiś sposób kojący ze względu na swą ponadczasowość; pejzaż, który niczego od nikogo nie wymaga, nie zmusza do szukania odmiany, a tylko rozciąga się przed oczyma i po prostu jest. Hilary oparła się rękami o bramę, napawając się ciepłem szorstkiego drewna i delikatnym powiewem ciepłego wiatru na twarzy. Zamknęła oczy.

Jej siostra Vanessa radziła jej przyjechać do Londynu.

„Przyjedź i zostań, Hil. Porozmawiamy, a ty mi opowiesz wszystko, co chcesz mi opowiedzieć. Uciekaj stamtąd, zostaw hotel. Choćby na kilka dni”.

Nie miała wcale zamiaru dzwonić do Vanessy, podobnie jak nie chciała mówić chłopcom o ich ojcu i Ginie. Impuls, który kazał jej jednak zatelefonować do siostry, dała jej nieudana wizyta u Giny, śmierć Dana i powrót do domu, gdzie zdała sobie sprawę z tego, że sytuacja stała się już melodramatyczna, a melodramatami najbardziej się brzydziła. Poszła prosto na piętro i zadzwoniła do Vanessy, ale siostra była w pracy, toteż Hilary nie pozostawało nic innego, jak

krążyć niespokojnie wokół telefonu i czekać półtorej godziny, aż Vanessa wróci do domu.

Siostra była wstrząśnięta. Hilary wyczuła to nie z jej słów, lecz z milczenia. Z milczenia. W uszach Hilary nieustannie dźwięczało, niczym dzwon sądu ostatecznego, niewypowiedziane słowo „rozwód”. Przypominała sobie rozwód swego starszego brata, który rozstał się z żoną przed kilkoma laty. Dla rodziny Hilary, ludzi święcie wierzących, że tak odrażające rzeczy przytrafiają się jedynie innym jako kara za ich wątpliwą moralność i brak hartu ducha, by takiej ohydzie zapobiec, rozwód stanowił policzek, obrazę zbyt straszną-by-nawet-o-niej-mówić.

Później Vanessa się rozczuliła.

„Biedna Hil — powiedziała. — Biedna dziewczyna. Strasznie mi Ciebie żal”.

„Ze mną jest wszystko w porządku”.

„I chłopców”.

„Tak”.

„Wstrząśnięci...”

„Tak”.

„Wstrząsające...”

„Niestety tak. Zwłaszcza że chodzi o Ginę. Zupełnie straciłam grunt pod nogami. To znaczy zdrada to zdrada, ale zdrada podwójna sprawia, iż człowiek czuje się niczym żywcem wyjęty z tego okropnego obrazu Muncha o krzyku; z tym tylko, że mojego krzyku nikt nie jest w stanie usłyszeć”.

„Ja słyszę”.

„Wiem. Ale Laurence już nie”.

„Przyjedź i zostań — powiedziała wtedy Vanessa. — Porozmawiamy, a ty mi opowiesz wszystko, co chcesz mi powiedzieć”.

Hilary siedziała w swym zaniedbanym salonie i przyciskała z całych sił słuchawkę do ucha. Ogarnęła ją dziecięca tęsknota za przytulną, bezpieczną, gościnną sypialnią Vanessy z łóżkiem z nabitymi pudchem poduchami i kołdrami, specjalnie dobranym oświetleniem i książkami na nocnym stoliku, za uwagę, jaką jej siostra przykładła do szczegółów, które miały podnieść komfort pokoju. Ale wiedziała też, że wraz z nią bezlitośnie wkradłby się do tej cichej przystani ból.

Wślizgnąby się wraz z nią pod kołdrę, włożyby na drogie, wykrochmalone prześcieradło z egipskiej bawełny i natychmiast zaczęłyby drażnić jej umysł.

„Nie mogę — poskarżyła się. — Bardzo bym chciała, ale nie mogę. Rozumiesz, chłopcy, hotel...”

„Naturalnie, chłopcy. — Vanessa zaczerpnęła tchu. — Weź ich ze sobą. Z pewnością znajdziesz kogoś, kto pod twoją nieobecność zajmie się hotelem”.

„To nie takie proste. Nigdy nikogo takiego nie mieliśmy. Wyjeżdżaliśmy jedynie zimą, gdy mogliśmy zamknąć hotel”.

„Zamierzacie sprzedać Pszczeli Dom?”

„Nie wiem. Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. W ogóle niewiele rozmawialiśmy. Z najwyższym trudem znoszę jakąkolwiek z nim rozmowę, a jednocześnie jest jedyną osobą, z którą chcę być i rozmawiać. Mam kompletny zamęt w głowie”.

„Hil”.

„Tak?”

„Czy go kochasz? Czy wciąż jeszcze kochasz Laurence'a?”

„Tak — odparła Hilary. — Tak. I to jest w tym najgorsze. Ostatnio miałam wprawdzie ochotę go zamordować, ale nigdy nie przestałabym kochać Laurence'a. Przestałabym raczej kochać siebie, co bardzo obrzydziłoby mi życie, ale na pewno nie jego. I...”

„I co?”

„Jego tak łatwo było kochać. Tak, wiem, uważasz, że jest beznaoczny, ponieważ nie nosi krawatów i często zapomina o umówionych spotkaniach. Ale nie znasz go tak dobrze jak ja. On jest uroczy. Wręcz słodki. Łagodny, ale nie słaby. I ma pasje, których ty może nie dostrzegasz i nie rozumiesz, bo są odmienne od twoich, ale ma. I lubimy się nawzajem. Cieszymy się życiem... Nie, poprawka: cieszyliśmy się”.

„Wiem — powiedziała Vanessa i dodała niespodziewanie: — I tego wam właśnie zawsze zazdrościłam”.

Później zaproponowała, iż sama przyjedzie do Whittingbourne.

„Porozmawiam z chłopcami — mówiła — pomieszkam u was, porozmawiam z Laurence'em, może nawet z Giną”.

Hilary przelotnie wyobraziła sobie Vanesse z jej plisowanymi spódnicami i wykrochmalonymi bluzkami dającą błyskotliwe, wyważone rady chłopcom, siedzącą w ich przypominających nory sypialniach, i o mało nie parsknęła śmiechem.

„Nie. Wielkie dzięki, ale nie. Sądzę, że musimy przez to przejść tutaj sami. Laurence jeszcze nawet z chłopcami nie rozmawiał”.

Dlatego właśnie wyjechała z domu. Dlatego stała oparta o tę pełną bramę. Musiała dać Laurence'owi okazję, miejsce i czas na rozmowę z synami.

„Porozmawiam — obiecał. — Oczywiście, że porozmawiam. Ale wolałbym, żebyś przy tym była”.

„Nie — odrzekła Hilary, zdecydowana grać uczciwie. — Gdy ja z nimi rozmawiałam, ciebie przy tym nie było. Więc przy waszej rozmowie mnie też nie powinno być”.

Minęła bramę. Wokół skoszonych łąnów ciągnęły się długie zagony porośnięte trawą i zielskiem. Postanowiła ruszyć jednym z nich, zejść do strumienia, przejść wzdłuż jego koryta do najdalszego żywopłotu, a stamtąd ponownie w górę i wrócić do samochodu. Spacer ten, owa przysłowiowa milka w popołudnie powszedniego dnia, obejście skoszonych pól pszenicy, zajmie jej pół godziny i w tym czasie zdecyduje, bez względu na to, co będzie, bez względu na czekające ją trudności, czy starczy jej odwagi i wytrzymałości, czy walka ma w ogóle jakikolwiek sens.

W Jego Wysokości na kuchennym stole leżał list. Położyła go tam oczywiście Gina. List leżał równolegle do krawędzi stołu na poznaczonym przez pojemniki na sól i pieprz blacie. W ciągu całych szesnastu lat Sophy nigdy nie przyszło do głowy, że mogłaby otrzymać od Fergususa list. Ostatecznie nie było najmniejszych powodów, żeby do niej pisał. Widzieli się codziennie, a gdy Fergus wyjeżdżał na aukcje, które nigdy nie trwały dłużej niż kilka dni, każdego wieczoru telefonował. Gina rozmawiała wtedy z nim przez kilka minut, po czym nieodmiennie ze słowami: „Tata chce z tobą mówić” przekazywała słuchawkę Sophy.

Tego dnia wcześniej rano Gina wyszła do Vi. Oświadczyła, że nie chce, aby jej matka sama załatwiała sprawy związane ze śmiercią i pogrzebem Dana. Nie chce też, aby po wypiciu kubka mocnej herbaty i opróżnieniu paczki herbatników nic więcej przez cały dzień nie jądała. Sophy dziwiła się, że Gina robi to tak chętnie, zwłaszcza po tych wszystkich latach, które przyzwyczyły ją do nieustannych utyskiwań Vi, choć liczba jej obowiązków wobec matki wciąż rosła. Poza tym Sophy podejrzewała, że Fergus trochę bał się Vi. Odnosił się do niej zawsze nienagannie, lecz z dystansem, jak ktoś, kto ostrożnie obchodzi z daleka zwierzę, którego zachowania trudno przewidzieć. Ilekroć Sophy porównywała styl życia swego ojca i babci, dochodziła do wniosku, że każde z nich pochodzi z innej planety. To samo w pewnym stopniu dotyczyło również życia jej matki i Vi. Tym dziwniejsza zatem była pogoda ducha, z jaką Gina codziennie wyruszała na Orchard Close. Ale ostatnio Gina bardzo się zmieniła. Prawie całkowicie wyszła ze skorupy introwertycznego smutku i gniewu, zaczęła się śmiać. Zdumiewające, jak kilkanaście wizyt u psycholożki — jak określała Dianę Taylor Vi — potrafiło odmienić człowieka.

Wzięła ze stołu list Fergusa. Był gruby, w podłużnej kopercie z kremowego papieru. Zawsze takich używał, gdyż pasowały do barwy firmowego papieru listowego z czarnym drukowanym nagłówkiem, co dawało efekt dramatyczny. Chwilę przyglądała się kopercie. Wahała się, nie będąc pewna, czy bardziej boi się otworzyć ten list, czy też bardziej pragnie zapoznać się z jego treścią. Otworzyła w końcu kopertę kciukiem i to tak gwałtownie, że ją porwała. Fergus by tego nie pochwalił. Fergus zawsze używał noża do papieru.

Sophy zasiadła przy kuchennym stole i rozłożyła gruby plik kartek.

Sophy, moja najdroższa — zaczynał się list.

Odłożyła kartkę zapisaną stroną do dołu. Skoro ojciec zamierzał pisać do niej takie głupoty, stosując wszystkie ozdobniki, jakich nigdy nie używał, gdy byli jeszcze razem, nie uwierzy w ani jedno słowo, które do niej napisał. Nie znosiła zwrotów w rodzaju „kochanie”, ponieważ nic nie znaczyły, nie niosły żadnej treści, stanowiły rodzaj

pokrętnych formułek, które mają tylko wprowadzać człowieka w błąd, utwierdzać w przekonaniu, że inni go kochają, podczas gdy rzeczywistość jest zupełnie odmienna. Ostatnio Sophy zaczęła przykładać wiele wagi do swego postępowania, doszła do wniosku, że postępowanie nie tylko przemawia głośniejszym niż jakiegokolwiek słowa, ale też człowiek zachowując się w określony sposób, może sprawować nad sobą większą kontrolę. Dlatego kochała się z George'em. Tamtego popołudnia zapragnęła roztoczyć nad kimś władzę, nad kimś, kogo zaskoczy swym działaniem i kto zdziwi się tym, że patrzy na nią inaczej, nad kimś, kto nieoczekiwanie przekona się, iż to Sophy kieruje biegiem wypadków, a nie bieg wypadków nią. Sam seks był dziwny, pełen żaru, gwałtowny i bardzo szybki. Ale ku jej zdziwieniu mocno przypadł jej do gustu, a co więcej wcale nie miała później najmniejszych wyrzutów sumienia. Postanowiła w niedalekiej przyszłości powtórzyć to doświadczenie, niekoniecznie z George'em. Dopięła swego. Teraz już George patrzył na nią inaczej, zupełnie jakby czegoś od niej chciał, ale ona nie była skłonna wychodzić naprzeciw jego oczekiwaniom. Nie zamierzała prowadzić żadnych perfidnych gier, dawać mu do zrozumienia, czy to za pomocą słów, czy działań, że czuje coś, czego tak naprawdę nie czuła. Przykład własnych rodziców utwierdzał ją w przekonaniu, że jeśli raz da się na to skusić, wejdzie jej to w nałóg. Wolą być brutalnie szczerą niż fałszywie i bałamutnie uprzejmą.

Ponownie sięgnęła po list i zaczęła czytać.

Sporo zastanawiałem się nad tym, czy w ogóle powinienem napisać ten list, ale po długich wahaniach doszedłem w końcu do wniosku, jak sama zresztą widzisz, że jest to mój obowiązek. A to z dwóch powodów. Mam Ci do zakomunikowania pewne-rzecz oraz chcę udzielić ważnej rady. Ponieważ jednak wiem, jak krytycznie podchodzisz do każdego wypowiedzianego przeze mnie słowa, pragnę przelać je na papier tak, abyś miała je na piśmie, czarno na białym, jako dowód, który przekona Cię, iż wszystko, co mówię, mówię szczerze i uczciwie.

Sophy, która trzymała list na długość wyciągniętej ręki, jakby chciała w ten sposób pokazać samej sobie, jak bardzo nie dowierza

słowom Fergusu, przerwała lekturę. Jej ojciec stawiał pochyłe litery, a charakter pisma miał czytelny i zdecydowany.

Chcę Ci napisać o Tonym. Wiem, co sobie pomyślałaś, i przeklinam siebie za to, że Cię nie uprzedziłem. Fakty są takie. Znam Tony'ego od sześciu lat. Najpierw była to znajomość czysto zawodowa, później przekształciła się w przyjaźń. Jest jedynym człowiekiem, któremu zwierzałem się z nieudanego związku z Twoją matką. Kocham go, ale nie jestem w nim zakochany. Zawdzięczam mu bardzo dużo, zarówno pod względem uczuciowym jak praktycznym, ale nie jestem jego niewolnikiem. To, co między nami osobiste, pozostanie osobiste — podobnie jak Ty w nadchodzących latach, kiedy już zaczniesz mieć własne życie osobiste, będziesz strzegła jego prywatności jak żrenicy oka — choć nie ma w tym żadnej brudnej, trzymanej w ścisłym sekrecie tajemnicy. Jestem Twoim ojcem, kocham Cię, ale poza tym muszę mieć również życie osobiste.

Dlatego też, choć nie żałuję tego, co zrobiłem, bardzo wyrzucam sobie sposób, w jaki to zrobiłem. Nie przemyślałem dobrze wszystkiego, a wiele rzeczy oceniłem niewłaściwie. Winien Ci jestem przeprosiny, a także rekompensatę. Piszę to z głębi serca, ponieważ Twój przyjazd tutaj sprawił, iż w pełni uświadomiłem sobie, co znaczy utrata Ciebie, a Twoje zachowanie pokazało, iż nie starałem się dostatecznie spojrzeć na wszystko z Twego punktu widzenia.

Moja propozycja. Kiedy już podzielimy pieniądze ze sprzedaży Jego Wysokości, Ty i ja kupimy wspólnie mieszkanie z dwiema sypialniami, zamieszkamy razem do czasu, aż skończysz szkołę. Później Ci je zostawię. Wyprowadzę się z domu, gdzie obecnie mieszkam, i znajdę na swoje miejsce lokatora, który zgodzi się spłacać hipotekę. Przedyskutowałem już tę sprawę z Tonym i jakkolwiek bardzo go to zmartwiło, przyznaje, choć sam nie ma dzieci, że Ty masz bezwzględne pierwszeństwo. Mówiłem Ci, że to bardzo sympatyczny i przyzwoity człowiek.

Dzwoń do mnie, kiedy tylko zechcesz. Ostatnio u Was w

domu nikogo nie ma, a automatyczna sekretarka jest wyłączona. Mam jednak nadzieję, że doszłście z Pughami do satysfakcjonującego obie strony porozumienia. Tak zatem niebawem będziemy mogli przystąpić do działania. Na pewno jeszcze przed Bożym Narodzeniem. I zaczniemy szukać odpowiedniego gimnazjum w Londynie.

*Jak zawsze kochający Cię
Tata*

Sophy rzuciła list na stół i kartki rozsypały się po całym blacie. Chwilę spoglądała na czarne litery na kremowym papierze, po czym sięgnęła po najbliższą kartkę i czule ją pocałowała.

Nieco później Sophy ukryła list między materacem od strony ściany a zagłówkiem swego łóżka, przebrała się w służbowy strój i ruszyła do Pszczelego Domu. Jak zwykle weszła przez kuchnię, gdzie panowała osobliwa cisza, zakłócana jedynie bulgotaniem gotujących się potraw. Laurence, który pochylał się nad jakąś metalową miską, popatrzył w jej stronę.

— Dzień dobry, Soph — powiedział i wrócił do swego zajęcia.

Kevin i Steve znaczącymi uśmiechami niemo przekazali Sophy informację, że Laurence jest w paskudnym nastroju i nie należy zwracać mu głowy. Sophy spojrzała ze zdziwieniem na szefa kuchni. Laurence nie należał do ludzi, którzy miewają muchy w nosie. Otwierała właśnie usta, by coś powiedzieć, gdy Kevin zaczął wymachiwać rękami jak wiatrak i imitując wskazującym palcem podrzynanie gardła, uciszył ją. Sophy wzruszyła ramionami, wyminęła ich i po krótkich schodkach poszła do baru.

Hilary i Don pochylali się nad rozłożonymi na szynkwasiu komputerowymi wydrukami faktur. Hilary wyglądała jak zawsze, gdy była zmęczona. Miała na sobie swój roboczy strój. Składał się z prostej, granatowej spódnicy z czerwonym paskiem i kremowej bluzki. Na nosie tkwiły okulary w czerwonej oprawce. Adam niedawno oświadczył, że wygląda jak stewardesa, a ona odpowiedziała mu ostro, że tamto zajęcie bardzo by jej odpowiadało, gdyż praca, jaką obecnie

wykonuje, jest podobna: sprzątanie po dorosłych ludziach zachowujących się jak niesforne dzieci zamknięte w ciasnym pomieszczeniu.

— Cześć, Sophy. — Hilary uniosła głowę znad faktur.

Zdaniem Sophy wyglądała tak, jakby miała za sobą bezsenną noc. Być może powodem tego była jedna z tych kłótni, o których wspominał George.

— Dzień dobry.

— Wyglądasz uroczo — pochwalił Don. Pod szyją miał zawiązany zielony krawat w żółte dinozaury. — Zaszła dziś drobna zmiana.

— Właśnie — dodała Hilary i odwróciła się do Sophy. — Zapomniałam ci powiedzieć, że wstawiłam cię do harmonogramu. Będziesz obsługiwać przy lunchu.

— Och, czy... — zaczęła Sophy.

— Nie, zostań... — Umilkła i po chwili dodała: — Jak Vi?

— Dzielna. Bardzo dzielna. Zupełnie nie przypomina tamtej Vi, gdy Dan chorował. Przestała wszystkich obwiniać. Chce, aby podczas ceremonii pogrzebowej odśpiewano wszystkie jego ulubione hymny. Te o morzu.

— To bardzo dobrze — odrzekła Hilary niezbyt pewnym głosem.

— Wszyscy oczywiście przyjdziemy... Sophy...

— Tak?

— Czy możesz odszukać Gusa? Mam dla niego zajęcie. Później sprawdź stoliki. Niech wszystkie będą nakryte, ale tylko na jednej trzeciej połóż karty. — Nieoczekiwanie przesłała jej uśmiech, uśmiech zaskakujący, ponieważ nie przypominał wcale zwykłego uśmiechu Hilary. Był to uśmiech naprawdę serdeczny, prawie wylewny. — Dobra z ciebie dziewczyna, Sophy — dodała.

Gusa w mieszkaniu nie było. Nie było zresztą nikogo z wyjątkiem Lotte, która próbowała w jakiś sposób opanować panujący w domu bałagan.

— Boże, jak ci ludzie żyją, jak można pozwolić chłopcom być takimi flejtuchami. Popatrz na te ubrania. Nie można nawet przejść przez pokój, żeby na któreś nie nadepnąć. Gdy ja byłam w ich wieku, musieliśmy sami dbać o porządek w naszych sypialniach. W tej kwestii

moja matka była nieugięta. No i oczywiście w domu zawsze nosiliśmy kapcie żeby nie nanieść brudu. W Szwecji brud zostaje przed domem wraz z butami wyjściowymi. W środku go nie ma. A tutaj? Czy widziałaś sypialnię, gdzie czasami nocujesz? To wstyd Wygląda tak, jakby dziesięciu chłopca stoczyło w niej walkę na śmierć i życie. Gdyby...

— Czy widziałaś gdzieś George'a? — przerwała jej Sophy.

— Pracuje. Poszedł do tej nowej pracy w centrum ogrodniczym. Powiedział mi: „Lotte, czy mogłabyś...”

— A Gusa?

— Wyszedł. — Lotte podniosła kubel z gorącą wodą, z którego prawie kipiała piana detergentu. — Nikt nad nim nie sprawuje kontroli. Chłopiec w jego wieku powinien przebywać na wakacyjnym obozie z innymi chłopcami, tak jak w Szwecji.

— U nas nie ma takich obozów. Dokąd poszedł?

— Wspominał coś o ogrodzie. Oświadczył, że chce wspiąć się na drzewo. Wspiąć się na drzewo! W jego wieku.

— Matka go szuka...

— Pani Wood ostatnio marnie wygląda. Pan Wood zresztą też. Oboje sprawiają wrażenie kompletnie wykończonych. — Ruszyła w stronę łazienki. W jednym ręku trzymała wiadro, a w drugim gąbkę. — Biorąc pod uwagę prace, jakie każą mi tu wykonywać, powinni dziękować Bogu, że mam spokojne, szwedzkie usposobienie.

Sophy zeszła na parter, minęła biuro Hilary i wyszła do ogrodu. Był to piękny ogród. Stary, bezpretensjonalny, tradycyjny ogród z trawą i różnymi rabatami. W odległym końcu, gdzie rosły jabłonie, stał się odrobinę dziksz. Pustawiano tam huštawki, drabinki i zjeżdżalnie, na których bawiły się dzieci hotelowych gości. Ów teren zabaw był bardzo zaniedbany i opuszczony, a po trawie dawno już nikt nie przejechał kosiarką. Na rabatach z różami bujnie pieniało się zielsko, głównie kępy krzyżownika, a wiele kwiatów domagało się przycięcia. W cieniu rzucanym przez mur z rzędem barci wszystkie wysokie kwiaty — ostróżki i malwy — zwiędły, a ich płatki opadły. Pośród niższych roślin, które wciąż jeszcze walczyły o życie i próbowały

kwitnąć, sterczały ich smukłe, suche łodygi.

— Gus? — zawołała. — Gus?

Odpowiedzi nie było. Przeszła przez trawnik, minęła stoliki i ławki wystawiane tu latem dla gości, którzy chcieli się napić pod gołym niebem, i zbliżyła się do jabłoni. Popatrzyła na koronę największego drzewa.

— Gus?

Cisza. Przeszła między drzewami na sam koniec ogrodu, gdzie kolejna ściana oddzielała ogród od zaniedbanych ogródków działkowych i parkingu przed biurowcem. Tam podciągnęła kelnerską spódniczkę i wspięła się na mur.

— Tu jestem — dobiegł ją głos Gusa.

Sophy odwróciła się. Chłopiec siedział okrakiem na murze po jej lewej stronie i prawie całkowicie zasłaniały go grube, gęste, zwieszające się przez mur na drugą stronę gałęzie starego cisu.

— Dlaczego nie zszedłeś? Przecież słyszałeś, że...

— Nie chciałem. Tu mi lepiej.

— Szuka cię Hilary.

— Po co?

— Nie wiem. Powiedziała, że ma dla ciebie jakieś zajęcie.

— Nie widziałem cię od lat — mruknął Gus.

— Sądzę, że od jakichś czterech dni... Daj spokój, Gus. Prosiła, żebyś tam przyszedł...

— Nie mogę.

— Co znaczy, że nie możesz?

— Nie mogę tam wrócić.

— Och, Gus! — wykrzyknęła poirytowana już Sophy. — Nie rób z siebie błazna! O co ci chodzi?

Gus nie odpowiedział. Sophy nie widziała jego twarzy, a tylko długie nogi w dżinsach starannie porozcinanych na kolanach, pas armii rosyjskiej, który George kupił mu na pchlim targu w Birmingham, oraz trzy centymetry jasnoszarego podkoszulka.

— Wyłaż zza tych gałęzi! — zakomenderowała. — Wyłaż, żebyśmy mogła cię zobaczyć!

Ani drgnął.

— No cóż, w takim razie zmykam. Powiem Hilary, że nie masz zamiaru do niej przyjść i...

— Poczekaj...

Rozsiała się na murze z wyciągniętymi nogami, ręce wysunęła za siebie, aby się na nich oprzeć.

— Nie mam czasu.

Powoli Gus wynurzył się z gąszcza szeleszczących, cisowych igieł i ruszył okrakiem w jej stronę. Twarz miał brudną, upačkaną żywicą. Zatrzymał się przed Sophy w odległości jakichś trzydziestu centymetrów. Zobaczyła, że po policzkach płyną mu łzy. Wyprostowała się jak rażona prądem.

— Ej, Gus...

Gapił się na nią żałośnie, jak obity szczeniak.

— Gus, co się stało?

— Nie wiesz?

— Czego nie wiem?

Gus westchnął, po ciele przebiegł mu dreszcz. Brudną dłonią zasłonił twarz i powiedział:

— Czy nie wiesz, że mój ojciec zamierza opuścić moją matkę i ożenić się z twoją?

Rozdział czternasty

Kościół tonął w kwiatach. Vi dobiła targu ze znajomym sprzedawcą kwiatów na rynku w Whittingbourne i odeszła z naręczem dalii oraz pierzastych chryzantem. Uwielbiała dalie. Uwielbiała ich piękny kształt, ich czyste, silne, przepyszne barwy. Pierwszymi kwiatami, jakie Dan podarował Vi, były właśnie dalie. Posadził je na dzierżawionej wówczas działce za murem Pszczelego Domu. Kwiaty rosły w równiutkich rzędach, podobnie jak na sąsiednich grządkach groch, fasola i marchew. Zamierzał wystąpić z tymi daliami na wystawie kwiatowej w Whittingbourne, w klasie emerytów. Ostatecznie jednak zdecydował się podarować je Vi. Spoglądając teraz na podobne, tyle że owinięte w gazetę kwiaty, ogromne, symetryczne, o wspaniale ukształtowanych, szkarłatnych, purpurowych, pomarańczowych i żółtych płatkach, widziała tamte. A na ich tle, jak przez mgłę, majaczyła twarz Dana; drobna i blada w porównaniu z przepychem kwiatów. Wyrażała pełną radości niepewność.

„Boże — powiedziała wówczas Vi. — Co pan robi, panie Bradshaw? Czy następnym razem będą czekoladki?”

I były. Olbrzymie pudło mlecznych czekoladek zawinięte w papier, leżące na progu jej mieszkania. Później przyszły warzywa, które oświadczył, iż wyhodował i dokładnie oczyścił, oraz szklany puchar z pływającą w środku złotą rybką. Oświadczył, iż wygrał go w wesołym miasteczku, które przejeżdżało przez Whittingbourne i zatrzymało się na

dwa dni na miejskim parkingu. Złota rybka okazała się wielkim sukcesem, przełamała między nimi lody. Vi nazwają ją Aksamitką. Stworzonko żyło dwa tygodnie, po czym nieoczekiwanie zdechło. Vi znalazła je unoszące się pod powierzchnią wody odwrócone brzuszkiem do góry. Jak twierdziła Vi, nigdy w życiu nie widziała bardziej martwej rybki. Wszystkie spreparowane okazy w sklepie zoologicznym miały w sobie więcej życia niż Aksamitka. Ale to było nieistotne. Nie potrzebowali dłużej złotej rybki. Byli już ze sobą i wspólnie żeglowali po cudownych falach.

Vi nie aprobowała kościoła. Jej zdaniem chodziło tylko o to, by nie pozwolić ludziom samodzielnie myśleć, a Bóg stanowił jedynie pretekst. Dan nie zgadzał się z tą opinią. Sam rzadko chodził do kościoła. Bywał w nim jedynie na Boże Narodzenie oraz w rocznicę zawieszenia broni po pierwszej wojnie światowej. Przy tych okazjach przypinał sobie do garnituru sztucznego maka* oraz dwie miniaturki medali wojennych. Regularnie też oglądał w telewizji program *Songs of Fraise* i nie lubił, gdy Vi natrzęsała się z ludzi wierzących. Twierdził, że takie postępowanie cechuje jedynie ignorantów i osoby nieczule. Zawsze utrzymywał, iż służba w marynarce handlowej nauczyła go, że religia ludzi łączy.

* W tygodniu poprzedzającym dzień, w którym przypada rocznica zawieszenia broni po pierwszej wojnie światowej, sprzedawane są sztuczne maki, a dochód z tej akcji przeznaczony jest na pomoc dla wojennych kalek weteranów.

„Albo dzieli” — dodawała Vi.

Ale kilkakrotnie towarzyszyła mu podczas nabożeństw bożonarodzeniowych i bardzo podobały się jej tłumy wiernych, gorejące świece i śpiewy. Kiedy Dan umarł, udała się do pastora w niewielkim kościółku usytuowanym na końcu Orchard Street i nieśmiało poprosiła, by odprawił mszę i ceremonię pogrzebową.

„Naturalnie. Spodziewałem się tej prośby. Pan Bradshaw był naszym parafianinem”.

Uwaga pastora zaskoczyła Vi. Dodawała Danowi znaczenia, świadczyła o tym, że nie tylko ona dostrzegала Dana. Z drugiej jednak strony, wybierając się do kościoła, Dan zawsze wyjątkowo starannie się ubierał, prasował garnitur, a buty pucował na wysoki połysk.

W świątyni też zachowywał się nienagannie, prawie cały czas stał na baczność i mimo drobnej postury prezentował się imponująco. Teraz Vi żałowała, iż wtedy nie podziwiała go więcej. Tak chciałaby mu powiedzieć, jak była dumna z tego, że ludzie widywali ją w towarzystwie mężczyzny takiego jak on.

Wystrój i panująca w kościele atmosfera bardzo ją wzruszyły. Świątynia była niewielka, stara i raczej mroczna, lecz dalej nadały jej nowego kolorytu. Poza tym, zgodnie z prośbą Vi, wszędzie płonęły świece. Obok ołtarza, po obu stronach stopni prowadzących do prezbiterium, przy chrzcielnicy i na wszystkich parapetach leżały kwiaty. Sama też zamówiła wiązanekę w białych i żółtych barwach utkanych z lilii. Bukiet miał kształt długiego, wąskiego brylantu i kiedy wnoszono trumnę do kościoła, leżał na jej wieku. Do wiązanki nie dołączono szarfy z okolicznościowym napisem. Nie było takiej potrzeby. Dan i tak dobrze wiedział, co myśli Vi.

Hilary oświadczyła, że przed pogrzebem osobiście przeprowadzi inspekcję swych synów. Chłopcy rzeczywiście dołożyli wszelkich starań, aby wyglądać jak należy; do tego stopnia, że odnaleźli nawet krawaty. Adam opuścił wprawdzie swój do połowy masztu, ale był to przynajmniej ciemny krawat. Do tego włożył marynarkę i czarne półbuty.

— Bardzo dobrze — pochwaliła Hilary.

Adam przyglądał sobie włosy, po czym przesunął palcem pod kołnierzykiem, jakby koszula go dusiła.

— Dan był w porządku — oświadczył.

— A jak ty? — spytał matkę George.

Hilary skinęła głową. Miała na sobie czarną sukienkę, której chłopcy jeszcze nie widzieli, i czarne szpilki. Adam pomyślał, że matka wygląda wyśmienicie, ale nie powiedział tego głośno. Słowo „wyśmienicie” niezbyt pasowało do pogrzebu. Na pogrzebie człowiek powinien wyglądać stosownie. Adam przesłał matce uśmiech. Zachowywała się wspólnie, znosząc z taką godnością cios, który na nią spadł. Nie wypytywała synów o to, co powiedział im ojciec, nie czyniła

żadnych uwag. Adam był jej wdzięczny, wdzięczny za to, że nie stała się uciążliwa, marudna i płacziwa. Nigdy nawet nie przyszłoby mu do głowy, że coś takiego im się przytrafi. Był pewien, że nie będzie chciał odezwać się już więcej do ojca. Ale przecież chciał. W głębi duszy uważał, że jego ojciec gorzej już postąpić nie mógł, a jednocześnie podziwiał sposób, w jaki Laurence poprowadził z nimi tamtą rozmowę. Bardzo spokojnie, bardzo zdecydowanie, bardzo smutno.

„Nie chciałem, żeby tak się stało — oświadczył. — Coś takiego nawet nie przychodziło mi do głowy. Mówię uczciwie, trafiło mnie to jak grom z jasnego nieba. Z tą chwilą zmieniłem się ja i zmieniło się wszystko”.

Cała trójka słuchała go w milczeniu. Żaden z chłopców o nic go nie pytał. Milczał nawet Gus; Gus, który nigdy nie potrafił się powstrzymać od zadawania tysięcy pytań. W pokoju panowała ciężka i pełna skrępowania atmosfera. Nikt nie chciał wymienić imienia Giny, nikt nie chciał przyznać głośno, że to właśnie ona; chłopcy nie próbowali nawet wspominać o uczuciach, jakie ich gnębiły. Lepiej było traktować tatę jako tatę. I kropka.

„Nie macie do mnie żadnych pytań? — odezwał się Laurence. — Odpowiem na każde najuczciwiej, jak zdołam”.

George westchnął. Pochylił się na krzesło i oparł łokcie na kolanach.

„Nie” — mruknął.

„Nie macie mi nawet nic do powiedzenia?”

„Nic, co byś chciał usłyszeć” — odrzekł George, wbijając wzrok w podłogę.

Gus zamknął oczy i Adam pojął, że jego brat liczy tylko minuty, czeka z utęsknieniem końca tej paskudnej rozmowy. Czy gorsze było to, że przytrafiło się to ich ojcu? A gdyby to była Hilary, czy czuliby większy gniew, tym większy, że wszystkie ideały, jakie wpajano im od dzieciństwa, można było nagle wyrzucić za okno? Możliwe. A przecież tata nie był typem mężczyzny, który bałamuci kobiety, traci styl i dobry smak, mówi o miłości jak amant z trzeciorzędnego filmu. Był

jednym z najbardziej zrównoważonych ludzi, jakich Adam spotkał w życiu. Kumpie zawsze się dziwili, że jego ojciec ciągle tam jest, ciągle stanowi część rodziny, zawsze łatwo dostępny. W tacie było coś kojącego. Było... do teraz.

— Vi bardzo ucieszy się na wasz widok — powiedziała Hilary.

Chłopcy sprawiali wrażenie zmieszanych. Trudno było im przyznać się do tego, że z jakichś osobliwych i trudnych do wytłumaczenia względów bardzo chcą iść na ten pogrzeb.

— Ale na Ginę nawet nie spojrzę — oświadczył Gus.

— Nikt ci nie każe.

— Ależ ona przecież tam będzie...

— Będzie siedziała na samym przodzie. My zostaniemy z tyłu.

Ona nie ma z tym nic wspólnego. Idziemy tam dla Vi. I dla Dana.

— I dla Sophy.

— Tak — odparła Hilary, uśmiechając się na Gusowe „i dla Sophy”.

Kościół był prawie pełny. Pojawili się w nim wszyscy mieszkańcy Orchard Close, również Doug i Cath Barnettowie, kilku bliskich znajomych Dana z lat, które spędził w mieście, dwóch przedstawicieli Legionu Brytyjskiego oraz pielęgniarka ze szpitala. Frontowy rząd ławek był pusty. Laurence, który zawsze zostawał z tyłu i rodzinę wpuszczał do ławek przodem, teraz zajął miejsce jak najdalej od głównej nawy, pod niewielką marmurową tablicą upamiętniającą krótki żywot młodego mieszkańca Whittingbourne, żołnierza, który stracił życie w bitwie pod Omdurmanem*. *Szlachetny syn* — głosił napis. — *Żarliwy patriota*. Laurence uklęknął w ławce pod tablicą i czując się bardzo nieswojo, spoglądał nieruchomo przed siebie.

* Bitwa stoczona przez wojska angielskie z derwiszami podczas powstania Mahdiego.

W wypełnionym dziwacznym blaskiem świec wymieszanym z dziennym światłem kościele pojawiało się coraz więcej osób. A przed nimi leżał w trumnie Dan; w krótkiej trumnie z wypolerowanego drewna i z mosiężnymi uchwytnymi, na krytej ogromnym stosem jasnych kwiatów. „Ma być w najlepszym gatunku”, zastrzegła Vi.

Organista cicho grał melodię *Jesu, Joy of Man's Desiring*. Niektórzy ze zgromadzonych nachylali się i dotykając się ramionami coś szeptali sobie na ucho. W pewnej chwili zapadła kompletna cisza. Do kościoła weszła wsparta na ramieniu Giny, ubrana w ciemnopurpurową suknię Vi. Siła wyprostowana, pod cieniutką siateczką lekko falowały jej siwe włosy. Przystanęła przy ławce wypełnionej Woodami i do uszu Laurence'a doszedł szmer jej szeptu. Wstrzymał oddech. Gina, w granatowej sukni, trzymała się nienaturalnie sztywno i patrzyła prosto przed siebie.

— Niech cię Bóg błogosławi, kochanie — powiedziała Vi do Hilary trochę głośniej. Popatrzyła na chłopców. — Niech was wszystkich Bóg błogosławi za to, że przyszliście. Czy widzieliście Sophy?

Cała trójka zgodnie pokręciła głowami.

— Niebawem powinna się pojawić — oświadczyła Vi. — Biedactwo. Jest taka załamana.

Popatrzyła na chłopców z uśmiechem, po czym przesłała uśmiech Laurence'owi. Odczuł go niczym powiew kojącego ciepła, miłości do kogoś, kogo zna się od trzydziestu lat, a kto pojawił się, aby w tak ciężkiej chwili dodawać otuchy samą swoją obecnością. Stanowił przecież prawie część rodziny. Jeszcze niżej pochylił głowę. Nie zniosę tego — pomyślał. — Nie zniosę. Dobra, stara, kochana Vi. O niczym nie wie. Gina jeszcze jej nie powiedziała, więc o niczym nie wie.

Sophy miała cały Jego Wysokość dla siebie. Zrobiła to celowo, mówiąc, że zamierza jeszcze kupić w ostatniej chwili kwiaty dla Dana, a potem dołączy do nich w kościele. Ubrała się nawet jak na pogrzeb w długą, czarną, dżersejową sukienkę z falbankami, pod którą włożyła ciemnozielony T-shirt. Włosy upięła wysoko za pomocą klamry w kształcie motyla wykonanej z matowego, srebrzystego metalu. Ozdobę tę dostała w prezencie od Dana. Tak się wstydził i krygował, gdy wręczał jej ten podarek, że prawdę mówiąc, kiedy jeszcze żył, Sophy nie lubiła tej klamerki. I oto teraz, nagle, strasznie zapragnęła ją

włożyć. Wybrała też srebrną bransoletę w kształcie splecionej linki, którą otrzymała w prezencie od Fergusa na ostatnie urodziny. Następnie oświadczyła matce, że idzie po kwiaty dla Dana.

„Przecież mamy kwiaty — odparła Gina. — Zamówiłam je już kilka dni temu. Ode mnie i od ciebie”.

„Chcę mu zanieść tylko od siebie. Kwiaty, które sama kupię”.

„Ale nie teraz, Sophy. Już za późno. Za piętnaście minut musimy być u Ba. Przecież dobrze o tym wiesz”.

„Zdążę. Nie zajmie mi to dużo czasu. Przyjdę prosto do kościoła”.

Pchnęła oszklone drzwi i skierowała się do drzwi prowadzących na ulicę. Głośno nimi trzasnęła, ale przez nie nie wyszła. Wróciła do wyjścia do ogrodu, przesunęła się za splątanymi, gęstymi krzakami klematisu i skryła za letnim domkiem. Oddychając ciężko i zagryzając wsunięty do ust niebieski koralik, odczekała kilkanaście minut, aż w ogrodzie pojawi się Gina i zamknie dom na klucz. W ciemnej sukience i ciemnych butach, z malutką, płaską kopertową torebką wyglądała bardzo elegancko. Sophy obserwowała matkę bezstronnie, jakby nigdy z Giną nie miała nic wspólnego, patrzyła jak na kobietę, która po prostu od szesnastu lat mieszka w tym samym domu co ona. Obserwowała, jak stukając wysokimi obcasami obchodzi posesję, kierując się w stronę ulicy, a następnie rusza w kierunku Orchard Close.

Sophy wypluła koralik, odliczyła do pięćdziesięciu, po czym przebiegła przez niewielki trawnik, na którym rosły rumianki, minęła gotycką ławę i ponownie znalazła się w domu.

Poszła prosto do swojej sypialni. Obecnie pokój był już prawie pusty. Znajdowało się w nim jedynie łóżko, biurko, regał z książkami i stojąca na podłodze torba. Była to czarna, brezentowa torba, nowa i sztywna, którą dostała kiedyś od rodziców na podręczniki, a którą wzgardziła na rzecz zwykłych, plastikowych reklamówek z supermarketu, jakich używali wszyscy koledzy i koleżanki z jej klasy. Reklamówki wyglądały niechlujnie, normalnie. Noszenie książek w drogiej, najwyższego gatunku torbie ze skórzanymi rączkami mogłoby

wskazywać na to, że przykłada się dużą wagę do książek i zeszytów, a co za tym idzie, nie daj Boże, do samej szkoły. Ale teraz torba okazała się nad wyraz użyteczna. Sophy żałowała tylko, że nie wystawiła jej kilka razy na deszcz lub że Gina nie przejechała po niej samochodem, aby torba straciła trochę ze swej nieskazitelnej nowości.

W środku był list od Fergususa i mały słoik z błyszczącym o truskawkowym smaku do ust. Teraz Sophy włożyła do środka jeszcze dżinsy, adidasy, kilkanaście podkoszulków, walkmana, trochę taśm, szczotkę do włosów i pamiętnik, który pisała przez całe lato. Zasuwała zamek błyskawiczny i próbnie zarzuciła torbę na ramię. Zdecydowała, że spokojnie może zabrać trochę więcej rzeczy. Postawiła zatem torbę na podłodze, rozpięła ją i wcisnęła do środka bluzę, torebkę z tamponami oraz świnkę, którą Vi zrobiła jej ze spodni od munduru tajemniczego ojca Giny. Przejrzała zbiór zdjęć. Znajdowała się tam fotografia Fergususa, Giny i Vi oraz wsunięta do ramki, w którą oprawione zostało to zdjęcie, mała podobizna Dana. Były tam fotografie Woodów, kilka zdjęć ze szkoły i trochę jej własnych. Jedna z fotografii przedstawiała również jej papużkę nasłuchującą czegoś, czego nikt inny nie był w stanie usłyszeć. Sophy wahała się chwilę, spoglądając na zdjęcie Vi, lecz ostatecznie wzruszyła ramionami. Nie potrzebowała wcale podobizny Vi, żeby czuć przy sobie jej obecność.

Rozejrzała się po pokoju. Kiedyś bardzo go lubiła, była z niego dumna, uwielbiała to pomieszczenie na poddaszu, skąd mogła obserwować przez okno budzące się i zachodzące słońce. Teraz już nie do tego miejsca nie czuła. A jednak nie potrafiła go opuścić bez wygładzenia narzuty na łóżku, ustawienia dzbanka z długopisami tuż przy bibularzu, który z kolei przesunęła równolegle do schludnego stosiku książek na biurku. Później zaciągnęła zasłony w oknach, jakby chciała powiedzieć pokojowi, że powinien iść spać, podniosła z podłogi torbę i wyszła.

Na niższym podeście schodów otworzyła drzwi do sypialni Giny. Jak zwykle panował w niej nieskazitelny porządek. Pod krzesłem stały małe kaptcie, a na lśniącym, pokrytym szkłem blacie toaletki skrzyneczka z przyborami kosmetycznymi. Weszła do łazienki, tak

ostatnio kobiecej, a następnie do gościnnej sypialni, gdzie, jak tylko sięgała pamięcią, nikt nie spał w przepięknych łóżkach z włóczkowymi narzutami ani nie przeglądał się w hiszpańskim zwierciadle w ozdobnej, rzeźbionej w kwiaty, stalowej ramie. Dalej był gabinet Fergususa, kompletnie pusty. W pokoju pozostał jedynie dywan i duży wiklinowy kosz na papiery. Zajrzała z kolei do małego pokoiku, w którym nikomu nie wolno było niczego ruszać, ponieważ Gina umyśliła sobie, iż urządzi w nim prywatne sanktuarium. Ostatecznie nic w nim nie zrobiła poza tym, że pozawieszała w oknie płowóżółte, lniane zasłonki w stylizowane tulipany oraz wniosła stolik i krzesło, stojące teraz żałośnie i bez sensu, pokryte jasną, przezroczystą warstewką kurzu. Sophy miała ochotę, żeby na tym kurzu wypisać palcem słówko: żegnaj. Musiała szybko i zdecydowanie zatrasnąć drzwi, aby nie ulec pokusie.

Na parterze znajdowała się jadalnia, salon i kuchnia. Sophy z nabożeństwem zajrzała do każdego z tych pomieszczeń, najwyraźniej chciała, aby konwenansom stało się zadość, aby powiedzieć wszystkim „dziękuję” i „do widzenia”, po czym opuścić przyjęcie, na którym wcale się dobrze nie bawiła. Otworzyła zaniedbane pianino Giny i zaczęła raz po raz naciskać klawisz C, widać poprzez uparte powtarzanie jednego dźwięku pragnęła podkreślić znaczenie swego odejścia. Później przeszła do kuchni i spojrzała na papużkę. Ptak nawet się nie poruszył. Sophy otworzyła małe drzwiczki klatki i wyjęła pojemniczki na wodę i pokarm, aby je napełnić. Papuga obserwowała ją bez zainteresowania.

— Powinnaś wrócić do Ba — powiedziała Sophy. — Tam byłoby ci znacznie lepiej i weselej.

Ptak otrząsnął piórka, najwyraźniej chcąc powiedzieć, że skoro musi i tak żyć w klatce, to to miejsce czy inne nie ma żadnego znaczenia, po czym zaczął kontemplować coś fascynującego, co znalazł pod swoim skrzydłem. Sophy rozejrzała się po kuchni. Popatrzyła na stół, przy którym tyle razy jadła, napisała całe tomy prac domowych i porobiła tyle notatek. No cóż, dzisiaj nie napisze żadnej, ani jednego

słowa. Znów dźwignęła z podłogi torbę, przesłała papudze całusa, przeszła przez oszklone drzwi i dokładnie je za sobą zamknęła.

— Podejrzewam, że jest po prostu załamana — powiedziała Vi. — Zawsze przepadała za Danem, a z powodu tego, co wydarzyło się tego lata, uważa, że za rzadko go odwiedzała. Ale on wcale tak nie myślał. Zresztą o nikim, kogo lubił, nie dał powiedzieć złego słowa.

— Powinnam wrócić do domu — stwierdziła Gina, odstawiając filiżankę z herbatą obok talerzyka z kanapkami, które wraz z matką próbowały jeść. — Powinnam sprawdzić, co się z nią dzieje.

— Pogrzeb był wspaniały, prawda? Taki, jakiego by sobie życzył. I przyszło tylu ludzi! Nawet jego siostrzeniec, Roger Whatsit, dziękował mi za opiekę nad wujem Danem. Robiłam wszystko, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Głupi bęcwał! Stał taki nadęty i uroczysty w tym swoim blezerze klubu wioślarskiego. Dan mówił mi, iż jego siostrzeniec był już taki jako dziecko. Nigdy nie spotkał w życiu tak napuszonego małego chłopca.

Gina wstała.

— Poradzisz sobie sama?

Vi skinęła głową.

— Mam dużo roboty. Muszę też dużo przemyśleć. Idź, znajdź Sophy i zadzwoń. Biedne dziecko. Powiedz jej, że któregoś dnia pójde z nią na cmentarz i prywatnie pożegnamy Dana.

— Mówiła, że chce tylko kupić kwiaty. Takie uniki to nie w jej stylu...

— To prawda. A w każdym razie robiłaś wszystko, żeby wyplenić z niej takie nawyki. Nie mam do niej żalu. Pewne rzeczy człowiek musi robić po swojemu.

Gina pochyliła się i pocałowała matkę. Vi zdjęła z włosów siateczkę w drobne kwiaty i nakryła nią, niczym klatką utkaną z najcieńszego drutu, dzbanek z herbatą.

— Nie jestem pewna co do tych orchidei. Orchidee są trochę szkockie. Zadzwoń do mnie później.

— Zadzwoń. Pa, mam. Pogrzeb był piękny. Nie mógł być lepszy.

— Pa, kochanie. Powiedz jej, że ją rozumiem.

Kiedy Gina wychodziła na Orchard Street, na niebie zaczynały gromadzić się ciemne chmury, zakrywając resztki błękitu, tworząc gęstą, skłębioną masę, z której lada chwila mógł lunąć deszcz. Gina szła szybko, ale małymi kroczkami, ponieważ miała na sobie bardzo wąską sukienkę i wysokie szpilki. Dotarła do połączenia Orchard Street z Tannery Street, skąd do Jego Wysokości prowadziła aleja zwana Rowami, biegnąca między postawionymi bez jednolitego planu starymi domami. Niektóre z nich zostały odnowione, miały odmalowane fronty, nowe drzwi, a przy wejściach do nich wisiały kosze z lobeliami i pelargoniami. Większość jednak pozostawała taka, jaka była przez ostatnich trzysta lat. Obskurne budynki czaiły się, zerkając oknami o brudnych szybach, niskich parapetach i zakurzonych firankach. Z niektórych dobiegały stłumione dźwięki włączonych telewizorów.

Zbliżając się do Jego Wysokości, Gina obrzuciła wzrokiem swój dom. W oknie sypialni Sophy zasłony były zaciągnięte. Gina poczuła bolesny skurcz serca, wyobrażając sobie córkę skuloną w łóżku, ciągle jeszcze ubraną w ciemną sukienkę, którą włożyła specjalnie na pogrzeb. W rękę zapewne ścisła kupione dla Dana kwiaty i płacze. Biedna Sophy, dosięgły ją dwa tak dotkliwie ciosy, jeden po drugim. A czeka jeszcze trzeci. Gina szybko podeszła do drzwi, otworzyła je i wbiegła do domu. W chwili gdy znalazła się w kuchni, z nieba spadły pierwsze krople deszczu.

Zostawiła buty na wycieraczce i ruszyła szybko w kierunku schodów.

— Sophy! — zawołała, podciągając nieco sukienkę i wbiegając po stopniach. — Sophy, już jestem!

Biegła po schodach.

— Sophy! Sophy!

Znalazła się na schodach prowadzących bezpośrednio do pokoju córki. Drzwi były zamknięte, nie dobiegała zza nich muzyka. Gina przekręciła gałkę i weszła do środka.

— Kochanie...

Pokój był prawie całkowicie pusty. Nie było w nim ani Sophy, ani poduszek, ani żadnych ozdób. Łóżko zostało starannie posłane, zwinęta kołdra leżała pod poduszką jak w hotelowych pokojach, na biurku panował niepokojący porządek.

— Sophy?

Gina otworzyła szafę. Ubrania wisiały na swoim miejscu, a pod nimi leżał stos butów i starych, zachodzonych adidasów. Gina ponownie rozejrzała się po pokoju. Wszystkie zdjęcia były na swoich miejscach. Brakowało tylko szczotki do włosów i walkmana.

Wyszła na schody. Przygotowane do przeprowadzki już na kilka tygodni przez zbliżającą się inwazją Pughów kartony z rzeczami Sophy stały na swoim miejscu. Gina sięgnęła po hipopotama, przytuliła miękkie, sprężyste zwierzątko do piersi, dotknęła policzkiem zielonej, pluszowej głowy. Sophy poszła do Pszczelego Domu. To oczywiste. Z drugiej jednak strony było trochę niepokojące, a trochę denerwujące to, że ostatnio, w chwilach kiedy sprawy zaczynały ją przerażać, Sophy automatycznie kierowała swe kroki do domu Woodów.

Gina zeszła powoli na parter, policzyła do dziesięciu i sięgnęła po słuchawkę.

Czekała ze wstrzymanym oddechem.

Telefon odebrała Hilary.

— Dzień dobry, tu hotel w Pszczelim Domu.

— Hilary...

— Tak?

— Hilary, to ja, Gina.

Chwila ciszy.

— Czego chcesz?

— Zastanawiam się... czy mogłabym porozmawiać z Sophy?

— Nie ma jej tutaj — odparła Hilary. — Z powodu pogrzebu nie umieściłam jej w dzisiejszym harmonogramie.

— Myślałam, że jest u was, z chłopcami. W domu jej nie ma, a poza tym nie przyszła na pogrzeb.

— Sprawdzę — powiedziała krótko Hilary. — Poczekaj.

Z głośnym stuknięciem położyła słuchawkę obok telefonu.

Do Giny dotarł dźwięk jej szybkich, oddalających się kroków, trzask otwieranych drzwi i wołanie. Po kilku chwilach kroki się

zbliżyły i znów oddaliły w innym kierunku. Zapadła cisza. W końcu Hilary wróciła do telefonu.

— Nikt jej dziś nie widział. Posłałam Gusa, żeby sprawdził jeszcze w ogrodzie.

— Och, mój Boże! —jęknęła Gina. — Jej pokój jest zupełnie opróżniony, jakby go opuściła, jakby szykowała się do tego od dawna. Gdzie mogła się podziać?

— Sądzę, że poszła się przejść. To taka rozsądna...

— Proszę, zadzwoń do mnie — przerwała jej łamiącym się nagle głosem Gina. — Proszę, zadzwoń do mnie, jeśli ją zobaczysz...

Znów zapadła chwila milczenia.

— Oczywiście — mruknęła Hilary i przerwała połączenie.

Gus wrócił na mur, w bezpieczną, cisową gęstwinę. Z jakichś nieokreślonych względów na pogrzebie poczuł się na chwilę lepiej. Ukoila go tradycyjna, znajoma ceremonia mszy, wszystkie te hymny i modlitwy, odświętne ubrani ludzie. Ale gdy wrócił do domu, świat ponownie rozpadł się na kawałki. Laurence bez słowa udał się do kuchni, George poszedł do centrum ogrodniczego, gdyż z pracy zwolniono go tylko na parę godzin, a Adam gdzieś zniknął. Kiedy Gus zawędrował do pokoju Hilary, która zrzuciła już pogrzebowy strój, zmieniając go na zwykłe, hotelowe ubranie, i matka oświadczyła mu, że może jej pomóc, co z kolei powinno pomóc jemu, chłopiec mruknął, że ma już zagospodarowane popołudnie i odszedł.

— W porządku. Rób, jak chcesz.

Uścisnęła go, a zapach jej perfum znów pobudził chęć do płaczu. Powędrował do swego pokoju. Tam ściągnął krawat i szkolne buty, a spodnie cisnął na łóżko. Przebrał się w bardzo obszerne dżinsy, w ciemnoniebieski T-shirt z wizerunkiem tęczy, który zostawiła kiedyś w Pszczelim Domu Sophy, oraz w adidas. Zszedł po schodach, zeskakując ze stopnia na stopień i trąc plecami o ścianę.

Ruszył powoli przez ogród. Zanosilo się na deszcz, ale Gus pomyślał, że ma ochotę zmoknąć. Postanowił zaszyć się w cisowej gęstwinie i tam zmoknąć, ubrudzić się, mieć we włosach korę i igliwie.

Wszyscy, z wyjątkiem... nie, zwłaszcza... Sophy stwierdziliby, że zachowuje się jak małe dziecko, ale on nie widział sposobu, by zachowywać się inaczej. Sophy nie pojawiła się na pogrzebie. Najwyraźniej nie czuła się na siłach znieść tej ceremonii. Zapewne zamknęła się gdzieś i ryczała, jak to zrobiła wtedy, gdy wyjawił jej prawdę o Laurensie i Ginie.

„To nieprawda!” – wykrzyknęła, a jej twarz stała się martwa jak powierzchnia księżycy.

„Prawda – odparł Gus, bardzo pragnąc ująć ją za dłoń. — Prawda. Najpierw powiedziała nam o tym mama, a później sam tata. To prawda”.

Gdy się rozplakała, chciał ją jakoś pocieszyć. Zeskoczył z muru i niezdarnie ciągnąc Sophy za nogi, pomógł jej zejść na ziemię. Tam, mimo że była od niego wyższa, przytulił ją mocno do siebie. Sophy stała w jego objęciach, twarz kryła w dłoniach i szlochała. Widział, jak spod rąk spływają jej łzy, mocząc mankiety kelnerskiej bluzki. Nie miał oczywiście chusteczki, więc po chwili namysłu ściągnął z siebie T-shirt i zaofiarował go dziewczynie.

„Dzięki – powiedziała z wdzięcznością. — Och, Gus, dzięki”.

Stał i patrzył, jak wylewa łzy w jego podkoszulek, i myślał, że nigdy jeszcze w życiu nikogo nie było mu tak szkoda. Następnie wytarła nos, twarz, dłonie i nadgarstki. Na policzkach miała wypieki, a oczy zaczerwienione. Później oboje usiedli, opierając się plecami o mur. Sophy zamknęła oczy i powiedziała:

„Czy myślisz, że to już naprawdę koniec? Że nie spotka nas więcej tak przerażających rzeczy?”

Tego Gus nie wiedział. Przez kilka nocy, przed snem, próbował wyobrazić sobie kolejne, przerażające rzeczy, jakie się jeszcze wydarzą. Na przykład, że Hilary zginie w wypadku samochodowym, że wszyscy oprócz niego umrą albo że spali się ich dom. Był znużony. Cały czas był znużony, nie chciał nikogo widzieć, a jednocześnie, gdy tylko znikali mu z oczu, bardzo się o wszystkich niepokoił.

Dotarł do przewieszającej się przez mur gałęzi cisu, chwycił się

giętkiego konara i zaczął nim trząść tak długo, aż obsypały go kawałki kory i igieł, a mięśnie zdrętwiały i zaczęły boleć.

— Gus?

Natychmiast przestał szarpać gałąź. To wołała Hilary. Zerknął w dół. Stała pośród jabłoni w odległości jakichś trzech metrów od muru i spoglądała w jego stronę.

— Tak — odparł, nie ruszając się z miejsca.

— Gus, czy wiesz, gdzie jest Sophy?

— A dlaczego miałbym wiedzieć?

— Możesz wyjść zza tego drzewa? Chcę z tobą porozmawiać.

Zaczął się przesuwac po murze, schylając głowę pod gałęzią.

— Nie pojawiła się na pogrzebie — mówiła Hilary. — Przed chwilą dzwoniła Gina z wiadomością, że pokój Sophy jest pusty i wszystko wskazuje na to, że odeszła. Gina myślała, że jest u nas. Widziałeś ją dzisiaj?

— Nie. — Przerzucił nogę przez mur i zeskoczył na ziemię. — Nie widziałem jej od dwóch dni.

— Czy coś ci mówiła? O tym, że chce uciec?

— Nie — powiedział, a następnie przypominając sobie rozmowę z Sophy dodał: — Płakała.

Hilary zrobiła krok w jego stronę. Chłopiec oparł się o mur i zasłonił twarz dłonią.

— Gus. — Hilary położyła dłonie na jego ramionach. — Gus, co się stało?

— O wszystkim jej powiedziałem. Nie chciałem, ale powiedziałem.

— Co jej powiedziałeś?

Gus odwrócił twarz, żeby nie patrzeć matce w oczy.

— No, wiesz. O naszym tacie i jej matce. Powiedziałem, że chcą się pobrać.

Rozdział piętnasty

— Jestem — powiedziała Sophy.

Fergus wytrzeszczył oczy na córkę.

— Sophy...

Jedną ręką przytrzymał drzwi, w drugiej miał okulary w kształcie półksiężyców w szylkretowej oprawce. Włosy z jednej strony głowy sterczały mu na wszystkie strony, najwyraźniej rozczochrane w chwili głębokiego namysłu.

— Kochanie, to cudownie. Jak... po prostu się ciebie nie spodziewałem.

Sophy podrzuciła trochę wyżej trzymaną na ramieniu torbę.

— Czy mogę wejść?

— Oczywiście. Oczywiście...

Był wyraźnie podekscytowany. Przesunął się w bok i przytrzymał przed córką drzwi. Kiedy go mijala, próbował ją nieudolnie pocałować w policzek, ale nie trafił.

Sophy weszła do salonu i cisnęła torbę na białą kanapę. Zachowywała się z ogromną pewnością siebie. Fergus wkroczył za nią do salonu.

— Dostałaś mój list?

— Naturalnie — odparła i popatrzyła na niego ze zdziwieniem. — Inaczej przecież bym nie przyjeżdżała.

— To... nie sądziłem, że stanie się to tak szybko.

— Musiałam — powiedziała po prostu.

Fergus podszedł do białej kanapy i zestawił torbę na ziemię.

— Nowe obicia...

Zniecierpliwiona Sophy cicho parsknęła. Pochyliła się nad stolikiem, na którym stała jakaś szklanka i kilka srebrnych przedmiotów, i zaczęła przestawiać je, jakby przypisując sobie prawo do zrobienia czegoś w rewanżu za to, że ojciec zestawił jej torbę na podłogę. Fergus szybko położył dłoń na jej ramieniu.

— Dlaczego musiałaś?

Zirytowana rzuciła mu ukośne spojrzenie.

— Napisałeś, że musimy poszukać mieszkania. I szkoły. Szkoła zaczyna się w przyszłym tygodniu.

Fergus westchnął.

— Kochanie, w tym trymestrze nie uda się już załatwić nowej szkoły. Po Bożym Narodzeniu...

— Dlaczego się nie uda?

— Bo już za późno, żeby...

— Ale ja nie chcę dwóch trymestrów spędzać w innej szkole. Chcę spędzić w jednej szkole normalny rok...

— Sophy — zaczął Fergus, biorąc ją za nadgarstki. — Skończ z tymi nonsensami. Nie zachowuj się jak dziecko. Lepiej powiedz, dlaczego tak nieoczekiwanie się tu pojawiłaś.

Popatrzyła na niego płonąącym wzrokiem.

— Prosiłeś, żebyśmy przyjechała.

— No tak. Ale wiesz równie dobrze jak ja, iż nie traktowałem tego listu jako poczty zwrotnej.

Sophy podeszła do okna i popatrzyła na ogród. Była bardzo wysoka, chuda i krucha, przez cienką sukienkę na tle blasku przeświecały zarysy jej drobnego ciała. Miała długą, szczupłą szyję i wysoko upięte włosy. Jej sylwetka sugerowała, że jeśli nie będzie się z nią postępować ostrożnie, Sophy wybuchnie i może stać się niebezpieczna. Fergus chciał podejść do córki i po ojcowsku położyć jej dłonie na ramionach. Zdecydował jednak, że lepiej tego nie robić. Usiadł na obitym pluszem krześle i czekał, bawiąc się okularami. Proszę — modlił się w duchu do Sophy. — Błagam. Bądź odpowiedzialna, bądź rozsądna, choć trochę elastyczna i ustępliwa.

Przez kilka minut nie ruszała się od okna. W pewnej chwili wyjęła z włosów spinkę w kształcie motyla, rozpuściła włosy, po czym z wprawą spięła je ponownie.

Jeszcze dłuższą chwilę stała przy oknie, po czym, nie odwracając się w stronę Fergususa, powiedziała:

— Umarł Dan.

— Wiem — odrzekł Fergus. — Powiedziała mi o tym twoja matka. Bardzo mi przykro.

— A później coś mi powiedział Gus.

— Tak?

— Tak. Coś, czego nikt nie odważył się mi powiedzieć.

Fergus milczał.

Sophy odczekała jeszcze pół minuty.

— Laurence zamierza odejść od Hilary.

— Co?!

— Słyszałeś. Laurence zamierza odejść od Hilary.

— Och mój Boże! — wykrzyknął poruszony do żywego Fergus, zrywając się z krzesła. — Dlaczego?

— Ponieważ kocha moją matkę.

Zapadła głucha cisza.

— Wielkie nieba!

— A ona kocha jego. Zamierzają razem wyjechać do Francji. To właśnie powiedział mi Gus.

Fergus podszedł do córki i objął ją ramieniem. Ale ona strząsnęła jego rękę.

— Nie ruszaj mnie.

— Nie wiem, co mam powiedzieć. A co mówi twoja matka?

— Nie rozmawiałam z nią na ten temat. Nie mogłam. Nie mogłam o tym w ogóle myśleć, a co dopiero rozmawiać.

— Och, Sophy...

— Myślałam, że otrząsnęła się ze wszystkiego dzięki tej pani psycholog. Myślałam, że to właśnie dzięki niej.

Stał obok córki i wyglądał przez okno na sprawiający wrażenie zmęczonego już letnimi upałami i pełen pociemniałej zieleni ogród. Kilka zwiniętych, zeschniętych liści opadało ospale na białe, ogrodowe meble. Fergususa ogarnęło nagle współczucie nie dla siebie, lecz dla tego dziecka, które stało obok niego, dla dzieci w Whittingbourne, dla trzech chłopców i dla starej Vi. Głośno przełknął ślinę. Konsekwencje pewnych jego czynów odbijały się przerażającymi rykoszetami. Po prostu przerażającymi. Jeśli w lesie wykarzczyje się istotne drzewo, to

wichury powyrywają z korzeniami inne, bezbronne wobec wiatru, jedno po drugim. Bez względu na to — myślał Fergus — jak mocno człowiek wierzy w to, że sprawuje kontrolę nad własnym życiem, zawsze coś mu się przytrafi, coś, czego nie przewidział, a czego i tak nie da się uniknąć. I to coś właśnie człowieka niszczy. Sophy, gdy ostatnim razem odwiedziła go w Londynie, mówiła właśnie o tym. A on, szczerze mówiąc, był urażony. Urażony jej niewinnością, biernością, nawet dobrocią. Teraz tego gorzko żałował; bardzo gorzko.

— I jeszcze jedno — odezwała się Sophy.

Fergus popatrzył na córkę. Miała bardzo poważną twarz.

— Spałam z George'em.

Fergus pochylił głowę.

— Naprawdę?

— Tak. I nie użył prezerwatywy. Nie pomyśleliśmy o tym. Dopiero później.

Zapadło milczenie.

— Więc jesteś w ciąży?

— Nie wiem.

— Sophy...

— Ale wkrótce będę wiedziała.

Fergus spostrzegł, że trzęsą mu się dłonie, zupełnie jakby niezależnie od niego, same reagowały na tę straszną wiadomość. Wsunął ręce do kieszeni.

— Kiedy?

— Za pięć dni.

— Może powinniśmy pójść do lekarza?

— Nie — powiedziała gniewnie Sophy. — Nie. Za wcześnie.

— Coś jeszcze?

— Nic. Poza tym, że nie mam zamiaru wracać do Whittingbourne.

Po raz pierwszy odwróciła się i spojrzała mu w twarz. Miała jasne i zupełnie pozbawione wyrazu oczy.

— Muszę dokupić trochę rzeczy. Rozumiesz, nie zabrałam ze sobą wiele, ponieważ nie chciałam mieszać starego życia z nowym. Mam serdecznie dosyć całego tego bałaganu i zakłamania.

— Czy matka wie, że tu jesteś?

- Nie.
- Czy możesz do niej zadzwonić?
- Nie.
- W takim razie ja to zrobię.

Sophy odwróciła się i pomaszerowała w stronę swej czarnej torby.

— Jak chcesz.

Podniosła ją i trzymała w rękach niczym ciężkiego niemowlaka. Fergus spostrzegł na nadgarstku córki bransoletkę, którą od niego dostała.

— Zobaczmy się później — powiedziała Sophy. — Jestem wykończona. Idę do swojego pokoju.

Gina leżała w łóżku w ubraniu. Nie zapadł jeszcze zmrok i pokój spowijało niczym całun przyćmione, upiorne światło zmierzchu. Nie spała. Leżała blisko od godziny, od chwili kiedy zadzwonił Fergus z wiadomością, że Sophy jest u niego.

Pląkała. Oparła się o ścianę w kuchni, do ucha przyciskała słuchawkę i pląkała. Pląkała z ogromnej ulgi.

„Czy mogę z nią porozmawiać?”

„Nie sędzę — odparł Fergus. Mówił dziwnym tonem, jakby nie do końca panował nad swymi emocjami. — Poszła do swojego pokoju i zamknęła się na klucz”.

„Czy z nią wszystko w porządku?”

„Nie”.

„Czy...”

„Tak. Powiedziała mi. Gus jej powiedział”.

Gina milczała. Cóż miała odrzec.

„Myślę, że jesteś zadowolony”.

„Gino, nie mam zdania — odrzekł po krótkiej chwili. — W każdym razie jeśli chodzi o Sophy”.

„Może to wzajemne”.

„Może”.

„Czy zamierza wrócić?”

„Nie sędzę. W każdym razie jeszcze nie teraz”.

Gina wytarła policzki rękawem bluzki. Na materiale zostały ślady tuszu do rzęs.

„W poniedziałek zaczyna się szkoła”.

„Wiem. Ale nie wydaje mi się, żebym w ciągu najbliższych dwóch lub trzech dni zdołał przemówić jej do rozsądku”.

„Chce zamieszkać z tobą?”

„Tak. — Zaczerpnął tchu. — Powiedziałem jej, że do czasu ukończenia przez nią szkoły zamieszkamy razem w mieszkaniu, które kupię”.

„Rozumiem”.

„Gino, nie robię tego dla siebie...”

„Pughowie chcą się tu wprowadzić w październiku — przerwała mu. — Ich dzieci zaczną naukę w naszej szkole po pierwszym tryestrze”.

„A wtedy ty wyjedziesz do Francji”.

„Tak” — szepnęła.

„A czy w swoich planach uwzględniłaś Sophy?” — zapytał władczym nagle tonem.

Gina bardzo powoli oderwała słuchawkę od ucha, spoglądała na nią przez kilka sekund, a następnie cicho, prawie ukradkowo, odwieściła ją na widelki. Policzyła do dziesięciu, a gdy telefon ponownie nie zadzwonił, zdjęła słuchawkę z widełek i odłożyła ją na leżący na półce stos książek telefonicznych.

Wracając na piętro, mocno trzymała się poręczy schodów niby liny ratowniczej. Poszła do swego pokoju i wpełzła do łóżka. Przez jakiś czas leżała na brzuchu, później bardzo powoli odwróciła się na plecy. Leżała, wpatrując się w sufit i nasłuchując szumu samochodów przejeżdżających w godzinie szczytu ulicą biegnącą za murem. Ludzie wracali do domów na obiad, jechali oglądać telewizję lub w ostatnich przebłyskach dziennego światła popracować w ogrodzie. Wyobraziła sobie przedmieścia Whittingbourne z kotami na płotach, samochodami w garażach, płynące nad przydomowymi trawnikami i grządkami fasoli wielokwiatowej odgłosy zwykłej, przedwieczornej krzątaniny, dyskretne poskrzypywanie pokryw od pojemników na śmieci. W porównaniu z tym wielkim, szerokim i samotnym łóżem, w którym była najszcześniejsza i najnieszcześniejsza na świecie, przypominało to inny świat, inną wręcz planetę.

„Nikt nie potrafi zapobiec temu, by zdarzały się okropne rzeczy —

oświadczyła Vi po pogrzebie, odkładając na talerzyk nie tkniętą kanapkę. — To beznadziejne. Liczy się tylko to jak człowiek zachowuje się w obliczu tych nieszczęść”

Gina zamknęła oczy. Wiem o tym — pomyślała. Powieki kłuły ją tak, jak gdyby każda rzęsa zamieniła się w maleńką szpileczkę. A co z rzeczami dobrymi? Czy człowiek powinien zachowywać się w ich obliczu tak samo? Nie otwierając oczu, sięgnęła do szuflady w nocnym stoliku. Próbowała otworzyć ją jedną ręką, ale żeby to zrobić, musiałaby usiąść. Przekręciła się więc na bok i pomagając sobie drugą ręką, wysunęła szufladę. Na wierzchu, na pliku spiętych papierów, leżała pocztówka, którą napisała w Pau do Laurence'a, oraz jego fotografia; fragment wycięty z większego zdjęcia, a przedstawiający Laurence'a w roli Chama w szkolnym przedstawieniu z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego. Miał na sobie tunikę, którą, jak przypominała sobie Gina uszyła mu jego matka ze starych, żółtych firanek. Stał na bosaka z odsłoniętymi, szesnastoletnimi ramionami i nogami. Twarz miał pomalowaną na czarno, ale rysy były całkiem czytelne. Gina położyła na narzucie pocztówkę i fotografię, po czym wpatrywała się w nie chciwie, w napięciu tak długo, aż nadszedł zmrok i wszystko pochłonęła ciemność.

— Czy naprawdę potrzeba aż trzech osób do obsługi mojego rachunku? — zapytała zniecierpliwiona Hilary.

Dyrektor filii towarzystwa budowlanego, sympatyczny mężczyzna w wieku George'a, z włosami obciętymi na krótkiego języka, w garniturze, krawacie i ze złotym kolczykiem w uchu popatrzył na dwie młodziutkie urzędniczki.

— Jeszcze chwilę, pani Wood. Powinna pani nas widzieć kiedy musimy wymienić żarówkę — powiedział uprzejmie.

Dziewczęta zachichotały i znów zaczęły wystukiwać coś na klawiaturach komputerów, a następnie przepuściły przez drukarkę książeczkę bankową Hilary.

— Chcę tylko poznać saldo końcowe po dodaniu odsetek i...

— Wybiera się pani w jakieś sympatyczne miejsce? — zapytał kierownik.

Hilary poprawiła okulary.

— Zgadza się, zamierzam gdzieś wyjechać. Co by mi pan radził?

Jedna z dziewcząt zerknęła na Hilary.

— Jest pani spod znaku Ryb?

— Tak. Skąd pani wie?

— Ja zawsze poznam — odrzekła dziewczyna, wyciągając z urzędu książeczkę bankową. — Zawsze. Powinna pani pojechać do Portugalii. Portugalia pociąga Ryby.

Przesunęła książeczkę pod szybą z pancernego szkła. Wszyscy spojłali z sympatycznymi uśmiechami na Hilary.

— Milej podróży, pani Wood.

— Nie będzie się chciało pani wracać.

Hilary skinęła głową i wyszła na rynek, gdzie wiał lekki, nieprzyjemny wiatr, który unosił z rynsztoków śmieci i kurz, wzbijał je nad markizy osłaniające stragany. Powietrze było rześkie, odrobinę ostre, pierwszy podmuch zbliżającej się jesieni.

Siedem tysięcy czterysta dwadzieścia dwa funty. Za mało, żeby uciec, w każdym razie za mało, żeby uciec w dobrym stylu. To dobre dla młodzików, nie dla kobiety w średnim wieku obciążonej trójką dzieci i prowadzącej interes. Gdy człowiek ma czterdzieści pięć lat, przyszłość składająca się jedynie z plecaka, czterdziestu papierosów, taśm magnetofonowych z nagraniem muzyką, szminki do ust i ubrania na zmianę, zupełnie nie wchodzi w grę. W wieku czterdziestu pięciu lat człowiek potrzebuje pracy, stabilizacji i jakich takich perspektyw. Poza tym Hilary sama nie była do końca przekonana, czy naprawdę chce uciekać. Chciała po prostu pobawić się, wyobrażając sobie, że w każdej chwili, kiedy tylko zapagnie, może uciec; ma możliwość wyboru.

„Ale nigdzie nie wyjedziesz, prawda” — bardziej stwierdził niż zapytał Gus.

„Nie — odparła Hilary. — A jeśli nawet, to zabiorę was ze sobą”.

Gus spuścił głowę i zaczął bawić się breloczkiem w kształcie psa, który nosił na szlufce od paska przy spodniach. Obok breloka wisiał pęczek kluczy, jakieś kółka i okropna dłoń wykonana z jasnozielonej gumy.

„Mamo...”

„Tak?”

„Czy... czy tata zabierze Sophy do Francji?”

„Mój Boże, nawet o tym nie myślałam”.

„Ale zabierze?”

Hilary popatrzyła na Gusa. Chociaż miał odwróconą głowę to z całej jego postaci można było wyczytać, co wyraża jego twarz.

„Gus, naprawdę nie wiem”.

Nerwowo poruszył ustami.

„Czasami... — powiedział — czasami wydaje mi się to wszystko zbyt szalone, żeby było prawdziwe. Czy nie odnosisz takiego wrażenia?”

Tego dnia zaczął się rok szkolny. Przy śniadaniu Hilary spostrzegła, jak bardzo Gus wyrósł. Mimo że jak na swoje czternaście lat był raczej drobny, wszystkie ubrania nagle okazały się dla niego stanowczo za kuse. Przy śniadaniu wyglądał na bardzo rozluźnionego. Z apetytem pałaszował płatki kukurydziane z mlekiem, a krawat miał źle zawiązany i przekrzywiony. Adam w ogóle nie włożył krawata. Trzymał go w kieszeni i podobnie jak jego koledzy z klasy zamierzał zawiązać dopiero przy wejściu do szkoły. Nie zjadł śniadania. Wypił tylko, mlaskając głośno jak pies, dwa kubki czarnej kawy. Gdy opuszczali dom, Hilary czuła to samo, co czuła, gdy wprowadzała swych wystraszonych synów o różowych kolanach i odstających jak u nietoperzy uszach na gwarny, szkolny dziedziniec, kiedy zaczynali naukę w pierwszej klasie szkoły podstawowej.

„Uważajcie na siebie” — powiedziała trochę idiotycznie do chłopaków, z których jeden miał czternaście, a drugi szesnaście lat.

Czuła nieprzyjemny ucisk w gardle.

Adam poklepał ją po ramieniu.

„Co tam my — rzucił lekceważąco. — To ty, ty na siebie uważaj”.

Po ich wyjściu dom zrobił się niesamowicie pusty. W hotelu nocowało wprawdzie sześciu gości, ale po śniadaniu opuścili Pszczeli Dom, zostawiając w swych pokojach straszny, bezosobowy bałagan.

Miała się nim zająć Lotte. Hilary poszła do swego biura, gdzie przez dłuższy czas wpatrywała się bezmyślnie w komputer, który kupiła wiosną i przysięgała sobie, że opanuje go w ciągu miesiąca. Jak dotąd nie nadszedł jeszcze dzień, kiedy czułaby się gotowa zasiąść do nauki. Później opuściła biuro i omijając kuchnię szerokim łukiem, wyszła do miasta, aby trochę się powłóczyć oraz wstąpić do banku i sprawdzić, ile dokładnie wynosi jej osobisty majątek.

W drodze powrotnej zatrzymała się przed witryną agencji mieszkaniowej. Broszura dotycząca sprzedaży Jego Wysokości wciąż jeszcze stała za szybą wystawy na niewielkim, drewnianym stole, ale w rogu fotografii widniała czerwona nalepka z napisem *SPRZEDANE*. Dom kupiło jakieś małżeństwo z Londynu — poinformowała Hilary Michelle — które prowadzi agencję wzornictwa przemysłowego i już teraz dało do wychodzących w Whittingbourne gazet ogłoszenie, iż poszukuje sprzętaczek. Michelle westchnęła przy tym ciężko i popatrzyła ze wstrettem na całą armię pojemniczków na sól i pieprz stojących na kredensie w jadalni. Oświadczyła Hilary, że nie oglądając się na nią, mogłaby się tam zgłosić. „Ale wolę panią, z prostej uczciwości, o tym uprzedzić” — dodała. Lotte, naturalnie, nie była zadowolona z zarobków. Nie wspominała o tym, ale z pewnością tak było. Zapewne niebawem z tej samej prostej uczciwości o tym napomknie.

Z prostej uczciwości — myślała teraz Hilary, odwracając się plecami do witryny agencji mieszkaniowej Barton and Noakes. Z tej samej prostej uczciwości musiała przyznać, że co najmniej dwie osoby ze stałego personelu mogą w każdej chwili odejść do innej pracy, której jedyną zaletę stanowił przemijający walor nowości. A jaka jest alternatywa „prostej uczciwości”? Odejście w środku dnia i pozostawienie kartki: *Odchodzę. Przepraszam. Michelle!* Albo w ogóle bez żadnej wiadomości. W tych sprawach uczciwość się nie liczyła, nie liczyła się podobnie jak w przypadku Laurence'a, który zakochał się w Ginie i zostawił po sobie tak straszliwy zamęt i ból. Jeśli ktoś szuka uczciwych rozwiązań, jeśli zamierza kierować się uczciwością, to chyba ma nie po kolei w głowie. Z drugiej strony człowiek nie może pozostawać bierny i po prostu akceptować nieuczciwość. Nie wolno

zachowywać się pasywnie. Do takich właśnie konkluzji doszła Hilary podczas samotnego spaceru tego popołudnia. Jej i jej synom mogło przytrafić się nieszczęście. Ale jeśli nawet ostatecznie przegra, to nie poda się bez walki.

Gdy wróciła do Pszczelego Domu, bar, pełniący jednocześnie rolę foyer, wypełniony był ludźmi i walizkami. Niewielka wycieczka autokarowa złożona ze starszych osób, przerażonych wonią curry i przewodów kanalizacyjnych, jaka przesączała niewielki hotel na przedmieściach Whittingbourne, gdzie została zakwaterowana, błagała, aby przyjęto ją w Pszczelim Domu. Przybyszami zajmował się Laurence. Wciąż miał na sobie fartuch szefa kuchni, a jego spokój i pogoda w tym niespokojnym ludzkim morzu wywarły na Hilary tak samo piorunujące wrażenie, jak wychodzący tego ranka do szkoły chłopcy.

Laurence zauważył żonę. Podniósł rękę i przesłał jej uśmiech.

— Rozbitkowie! — zawołał, a ogarnięci ulgą ludzie wybuchnęli śmiechem. — Czternaście osób. Siedem podwójnych pokoi. Mamy?

Hilary szybko podeszła do męża.

— To moja żona — przedstawił ją. — Dobry duszek naszego hotelu. Jestem pewien, że nie wyrzuci państwa na bruk.

Po południu, kiedy znaleziono już dla kierowcy autokaru wolny pokój w pubie „Brewer's Arms” na Orchard Street, a drzwi w siedmiu podwójnych pokojach zamknęły się za cmokającymi z zadowolenia gośćmi, Hilary zeszała do kuchni. Zastała tam tylko Laurence'a, który szybkimi, zręcznymi ruchami ciął jagnięce mięso na kotlety.

— Wszyscy rozlokowani?

— Biedni staruszkowie. Byli tak spanikowani, że teraz mogą dostać niestrawności i pobrudzić nam prześcieradła.

Laurence chrząknął, odłożył rzeźniczy tasak i wytarł ręce w fartuch.

— Jego Wysokość został już definitywnie sprzedany — poinformowała Hilary. — Na ogłoszeniu w firmie „Barton and Noakes” zamieszczono już o tym informację.

— Tak.

Hilary usiadła na krześle przy stoliku Laurence'a. Popatrzyła na rząd ustawionych schludnie notesów, podniszczonych i zaczytanych. Niektóre już się rozpadały i zostały spięte gumkami recepturkami. Ich widok wywarł na Hilary dziwaczne, ale raczej przykre wrażenie, iż są to żywe stworzenia, które ona niebawem utraci. Wzięła do ręki marmurowe jajko.

— Michelle mówi, że dom kupiło jakieś małżeństwo z Londynu prowadzące firmę wzornictwa przemysłowego. Wynajęli już lokal w mieście i urządzają tam studio. Wygląda na to, że Michelle chce odejść od nas i zatrudnić się u nich.

Laurence ponownie chrząknął. Sięgnął po aluminiowy pojemnik i wytrząsnął z niego na duży, płaski talerz okruchy chleba.

— Skoro Jego Wysokość został już sprzedany, to nowi właściciele mogą się tam sprowadzić w najbliższych miesiącach — stwierdziła Hilary, ściskając w obu dłoniach marmurowe cacko.

Wbił dwa jajka do miski i zaczął je ubijać.

— Laurence...

— Tak?

— Czy mógłbyś na chwilę przerwać swoje zajęcie i podejść do mnie?

— Po co?

— Ponieważ chcę zobaczyć twoją twarz. Ponieważ chcę patrzeć ci w oczy.

Powoli odłożył trzepaczkę do piany, znajomym ruchem wytarł dłonie w fartuch i podszedł do żony. Usiadł okrakiem na krześle, zaplótł ręce na oparciu i popatrzył na nią. Ona ostrożnie odłożyła marmurowe jajko obok zrobionego przez Gusa smoka.

— Sądzę, że nowi lokatorzy sprowadzą się gdzieś w październiku.

— Chyba tak — odrzekł i wzruszył ramionami.

— A więc w październiku wyjeżdżasz do Francji?

Zapadło głucho milczenie. Laurence nie spuszczał wzroku z Hilary.

— Dokładnego terminu jeszcze nie znam — oświadczył po długiej chwili.

Hilary złożyła ręce na kolanach.

— Byłam dziś w banku. Sprawdziłam, ile dokładnie wynosi mój majątek. Niewiele, trochę ponad siedem tysięcy. Rzecz w tym, że muszę poczynić jakieś plany. Jeśli odejdiesz, albo tu zostanę i zatrudnię nowego szefa kuchni, albo też będę zmuszona sprzedać cały ten interes.

Bacnie się jej przyglądał.

— Wiem, że to dom, który podarowano tobie. Ale interes jest wspólny i sądzę, że uczciwie podzielimy się naszym majątkiem.

— Naturalnie...

— Laurence... — Pochyliła się na krzesło, oparła łokcie na kolanach i zacisnęła dłonie, żeby ukryć ich drżenie. — Laurence, chcę, żebyś nad wszystkim jeszcze raz dobrze się zastanowił. Pomyśl o Pszczelim Domu, o mnie, o chłopcach i o naszej przyszłości. Nie możesz ot tak, po prostu, wstać i odejść.

— Nigdy nie miałem takiego zamiaru. A w każdym razie nie tak, jak to sugerujesz.

— Ale jak dotąd... — Urwała.

Czekał. W kuchni panowała głucho cisza.

— Kiedy będziesz o tym myślał...

— Tak?

— Chcę, żebyś zastanowił się jeszcze nad jedną sprawą.

Laurence lekko unióśł głowę.

— Nad jaką?

— Chcę, żebyś pomyślał... — Mówiła wolno, tak że każde słowo miało swoją wagę. — ...Chcę, żebyś pomyślał... o nas. Chcę, żebyś rozważył możliwość, a sądzę, że to całkiem realne, iż nasze małżeństwo jednak się nie rozpadnie. — Przełknęła głośno ślinę. — Wciąż cię kocham. Sądzę, że ty również mnie kochasz. Czasami miałam ochotę cię zamordować, ale nigdy nie chciałam się z tobą rozejść. Teraz też nie chcę.

Wstała i trzymając się krawędzi stołu, popatrzyła mu w oczy. Siedział nieruchomo, ręce zaplatał wokół oparcia krzesła i spoglądał żonie w twarz.

— Wiesz, że to jeszcze nie koniec — odezwała się Hilary. — Nasze małżeństwo nie umarło. Nigdy nie umrze.

Odwróciła się, przeszła przez wahadłowe drzwi i ruszyła po schodach do baru.

Sophy siedziała na podłodze w sypialni swego londyńskiego domu. Miała na sobie nowe czarne dżinsy, które kupił jej Fergus, oraz szary podkoszulek z długimi rękawami, a na przegubie srebrną bransoletę. Obcięła się na krótko, przez co jej włosy stały się zdrowsze i gęstsze. Zaczesała je na jedną stronę, tworząc fryzurę, jakiej nigdy jeszcze nie nosiła. Na prośbę Fergusa zdjęła z szyi niebieski koralik, ale okręciła rzemykiem nadgarstek. Fergus oświadczył, iż ma nadzieję, że dzięki temu Sophy przestanie nieustannie brać koralik do ust. Nie mylił się, lecz Sophy, której najwyraźniej brakowało wisiorka, nieustannie dotykała wgłębienia pod krtanią, gdzie przez tyle lat go nosiła.

Na ścianach jej pokoju wisiało kilka nowych plakatów kupionych w Tate Gallery. Fergus stwierdził, iż jeśli mają żyć pod jednym dachem, Sophy musi przestrzegać pewnych reguł, a jedną z nich jest trzymanie się z daleka od kultury masowej, która zawojowała świat. Sophy wcale to nie przeszkadzało. Trochę się wprawdzie buntowała, ale nowe plakaty były wytworne, piękne i bardzo odważne. W niczym nie przypominały tych, które trzymała w swoim pokoju w Whittingbourne. W głębi duszy była z nich dumna. Fergus kupił też córce kilka obleczonej bawełną pufów na podłogę, atramentowoniebieską jedwabną bluzkę oraz przypominający kimono szlafrok haftowany w lecące bociany.

Były to piękne dni. Wielki wpływ miał na to fakt, że Tony wyjechał na tydzień do pracy w jakiejś okazałej rezydencji i Sophy została sam na sam z Fergusiem. Wspólnie robili zakupy, wspólnie gotowali i chodzili do kina. Wszystko to było niebywale ekscytujące, gdyż w niczym nie przypominało atmosfery panującej w Jego Wysokości. Sophy czuła się bardziej dorosła, nie odnosiła wrażenia, że jest ciągle jeszcze dzieckiem wprzęgniętym w maszynę codziennego odrabiania lekcji.

Tymczasem dużo rozmawiali, chociaż Fergus nie mówił o szkole. Nie mówił również o ich nowym mieszkaniu ani o możliwej ciąży córki. Po prostu opowiadał Sophy o Londynie i o swej pracy. Gdy spytał, czy chciałaby porozmawiać o Ginie i Laurensie, zdecydowanie odparła, że nie, że jeszcze za wcześnie.

— No cóż — mruknął. — Dobrze, ale kiedy już będziesz gotowa do tej rozmowy, to daj mi znać. To zbyt ważne, żeby samemu się z tym gryźć.

Tego popołudnia Fergus zabrał Sophy do wielkiego, okazałego i bardzo posępnego domu w St John's Wood, gdzie chciał obejrzeć kilka mebli. Rezydencja należała do kogoś, kto nigdy w niej nie był, ale zarządca oprowadził ich po rozległych pokojach zastawionych meblami w pokrowcach. Fergus obejrzał wysoką komodę, kilka krzesel oraz wysokie lustro z połączonym orłem na szczycie ramy. Dużo czasu poświęcił smukłym, pełnym wdzięku porcelanowym wazom, które kształtem i wzorami przypominały Sophy wazy, które stały na parapecie na klatce schodowej w Jego Wysokości. Później przejechali powoli wokół Regent's Park, gdzie Fergus wprowadził Sophy w tajniki architektury tamtejszych budynków, po czym wrócili do domu („Co powiesz, żebyśmy na kolację zrobili risotto? — zapytał w drodze powrotnej Fergus. — Z różnymi gatunkami grzybów. Oraz z butelką maçonais?”), gdzie czekał już na nich Tony, który skończył pracę dwa dni wcześniej, niż planował.

— Beznadziejna robota — oświadczył. — Zaangażowali mnie tam jako specjalistę, a cały czas stali mi nad głową, patrzyli na ręce, doradzali i skarżyli się na fatalną restaurację tego dzieła sztuki, dokonaną w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym. W końcu zdenerwowałem się i oświadczyłem, że albo prześlą mi to dzieło do Londynu, albo nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

Z szerokim, radosnym uśmiechem pocałował Sophy w policzek.

— Fajnie cię widzieć. Do twarzy ci z tymi krótkimi włosami. Przyjechałaś tu, by przed powrotem do szkoły odetchnąć trochę cywilizowanym światem?

— Nie — odrzekła pozornie beztrąsko. — Przyjechałam tu już na stałe. Chcę zamieszkać w Londynie.

W jednej chwili atmosfera się zagęściła, stała się ciężka, naładowana elektrycznością. Zapadła cisza jak przed nadchodzącą burzą. Fergus chrząknął, a Sophy pojęła nagle, że ona sama nie chce i nie jest w stanie spojrzeć Tony'emu w oczy.

— Sophy...

— Tak?

— Sophy — powtórzył Fergus zupełnie innym tonem niż ten, jakim rozmawiał z córką przez cały dzień. — Czy mogłabyś zostawić nas na dziesięć minut samych?

Sophy przeciągnęła dłonią po swych krótko obciętych włosach.

— Nie ma sprawy.

Opuściła salon, weszła po schodach do swego pokoju i zamknęła za sobą drzwi tak głośno, że usłyszeli to Fergus i Tony.

Usiadła na nowym pufie. Złożyła po turecku nogi, dłonie zacisnęła na kostkach, głowę odchyliła do tyłu, zamknęła oczy i starała się nie myśleć o tym, co może się dalej stać.

Rozdział szesnasty

— Powinnaś była mi o tym powiedzieć — odezwała się Vi. — Powinnaś była mi o tym powiedzieć wcześniej.

Siedziała w kuchni w Jego Wysokości, w jednej ręce trzymała kubek z herbatą, drugą bawiła się turkusowym wisiorkiem na srebrnym łańcuszku, który dostała od Dana.

— Nie mogłam, mamó. Nie mogłam z powodu Dana. Miałaś dość swoich problemów.

— Zastanawiam się, czy przypadkiem nie bałaś mi się o tym powiedzieć — mruknęła Vi. — Nad tym się właśnie zastanawiam.

Gina pochyliła się i zerknęła do swego kubka. Pomyślała, że herbata ma okropny kolor.

— Masz rację.

Vi pojawiła się u córki o dziesiątej rano, gdy Gina była jeszcze w narzuconym na nocną koszulę szlafroku. Przyszła bez zapowiedzi, co podczas wszystkich lat, które Gina spędziła w Jego Wysokości, zdarzyło się nie więcej niż sześć razy. Gina była niewyspana, ponieważ Laurence siedział u niej do pierwszej nad ranem, a kiedy już sobie poszedł, nie mogła zmrużyć oka.

Tego wieczoru nie kochali się.

„Nie mogę — oświadczył Laurence. — Nie mogę nawet o tym myśleć, nie dzisiejszej nocy. Zbyt przytłacza mnie smutek”.

Bała się, a ów strach powodował jej gniew. Krzyczała, że zastraszyli

go chłopcy i Hilary. Zarzuciła mu, iż przypomina starego, pozbawionego wszelkich zasad moralnych polityka, który przyłapany ze spuszczoneymi spodniami przez bardzo zdecydowaną kobietę, robi dokładnie to, co ona mu każe. Gdy skończyła wreszcie krzyżeć, zapragnęła, by wziął ją w ramiona. Laurence objął ją, ale z jakimś osobliwym roztargnieniem, które ponownie rozpałiło w niej gniew.

„Sądziysz, że nie czuję wyrzutów sumienia? — wrzasnęła. — Czy już zapomniałeś, że czułam się winna na długo przed tym, zanim ty w to wszystko wszedłeś? I nie mów mi o stratach. Nie obrażaj mnie. Laurence, to ode mnie, nie od ciebie, własne dziecko uciekło do ojca! To ja w stosownym czasie nie powiedziałam o wszystkim Sophy i teraz płacę za ten błąd!”

Wtedy Laurence odwrócił się w jej stronę i po raz pierwszy tego wieczoru szczerze, z uczuciem ją przytulił.

„W tym, co robimy, nie możemy kierować się względami naszych dzieci — oświadczyła Gina. — Znienawidziłyby nas. Mogą nas już teraz nienawidzić, ale gdybyśmy później oświadczyli im, że zostaliśmy w naszych małżeństwach jedynie ze względu na nie, znienawidziłyby nas jeszcze bardziej. To nieuczciwe obciążać je takim brzemieniem. To nasze brzemień”.

„Nie szukaj wymówek” — odparł cicho.

„Nie...”

„Ależ tak, szukasz. Gino, próbujesz się usprawiedliwiać. A choć jedynym naszym usprawiedliwieniem jest to, że pragniemy tak właśnie postąpić, nie jest to usprawiedliwienie do zaakceptowania przez innych”.

Gina odsunęła się od niego.

„Chyba powinieneś już iść”.

„Czy mogę cię o coś zapytać?”

„Pytaj”.

„Czy zamierzałaś zabrać z nami Sophy?”

Gina sięgnęła po jeden z kieliszków wina, których żadne z nich nie tknęło.

„Tak, oczywiście, zamierzałam. Ale wygląda na to, że ona nie chce ze mną jechać. Dlaczego pytasz?”

„Ponieważ ona jest osobą — warknął ogarnięty nagłą złością

Laurence. — Bo ta nieszczęsna dziewczyna, podobnie jak moi chłopcy, czy chcą tego, czy nie, stanowią element gry, którą zainicjowaliśmy. Ponieważ zacząłem na wszystko patrzeć z punktu widzenia innych i nie potrafię już patrzeć inaczej”.

Wstał ze stołu, na którego skraj przysiadł, i ruszył w stronę drzwi. Gina odstawiła drżącą dłonią kieliszek. Na blat stołu prysnęło kilka kropel wina.

„Laurence...”

„Tak?”

Pochyliła głowę. Oddałaby wszystko, aby nie zadawać tego pytania, lecz kierujący nią impuls był silniejszy.

„Czy ciągle mnie jeszcze kochasz?”

Zatrzymał się w progu i odwrócił w jej stronę.

„Przecież wiesz, że tak. Kocham cię, zawsze cię kochałem i zawsze będę kochać”.

Wyszedł i zniknął w pograżonym w ciemnościach ogrodzie, a Gina położyła się do łóżka. Długo leżała, zadreęczając się myślą, że nie pocałował jej na dobranoc i dopiero gdy zegar na wieży kościelnej wybił piątą nad ranem, spłynął na nią ciężki, niespokojny sen.

Obudziła się tuż przed dziesiątą, zeszła do kuchni i oszołomiona jeszcze snem, postawiła wodę na herbatę. Wtedy w oszklonych drzwiach pojawiła się Vi.

„Sądzę, że pora, byś mi o wszystkim powiedziała — odezwała się bez wstępów, gdy Gina wpuściła ją do domu. — Nie spałam do czwartej, rozmyślając o całej sprawie, i zdecydowałam, że najwyższy czas, abyś wytłumaczyła mi, dlaczego Sophy uciekła do ojca”.

Gina zaparzyła herbatę i kawę, ale Vi oświadczyła, że nie potrzebna jej herbata, lecz cała prawda.

„Z powodu Laurence'a, mam — wyznała Gina. — Z powodu Laurence'a i mnie”.

Vi ujęła w palce wisiołek na srebrnym łańcuszku i zaczęła obracać go między kciukiem a palcem wskazującym, jakby czynność ta miała ją w jakiś magiczny sposób uspokoić.

„Zamierzamy razem wyjechać. Do Francji. Chcieliśmy zabrać ze sobą Sophy”.

„Nie rozumiem. Czasami odnoszę wrażenie, jakbym cię spotkała po raz pierwszy w życiu”.

— Wiem, że jesteś zła...

— Wcale nie jestem zła. Ostatnio aż za dobrze rozumiałam, ile warta jest złość, i teraz już nad sobą panuję. Jestem po prostu poruszona do żywego.

— Jeśli ma cię to pocieszyć, powiem, że ja również jestem poruszona — odrzekła Gina. — Ale jestem też szczęśliwa, a dzięki Laurence'owi wróciła mi pewność siebie.

Vi sięgnęła po kubek i upiła łyk herbaty.

— Już dawno temu zastanawiałam się, czy zostanieie ze sobą. Gino, Laurence był dla ciebie bardzo dobry. Zmusił cię do ciężkiej pracy, dzięki której nie miałaś czasu wpadać w te swoje stany psychiczne. Teraz już rozumiem, dlaczego tak dziwnie zachowywał się na pogrzebie. Nie mógł spojrzeć mi w oczy. — Odstawiła kubek, a Gina po raz pierwszy spostrzegła, jak bardzo starcze dłonie ma jej matka. — Ale nie możecie być ze sobą.

Gina mocniej zawiązała pasek swego szlafroka.

— Możemy. I będziemy.

— Są dzieci...

— Duże dzieci, mamó.

— Tylko rozmiarami — parsknęła lekceważąco Vi. — Sophy tego nie zniesie. Podobnie jak ty byś nie zniosła, gdybyś była w jej wieku. Wasze „wyjątkowe” dzieci nie przypominają innych. Szukacie rodzin w rzeczach i ludziach, aby wynagrodzić sobie brak rodziny. Możesz nienawidzić swej rodziny, ale to i tak lepiej, niż nie mieć żadnej. W rodzinie człowiek się uczy. — Odstawiła kubek. — Gdybyś mi o wszystkim powiedziała wcześniej, coś bym zrobiła.

— Niczego byś nie zrobiła. Nikt by niczego nie zrobił. Kochamy się od zawsze.

— Tylko dlatego, że coś kochasz, nie znaczy wcale, że musisz to mieć — mruknęła Vi, wstała i ciężko oparła się o stół. Na szyi kołysał się jej opadający na bluzkę wisiorek. — Sądzę, że wiesz, dlaczego to robisz. Ale czy nie rozumiesz, że istnieją pewne rzeczy, których nie da się w żaden sposób załatwić? A ponieważ, córeczko, nie da się ich załatwić, należy je zostawić.

Gina przełknęła ślinę.

— W dzisiejszych czasach ludzie już tak nie myślą.

— Nie musisz mi tego mówić — parsknęła Vi. — Ale nigdzie nie jest napisane, że musisz zachowywać się jak reszta stada, zachowywać się jak inni...

— Kocham go. Już ci to mówiłam. Zawsze go kochałam.

Vi powoli ruszyła do wyjścia.

— To za mało — powiedziała, odwrócona do Giny plecami. — To stanowczo za mało, żebyś miała prawo postępować wedle swego widzimisię.

Kiedy Vi znalazła się na świeżym powietrzu, zakreśliło jej się w głowie. Zeszła powoli po schodkach na porośnięty rumiankami trawnik i usiadła na niskim, okalającym go murku. Okna kuchni wychodziły na inną stronę domu i dlatego nie widziała Giny. Może to i lepiej. Nie miała w tej chwili ochoty jej oglądać. Tak było lepiej. Lepiej było tylko o niej myśleć, niż patrzeć na jej śliczną, zadbaną twarz okoloną prostymi, ciemnymi włosami. Choć Gina mówiła i zachowywała się jak człowiek kompletnie obcy, Vi nie mogła się na nią gniewać. Mogła być, i była, rozczarowana, wstrząśnięta i straszliwie niespokojna, ale od czasu śmierci Dana nie potrafiła już wzbudzać w sobie gniewu. Gina nie była złą dziewczyną. To fakt, bywała denerwująca, kapryśna, zachowywała się czasami w sposób naganny, kierowała się odruchami, postępowała niemądrze, ale w gruncie rzeczy nie była zła. Oczywiście, nie powinna była wychodzić za Fergususa Bedforda, ale i ona nie powinna była uwierzyć kapralowi Sy Dunandowi, gdy obiecywał, że ją poślubi i zabierze do Avenel w New Jersey. Zapewniał, iż jego mama przywita ją z otwartymi ramionami, zupełnie jakby Vi przez całe życie mieszkała na sąsiedniej ulicy i kochała jej syna. Twierdził, iż jego matce nie zrobi różnicy to, że Vi jest od niego o sześć lat starsza. A teraz, kochanie, co ty na to, by odrobinę pocieszyć odważnego, walecznego żołnierza?

Vi zamknęła powieki i nacisnęła palcami gałki oczne. Kto wie, co Gina odziedziczyła po Sy Dunandzie dzięki owym mrocznym,

tajemniczym kanałom reprodukcji? Z całą pewnością niewiele z aparycji, ale dużo z temperamentu, z jego żądz uciech i chwilowych przyjemności. Jej dzieciństwo, według standardu współczesnych czasów, również było osobliwe. Bóg jeden wie i ona, że pracowała sześć dni w tygodniu, wolne miała tylko niedziele, w które lubiła wracać dom do góry nogami i prowadzić rachunki. Trwało to lata, całe lata. Być może to one właśnie wywołały w Ginie taki głód. Może to właśnie one wywołały w niej ten głód, który kazał jej domagać się od Fergusa Bedforda rzeczy, jakich on nie był w stanie jej dać. Zapewne po Sophy powinna mieć kolejne dzieci; tak, z całą pewnością powinna była je mieć. Gdyby urodziła czwórkę, nie miałyby czasu na zadawanie sobie głupich pytań w rodzaju: czy jestem szczęśliwa, czy nie.

No cóż, dumania o czwórce dzieci były bez sensu. Vi ostrożnie wstała z murku. Czuli się już o wiele lepiej. Popatrzyła za siebie, na dom i przypomniała sobie, że nigdy specjalnie za nim nie przepadała z powodu panującej w nim atmosfery.

— Cześć — mruknęła pod adresem Jego Wysokości, podeszła do bramy i wyszła na ulicę.

Skrzyła w Rowy. Lokatorzy niektórych niskich, przysadzistych domków czekali, aż na Orchard Close zwolni się jakieś mieszkanie. Vi wcale się im nie dziwiła. Domy być może posiadały długą historię, ale z sufitów sypał się do herbaty tynk, panowała w nich przerażająca wilgoć i były bardzo ciemne. Znacznie lepiej oddać historię telewizji, a samemu żyć wygodniej, jeśli nawet wygoda ta pociągać ma za sobą sąsiedztwo takich ludzi jak Cath Barnett. Wybaczyła Cath Barnett, ale jeszcze jej o tym nie powiedziała. Grała na zwłokę, a czekając obserwowała, jak Cath każdego ranka obchodzi dziedziniec szerokim łukiem, byle tylko nie zbliżyć się zanadto do drzwi oznaczonych numerem siedem.

Na końcu Rowów Vi skrzyła w lewo, w Orchard Street. Naprzeciwko miała Pszczeli Dom z barwną tablicą i dwiema skrzynkami przywiedłych już, późnoletnich pelargonii. Przeszła przez jezdnię i ruszyła wzdłuż okien jadalni, w której nakryto już do obiadu. Pomyślała, że w takich jadalniach, zwłaszcza kiedy nie ma w nich jeszcze

gości, jest coś przygnębiającego. Jak w boisku do krykieta bez zawodników i publiczności lub w teatrze bez widzów. Takie miejsca nigdy nie powinny być puste.

Skręciła na hotelowy dziedziniec. Stała tam z otwartymi tylnymi drzwiami ciężarówka dostawcza ze sklepu z winem. Jeden z pracowników Laurence'a, ubrany w niebieskie spodnie i biały fartuch, oparty o maskę samochodu gawędził z kierowcą. Vi natychmiast go poznała. Kevin jakiś tam. W dawnych czasach, gdy z Danem zachodziła do pubu „Brewer's Arms”, spotykała ciotkę tego chłopaka, Fredę, która w soboty wpadała do lokalu na wieczornego drinka.

— Czy zastałam pana Wooda?

Kevin oderwał plecy od maski samochodu.

— Tak. Jest w kuchni. Proszę tam pójść.

Drzwi do kuchni stały otworem. Vi nigdy jeszcze nie była w hotelowej kuchni w Pszczelim Domu. Z długim, centralnym stołem, z wyłożonymi nierdzewną stalą stanowiskami pracy oraz z wielką kuchnią przypominającą okrętowy kocioł, pomieszczenie sprawiało wrażenie trochę odpychające. Vi zatrzymała się w progu i zerknęła ciekawie do środka. Jakiś młodzieniec sortował w kące zieleninę w skrzynce. Za nim siedział przy biurczku zajęty czymś Laurence. Nie nosił typowego stroju kucharza, na codzienne ubranie narzucił biały fartuch. Vi chrząknęła, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

— Laurence — odezwała się.

Wood popatrzył w jej stronę i jak oparzony zerwał się z krzesła.

— Vi!

Wkroczyła do kuchni, a on wyszedł zza biurka i szybko do niej podszedł.

— Vi — powtórzył, schylił się i pocałował ją w policzek. — Jak ci leci?

— Biorąc pod uwagę okoliczności, całkiem nieźle. — Rozejrzała się po kuchni. — Czy masz chwilę czasu...

— Cóż, niespecjalnie. Do hotelu niespodziewanie zjechał komplet gości...

— Zajmę ci tylko chwilę — obiecała Vi i ujęła Laurence'a za rękę.

— Tylko chwilę. Ale chodźmy gdzieś, gdzie będziemy sami. Muszę ci coś powiedzieć.

— Chcesz mi powiedzieć, że nie mogę tu zostać? — zapytała Sophy.

Jechali samochodem do Richmond, gdzie Fergus miał spotkać się z jakimś handlarzem staroci.

— Nie, wcale tego nie mówię. Ale... cóż, mieliśmy lekką sprz...

— Wiem — mruknęła Sophy. — Słyszałam.

Siedziała w swoim pokoju i słyszała ich rozmowę dosyć wyraźnie. Tony podnosił czasami głos prawie do krzyku. Nie wiedziała dokładnie, o co im chodzi, a duma i uraza nie pozwalały jej przyłożyć ucha do drzwi lub lekko je uchylić. Słyszała, jak Tony krzyczał: „Ale obiecywałeś! Obiecywałeś!”, i mimo wszystkich uprzedzeń, które do niego żywiła, było jej go trochę żal.

— Nie możesz zapominać, że mam pewne zobowiązania, które muszę postawić na pierwszym miejscu. Nie chcę udawać, że nie przeżywam pewnych rozterek i dylematów.

Sophy przycisnęła rękę do brzucha. Był idealnie płaski. Poprzedniego dnia miał się zacząć okres, ale się nie zaczął. Również poprzedniego dnia rozmawiała przez telefon z Giną, która oświadczyła, iż zgodnie z obowiązującym w kraju prawem Sophy musi wrócić do szkoły. Dyrektor dzwonił już dwukrotnie z pytaniem, co się z nią dzieje, i Gina obiecała mu, że w ciągu kilku najbliższych dni jej córka pojawi się na zajęciach.

„To jest moja zachcianka — powiedziała matka. — To nie jest coś, co w zależności od swego kaprysu możesz zrobić lub nie. To twój obowiązek, Sophy. Musisz wrócić do domu i zacząć chodzić do szkoły”.

Sophy powtórzyła tę rozmowę Fergusowi, który od dnia jej pojawienia się w Londynie nawet nie wspomniął ani o jej szkole, ani o ewentualnej ciąży. Teraz przesłała mu kątem oka baczne spojrzenie. Zastanawiała się, czy naprawdę leżą mu na sercu jej problemy. A może bez reszty pochłaniają go wyłącznie własne sprawy? Ku swemu

zdumieniu skonstatowała, że mimo iż ostatnio tak często wybuchała gniewem, zaabsorbowanie ojca sobą i swoimi sprawami wcale jej nie złości i nie wywołuje uczucia zazdrości, a tylko bardzo niepokoi. Odnosiła wrażenie, iż gdyby powiedziała: „Tato, jeśli chodzi o moją ciążę...”, Fergus zmarszczyłby brwi i udał zainteresowanie, pragnąc jedynie ukryć to, że chce od wszystkiego się odciąć. Zapewne powtórzyłby brutalnie praktyczną radę, że powinna skonsultować się z lekarzem. Sophy nie chciała konsultować się z lekarzem, a w każdym razie nie w atmosferze pełnej zniecierpliwienia irytacji ojca niekompetencją córki. Pragnęła, by ktoś się nią zainteresował, spróbował zrozumieć, dlaczego oddała się George'owi i dlaczego, znając już dostatecznie życie, okazali się tak lekkomyślni i nie pomyśleli o stosownym zabezpieczeniu. Znów nacisnęła brzuch i ukradkiem skrzyżowała palce u obu dłoni.

— Najlepiej będzie, jeśli wszystko ci wyjaśnię — odezwał się Fergus.

Sophy wyjrzała przez okno. Jechali długą, szeroką ulicą, wzdłuż której ciągnęły się domy z czerwonej cegły o dachach pokrytych niebieskimi dachówkami z łupka. Niektóre budynki właściciele próbowali, raczej bez powodzenia, ozdobić imitacjami georgiańskich drzwi wejściowych, imitacją oprawnych w ołów okien oraz grubą warstwą żwiru rzuconego na mokre tynki.

— W porządku, mów — mruknęła nadąsana.

— Musisz podejść do tego w sposób możliwie najbardziej dorosły — rzekł Fergus. — I bardzo obiektywnie.

Sophy nic nie odpowiedziała. Włożyła pod uda dłonie ze skrzyżowanymi palcami.

— Tony jest gejem — oświadczył Fergus.

Sophy czekała.

— Ale ja nie.

— Aha.

— Ja Tony'ego po prostu bardzo lubię, ale on jest we mnie zakochany. To właśnie sprawia, że sytuacja jest dla niego bardzo trudna, gdyż nie chcę z nim spać.

Sophy spostrzegła na dachu mijanego domu kamiennego kota,

podkradającego się do ptaka. Była to rzeźba wykonana bardzo prymitywnie, pomalowana w czarne i białe paski. Już z daleka widać było, że zwierzę jest sztuczne.

— Rozumiesz teraz, dlaczego czasami wychodzi na dłużej. Zdaje sobie sprawę, jak jest to dla niego trudne, i robię wszystko, by sprawy nie pogarszać. Tony utrzymuje, że woli być ze mną na moich warunkach, niż z jakimś gejem, ale różne napięcia między nami są nie do uniknięcia.

Na końcu ulicy zatrzymali się na czerwonych światłach. Sophy wysunęła dłonie spod ud, rozplotła skrzyżowane dotąd palce i zaczęła je zginać i prostować, jakby bez reszty koncentrowała swą uwagę tylko na tej czynności.

— Obiecałem Tony'emu, że zanim zacznę szukać dla nas mieszkania, wyjadę z nim na miesiąc do Włoch. Teraz muszę cofnąć daną obietnicę, a on jest zrozpaczony. Rozumie moje zobowiązania jako ojca, a jednocześnie jest we mnie zakochany. Być w kimś zakochanym i zdawać sobie zarazem sprawę z tego, że zawsze będzie się osobą drugoplanową, jest rzeczą straszną. Sądzę, że to rozumiesz.

Sophy odwróciła się, położyła łokieć na oparciu fotela i zaczęła obserwować ojca. Wyobraziła sobie, że to w nim właśnie się zakochała. Patrzyła na jego miły, regularny profil, jego dość długie, jasne, przerezzające się na skroniach włosy, na wystającą z rozpiętego kołnierzyka koszuli szyję, na ramiona i dłonie zaciśnięte na kierownicy, a następnie przeniosła wzrok niżej, na jego skórzany pasek od spodni, na nogi — trochę za cienkie — a na koniec na kostki i czarne, zamaszowe mokasyny. Pamiętała, że zawsze z przyjemnością i dumą spoglądała na ojca. Pamiętała też, iż podczas jednej z kłótni z Adamem oświadczyła, że jej ojciec ma przynajmniej styl. I elegancję. Adam aż zwinął się ze śmiechu. Zaczął tarzać się po podłodze rżąc ze śmiechu i rozrzucając poduszki.

„Elegancja! — wykrzyknął piskliwie. — Mój Boże, elegancja!”

Zapaliły się zielone światła i samochód ruszył.

— Tak zatem sama widzisz — ciągnął Fergus — że mam trochę spraw do załatwienia, zanim bez reszty będę mógł zająć się tobą.

Konkretnie, zanim zaczniemy prowadzić wspólne życie.

Swoją drogą to trochę dziwne — myślała Sophy, kończąc lustrację postaci ojca i wracając do dawnej pozycji w fotelu — że prosisz mnie, abym wykazała zrozumienie dla kompletnie nieznanego faceta, pomogła ci, podczas gdy ty, rzucając moją mamę, nie miałeś ani wobec niej, ani wobec własnej córki takich skrupułów. Czekala, aż ogarnie ją dobrze znane uczucie gniewu, które da jej impuls, aby wszystko to wykrzyczeć mu w twarz. Ale złość nie nadchodziła. Zamiast niej pojawiło się zmęczenie, lekkie znudzenie i ponownie ogarnął ją lęk, który cały czas w niej tkwił, zwinięty w kłębek i zimny jak lód, mroząc jej brzuch.

— Sophy, czy byłabyś uprzejma wreszcie coś mi odpowiedzieć? — zapytał Fergus, zmieniając z wprawą bieg i biorąc ostry zakręt, przy czym otarł się prawie maską samochodu o jakiegoś wałkoniącego się chłopaka, zatopionego bez reszty w kokonie płynącej ze słuchawek walkmana muzyki.

Sophy sięgnęła odruchowo do szyi, ale nie znalazła znajomego, niebieskiego koralika.

— Zastanawiałam się, czy przypadkiem sam nie jesteś gejem — powiedziała niedbale.

— Mówiłem ci, że nie. A szczerze mówiąc, zamierzam żyć w celibacie. Jednocześnie jednak nie chcę mieszkać samotnie. Nigdy tego nie lubiłem. Lubię życie domowe i to właśnie łączy mnie z Tonym, który ma w tym względzie takie same zapatrywania jak ja.

Chwilę milczała.

— Ale on płakał, błagał cię. Słyszałam. Zupełnie jakbym słyszała mamę.

— On w niczym nie przypomina twojej matki — burknął Fergus.

Skubnęła niebieski koralik na rzemyku, którym owinęła sobie nadgarstek.

— Powinieneś pojechać z nim do tych Włoch — odezwała się w końcu.

— To miło z twojej strony, ale nawet o tym nie myślę. Najważniejsza jesteś ty.

Sophy rozwiązała wreszcie długi rzemyk i zaczęła przesuwając na nim koralik w górę i w dół.

— Nie chcę brać na siebie takiej odpowiedzialności. Nie chcę ponosić winy za to, że z mojego powodu odwołasz waszą wspólną wyprawę do Włoch, którą mu obiecałeś, i...

— To nie twoja wina.

— Moja.

Fergus zatrzymał samochód w niewielkiej zatoczce przeznaczonej dla autobusów.

— Sophy...

— Mam problemy. Mama, Laurence, moja własna przyszłość i...

— Urwała gwałtownie, nie mogąc wykrztusić z siebie, że jeszcze nie dostała okresu. — I ty. Ale nie chcę brać na siebie twoich problemów. To twoje problemy i to ty musisz się z nimi uporać. Później zobaczymy.

— A ja myślałem — odezwał się cicho, trzymając dłoń na kierownicy i patrząc prosto przed siebie — że tego właśnie chciałaś. Sądziłem, że pragniesz, bym wszystko dla ciebie zrzucił. Więc zrzuciłem.

— Ale ja nie wiedziałam jeszcze, co musisz zrzucić, prawda? Nie znałam twoich układów. Nie wiedziałam, że pragniesz mojego współczucia. — Związała rzemyk, założyła go na szyję i nagle, sama zdumiona swoimi słowami, dodała: — Mama nigdy by tego nie zrobiła. Nigdy nie prosiła, bym jej współczuła.

Na chwilę w samochodzie zapadło milczenie. Fergus zdjął dłoń z kierownicy i położył na jej kolanie.

— Kocham cię. I tego uczucia nic nigdy nie zmieni. Ale obecna sytuacja jest bardzo trudna.

— W porządku. Nie ma sprawy. — Miała ochotę płakać. — Może rzeczywiście jeszcze nie czas, żebym do ciebie dołączyła.

— Och, kochanie...

— Myślę — powiedziała Sophy, przesuwając nieco nogę tak, że dłoń Fergususa zsunęła się z jej kolana — że nie powinniśmy jeszcze zaczynać poszukiwań mieszkania ani wybierać szkoły. Jeszcze nie teraz. Najlepiej... — Urwała i westchnęła. — Najlepiej będzie, jeśli wrócę do domu.

Wzięła w palce niebieski koralik i wsunęła go do ust.

Kuchnia w Pszczelim Domu była wysprzątana, cicha i pogrążona w półmroku rozświetlanym jedynie punktowymi lampami zawieszonymi nad głównym stołem. Przy stole siedział Laurence, przed sobą postawił napelniony do połowy kieliszek chablis i na kawałku papieru bezmyślnie smarował zawile wzory. Bazgroły rosły od małego, zgrabnego sześciokąta, przekształcając się w zawile labirynty, spirale, zygzaki i bliżej nieokreślone bohomyzy. Co chwila odkładał długopis i oglądał swą dłoń, jakby inwentaryzował własne linie papilarne, nagiotki i paznokcie. Następnie spoglądał w stronę drzwi, jakby spodziewał się czyichś odwiedzin. Ale w progu nikt się nie pojawiał. Dochodziła północ, był środek tygodnia, i nawet Adam i George poszli już do łóżek.

Tego wieczoru nie odwiedził Giny. Dzwonił do niej. Sprawiała kozyśtniejsze wrażenie, była spokojniejsza, znacznie optymistyczniej patrzyła na świat.

Poinformowała, że Sophy wraca.

„Dzięki Bogu. Dzwoniła?”

„Nie. Fergus. Jak ci minął dzień?”

„Jak zwykle. Na przepisach kulinarnych...”

„Ale to już niedługo”.

„Niedługo”.

„I żadnych już dzisiaj głupich pomysłów i wycieczek, przynajmniej...”

Laurence roześmiał się niezbyt radosnym śmiechem, lecz nie był w stanie opowiedzieć Ginie o dziwnym, trwającym zaledwie pięć minut zdarzeniu, które poruszyło go znacznie bardziej niż wizyta Vi. Przechodząc po południu przez bar i kierując się do mieszkania, przez niewielkie, oszklone okienko w drzwiach do jadalni dostrzegł Hilary rozmawiającą z Michelle. Wyglądała jak zwykle. Miała krótkie, ciemne, lekko rozczochrane włosy, na nosie okulary w czerwonej oprawce, kremową bluzkę i ciemnoniebieską spódnicę. Stała w tak dobrze znanej mu pozie: jedną ręką obejmowała się w pasie, na niej opierała łokieć drugiej, a na zaciśniętej pięści z kolei wspierała podbródek. Lekko zgarbiona, z wysuniętą do przodu twarzą. Nie miała w sobie żadnego wdzięku, wyglądała wręcz niezdarnie i widok ten, z jakichś

nieznanych mu powodów, sprawił, że Laurence'owi zaczęło łamać się serce. Stał w bezruchu przez kilka minut na wytartym dywanie baru, za którym Don, pogwizdując pod nosem, polerował szklanki. Laurence stał i stał, i wpatrywał się w Hilary, jakby nie była to Hilary z krwi i kości, lecz tylko jej duch, emanacja osobowości uosobiona w wysokiej, smukłej, silnej postaci, która nie miała wyglądu, która stanowiła jedynie szydercze złudzenie mające naśladować rzeczywistą Hilary.

„Czy wszystko w porządku?” — odezwał się Don.

„Tak — mruknął Laurence. — W porządku. Po prostu się zamyśliłem”.

Don, nie przestając wycierać szmatką kieliszka do sherry, wyszedł z baru.

„Awantura?” — zapytał z nadzieją w głosie, podchodząc do Laurence'a.

„Chyba nie. Ale coś w powietrzu wisi”.

„Szkoda...”

Laurence popatrzył na barmana. Don miał na nosie małe, okrągłe okulary w szmaragdowozielonej oprawce, a na czoło spadały mu włosy z kilkoma utlenionymi kosmykami.

„Wygląda już dużo lepiej — stwierdził Don. — Mówię o pani Woód. Przez ostatnie tygodnie sądziłem, że będziemy mieli duży problem...”

„Długie wakacje...”

„Powinien pan ją gdzieś zabrać — oświadczył Don, wracając za bar. — Zimą. W jakieś przyjemne miejsce. Przez jakichś dziesięć dni zdołamy zapewne utrzymać tę fortecę sami”.

„To miło. Dzięki”.

Don uniósł pod światło pintowy kufel i zaczął go dokładnie oglądać w poszukiwaniu niedomytych miejsc.

„Niech pan o tym pomyśli”.

Laurence ruszył do mieszkania. Bardzo powoli wszedł po schodach, a kiedy już dotarł na miejsce, nie pamiętał, po co tam przyszedł. Pamiętał jedynie dziwaczne uczucie, gdy obserwował Hilary przez oszklone drzwi do jadalni. Wszedł do sypialni, w której od pewnego czasu Hilary sypiała sama, i popatrzył na łóżko. Było posłane, lecz w

jednym miejscu narzuta lekko się marszczyła. Tam zapewne siedziała, gdy wkładała rajstopy.

Od chwili gdy poprosiła go, by przemyślał sprawę ich małżeństwa, nie poruszyła już więcej tego tematu. Naturalnie, często rozmawiali ze sobą o sprawach zawodowych, uśmiechali się do siebie, ale wszystko to było zdawkowe i pozbawione głębszego znaczenia. Przeszedł obok komody, na której od ponad dwudziestu lat leżały obok siebie zgodnie jej kosmetyki, jego szczotki i klucze, kwity z pralni, pojedyncze klipsy, guziki i szpilki. Teraz szczotki przeniósł do gościnnej sypialni, w której urzędował, ale Hilary nie przesunęła swoich rzeczy na zwolnione miejsce. Miejsce to było po prostu puste, zupełnie jakby w każdej chwili mogło być ponownie zapełnione.

Kiedy wrócił do kuchni, by zacząć przygotowywać kolację, cały czas nękało go wspomnienie tamtego widoku. Hilary kilkakrotnie zajrzała do kuchni. Za każdym razem patrzył na nią z rodzajem pewnego zdumienia, jak na kogoś obcego, jak gdyby nie znał jej od bardzo dawna. Jednocześnie tęsknił za Giną, przypominał sobie jej postać, jej ciepło i twarz, aby upewnić się, że wszystko to dzieje się naprawdę, że Gina istnieje w każdym, najbardziej nawet zagubionym kąciku jego serca. Dlaczego — myślał podczas długich godzin, gdy mieszał, kroił, siekał i dawał instrukcje pracującym w kuchni chłopcom — jeśli ktoś kogoś pokocha, miłość usuwa w cień wszystkich innych, nawet tych, do których wciąż żywi się głębokie uczucie? Dlaczego ustalony przed wiekami układ społeczny, para za parą przesuwające się w niekończącym się korowodzie, zmusza pojedynczych ludzi do tak bezwzględnych zachowań?

Kiedy w pełni to do niego dotarło, nie był w stanie udać się do Jego Wysokości.

Wybiła dwudziesta trzecia, a on wciąż się tam nie wybierał, choć miał to ostatnio w zwyczaju. Myślał o Ginie, chciał do niej pójść. Czekał w kuchni, aż chłopcy wypucują ostatni blat, zamkną ostatnią szafkę, po czym zadzwonił do Jego Wysokości.

„Jestem wykończony — powiedział, obawiając się reakcji Giny. — Wprost padam z nóg”.

„W porządku — odrzekła takim tonem, jakby doskonale go rozumiała. — W porządku, Laurence. Sophy wraca do domu”.

Tak więc siedział teraz przy kuchennym stole nad końcówką butelki chablis, mazał na kartce papieru zwariowane wzory i czekał. Nikt nie przyszedł. Zasmarował już całą kartkę, wykończył wino, ale nikt nie przyszedł. Ciszę nocną zmaćcił dźwięk zegara na kościelnej wieży, wybijającego kwadrans po północy. Laurence wstał, sięgnął po butelkę bułgarskiego wina, na którym minionego dnia gotował potrawę, i nalał sobie pół kieliszka.

Gdy otworzyły się drzwi, mocniej zabiło mu serce.

— Cześć — powiedział Adam.

Miał na sobie spodnie od dresu, rozciągnięty, purpurowy podkoszulek. Był na bosaka.

— Myślałem, że już śpisz...

— Nie. Nie mogłem zasnąć, zajrzałem do twojego pokoju, ale cię nie było. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że w kuchni pali się światło.

— Dzięki — mruknął cicho Laurence.

— Myślałem, że poszedłeś do...

— Nie.

Adam podszedł do stołu, usiadł na krześle, sięgnął po kieliszek Laurence'a, upił łyk i skrzywił się.

— Ueee.

— Butelka jest otwarta od dwóch dni.

Adam popatrzył na ojca przez opadające mu na oczy kosmyki włosów.

— Cześć — powiedział ponownie.

— Cześć, Adam.

— Jak zobaczyłem w kuchni światło, pomyślałem sobie, że zejdziesz tu i trochę z tobą posiedzę. Pasuje?

Rozdział siedemnasty

Sophy powoli wlokła się ulicą. Jej torba była znacznie cięższa, ponieważ, choć zostawiła w Londynie wszystkie plakaty i szlafrok w bociany, niosła w niej sporo nowych ciuchów.

„Proszę, nie zabieraj wszystkiego” — poprosił Fergus.

„Wcale nie zamierzam”.

Sophy spostrzegła, że ani jej ojciec, ani Turner nie wiedzą, jak się do niej odnosić. Tony był wyraźnie poirytowany, ale jej zdaniem brało się to stąd, iż zdawał sobie sprawę, ile jej zawdzięcza, i wcale mu się to nie podobało. Fergus był po prostu smutny. Jego smutek, jak zauważyła, wynikał z miłości do niej, wynikał z tego, że go opuszcza, choć sam ją o to prosił. Był też najwyraźniej poruszony faktem, że jego córka nie reaguje już jak dawniej złością i agresją.

„Będę cię odwiedzać — obiecała. — No wiesz, w weekendy, w święta...”

Fergus skinął głową.

„Ale jeśli wyjedziesz do Francji...”

„Nie wyjadę” — oświadczyła zdecydowanie.

„Lecz jeśli twoja matka...”

„W Whittingbourne zostaje Ba. Poza tym mam tam szkołę. Jest tam również Hilary i... — Zawahała się, jakby chciała wypędzić z pamięci George'a. — I chłopcy. No, wiesz”.

Fergus zamierzał jej dać trochę pieniędzy, kilkanaście dwudziestofuntowych banknotów zwiniętych jak papieros i opasanych amarantową tasiemką ze złotym napisem *Fortnum and Mason*. U Fortnuma

i Masona Tony zawsze kupował herbatę. Obaj przepadali za herbatą.

„Nie — odmówiła zdecydowanie Sophy. — Nie, dziękuję, nie potrzeba mi tych pieniędzy”.

Odwiózł ją na pociąg. Cały czas przyciskała dłoń do brzucha, jak robiła to od pięciu dni. Fergus ani razu już nie poruszył tematu jej ciąży i Sophy zastanawiała się, czy przypadkiem w ogóle o tym nie zapomniał. Ją ten problem dręczył nieustannie. Bez przerwy o tym myślała. Tego ranka, stojąc w łazience Fergususa i czyszcząc zęby, przeglądała się w lustrze, zastanawiając się, czy nie ma już pierwszych mdłości. Po śniadaniu wprawdzie poczuła się lepiej, ale stanowiło to niewielką pociechę. Poranne mdłości bardzo często mijają właśnie po śniadaniu. Dowiedziała się z tego z ulotek dołączanych do testów ciążowych, które jej koleżanki kupowały w aptekach. Na ulotkach tych widniał wyróżniony dużymi literami nakaz: *Koniecznie skonsultuj się z lekarzem!* Sophy bardzo bała się takiej wizyty, dopóki nie zwierzy się Ginie. Albo Vi. Lub George'owi. Z tych trzech osób najbardziej obawiała się rozmowy z George'em.

Fergus kupił jej do pociągu gazetę i dwa czasopisma.

„Proszę, dzwoni do mnie jak najczęściej”.

„Oczywiście”.

„Nie, chcę, żebyś dzwoniła do mnie często. I nie mam na myśli zwykłych, cotygodniowych, zdawkowych telefonów. Chcę, żebyś dzwoniła codziennie lub co drugi dzień. Chcę wiedzieć na bieżąco, co robisz i jak ci się powodzi”.

Na pożegnanie pocałował ją w usta. Nigdy tego nie robił i Sophy zastanawiała się, czy tak samo całuje Tony'ego. Stał na peronie aż do chwili, gdy pociąg ruszył, a Sophy po raz pierwszy w życiu pomyślała, że Fergus sprawia wrażenie człowieka, któremu wszystko wymknęło się spod kontroli, że on również odnosi okropne wrażenie, iż nic od niego nie zależy, że stał się igraszką w rękach losu.

Ku swemu zdziwieniu prawie całą drogę do Whittingbourne prześpała. Obudziła się oszołomiona, ze zdrętwiałą szyją i skonfundowana tym, że spała z otwartymi ustami. Na peronie czekała wycieczka

szkolna podekscytowanych maluchów, które wybierały się do Birmingham obejrzeć jakąś wystawę. Dzieci miały śniadaniówki z wizerunkiem Snoopy'ego i plecaczki w kształcie niedźwiadków lub tygrysków. Wśród tej gromadki wyróżniał się śliczny, czarny chłopiec z wielkimi, lśniącymi oczyma, którego koledzy próbowali wypchnąć na początek. Sophy przez chwilę rozważała myśl, czy się do nich nie przyłączyć. Postanowiła spytać jedną z nauczycielek, czy nie mogłaby również wziąć udziału w tej ciekawej wyprawie. Uśmiechnęła się do najbliższej stojącej wychowawczynie. Ta oddała jej ironiczny, półszyderczy uśmiešek.

„Chyba zwariowałam — oświadczyła. — Kompletnie straciłam rozum. Mam w domu własną trójkę, a zgodziłam się jechać z tą czeredką”.

Popukała się w głowę, jakby coś nie kontaktowało jej pod czaszką. Sophy ponownie się uśmiechnęła.

„Powodzenia, miłego dnia” — powiedziała.

Postanowiła wrócić do domu na piechotę. Mimo iż w pociągu spała jak suseł, czuła się zmęczona, ale głupio jej było brać taksówkę. Poza tym taksówka przejeżdżałaby przez rynek, dokąd jej koledzy i koleżanki chodzili regularnie na wagary i ktoś z nich mógłby ją zobaczyć. Zarzuciła zatem torbę na ramię i lekko zgarbiona ruszyła w stronę domu. Torba była ciężka, więc jej taśma wrzynała się w ciało przez cienki podkoszulek.

Kiedy dotarła do Jego Wysokości, oszklone drzwi do kuchni były otwarte, a pod okapem ganku wisiała klatka z papugą, którą wywiesiła tam Gina.

— Cześć — przywitała ptaka Sophy.

Papuga lypnęła na nią najpierw jednym okiem, później drugim, po czym okręciła się na drążku.

— Biedne ptaszysko — mruknęła Sophy. — Biedne, znudzone ptaszysko.

Potrąciła dzwoneczek zawieszony w klatce. Papuga nie zwróciła najmniejszej uwagi na tę zaczepkę.

— Wybacz. Nie chciałam potraktować cię lekceważąco.

Zajrzała do kuchni. Pomieszczenie było puste i wysprzątane. Tylko

na stole stał kubek i talerz z resztkami śniadania. Z salonu dobiegał niewyraźny głos Giny rozmawiającej przez telefon. Sophy wsunęła się do kuchni, postawiła na stole torbę i ruszyła w stronę korytarza.

— Przykro mi — mówiła Gina. — Chętnie przyjąłabym obie uczennice, ale nie mam jeszcze sprecyzowanych planów i trudno mi dać wiążącą odpowiedź. Widzi pani, być może nawet wkrótce w ogóle opuszczę Whittingbourne.

Sophy przeszła na palcach korytarzem i oparła się o futrynę drzwi salonu. Gina, jak to było w jej zwyczaju, siedziała ze spuszczoną głową na podłodze po turecku, między skrzyżowanymi nogami trzymała aparat telefoniczny.

Sophy chrząknęła.

— Mamo — szepnęła.

Gina uniosła głowę i na widok córki pojaśniała jej twarz. Machnęła gwałtownie ręką, wskazując na telefon.

— Pani Whiteker, proszę mi wybaczyć, ale naprawdę muszę już kończyć. Obiecuję, że jeśli tylko będę miała więcej czasu, w pierwszej kolejności skontaktuję się z Rachel i Emily. Tak. Tak, na pewno. Dziękuję i do widzenia. — Odłożyła słuchawkę i poderwała się z podłogi. — Och, Sophy...

Sophy przeszła próg pokoju i wpadła w objęcia Giny.

Poczuła się dziwnie. Od lat matka nie tuliła jej w taki sposób, nie tuliła jej tak mocno, by Sophy czuła, jak guziki matczynej bluzki wpijają się jej przez podkoszulek w ciało.

— Och, Sophy — szeptała Gina. — Och, Sophy. Dzięki Bogu, że już wróciłaś.

W oczach miała łzy. Sophy odchyliła głowę.

— Nic z tego nie wyszło.

— Nic nie mów. Jeśli nie chcesz, nie musisz niczego mówić.

— Może kiedyś. Nie wiem. Byłam...

Gina zaprowadziła ją do fotela i lekko pchnęła, aby usiadła.

— Ślicznie ci w tych krótkich włosach.

Sophy dotknęła czupryny.

— Tata...

— Tak. On zna się na tych rzeczach. Napijesz się kawy? A może wolisz herbatę?

Sophy potrząsnęła głową, a Gina usiadła po turecku na podłodze obok fotela.

— Mam już wszystkiego dosyć — oświadczyła Sophy. Pochyliła głowę i zakryła twarz dłońmi. — Nie chcę już dłużej się na ciebie wściekać.

— Powinnam była ci o wszystkim powiedzieć od razu. Powinnam była powiedzieć ci o moim związku z Laurence'em. Ale zwlekałam. Oboje zwlekaliśmy, by zawiadomić jednocześnie ciebie i chłopców. Oni jednak dowiedzieli się, zanim my byliśmy gotowi, a ja później nie zdobyłam się na rozmowę z tobą.

— Dowiedziałam się od Gusa.

— Wiem. Dzwoniłam do niego z wiadomością, że wracasz.

Sophy odsunęła dłonie z twarzy.

— Dzwoniłaś do Gusa? — zapytała z niedowierzaniem.

— Tak. Laurence powiedział mi, że przez ostatnie tygodnie Gus był strasznie nieszczęśliwy, a kiedy wyjechałaś do Londynu, wprost niepokieszony. Zadzwoiłam więc do niego z dobrą wiadomością. Jesteś jego całym światem.

Na policzki Sophy wystąpiły szkarłatne, nienaturalne rumieńce. Położyła prawą dłoń na brzuchu.

— Mogę porozmawiać z tobą na temat Laurence'a? — spytała Gina. — Chcesz, żebym ci wszystko wyjaśniła?

Sophy potrząsnęła głową.

— Nie musisz.

— Bałam się przed tobą do tego przyznać — wyznała Gina, pochyliła się, skrzyżowała ręce i chwyciła się za kostki. — Bałam się, że wpadniesz w taką złość, że już nigdy się do mnie nie odezwiesz. Wiesz, byłaś taka zła po odejściu taty. O wszystko obwiniałaś mnie.

— Bo częściowo była to twoja wina — powiedziała ze znużeniem Sophy.

— Tak.

— Jestem już tym wszystkim zmęczona. Sama już nawet nie wiem, czy jestem wściekła, czy nie. Czuję się jak ktoś, kogo raz potracił

samochód, a później, ilekroć ponownie próbował przejść przez jezdnię, znów wpadał pod samochód. Nic już mnie nie zdziwi. Nie jestem nawet ciekawa, co wydarzy się dalej.... — Sophy urwała, mocniej przycisnęła rękę do brzucha i dokończyła: — Po prostu się boję.

Gina zmieniła pozycję i uklękła przy fotelu córki.

— Boisz się wyjazdu do Francji? Wyjazdu do Francji ze mną i z Laurence'em?

Sophy spoglądała na nią przez chwilę nieruchomym wzrokiem.

— Och. Ja nie mogę jechać do Francji — stwierdziła tonem pełnym rozwagi.

— Nie możesz...

— Nie. Bez względu na to, co się stanie, nie mogę tego zrobić.

— Ależ kochanie, nie możesz tu zostać beze mnie. Poślemy cię do *lycée*, skończysz wyższą uczelnię...

— Nie — powtórzyła zdecydowanie Sophy. — Nie mogę.

— Z powodu Laurence'a?

— Och, nie — odparła Sophy, niemal zdumiona tym, że zapomniała o jego istnieniu. — On nie ma z tym nic wspólnego. Ani ty. Ani Francja.

— A więc...

— Mamo — powiedziała Sophy, zamykając oczy, jakby podejmowała straszliwy wysiłek wytłumaczenia prostej rzeczy skończonemu durniowi. — Mamo, nie możemy obie opuścić Vi.

W drodze powrotnej ze szkoły Gus odłączył się od hałaśliwej grupy przepychających się kolegów i skręcił na tereny opactwa. Minął ławki, na których, paląc papierosy, siedzieli beczynnici spacerowicze, i ruszył w stronę zarośli w pobliżu kamiennego łuku. Wiedział, że postępuje idiotycznie, bo w tych właśnie krzakach czaili się zboczeńcy. Wiedział, że jeden z nich zaledwie przed tygodniem obnażył się przed jego kumplem, ale on wrzasnął wtedy: „Ty cholerny zboczku!” na tyle głośno, że usłyszało go kilku przechodzących w okolicy mężczyzn i

natychmiast wszczęło pościg. Gus pomyślał o tym tylko przelotnie, ponieważ miał na głowie wiele innych, trudnych i bolesnych spraw. Chciał ukryć się przed całym światem tak, żeby nikt go nie mógł znaleźć i zasypać pytaniami, czy u niego jest wszystko w porządku. Bo nic nie było w porządku, ale jak on czy ktokolwiek inny mógł temu zaradzić?

Wpełził w mroczne zarośla po szeleszczącym kobiercu zeschniętych liści i śmieci. W środku kępy cienistych krzaków znajdowała się niewielka polanka o średnicy jakichś dwóch metrów, na której leżała stara gazeta i pusta butelka po mleku. Gus usiadł, oparł się plecami o cienki pień drzewka i wyciągnął paczkę marlboro. Wyjął papierosa, zapalił go i zaczął płakać.

Nie zamierzał płakać, tylko pomyśleć. Po rozmowie z George'em przepłakał całą noc. Tulił twarz w poduszkę i łkał. Był właśnie w kuchni z George'em, gdzie robili sobie kanapki z bekonem. W nagłym przypływie zaufania do starszego brata Gus powiedział:

„Ciekaw jestem, co się jeszcze wydarzy. Zastanawiam się, o czym jeszcze nie wiemy”.

George nakładał właśnie keczup na plasterki bekonu.

„Nie zawsze jest dobrze wszystko wiedzieć”.

„A właśnie, że dobrze — odparł z uporem Gus. — Właśnie, że dobrze. Jeśli wszystko wiesz, nic cię nie zaskoczy i nie wystraszy. Nie spotkają cię żadne zaszrane niespodzianki”.

„Tak sądzisz?”

„Jasne — odrzekł Gus, wyciągnął z opiekacza dwie grzanki i podał je George'owi. — Myślę o tym cały czas. Czekać na kolejne jaja, jakie mają się jeszcze wydarzyć”.

Zapadło milczenie. George złożył dwie grzanki i ścisnął je kantem dłoni.

„W takim razie dobrze” — powiedział.

„Co dobrze?”

„Powiem ci”.

Gus wytrzeszczył na brata oczy.

„Co...”

„Przekażę ci najświeższą wiadomość. Ostatnią, cholerną wiadomość

tego cholernego lata. Wyjaśnię ci powód, dla którego Sophy wyjechała do Londynu”.

„Przecież to z mojej winy, to ja jej powiedziałem...” — zaczął Gus.

„Nie — przerwał mu George, podniósł ociekającą keczupem kanapkę i podał ją bratu. — Masz”.

Gus potrząsnął głową.

„Nie...”

George westchnął i odłożył grzanekę.

„Wyjechała z mojego powodu. Uprawialiśmy seks, Sophy i ja. Dlatego wyjechała. Była załamana”.

Zbaraniały Gus gapił się na brata, ale go nie widział. Gapił się na leżące na stole grzanki, ale ich też nie widział. Raz czy dwa otworzył usta, lecz nie wydobyło się z nich żadne słowo. W końcu, niczym z niezmierzonej dali, dotarł do niego własny, piskliwy głos:

„Seks?”

„Tak. Pewnego popołudnia. Tutaj, w Pszczelim Domu. — Wzruszył ramionami i nawet pogrążony w kompletnej żalości Gus spostrzegł, iż owo wzruszenie ramion wcale nie było takie beztrioskie. — Ona kochała się po raz pierwszy”.

Gus chwycił pęk kluczy zwisających mu u paska od dzinsów i z całych sił zacisnął na nich dłoń.

„Daj spokój — powiedział George. — Zjedz kanapkę”.

Gus potrząsnął głową.

„Co się stało?”

„Nie jestem głodny”.

„Przecież mówileś...”

„Nie jestem głodny! — wrzasnął. — Nie słyszysz? Ogłuchłeś, kurwa?”

„Gus...”

„Zamknij się! Zamknij się, zamknij się, zamknij się!”

Kopnął stojące przy stole krzesło tak mocno, że z łoskotem przeleciało przez kuchnię i uderzyło w lodówkę. Stojące na niej trzy butelki niebezpiecznie się zakołysały.

„Ej!” — krzyknął George.

Obszedł szybko stół i próbował chwycić brata za ramię, ale Gus wykręcił rękę i pobiegł w stronę drzwi.

„Ależ z ciebie gówno! — zawołał. — Ależ z ciebie gówno!”

Pobiegł korytarzem do swego pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi.

Sprawę pogarszał fakt, że wciąż był w szkolnym ubraniu. Kiedy zaczął płakać, nie mógł zdjąć ani krawata, ani butów, leżał na podłodze, miotając się, dławiąc bólem i łzami. Chciał pozabijać wszystkich ludzi. Chciał zabić George'a i Sophy, i rodziców, i Adama, wszystkich w szkole i wszystkich w Whittingbourne. Chciał ich bić, dźgać, obrzucać wyzwiskami. Życzył każdemu, by cierpiał taki sam ból jak on. Chciał umrzeć. Gdy do jego pokoju przyszedł George i próbował z nim porozmawiać, Gus zawył:

„Spierdalaj! Słyszysz? Spierdalaj!”

W końcu wpadł do łóżka w samych majtkach i starej koszulce, w której grywał kiedyś w rugby. Ubranie wałało się na podłodze, a on wtulał twarz w poduszkę i płakał, płakał, a kiedy pojawiła się Hilary, by poklepać go po ramieniu, zapytać, czy u niego wszystko w porządku, wcisnął twarz w poduszkę, udawał, że śpi. Matka wsunęła tylko głowę do sypialni, a on wstrzymał oddech i leżał nieruchomo jak kamień.

„Gus?”

Ani drgnął.

„Śpij dobrze” — szepnęła matka, po czym zamknęła drzwi.

W końcu zapadł w sen, ale obudził się przed świtem z drętwą i opuchniętą twarzą. Dręczył go straszliwy głód. Przeszedł do kuchni i nie zapalając światła, wyjął z torebki kilka kromek chleba, wrócił z nimi do pokoju, a potem zjadł je pod kołdrą. Wspomnienie wisiało nad nim niczym czarna chmura, niczym wiedźma, niczym krążący pod chmurami drapieżny ptak wypatrujący ofiary. Leżał w łóżku, płakał, przez firanki sączyło się mętne światło budzącego się dnia, a w brzuchu pęczniał zjedzony chleb.

Rano wszyscy byli dla niego uprzedzająco mili. George próbował przeproszać, ale to już było nie do zniesienia. Gus spojrział na niego z

taką furia, że starszy brat zaniemówił. Hilary objęła go ręką i spytała:
„Chcesz porozmawiać? Prywatnie, tylko ze mną?”
„Nie!”
„Jesteś tego pewien?”
„Tak!” — wrzasnął.

W drodze do szkoły odrzucił towarzystwo Adama, a cały dzień siedział w ławce jak zmartwiały. Lekcje matematyki, wychowania obywatelskiego oraz literatury angielskiej płynęły niczym w jakiejś przypływającej o młodości mgłę. Teraz w swym ponurym azylu wśród zarośli nie czuł już takiego bólu i gniewu, tylko bezbrzeżny smutek. Sophy. Najdroższa Sophy. Najważniejsza. Sophy, o której tyle myślał, której tak pragnął, której przynosił kwiaty, dawał prezenty. Takiej zdrady po prostu nie był w stanie znieść. Wyjął z ust niedopałek, a potem gwałtownym ruchem zgniótł go w wilgotnej ziemi pod zalegającą na niej warstwą zeschniętych liści.

Przed krzakami ktoś się pojawił. Nachylał się i zaglądał w gąszcz. Gus usiadł. Widział poruszające się za chaszczami nogi w dżinsach i stopy w adidasach. Ruszył szybko na czworaka w stronę gęstych zarośli, obsypując sobie przy tym włosy i ubranie liśćmi, gałązkami. Do końca zarośli wciąż jeszcze miał bardzo daleko.

— Cześć — rozległ się męski głos.

Gus poderwał się na nogi. Obcy mężczyzna, poza dżinsami i adidasami, miał na sobie brudną, zieloną koszulę polo wydetą na grubym od piwa brzuchu.

— Właśnie cię zobaczyłem — odezwał się. Wyciągnął rękę i ujął Gusa za ramię. — Gdzieś tu zabłąkał się mój kot. Szukam kota. Czy pomożesz mi go znaleźć?

— Nie — odparł Gus, próbując wyswobodzić się z uścisku obcego.

— Daj spokój. Jesteś wyprowadzony z równowagi. Widzę to. Sprawię, że poczujesz się lepiej. Chodź do mnie, a ja sprawię, że będzie ci dobrze.

Gus wyswobodził się z ogromnym wysiłkiem z uścisku i dziko, z

całych sił, uderzył napastnika w brzuch. Rozległo się chrapliwe chrząknięcie i mężczyzna zatoczył się do tyłu. Gus uciekł. Nie zwracając uwagi na to, że cały jest obsypany brudem, biegł w kierunku wyjścia na Orchard Street. Zasapany szeptał do siebie: „Sophy, Sophy, Sophy”.

Sophy oświadczyła, że nie życzy sobie spotykać się z Laurence'em. Pozorując wraz z Giną normalność, choć przychodziło im to z najwyższym trudem, przy kolacji rozmawiały, bardzo ostrożnie, o codziennych sprawach, o tym, że Sophy chciałaby zająć do końca roku szkolnego niewielką sypialnię na Orchard Close, że niektóre weekendy będzie spędzać w Londynie, a w czasie wakacji pojawi się we Francji. Gina oświadczyła, iż może też zabierać tam chłopców i wspólnie podróżować po kraju. Powstrzymała się jednak od uwagi, że może to okazać się nawet bardzo miłe. Na to było jeszcze stanowczo za wcześnie. Sophy jadła makaron, próbując bez powodzenia wyobrazić sobie francuską kuchnię (w mieszkaniu? w domu? w mieście?), a w niej siebie, Ginę i Laurence'a, a zapewne też Adama i Gusa (ale bez George'a). Gina zakomunikowała, że zamierza tam podjąć pracę w szkole, a Laurence będzie pracować jako szef kuchni. Wiele mówiła o Pau, a Sophy słuchała, przyciskając wolną rękę do brzucha.

— A co stanie się z Hilary?

— Zostanie tutaj — odparła szybko Gina. — Jako właścicielka Pszczelego Domu jak dotąd będzie prowadziła hotel.

Sophy nawinęła na widelec długie spaghetti.

— Nie będzie to dla niej łatwe.

— Wiem.

Sophy popatrzyła czujnie na matkę. Gina miała ściągniętą twarz. Musiała czuć się fatalnie. Powinna czuć się fatalnie. Ale przynajmniej nie pytała, na ile fatalnie czuje się Sophy i nie prosiła jej o zrozumienie. Przynajmniej sama próbowała uporać się z tą okropną sytuacją.

- Laurence wpada tu prawie każdego wieczoru. Około jedenastej.
- Nie chcę go widzieć.
- Rozumiem.

Sophy odsunęła talerz.

- Jestem wykończona. Jak po bombardowaniu.

— Wiem. Idź spać. Przeniosłam ci do pokoju trochę rzeczy. Twoja sypialnia wyglądała żałośnie.

- Dzięki.

Wstała, zniosła talerz do zlewu (och, te wieloletnie nawyki) i zaczęła go myć.

- Sophy...

- Hmm...

- Chodzi... chodzi mi o to, iż strasznie się cieszę, że już wróciłaś.

Sophy znieruchomiała i wbiła wzrok w zlew. Pomyślała, że powinna odpowiedzieć: „Ale nie na tyle, żeby nie wyjechać z Laurence'em”. Powstrzymała się jednak od tej uwagi. Miała to już za sobą, nawet o czymś takim nie myślała. Ludzie nie robią takich rzeczy dla innych; nawet jeśli ich kochają. Robią to dla siebie. Niekoniecznie dlatego, że są okrutni i samolubni, ale że tacy właśnie są i działają tak, aby przetrwać. Gina nie chciała skrzywdzić Hilary — jeśli nawet skrzywdziła — ale starała się przetrwać. Sophy westchnęła. W obecnej chwili nie to stanowiło problem. Ta sprawa jej nie interesowała. Miała własną, którą nosiła ze sobą niczym straszliwy, zabójczy ciężar.

Położyła na suszarce umyty talerz i pochyliła się, by pocałować Ginę.

- Dobranoc.

- Dobranoc, kochanie, śpij dobrze.

Tej samej nocy, w najgłębszym mroku, Gina usłyszała, że Sophy buszuje w swoim pokoju. Wydawało się jej, że z góry dobiegają ciche tony muzyki i lekkie stukanie, jakby Sophy przeglądała zawartość kartonów na schodach, które tak gorączkowo i dokładnie pakowała przez zaledwie dziesięć dni. Gina usiadła w łóżku.

Rozważała chwilę pomysł, by pójść na górę, ale zdecydowała, że lepiej tego nie robić. Nie wolno jej się wtrącać, nie wolno jej trąkotać nad uchem, o nic prosić ani błagać. Musiała pozwolić Sophy, by sama do niej przyszła, jeśli nawet miało to trwać wieki albo i zawsze... No cóż, tak zawsze bywa, gdy człowiek przedłoży własną potrzebę miłości ponad wszystko inne. A Gina tak właśnie zrobiła. I odmieniło to całe jej życie.

Laurence był taki czuły. Tego wieczoru tak namiętnie tulił ją do siebie, jakby stanowiła jego najcenniejszy skarb, jakby chciał wchłonać ją w siebie bez reszty, jej ciało, duszę i osobowość. Odzywał się niewiele, cały czas pozwalał jej mówić i tylko długo, bardzo długo trzymał ją w ramionach. Była taka szczęśliwa. To, że Sophy spała w domu, na górze, że tuli ją w ramionach Laurence, a na stole w kuchni leży oferta od właściciela francuskiej firmy handlu nieruchomości, napawało ją szczęściem, jakiego nie spodziewała się już w życiu zaznać. Położyła policzek na ramieniu Laurence'a i rozkoszowała się chwilą, a kiedy w końcu poszedł do domu, wsunęła się do łóżka i natychmiast zapadła w rozkoszny i tak słodki sen, jakiego nie zaznała od tygodni.

Dopóki Sophy jej nie obudziła. Postanowiła, że pozwoli jeszcze przez jakiś czas na tę muzykę i krzątanię, a potem wejdzie na górę i delikatnie zasugeruje, że być może obie te rzeczy można przełożyć na rano. Wyciągnęła się pod kołdrę i rozkosznie rozleniwiona obserwowała zielone, wędrujące po niewidocznym w ciemnościach cyferblacie wskazówki stojącego na nocnym stoliku zegarka. Nie chciało się jej o niczym myśleć.

Po mniej więcej dziesięciu minutach Sophy musiała wyjść ze swej sypialni, nie zamknąwszy drzwi, bo muzyka stała się głośniejsza. Gina czekała. Upłynęło pięć minut, a potem odgłos stóp rozległ się na schodach, Sophy zeszła na parter do łazienki i głośno zamknęła za sobą drzwi. Gina znów usiadła w łóżku, żeby ją zawołać, kiedy już stamtąd wyjdzie. Trwało to całe wieki. Usłyszała szum wody w toalecie, szum wody puszczanej do umywalki, potem grzechot wypadających z apteczki jakichś przedmiotów. Później znowu rozległo się

stąpanie bosych stóp w holu i cisza.

— Mamo?

— Tak! — zawołała Gina. — Tak! Nie śpię...

Drzwi pokoju Giny otworzyły się i w prostokącie bijącego z przedpokoju światła pojawiła się postać Sophy.

— Cześć.

— Cześć, kochanie...

— Mamo...

— Tak?

— Och, mamo! — wykrzyknęła Sophy, wbiegła do sypialni i ogarnięta straszliwą ulgą rzuciła się na łóżko Giny. — Och, mamo, nie jestem w ciąży!

Rozdział osiemnasty

— O co chodzi? — zapytała Hilary. — Co to za historia z tobą i Sophy?

George jęknął. Przekręcił się w łóżku i obronnym gestem naciągnął kołdrę na głowę. Zza zamkniętego okna dobiegał błogi dźwięk bijącego na kościelnej wieży niedzielnego dzwonu.

— Ty paskudny chłopaku — mówiła Hilary. — Nie masz już czternastu lat. Za dwa tygodnie skończysz dziewiętnaście. Jesteś mężczyzną. W każdym razie teoretycznie. Nie masz prawa igrać z uczuciami młodszych od siebie, i to jeszcze kogoś, kto jest tak bezbronny, kto znajduje się w tak okropnym stanie psychicznym.

George chciał odpowiedzieć z urazą, że wówczas był w równie okropnym stanie psychicznym jak Sophy. Tego ranka głowę wypełniał mu jakiś straszliwy ciężar, który przy najmniejszym ruchu boleśnie przetaczał się pod czaszką. Poprzedniego wieczoru trochę wypił, ale nie aż tak dużo. Przypominał sobie, że gdy ostatecznie znalazł się w łóżku, czuł, iż kompletnie stracił władzę w nogach i przepychał się przez fale nudności. Był tak pijany, że prawie w tych falach zatonął.

Hilary usiadła na skraju jego łóżka i ściągnęła synowi z głowy kołdrę. Na skórze pleców i boków czuł jej palące spojrzenie.

— George, na swój sposób ponosimy odpowiedzialność za Sophy. Zawsze tak było. To, co nas spotkało, jest równie bolesne jak to, co spotkało ją, ale my trzymamy się razem. Ona poza rodzicami i Vi nie

ma nikogo. Jeśli potrzebowałeś jakiegoś nieszczęsnego stworzenia, na którym musiałeś wyładować swe młodzieńcze żądze, to Sophy była ostatnią osobą, jaką powinienesz być wybrać. Jeśli nie masz zasad moralnych, to gdzie, do licha, podziało się przynajmniej twoje współczucie?

George nie drgnął. Gapił się w ścianę pomalowaną kremową farbą i popstrzoną kawałkami taśmy samoprzylepnej, za pomocą której przymocowywał pozrywane ostatnio plakaty. Zamierzał odpowiedzieć, że Sophy miała ochotę na seks w takim samym stopniu jak on. Tak naprawdę to cały pomysł wyszedł od niej, bo była kompletnie załamana wizytą u swego ojca w Londynie, gdzie dowiedziała się, że Fergus żyje z innym mężczyzną. Bez względu na to, jak mocno zadzierał nosa przed Gusem, nie miał złudzeń co do tego, czego tamtego popołudnia pragnęła Sophy. Chciała dominować, pognać go; i całkowicie się to jej udało. Ponadto on bardzo jej pragnął. Połączyli się w dziwnym, gwałtownym, wzajemnym zrozumieniu, iż nie jest to żadna miłość, lecz tylko kojenie własnego gniewu, oszołomienia i samotności. Był przekonany, że nigdy nawet nie napomknie słowem o tym, co wydarzyło się tamtego popołudnia — w każdym razie nie w najbliższych latach — a jednocześnie nigdy nie zapomni tego doświadczenia. Zdawał też sobie sprawę, że pamięć o nim powinni zachować wyłącznie dla siebie. Ostatecznie oboje znali prawdę i tylko to się liczyło. Nikt inny nie powinien o tym wiedzieć.

Odwrócił się od ściany i popatrzył na matkę.

— W porządku — powiedział.

— Co znaczy „w porządku”?

— Znaczy, że dostałem lekcję i zrozumiałem ją. Nie powinienem być tego robić. Przykro mi.

— Czy widziałeś się później z Sophy?

— Nie...

— Sądzę, że powinienesz...

— Nie — odrzekł George. — Nie, mam. Zostaw już tę sprawę. To się nie powtórzy. Żadne z nas tego nie chce.

Hilary westchnęła.

— Czy to z tego powodu Sophy uciekła do Londynu?

George oparł się na łokciu i naciągnął na siebie kołdrę.
— Nie wiem. Może tak... może nie.
— Rozumiem — mruknęła Hilary.
— Mamo...
— Tak?
— Mamo, co teraz będzie? Chodzi mi o to, czy mamy jakieś plany? Hilary przez chwilę milczała, a następnie ujęła jego dłoń.
— Mam nadzieję... och, George, cały czas mam nadzieję. Zaciśkam zęby, wstrzymuję oddech i po prostu mam nadzieję.
George usiadł w łóżku i uważnie popatrzył na matkę.
— Chodzi ci...
— Nie wiem — odrzekła, potrząsając głową. — Nic nie wiem. Oprócz tego... — Przesłała mu błądy, niepewny uśmiech. — Oprócz tego, że nie poddam się łatwo.

Vi stała w progu swej drugiej sypialni. Pomieszczenie to trudno było nawet nazwać sypialnią. Przypominało bardziej spiżarnię z oknem. Było w nim jedynie miejsce na łóżko, w którego nogach stał mały nocny stolik, krzesło i niewielki stół z lampą. Gdzie Sophy będzie trzymała ubrania? A książki? Nad łóżkiem Dan zainstalował półkę i lustro. Półka zresztą już została wypełniona przedmiotami, które Vi wykonała na wieczorowych kursach garncarstwa. Nie były to piękne naczynia — wazoniki, kubki i miski — ale Vi była do nich bardzo przywiązana. Uwielbiała dotykać mokrej, miękkiej gliny. Kochała to. Może naczynia schować do pudła i wstawić pod łóżko? Tylko że pod łóżkiem Sophy zapewne będzie trzymać garderobę. Albo na drzwiach od strony ściany. Vi zerknęła na wkręczone w drewno mosiężne haczyki, na których wisiało już bardzo wiele ubrań. Między nimi znajdował się również stary płaszcz marynarski. Kupiła go niegdyś Danowi w sklepie Armii Zbawienia, ale Dan go nigdy nie nosił, bo twierdził, że to płaszcz oficerski, a ponadto płaszcz galowy.

Vi powoli wróciła na parter i weszła do kuchni. Nie przyjmowała do siebie Sophy z miłości ani też dlatego, że chciała jej pomóc, lecz z tego względu, że po raz pierwszy w życiu przytłoczyły ją troski, z którymi

nie potrafiła sobie sama poradzić. Od śmierci Dana prześladowała ją myśl, że niczego już więcej nie chce, nie spotka jej nic nowego, nic, co wymagałoby od niej jakiegokolwiek wysiłku. Ale co mogła na to poradzić? I wtedy właśnie pojawiły się u niej Gina i Sophy — z kwiatami, które miały ją zjednać, a napełniły tylko odrazą — i patrząc jej prosto w oczy, postawiły sprawę jasno.

„Tylko na ten rok szkolny — poprosiła Gina. — Do końca szkoły. I tylko w dni robocze”.

Tylko na rok! — omal nie parsknęła Vi. Kiedy człowiek ma osiemdziesiąt lat, jeden rok jest czymś niebywale cennym. Słyszała ostatnio w radiu dyskusję o ludziach, którzy skończyli sto lat. Jeden z uczestników rozmowy powiedział: „Szczерze mówiąc, nie wyobrażam sobie tego. Kto chciałby dożyć stu lat?”

„Ktoś kto ma dziewięćdziesiąt dziewięć! — wrzasnęła pod adresem radiodbiornika Vi. — Ktoś kto ma dziewięćdziesiąt dziewięć!”

Popatrzyła na Sophy. Miała znacznie krótsze włosy i nie wyglądała już tak przeraźliwie chudo. Jej oczy nie wyrażały prośby, nie malował się w nich wyraz niepewności. Sophy nie przychodziło nawet do głowy, że Vi mogłaby z niezadowoleniem i niechęcią przygarnąć ją pod swój dach. Zapewne sądziła, że po śmierci Dana samą swą obecnością doda Vi otuchy. Beznadziejne, po prostu beznadziejne. Przed śmiercią Dana Vi wybuchnęłyby zapewne gniewem i takie wykorzystywanie jej nazwałaby impertynencją. Ale nie teraz. Teraz przesłała Sophy łagodny uśmiech i powiedziała: „Naturalnie, kochanie, cudownie, możesz zająć mały pokój”.

Stała przy zlewie w kuchni, przytrzymywała się jego krawędzi i obserwowała przez okno karmnik, do którego tak chciwie garnęły się sikorki. Poza fizycznym wysiłkiem, jaki pociągać będzie za sobą obecność Sophy, Vi niepokoiło coś jeszcze, coś bardziej ulotnego, a zarazem istotnego. Po śmierci Dana, gdy jego siostrzeniec Roger likwidował sprawy wuja — operacja, która wymagała od Vi tak wielkiego panowania nad sobą, jak nigdy jeszcze nie zdarzyło się jej w życiu — zabrała wszystkie drobiazgi, które Roger zamierzał wyrzucić, a o

których wiedziała, że wiele dla Dana znaczyły. Były tam fotografie, upominki i zabawne pamiątki z odległych czasów, kiedy Dan służył w marynarce, i nigdy o nich nie zapomniał. Porozstawiała je po całym mieszkaniu, mieszając ze swoimi drobiazgami tak, że poprzepłatały się ze sobą, jak spleceni ze sobą byli Vi i Dan. Przyniosło jej to dodatkową nagrodę, jakiej zupełnie nie spodziewała się otrzymać: dotykalne wręcz wrażenie nieustannej obecności Dana. Wrażenie było tak silne, że Vi rozmawiała z nim, towarzysko i spokojnie, zadawała mu pytania, radziła się w wielu sprawach. Rozmowy te przynosiły jej niewypowiedzianą radość, koily. Ale gdy pojawi się tu ze swoimi rzeczami i ze swym życiem Sophy, Sophy z krwi i kości, to czy zachowując się nawet najspokojniej i najciszej, nie odpędzi tego potężnego, ale kruchego odczucia obecności Dana, od którego Vi całkowicie się uzależniła?

W barze w Pszczelim Domu panowała senna, ospała atmosfera niedzielnego popołudnia. Jadalnia była prawie pełna i jakkolwiek kilka osób przeszło do ogrodu, w każdym fotelu w barze ktoś siedział. Goście, nieudolnie zasłaniając się gazetami, zapadali w drzemkę. Hilary przemknęła chyłkiem między nimi i przeszła przez tylne drzwi, za którymi krótkie schody prowadziły na dół, do kuchni.

Laurence'a w kuchni nie zastała. Byli tam natomiast sprzątający pomieszczenie Steve i Kevin oraz Patsy, która w dnie, kiedy w hotelu panował duży ruch, pomagała zmywać naczynia. Gdy szła do hotelu, dziecko zostawiała u matki, a w Pszczelim Domu pracowała, by zarobić na wakacje w Disneylandzie.

— W porządku? — zapytała Hilary. — Wszystko w porządku?

Cała trójka zgodnie skinęła głowami. W niedzielę, w przeciwieństwie do dni powszednich, w hotelu panowała paskudna atmosfera i nikt z nich nie lubił wtedy pracować w Pszczelim Domu.

— Czy ktoś z was widziało pana Wooda?

— Tak — odparł Kevin. — Jest na dziedzińcu.

Kevin miał na głowie białą, baseballową czapkę założoną daszkiem do tyłu, nadającą jego szerokiej, różowej twarzy wyraz kompletnej tępoty.

— Dziękuję — powiedziała Hilary i zwróciła się do Patsy. — Dajesz sobie radę?

Patsy skwapliwie kiwnęła głową. W Whittingbourne pracowała w siedmiu różnych miejscach, ale zajęcia w Pszczelim Domu były najbardziej sympatyczne. Wprawdzie chłopcy sprawiali jej trochę kłopotów, ale chłopcy zawsze już tacy są. Lubiła natomiast pana Wooda. I jego nienaganne maniery.

Laurence stał na pograżonym w ciszy wrześnieowego popołudnia dziedzińcu oparty o ścianę jednego z magazynów, gdzie niegdyś mieściła się stajnia. Ręce trzymał wsunięte w kieszenie spodni pod fartuchem i obserwował zszarzałą od upałów kępkę krzyżownika rosnącego w szczelinie między płytami, którymi wyłożone było podwórze.

— Laurence...

Drgnął, po czym uśmiechnął się.

— Cześć.

Hilary przeszła przez podwórkę i stanęła naprzeciwko niego. Spostrzegła, że na skroniach zaczyna już siwieć, a podczas porannego golenia zaciął się tuż obok grdyki.

— Czegoś ci potrzeba? — zapytał cicho.

Hilary potrząsnęła głową.

— Niczego specjalnego. Tak tylko przyszłam.

— To dobrze.

Wyciągnął ręce z kieszeni i położył dłonie jej na ramionach.

— Czy możemy stąd pójść?

— Dokąd? — zapytała zdziwiona.

— Och, nie wiem. Po prostu gdzieś. Dokądkolwiek. Po prostu na chwilę stąd odejść.

Hilary cofnęła się o krok i ręce Laurence'a zsunęły się jej z ramion.

— Dlaczego? — zapytała ostrożnie.

— Żeby od wszystkiego uciec. Uciec choćby na godzinę. Porozmawiać.

— Znam łąkę...

— Tylko jedną?

Uśmiechnęła się.

— Przestałeś żartować — powiedziała. — Od kilku tygodni...

— Gdzie jest ta twoja łąka?

— Niedaleko Adderley Ridge. Tam, gdzie chłopcy puszczały latawce.

— Dobrze. Pojedźmy tam.

— Ależ nie możemy...

— Możemy. W kuchni nie ma już nic do roboty, a Don przypilnuje interesu. Czy jest George?

— Tak. Właśnie go zbeształam. Za Sophy.

Twarz Laurence'a nachmurzyła się.

— Och, Boże.

— Myślę, że wszystko już minęło. Tym razem na szczęście do najgorszego nie doszło. Muszę jeszcze tylko sprawdzić, czy z Sophy jest wszystko w porządku...

— Ale nie teraz.

— Nie.

— Pójdę i zawiadomię George'a i Dona, że przez jakiś czas nas nie będzie — zaproponował Laurence. — A ty przynieś kluczyki do samochodu.

— Laurence...

— Tak?

— Laurence — powtórzyła Hilary, zbierając się na odwagę i zdejmując okulary. Świat natychmiast się rozmył i raczej wyobrażała sobie jego twarz, niż ją widziała. — Bardzo się cieszę, że porozmawiamy. Ale nie może to być kolejna, prowadząca donikąd rozmowa. Więcej już ich nie zniosę. Nie może to być kolejna rozmowa w stylu „nie wiem”, „jeszcze nie podjąłem decyzji”. Musi to być rozmowa rozstrzygająca. Ostateczna.

Upłynęło trochę czasu, zanim Gus ją zauważył. Oglądał w telewizji mecz krykieta. Telewizor grał bardzo głośno, ale nie dlatego, że Gus tak lubił, lecz ze względu na to, iż w mieszkaniu nie było nikogo, kto by się temu sprzeciwił, i chłopak mógł robić, co chciał. Nie wiedział,

dokąd poszedł Adam. George pełnił dyżur na dole, a rodzice pojechali gdzieś samochodem. Zapewne — pomyślał ponuro — żeby znaleźć sobie puste pole, gdzie by mogli do woli, głośno i bez przeszkód się kłócić. Przed wyjazdem Laurence zapytał Gusa, czy da sobie sam radę. Nie odrywając wzroku od ekranu, odparł, że nic mu się nie stanie. Wprawdzie niezbyt interesował się krykietem, ale przynajmniej miał na czym zaczepić myśli, a poza tym mógł w ten sposób zwabić do pokoju kogoś, kto dotrzyma mu towarzystwa, a jednocześnie niczego od niego nie będzie chciał.

— Gus? — odezwała się Sophy.

Tak naprawdę to musiała zawołać, aby przekrzyknąć głos telewizyjnego sprawozdawcy. Gus błyskawicznie odwrócił się w jej stronę. Stała w progu salonu i wyglądała bardzo dorośle. Miała obcięte na krótko włosy i jedwabną sukienkę. W rękę trzymała doniczkę.

— Czy mogę wejść?

Gus skinął głową, sięgnął po pilota i ze złością, z całych sił, nacisnął guzik wyłączający głos. W pokoju zaległa ogłuszająca cisza.

— Przyniosłam ci to — powiedziała, stawiając doniczkę na stoliku do kawy. Doniczka była pełna ciemnej ziemi, ale nic w niej nie rosło. — To pestka awokado. Zasadziłam ją dla ciebie. Z pestki wyrosnie niewielkie drzewko. W każdym razie taką mam nadzieję.

Gus milczał. Wrócił na kanapę i usiadł na niej zgarbiony. Nie był przecież smarkaczem, dzieckiem, które pociesza się, dając kielkującą fasolę położoną na bibule w słoiku po dzemie napelnionym wodą. Nie był dzieckiem.

— Wczoraj wieczorem zjadłam awokado — oświadczyła Sophy. — Nigdy jeszcze w życiu nie zjadłam całego. Czuję się niewiarygodnie pełna.

Usiadła na kanapie w pewnej odległości od Gusa.

— Nie wyjeżdżam do Francji.

Gus nie reagował.

— Zostaję w Whittingbourne. Do końca roku szkolnego będę mieszkała w małym pokoiku u Ba. Ma mniej więcej rozmiary budki telefonicznej.

Gus sięgnął po poduszkę, uderzył w nią kilka razy pięścią, przyłożył ją sobie do brzucha i pochylił się na niej.

— Na niektóre weekendy będę wyjeżdżała do Londynu... — Sophy umilkła. — Jeśli zechcesz, czasami możesz mi towarzyszyć.

Bardzo, bardzo powoli pokręcił głową.

— Gus...

Ciągle powoli kręcił głową.

— Do Londynu pojechałam wcale nie z powodu George'a. Pojechałam tam z powodu tego, coś ty mi powiedział. Tu już dłużej nie mogłam wytrzymać.

Gus położył poduszkę na kolanach i pochylił się tak, że nie było widać jego twarzy.

— To, co zrobiłam z George'em — próbowała wyjaśnić niepewnie Sophy — nie znaczyło nic. Nic. Nie czujemy nawet do siebie sympatii... Zrobiliśmy to z powodu naszych rodziców. To wszystko. — Wsunęła dłonie między kolana i mocno je ścisnęła. — Myślałam, że jestem w ciąży.

Zgięty na poduszce Gus wyraźnie zadrżał.

— Ale nie jestem.

Cisza.

— Nie powiedziałam o tym George'owi. Nie powiedziałam mu, czy jestem, czy nie jestem. O wszystkim powiedziałam tylko mamie, bo doznałam takiej ulgi, że musiałam się z kimś nią podzielić. Próbowałam rozmawiać o tym z moim ojcem, ale on nie słuchał. A tobie mówię, ponieważ o wszystkim wiesz. To tyle.

Gus uniósł głowę i nieruchomym wzrokiem spoglądał na obrazek, przedstawiający irlandzkich rybaków na dzikiej, ciemnej plaży.

— Nikogo nie kocham — mówiła Sophy. — Mam na myśli chłopaka. Nawet nie chcę żadnego znać. Ja... ja naprawdę cię lubię, Gus. I zawsze będę lubiła. Zrobiliśmy to kontrolnie, rozumiesz, żeby poznać, jak to jest. A ludzie to za tobą ciągną. — Chwilę studiowała jego profil. — Jesteś naprawdę bardzo przystojny.

W twarzy nie drgnął mu żaden mięsień. Sophy chwilę jeszcze go obserwowała, po czym wstała z kanapy.

— W poniedziałek wracam do szkoły. Trochę się boję z powodu tych opuszczonych zajęć w zeszłym tygodniu. Mama mówi, że nie muszę się przed nikim tłumaczyć, ale nie wiem, co mam powiedzieć. Że moja rodzina przechodzi kryzys?

Ostatecznie to prawda. A po tym lecie i ty, i ja wiemy o takich sprawach dużo więcej niż inni.

Stała i patrzyła na Gusa niepewnie, jakby nie wiedziała, co jeszcze ma zrobić.

— Cześć, Gus — mruknęła w końcu. — Do zobaczenia w szkole. Wpadnij kiedyś do nas.

I wysunęła się z pokoju.

Po jej wyjściu Gus długo jeszcze siedział nieruchomo. Następnie lekko się pochylił, podniósł poduszkę, zakrył nią twarz i położył się na plecach na kanapie. Pozostawał w tej pozycji jakiś czas. Później usiadł i zerknął na doniczkę. Było to oryginalne, drogie naczynie wykonane z terakoty. Wepchnął palec w ziemię i wyczuł pestkę awokado, gładką, okrągłą i twardą.

Wstał, wytarł ubrudzony ziemią palec o siedzenie dżinsów. Wziął w dłonie doniczkę i zaniósł ją do swego pokoju. Wąski parapet był zastawiony modelami samolotów, które tak bardzo lubił kiedyś sklejać, oraz pamiątkowymi kubkami z nazwami różnych klubów piłkarskich. Leżało tam też wiele pogiętych zagranicznych znaczków pocztowych, wypisane wkłady do długopisów i martwe, zeschnięte muchy. Gus postawił doniczkę na podłodze i zwolnił środek parapetu, rozgarniając obiema rękami na boki przedmioty tak, że kilka samolocików spadło na podłogę. Podniósł doniczkę, postawił ją dokładnie na środku parapetu, między modelem spitfire'a a kubkiem Manchester United, i długo się jej przyglądał, jakby chciał siłą woli sprawić, że roślina wykielkuje.

Pole zostało zorane.

— Niewątpliwie ozimina — stwierdził Laurence.

Rozległe łąki pozostawały jednak nietknięte, a trawa na nich była jeszcze wyższa i zszarzała od słońca. Zielsko stało się tak twarde i bujne, że przetrwałoby zapewne nawet na pustyńni.

— Tu zawsze zaczynam — oświadczyła Hilary, dotykając palcami szorstkiego drewna bramy. — Najpierw idę w tę stronę, później dołem, wzdłuż potoku, tam gdzie rosną krzaki jeżyn, a potem tamtą stroną w górę.

— Rozumiem — odezwał się Laurence, wspiął się na bramę, odwrócił na niej, złapał równowagę i podał rękę Hilary. — Cóż, może dziś zrobimy inaczej?

Hilary popatrzyła na niego.

— Sądzisz, że powinniśmy?

— Tak.

Zeskoczyła na pole po drugiej stronie bramy.

— To właśnie tutaj puszczałyśmy latawce? Tutaj?

— Tak.

— I pies pożarł latawiec Adama?

— Tak. Nieszczęsny właściciel...

Posuwali się obok siebie nierównym tempem, przeskakując przez większe wykroty.

— Cała się trzęsę — odezwała się Hilary.

— Chcesz mnie wziąć za rękę?

— Jeszcze nie teraz. Może później, kiedy będę wiedziała.

— Oczywiście — odparł. — Wcale nie zwijam się z bólu. Po prostu nie wiem, od czego zacząć.

Hilary przystanęła.

— Nie mogę iść i martwić się jednocześnie — oświadczyła.

Przysiadła na kępie trawy. Laurence chwilę jeszcze czekał, po czym też usiadł. Twarzą do niej.

— Hilary — powiedział. — Czy pozwolisz mi zostać?

Nie była w stanie na niego spojrzeć. Zgarnęła fałdy spódnicy i ściśnęła je kolanami.

— Miałas rację, mówiąc o naszym małżeństwie, o tym, że wciąż cię kocham — zaczął Laurence. — Nasze małżeństwo wcale nie umarło, lecz zapadło na ciężką chorobę. Ale kocham cię. Wciąż cię kocham. Podejrzewam, że nie mógłbym żyć, nie kochając ciebie. Stanowisz część materiału, z którego sam jestem wykonany. Gdy próbuję wyobrazić sobie życie bez ciebie, dochodzę do wniosku, że takie życie w ogóle dla mnie nie istnieje. A jeśli nawet, byłoby to życie kalekie, ułomne, nie takie, jakie prowadziłem, jakiego pragnę i jakiego potrzebuję.

Zamilkł. Delikatny wiatr nawiewał leciutkie jak puszek nasionka roślin; szarawe w czarne cętki.

— Ale mam też swoje racje i to jest już dużo trudniejsze — ciągnął Laurence. — Kocham Ginę i nic na to nie poradzę. Kiedy mówiłem, że zawsze ją kochałem, mówiłem prawdę. Ale nie kocham jej na tyle, żeby opuścić dla niej ciebie. Co więcej, moje najgłębsze ja mówi mi, że nie mógłbym mieć was obu. Nawet tego nie chcę, nie pragnę takiego dylematu, jeśli mam powiedzieć uczciwie. Chciałbym przestać kochać Ginę, ot tak, po prostu, bang, pstryk i światło zgaszone.

Sądzę, że gdybym jej nie widywał, wszystko umarłoby śmiercią naturalną, i przysięgam, że dałbym wszystko za to, by tak się właśnie stało, żebym przestał ją widywać. Dlatego nie jestem w stanie przeciąć tego jednym cięciem, nie mogę porzucić przyjęcia, mówiąc: to już koniec, ludzie, mój błąd, odchodzę. Ale wiem, jestem przekonany, że jeśli mnie zechcesz, zostanę. Wiem jednocześnie, biorąc pod uwagę uczucia, jakie żywię do Giny, iż nie mam prawa oczekiwać, że znów mnie przyjmiesz. Świetnie wiem, że to bardzo nieuczciwe, iż decyzja należy do ciebie, ale nie wiem, o co innego cię prosić.

Znów zamilkł. Hilary zdjęła ze spódnicy maleńki zarodnik, uniosła go do oczu i rozkruszyła w palcach tak, że drobiny z czarnymi cętkami zabrał ze sobą podmuch wiatru.

— Czy możesz wybaczyć mi na tyle, aby pozwolić mi ze sobą zostać, i czy ścierpisz mnie do czasu, aż zerwę z Giną? Nie wiem, czy ja na twoim miejscu byłbym do tego zdolny, więc nie spodziewam się cudów.

— Mogę być okropna — powiedziała powoli, nie patrząc na niego.

— Wiem.

— Mogę czasami sama nad sobą nie zapanować. Być może nie zdołam powstrzymać się przed drobnymi, kąśliwymi uwagami. Być może nie będę tego znosiła dobrze.

— Tak.

— Nie wiem, Laurence. Tęskniłam do chwili, kiedy mi to powiesz, a gdy już to zrobiłeś, nie wiem. Jestem w środku zupełnie wypalona.

— Kochanie, Hilary, tak mi przykro.

Pochyliła się i oparła czoło na kolanach.

— Chcę tego chcieć — wyznała. — Marzę, żeby chcieć. Ale nie potrafię wzbudzić w sobie tego uczucia.

— Czy uwierzysz mi na słowo? Potrafisz? Bo kocham cię całym sercem.

— Może...

— To ryzyko, wiem. Ale wiem też, że mnie czeka większy wysiłek niż ciebie.

— To nieprawda.

Odchylił się, żeby zajrzeć jej w oczy.

— Kochasz mnie?

Odniósł wrażenie, że lekko skinęła głową.

— Naprawdę?

— Tak, chyba tak. W tej chwili nie przypominam już sobie, co to miłość. Nie pamiętam, co człowiek w takich chwilach czuje.

— Ale jeszcze sobie przypomnisz. Obiecuję, że sobie przypomnisz.

Wyciągnął rękę i położył dłonie na jej zaciśniętych na kolanach rękach. Spodziewał się, że Hilary cofnie dłonie, ale tego nie zrobiła. Pomyślał, iż powinien wymusić od niej zdecydowane „tak”, zdecydowane i wyraźne, ale uznał, że jednak lepiej tego nie robić. Trzymał więc dłonie na jej dłoniach i po prostu się w nią wpatrywał.

Rozdział dziewiętnasty

Gina wyszukała we Francji bardzo obiecujące mieszkanie. W broszurze napisano, iż znajduje się w prawej części Pau, a z jego okien rozciąga się wspaniały widok na Pireneje. Mieszkanie składało się z czterech sypialni, bardzo eleganckiego salonu i tarasu na dachu. Do prospektu dołączono zdjęcie budynku, wysokiej, dziewiętnastowiecznej kamienicy. Pracownik francuskiej firmy handlu nieruchomościami nakleił maleńką czerwoną strzałkę z odblaskowego papieru, wskazującą najwyższe piętro w lewym rogu budynku. Tam właśnie znajdowało się wybrane mieszkanie. Cena również była rozsądna. Gina musiała wprawdzie wydać wszystkie pieniądze, jakie pozostaną jej ze sprzedaży i podziału majątku z Jego Wysokości, ale przynajmniej nie naruszy kwoty, jaką dostanie Laurence jako swoją część z podziału Pszczelego Domu. Wystarczy im zatem na podróż oraz na finansowanie odwiedzin dzieci. Pochyliła się nad zdjęciem i uważnie studiowała je przez szkło powiększające. Próbowała wyobrazić sobie charakter i atmosferę panującą w mieszkaniu za ciemnymi oknami na najwyższym piętrze budynku w Pau.

Było już dobrze po południu i mniej więcej za godzinę miała wrócić ze szkoły Sophy, jeśli — jak powiedziała — nie pójdzie na próbę kółka teatralnego. Poprzedniego dnia przyprowadziła do domu bardzo energiczną, rudowłosą Larę, której Gina wcześniej nie widziała. Zabrały z kuchni butelkę wody mineralnej, ogromną torbę chrupek i zniknęły w pokoju Sophy, zostawiając na dole zmieszaną Ginę. Lara

sprawiła bardzo sympatyczne wrażenie, lecz Gina nie wiedziała, co Sophy jej mówiła i ile Lara wie. Pod rudą strzechą włosów lśniły jej zuchwałe oczy, zachowywała się zresztą z wielką pewnością siebie. Na górze spędziły z Sophy dwie godziny, po czym zeszły na parter.

„Cieszę się, że panią poznałam” — odezwała się Lara do Giny, wzięła swoją torbę z książkami i wyszła.

Gina znów pochyliła się nad folderem. Dwie sypialnie były maleńkie i w mieszkaniu znajdowała się tylko jedna łazienka. Trochę żałowała, że nie dołączono zdjęcia tarasu na dachu. Mógł być piękny, ale mogła to też być jedynie pusta powierzchnia wylana cementem z porozpinanymi sznurami do suszenia bielizny. W takim przypadku mogliby przebudować taras na altankę z doniczkami, kratkami i skrzynkami na kwiaty. Ale bez względu na to, jak tam jest, z pewnością z tarasu rozciąga się wspaniały widok. Wyjrzała przez okno do ogrodu i jak zwykle ujrzała tam niski murek, trawnik porośnięty rumiankami, starannie utrzymane grządki i gotycką ławkę. Była zmęczona, bardzo zmęczona. Brakowało jej rozległej perspektywy za oknem. Schludny ogródek wcale nie kompensował rozległej panoramy.

Gdy wyglądała oknem, dotarł do niej szczek otwieranej i zamykanej bramy prowadzącej na ulicę. Z jakiegoś powodu Sophy wcześniej wróciła do domu. Gina szybko wsunęła broszurę pod gazetę, wsparła głowę na dłoniach i czekała na córkę, która zapewne pojawi się w towarzystwie tej nieco niepokojącej Lary.

Ale w progu stanął Laurence.

— Och, to ty! — zawołała Gina, zrywając się na równe nogi. — Po południu?

Laurence wszedł do kuchni, wziął Ginę w ramiona i pocałował w policzek. Tulił ją do siebie przez kilka sekund.

— Popatrz! — powiedziała, wyswobadzając się z jego objęć. — Popatrz na to! — Przesunęła gazetę i pokazała otrzymaną z Francji broszurę. — Popatrz. To mieszkanie. Mieszkanie na najwyższym piętrze i z rozległym widokiem na góry!

Laurence sięgnął po prospekt. Wygląda normalnie — pomyślała

Gina. — Jest tylko odrobinę zmęczony. Nic dziwnego. Atmosfera w Pszczelim Domu musi być okropna, pełna napięcia.

— O! *Un salon très élégant* — stwierdził Laurence przeglądając szybko broszurę.

— I taras na dachu.

— Tak.

— I co o tym myślisz? Czy twoim zdaniem wygląda to możliwe?

— Tak, chyba tak. — Odłożył folder na stół. — Wygląda to bardzo z francuska i raczej ponuro.

— Laurence!

— No cóż, pytałaś mnie o zdanie. Więc je wyraziłem.

Wyminął Ginę i przeszedł na korytarz.

— Napijesz się herbaty?

— Nie! — odkrzyknął. — Dzięki!

Szybko poszła za nim.

— Co się stało? Dlaczego jesteś taki niespokojny...

Laurence stał w salonie za fotelem i opierał się o mebel plecami.

Gina spostrzegła, że zaciska palce na obiciu.

— Gino, kochana Gino. Nie pojedę do Francji.

Wpatrywała się w niego, a on podszedł do niej i ujął ją za rękę.

— Nie jestem cię nawet w stanie przeprosić. To już wykracza poza jakiegokolwiek przeprosiny. Wykracza daleko.

Ciągle stała wpatrzona w niego, widziała jego szyję w rozpiętym kołnierzyku koszuli.

— Zostaję — mówił. — Zostaję z Hilary. Kocham ją, jest moją żoną, więc zostaję.

— Prosiła cię o to? — zapytała szeptem.

— Nie. Prosiła tylko, żebym przed zerwaniem jeszcze raz poważnie przemyślał nasze małżeństwo, zanim ostatecznie orzeknę, że umarło.

— Ale przecież zerwaliście ze sobą! — krzyknęła Gina, wrywając rękę z jego dłoni. — Zrobiliście to już dawno, dawno temu. Sam tak mówileś!

— Wiem — odparł Laurence. — W swoim czasie tak myślałem. Myślałem też, że tak samo uważa Hilary. Ale okazało się to nieprawdą.

Nie chcę ci o tym wszystkim mówić, brzydzę się o tym mówić. Ale nie ma innego sposobu, by ci to powiedzieć, jednocześnie cię nie raniąc.

Gina dotknęła głowy, jakby chciała sprawdzić, czy ciągle jeszcze ją ma.

— A więc już mnie nie kochasz? Nie kochasz? Nie kochasz?

— Kocham cię — odrzekł bardzo cicho.

— Więc po co to wszystko? Po co mi mówisz wszystkie te okropne rzeczy? Że wracasz do dawnego życia, że strącasz mnie w otchłań...

— Ponieważ... — zaczął Laurence i umilkł.

Gina uniosła ramiona.

— Ponieważ co?

Popatrzył jej prosto w oczy.

— Nie chcesz wiedzieć...

— Chcę! Chcę! Musisz mi to powiedzieć, musisz, musisz...

Westchnął.

— Bez Hilary nie mogę cię kochać.

Wydała piskliwy okrzyk, jakby uderzył ją w twarz, i zaczęła okładać go pięściami.

— Łgarz, łgarz, łgarz! Co za śmieć, obrzydliwy, głupi, pozbawiony serca, zakłamany śmieć! Kochałeś mnie na długo przed Hilary, na długo, całe lata przed tym, zanim się pojawiła...

Chwycił jej pięści i unieruchomił w mocnym uścisku.

— Tak, kochałem. Ale później spotkałem ją i nauczyłem się ją kochać.

— To chłopcy, to dla nich zostajesz...

— Nie, wcale nie. Zostaję, ponieważ chcę uratować moje małżeństwo. Jeśli oczywiście zdołam. Jeśli Hilary wyrazi na to zgodę.

Gina oswobodziła ręce i cofnęła się o kilka kroków.

— A co ze mną?

— Gino...

— A co ze mną? Powiem ci, ty zakłamany tchórz. Zostawiasz mnie bez miłości, domu i perspektyw na przyszłość. Słyszysz? Bez miłości i bez perspektyw na przyszłość! Jak możesz mi coś takiego

zrobić? Jak mógłbyś zrobić to swemu największemu wrogowi? Laurence milczał.

— Sam to wszystko zacząłeś! — krzyżała. — Wszystko to wyszło od ciebie! To ty zacząłeś pierwszy mnie całować i pierwszy oświadczyłeś, że mnie kochasz. To nie był mój pomysł!

— Takie pomysły nigdy nie wychodzą z jednej strony, Gino...

— Chcesz się bronić, prawda? Chcesz, widząc, jak wali się moje życie, przekonać cały świat, że nie ma to nic wspólnego z tobą? Tego właśnie chcesz? Jesteś odrażający, podły, nikczemny i zły...

— Przestań — przerwał jej Laurence.

— Ale nie wierzę, że nie czujesz się winny! — krzyknęła.

— Czuję się winny. Brak mi słów, żeby powiedzieć ci, jak bardzo czuję się winny. Ale nie sądzę, że gdybym nawet zdołał to wysłowić, by cokolwiek to pomogło.

— A zatem postanowiłeś tu przyjść i powiedzieć mi, że Hilary kochasz bardziej niż mnie.

Laurence znów nic nie odpowiedział.

— No, powiedz.

Potrząsnął tylko głową.

— Powiedz.

— Kocham Hilary bardziej niż ciebie.

Odwróciła się do niego plecami, usiadła na podłodze koło fotela i ukryła twarz w dłoniach. Laurence, widząc, że drżą jej plecy, podszedł do Giny i położył jej dłoń na ramieniu.

Uniosła głowę.

— Proszę, nie dotykaj mnie.

Laurence zabrał rękę.

— Nie wierzę — powiedziała zdławionym głosem. — Nie wierzę, że dwóch mężczyzn zrobiło mi to samo. I to w odstępie zaledwie trzech miesięcy.

Laurence'a ogarnęło zniecierpliwienie, za które sam do siebie czuł odrazę.

— Nie będę cię błagała na klęczkach — odezwała się Gina. — Nie zniżę się do twego odrażającego poziomu. Hilary musi odczuwać wielką satysfakcję.

— Jest jak najdalsza od tego. Jest równie załamana jak ja...

— Och, biedna Hilary!

— Zamknij się.

Gina ponownie pochyliła głowę. Laurence spoglądał na jej odkryty kark i myślał, że wcale nie różni się od tamtego, kiedy Gina miała szesnaście lat, a on siedział za nią w nieistniejącym już autokarze, jadąc do Londynu, aby obejrzeć Paula Scofielda w roli króla Leara. Jakże czasami nienawidził uczucia miłości, jaką odrazę czuł do tych oślizgłych, zwodniczych tropów tego uczucia, które mogło jedynie unieszczęśliwić człowieka przekonanego, że miłość to klucz do szczęścia, wierzącego we wszystkie obietnice, jakie ona niesie.

Przysiadł na poręczy fotela, tuż nad głową Giny.

— Nie powinienem był tego robić — przerwał milczenie. — Nie powinienem był tego zaczynać. Ale sądziłem, że nie mam wyboru. Naprawdę myślałem, że podążam ścieżką, którą los przez wszystkie te lata mi układał, ścieżką, na którą skazany byłem wkroczyć. Wiesz o tym. Rozumiesz, o czym mówię. Czulaś to samo. Ale teraz zrozumiałem cały ogrom krzywd, jakie wyrządziłem innym. I nie śmiem dalej kroczyć tą ścieżką.

Gina uniosła głowę i popatrzyła na niego.

— A skąd ty wiesz, czy szybko ci nie znudzi się ta nowa sytuacja? Podobnie jak znudziłeś się mną?

— Wcale się tobą nie znudziłem — odparł cierpliwie Laurence. — Nigdy się tobą nie znudzę. Ale ty nie należysz do świata, do jakiego ja należę.

Gina wyprostowała się i wytarła palcami oczy, w których zbierały się łzy.

— Należysz do świata...

— Tak.

— Ja... ja nie należę już do żadnego świata.

Laurence milczał. Gina westchnęła, dźwignęła się z podłogi i odwróciła do niego plecami.

— Proszę, idź już — powiedziała cicho. — Teraz, teraz, kiedy na to nie patrzę.

Nieco później siedziała w poczekalni Diany Taylor i wyglądała przez okno na zlewany deszczem dach supermarketu, którego zmoczone wodą brązowe dachówki stały się szare i lśniące. Powiedziano jej, że pani psycholog ma tego popołudnia nawał pracy, lecz Gina tak długo prosiła — sama się sobie dziwiąc — aż w końcu Diana osobiście odebrała telefon, zgodziła się z nią spotkać, ale dopiero pod sam koniec dnia i tylko na pół godziny.

Gina zostawiła informację dla Sophy, po czym gwałtownie podarła na strzępy broszurę francuskiej agencji mieszkaniowej i wrzuciła je do kubła na śmieci, między skórki grejpfrutów, zużyte torebki z herbatą i podgniłe liście sałaty. Później wzięła gorący prysznic. Ręce drżały jej tak, że z najwyższym trudem mogła operować kranami. Po kąpieli, owinięta puszystym ręcznikiem, położyła się na podłodze w łazience. Dygotała jak w febrze, bez reszty oddając się rozpaczy.

Leżała zapewne z pół godziny na jasnoszarej wykładzinie, którą wybrał Fergus, a przez szparę pod drzwiami jej gołe ramiona ziębił chłodny przeciąg. Nie zwracała na to uwagi. Nic jej to nie obchodziło. Kiedy w końcu podniosła się z podłogi, ręce miała sztywne i jasnofioletowe, a stopy sine. Widok pomalowanych paznokci u nóg — „jak wisienki”, zwykł był mawiać Fergus — napełnił ją odrazą.

Ubieranie się zajęło jej dużo czasu. Włożyła dżinsy i zimowy golf; stary kremowy, wełniany golf. Wystające z jego rękawów dłonie Giny przypominały ręce starej kobiety. Nie umalowała się, bo nie była w stanie spojrzeć na siebie. Nawet włosy czesała, nie spoglądając w lustro. Na koniec włożyła czerwone baletki i wyszła na umówione spotkanie z Dianą Taylor.

— Nie widziałyśmy się już od kilku dobrych tygodni — zauważyła pani psycholog.

Wyglądała zdrowo i czerstwo.

— No właśnie.

— Proszę siadać — powiedziała Diana. — Tam. Zawsze lubiła pani to krzesło, prawda?

Gina przysiadła na wskazanym miejscu.

— Wszystko poszło nie tak.

Diana czekała. Na kolanach trzymała teczkę z papierami, w dłoni pióro, ale nic nie notowała.

— Laurence wrócił do żony. Pojawił się u mnie dziś po południu i powiadomił mnie o swej decyzji. Twierdzi, że mnie kocha, ale ją bardzo.

— Tak.

— Czy oni wszyscy tak twierdzą?

— Dokładnie — odparła Diana. — A co więcej, większość z nich święcie w to wierzy.

— A więc zostałam na lodzie — oświadczyła ponuro Gina. — Mam jeszcze mniej niż zaraz po odejściu Fergususa. Nigdy jeszcze w życiu tak kompletnie nic nie miałam.

— To przykre — stwierdziła Diana uprzejmym, lecz pozbawionym czułości tonem.

— Jednym z powodów, dla których tak postąpiłam, była pani rada, iż nowa miłość może mi wyjść na dobre — burknęła Gina, jeszcze niżej pochylając się na krześle.

— Nie myślałam w ten sposób... — zaczęła Diana.

— Ależ tak! — upierała się Gina. — Tak! Powiedziała to pani. Powiedziała całkiem wyraźnie! Powiedziała mi pani, że jej zdaniem do mojego samouleczenia miłość stanowić może niezły punkt startowy.

Diana odłożyła na podłogę, obok nogi od krzesła, na którym siedziała, blok z papierem i pióro.

— Zgadza się, powiedziała. I ogólnie miałam rację. Ale w pani przypadku, szukała pani miłości tam, gdzie zapewne nie mogła jej utrzymać na dłuższą metę.

— Och! — wykrzyknęła Gina. — Dlaczego nie powiedziała mi pani, że jestem złodziejką podkradającą innej kobiecie męża!

— Nie jestem od ferowania wyroków...

Gina krzyknęła i oparła się o poręcz krzesła.

— Poza tym nie obiecywałam tęczy. A ludzie nie potrafią pogodzić się z sytuacją, w której nic już nie można zrobić. Nienawidzą tego.

— Ale mówiła pani, że takie sytuacje nie istnieją. Twierdziła pani, że zawsze jest jakieś wyjście, że zawsze wszystko można zmienić, naprawić, powiedziała pani, iż tylko od nas zależy, aby było nam w życiu lepiej...

— Nic takiego nie mówiłam.

— No cóż, sugerowała pani! Sugerowała pani, że mogę wszystko poprzestawiać, i siebie, i swoje życie, że stanę się szczęśliwsza, pozytywnie nastawiona do świata!

— Skoro zrzucanie na mnie całej winy ma pani pomóc... — zaczęła Diana.

— Wcale pani nie obwiniam! Chcę po prostu pokazać, do czego prowadzą udzielane przez panią rady! Chcę po prostu, żeby poznała pani ich konsekwencje.

— Próbuję tylko uczyć ludzi większej niezależności. Staram się, by nie stali się zbyt uzależnieni ani ode mnie, ani od swoich problemów.

— I radzi pani ludziom, by zaczynali od miłości?

— Nie, wcale...

— Gdy sama kocham, jestem w stanie kochać innych — oświadczyła Gina. — Wiem, że gdy jestem szczęśliwa, staję się lepszym człowiekiem. Czy to źle?

— Ja naprawdę nie rozmawiam o tym, co dobre, a co złe...

Gina wstała.

— Najwyższy czas, żeby pani zaczęła.

Diana również podniosła się z krzesła i uważnie popatrzyła na Ginę.

— Proszę pani, dlaczego właściwie pani dziś do mnie przyszła?

— Ponieważ chciałam, by pani wiedziała. Musiała się pani dowiedzieć, co się stało.

Diana skinęła głową.

— No i musiałam się wypisać — dodała Gina.

Hilary stała przy wejściu do szkoły biskupa Pryora. Nie spotkała żadnej innej matki — mijaly ją wyłącznie pstre grupy chłopców i dziewcząt kierujących się do centrum Whittingbourne. Szkoła mieściła się w posępnym budynku, funkcjonalnym i zbrązowiałym, i Hilary nie dziwiła się wcale, że większość uczniów miała wyraz twarzy idealnie pasujący do ponurego gmachu ich szkoły i ubierała się w podobny sposób.

Nie czekała na Gusa. Tego dnia Gus pojechał z klasą na wycieczkę

geograficzną, a do domu miał wrócić dopiero późnym wieczorem. Czekala na Sophy. Sophy przestała przychodzić do Pszczelego Domu, a Hilary, znajdujaca się w osobliwym nastroju lęku, ulgi i strapienia, zdala sobie sprawę, że właściwie stale myśli o tym, że musi znaleźć czas dla Sophy, porozmawiać z nią. Stała więc tutaj, pod drzewem wiśniowym o wrzecionowatej koronie, na zieleńcu porośniętym wydeptaną trawą i wpatrywała się w główne wyjście.

Upłynęło prawie dwadzieścia minut, zanim pojawila się Sophy. Ponieważ chodzila do szóstej klasy, nie musiała nosić mundurka. Zamiast niego miała na sobie zwykły, akceptowany przez szkołę strój, jak wszyscy uczniowie szóstej klasy. Ubrana była w bardzo krótką, czarną spódnice, postrzępioną, szarą bluzę prawie długości spódniczki, czarne rajstopy i masywne, czarne buty na grubych podszwach. Krótko obcięte włosy zaczesala na jedną stronę, a oczy skrywała za małymi, okrągłymi, przeciwsłonecznymi okularami.

— Sophy...

Sophy przystanęła.

— Och, Boże! — mruknęła i ściągnęła z twarzy okulary.

— Nie masz nic przeciwko...

— Nie. Nie... tylko się zdziwiłam.

— Nie miałam pojęcia, w jakim innym miejscu mogę cię znaleźć.

Sophy sprawiała wrażenie wyraźnie zmieszanej.

— Po prostu chciałam cię zobaczyć. Sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Sophy ponownie włożyła okrągłe okulary.

— U mnie wszystko po staremu.

Hilary ujęła ją za ramię i skierowała w stronę bramy.

— Nie chcę wtrącać nosa w nie swoje sprawy, ale dużo o tobie myślałam...

— Naprawdę, u mnie wszystko jest w jak najlepszym porządku — zapewniła zniecierpliwiona Sophy.

— Rozmawiałam z George'em...

— Proszę...

— Obawiałam się, że cię skrzywdził...

Sophy rozejrzała się błędnym wzrokiem. Kilka metrów za nią i za

Hilary posuwała się Lara, ubrana podobnie jak Sophy, tyle że jej spódnica sięgała prawie do ziemi.

— Hilary — powiedziała Sophy. — Przykro mi, ale muszę już iść. I proszę się o mnie nie niepokoić. Ze mną wszystko w porządku. Słowo honoru. I... czuję wielką ulgę.

— Tak.

— Jestem z koleżanką. Idziemy do mnie do domu. Później wybieramy się do kina...

— Rozumiem.

— Cieszę się z naszego spotkania, naprawdę — szybko zapewniła Sophy.

Hilary pochyliła się i pocałowała ją w policzek. Przy okazji obie zderzyły się okularami.

— Uważaj na siebie.

— Nie ma sprawy — odparła Sophy i odeszła do Lary.

Hilary przepchnęła się przez rozbrykany tłum młodzieży i ruszyła do samochodu, który zostawiła przed bramą na niewielkiej zatoczce, dokładnie pod tablicą z napisem: *Niech nikomu nawet nie wpadnie do głowy parkować w tym miejscu*. Ale za wycieraczką nie było żadnej kartki, tylko na masce widniał duży ślad, świadczący o tym, że właśnie tutaj ptak postanowił się załatwić. Wsiadła do auta i ruszyła długą, główną ulicą prowadzącą do centrum Whittingbourne, mijając po drodze ośrodek sportowy, gdzie za wielkimi, zielonymi płytami ze szkła widać było sylwetki pływaków. Kiedy skręciła przy wysokim, starym murze Whittingbourne Park, dostrzegła między dwiema zaparkowanymi ciężarówkami wolną przestrzeń, gdzie nie było parkometrów, i ostrożnie wprowadziła w nią swój samochód. Wysiadła, zamknęła wóz i zdecydowanym krokiem wzdłuż okalającego park muru podążyła w stronę Gego Wysokości.

Na drzwiach wciąż wisiała tablica z napisem *NA SPRZEDAŻ*, ale tym razem w poprzek niej nalepiono triumfalny, szkarłatny napis *SPRZEDANE*. Hilary pchnęła drzwi i ciekawie zerknęła na teren posesji. W ogrodzie było jak dawniej, cicho i spokojnie, wszystko pieczołowicie rozplanowane, ale po kilkutygodniowej nieobecności Fergusza zaczynało już bujnie pnieć się zielsko. Hilary zamknęła za sobą bramę

i okrążyła dom, kierując się prosto do kuchennych drzwi, żeby zajrzeć do środka.

Nikogo nie dostrzegła. Zastukała, a kiedy nikt się nie pojawił, przekreśliła gałkę. Drzwi nie były zamknięte.

— Gina? — zawołała.

Nie wiedziała, jak brzmi jej głos ani jaki ton powinna przybrać.

Nic. Hilary przeszła przez kuchnię — na stole stała maszyna do pisania, porozrzucone papiery i kubek obok talerzyka ze skórką po bananie — wkroczyła do holu, a stamtąd do salonu. Przed kominkiem, jakby na kogoś czekała, stała nieruchomo Gina.

— Cześć — odezwała się pierwsza. Hilary przystanęła w progu.

— Cześć.

— Czy mogę zapytać, po co przyszłaś? — zapytała uprzejmie Gina.

— Przed szkołą spotkałam się z Sophy. Chciałam sprawdzić, czy z nią wszystko w porządku... no, wiesz, po tym incydencie z George'em. Widziałam się z nią, ale ona wołała towarzystwo swojej przyjaciółki. Tak więc przyjechałam do ciebie.

— Po co?

— Szczerze mówiąc, sama nie wiem. Coś mnie tu przyгнаło.

— Usiądziesz?

Hilary podeszła do najbliższego fotela i przycupnęła na jego poręcz.

— Dzięki.

— To tu, właśnie tu — odezwała się Gina — Laurence powiadomił mnie, że zostaje z tobą. Stanął dokładnie za tym fotelem i oświadczył, że nie pojedzie do Francji.

— Ale ty wciąż się tam wybierasz?

— Nie. Nie ma sensu, prawda? Poza tym mam Sophy i Vi.

Hilary kusilo, żeby zaznaczyć, iż zawsze je miała.

— Gino...

— Tak?

— My chyba stąd wyjedziemy.

Gina zeszywniała.

— Po tym, co się wydarzyło, nic już nie będzie takie samo, nic już nie będzie się dziać jak dawniej. Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli my, Woodowie, opuścimy Whittingbourne.

— I dokąd pojedziecie?

— Nie wiem. Niewiele jeszcze na ten temat rozmawialiśmy. Ale sądzę, że tak właśnie się stanie. Pomyślałam sobie, że powinnaś o tym wiedzieć. Na wypadek, gdybyś snuła jakieś plany.

— Och, mam plany.

Hilary wstała.

— To wszystko wymaga odwagi, prawda? — odezwała się po krótkim wahaniu.

— Bardziej niż kiedykolwiek — odparła Gina, patrząc przez okno na mur, który odcinał jej widok na ulicę.

Gus wrócił z wycieczki już po zapadnięciu zmroku. Był środek tygodnia i w hotelu panował taki spokój, że nawet Don zamknął bar, choć nie wybiła jeszcze dwudziesta druga. Kiedy Gus wszedł do domu, z kuchni wynurzył się Adam. Śmiał się, jakby usłyszał przed chwilą doskonały dowcip i wcinał z apetytem pasztecik z francuskiego ciasta.

— I jak małe ropuszki i futrzaste wiewiórki? — zapytał młodszego brata.

— E tam, oglądaliśmy wodę. Ścieki i syf. Nudy. — Gus rzucił torbę. — Gdzie mama i tata?

— Tam — powiedział Adam, wskazując łokciem jadalnię.

— Tam? — zapytał ze zdumieniem Gus. — Dlaczego tam?

— Jedzą kolację. Tak postanowili.

— Przecież nigdy tam nie jadają!

— Ale dzisiaj jedzą.

Gus podszedł do drzwi i zerknął przez okienko. Hilary i Laurence siedzieli w pustej sali przy stoliku dla dwóch osób zwróceniu do siebie twarzami. Ubrani byli w codzienne, robocze stroje. Na stoliku paliła się świeca i stała butelka wina. Hilary trzymała w dłoni kieliszek i bawiła się jego nóżką.

Adam wepchnął w usta ostatni kęs pasztecika.

— George'a przenieśli do nowej pracy — mruknął. Gus chrząknął.

— Jak długo oni już tam siedzą?

— Nie wiem. Godzinę?

Przykucnął obok Gusa i też zerknął do sali.

— A może jeszcze się między nimi ułoży? — szepnął z nadzieją w głosie Gus.

Przez chwilę ramię Adama dotykało ramienia brata.

— Nie wiem — powiedział poważnie. — Nie wiem. To tak, jakby ktoś komuś wbił w piersi nóż. Możesz go wyciągnąć. Możesz go wyciągnąć, ale cholerna, krwawa, wielka rana zostanie. Prawda?

Rozdział dwudziesty

Okno sypialni Sophy wychodziło na zachód. Był to stosunkowo ciemny pokój, kwadratowy i nowoczesny z pojedynczym oknem wyglądającym na teren opactwa, w kierunku kościelnej wieży, za którą majaczyły stare, wysokie drzewa w Whittingbourne Park.

Sophy od razu go polubiła. Niczego od niej nie wymagał i mogła w nim robić, co jej się żywnie podobało. W tej chwili panował w nim straszliwy rozgardiasz. Na łóżku leżał stos ciemnych poduszek z wszytymi, maleńkimi kawałeczkami lusterek i z szorstkim afgańskim haftem. Ubrania, zamiast trzymać w szafie, wieszala na kołkach, haczykach i rogach mebli lub po prostu rzucała na podłogę. Pokój pełen był biżuterii, świecidełek, garnuszków i dzbanków, biletów do kina, starych kopert, zużytych sztyftów do malowania rzęs oraz pudełek z ponapoczynanymi opakowaniami tabletek glukozy. Jedyne niezasmiecone miejsce stanowiło biurko. Jej stare biurko z lampą, przywiezione z Jego Wysokości, stało pod oknem i panował na nim nieskazitelny porządek. Sophy przykładala do tego biurka ogromną wagę. Właśnie od niego zamierzała udać się na uniwersytet, by studiować filologię rosyjską i francuską (ze względu na literaturę, poinformowała Ginę), a później zapewne zostać tłumaczem w Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku. A może w Czerwonym Krzyżu w Genewie lub w Radzie Europy w Strasburgu. Oświadczyła matce, iż jednego tylko nie zamierza zrobić: pozostać w Whittingbourne.

„Nie, oczywiście, że nie — odpowiadała Gina. — Ja również nie zamierzam tu zostać”.

Kupiła to mieszkanie, gdyż znajdowało się na parterze zbudowanego w latach siedemdziesiątych bloku, a wokół niego rozciągała się wolna przestrzeń. Znajdowały się tam jakieś nieciekawe ogródki, trawniki i alejki, ale Gina i Sophy nie zwracały na to uwagi. Z ich okien, kwadratowych, nowoczesnych okien, rozciągał się szeroki widok. Dostrzec można było nawet dwa wzgórza wznoszące się na północ od miasta. Gina pomalowała mieszkanie na biało, przez co pokoje wydawały się większe, w dzień było w nich jaśniej, a wpadające przez szerokie okna potoki światła sprawiały, iż przedmioty nabierały cech niematerialności, jakby lada chwila wszystko to miało zamienić się w czysty blask. Sophy wiedziała, że Gina jest szczęśliwa, bo uwolniła się z więzienia, jakim był dla niej mur i nieustanne, tajemnicze zobowiązania, których domagał się od niej Jego Wysokość.

Gina codziennie udzielała lekcji gry na pianinie. Niektórzy jej uczniowie mieli zaledwie cztery lata, inni bywali starsi nawet od Vi. Lekcje zabierały Ginie po sześć, siedem godzin dziennie i przez cienkie ściany mieszkania dochodziły do pokoju Sophy tony pianina i głos Giny: „Nie, nie, trzeci palec”. Na instrumencie stała hinduska miska wykonana z *papier mâché*, a w niej masa dwudziestopensowych monet, którymi Gina nagradzała maluchów. Popołudniami sama uczęszczała na różne zajęcia. Uczyla się rysunku i włoskiego, a czwartkowe wieczory spędzała na kursie gotowania dla zaawansowanych i wracała do domu z garnkami pełnymi potraw, które ona i Sophy pamiętały jeszcze z Pszczelego Domu, gdzie przyrządzał je Laurence; *quenelles*, filety z kurczaka, małe galaretki z watą cukrową. Czasami, w weekendy, szła do kina z mężczyzną, którego poznała na kursach gotowania. Nazywał się Michael, był młodszy od Giny i prowadził firmę ramiarską. Lubiała Michaela, ale w ich związku, jak zauważyła to Sophy, nie było nic elektryzującego. Między Giną a Michaeliem nie istniał, jak określała to przyjaciółka Sophy, Lara, czynnik X. W sypialni Giny, wetknięta za róg lustra nad toaletką, tkwiła stara pocztówka, niedbale wydrukowana w fatalnych barwach, przedstawiająca

panoramę Pau Gina nieustannie zaznaczała, te bardzo chętnie by tam wróciła.

Kiedy ty już opuścisz dom — mówiła do córki. — Kiedy Vi”.

Vi była znacznie spokojniejsza, podobnie jak zdaniem Sophy sama Gina. Obie stały się bardzo rzeczowe i opanowane. Pewnego dnia Sophy zabrała do Vi Larę oraz Grega i Maggie. Vi bardzo ucieszyła się z tej wizyty. Upiekła ciasto i pokazała młodym gościom pamiątki po Danie. Kazała nawet przymierzać marynarski płaszcz. Oni w zamian powymieniali przepalone żarówki i wynieśli śmieci. Papuga Sophy znów wisiała przy oknie w kuchni Vi i nieustannie gaworzyła z ożywieniem z gromadzącymi się w karmniku za oknem sikorkami. Vi zrobiła na drutach kamizelkę dla Sophy. Kamizelka była ciemnoczerwona — kompromis między purpurą, jakiej chciała staruszka, a preferowaną przez Sophy czernią — bardzo długa, a na przodzie Vi zamierzała przyszyć drewniane guziki.

Idąc do Vi mijalo się, naturalnie, Pszczeli Dom. Budynek nabył od Laurence'a i Hilary browar, który założył w nim pub, stylowy pub noszący nazwę „Ul”. Na budynku wisiały nowe szyldy, a w ogrodzie stały stoliki i krzesła pod czerwono-żółtymi parasolami z wypisaną czarnymi literami nazwą browaru. Zmieniono również wystrój wnętrza. Jadalnię przerobiono na pokój rodzinny, a na całym parterze poprzebijano ściany, powiększając w ten sposób powierzchnię baru. W kuchni znajdował się bezlik naczyń do smażenia, olbrzymich, stalowych naczyń do smażenia, w których od rana do nocy piekły się udka kurczaków i frytki podawane później, wraz z plastikowymi pojemnikami na sosy, na firmowych talerzach. Don był w swoim żywiole. Browar zatrudnił go jako barmana. Don zawiesił tablicę, gdzie pełnymi zawijasów literami wypisywał specjalność zakładu na dany dzień. Sophy spodziewała się, iż w każdej chwili spotka go na Orchard Street. Będzie głośno bzyceć, a na sobie będzie miał kostium pszczoły wraz ze skrzydełkami.

Powiedziała o tym Gusowi. Podczas wizyt w Londynie spotykała się z nim czasami w „Hard Rock Café” na Piccadilly. Gus bardzo się zmienił. Wydorósł, zmężniał i przyfarbował sobie z przodu włosy.

Miał dziewczynę, Tinę, i gdy ostatnio Sophy dwukrotnie do niego dzwoniła, aby umówić się w „Hard Rock Café”, odmówił, usprawiedliwiając się nawalaniem zajęć. Zmienił mu się również głos. Może nie stał się grubszy, ale nabrał osobliwego akcentu. Sophy podejrzewała, że duży wpływ na to miała nowa, londyńska szkoła.

— U mnie wszystko po staremu — oświadczył.

— A pozostali chłopcy?

— Adam w przyszłym roku, po skończeniu szkoły, wybiera się do Australii, a George zamierza na dobre zająć się ogrodnictwem. Chce podjąć naukę w jakiejś wyższej uczelni w hrabstwie Kent. — Zamilkł, pociągnął łyk coca-coli i dodał: — Mama również zamierza studiować.

— Naprawdę? Po co?

— Rozumiesz, nie chce być gorsza od własnych dzieci.

Laurence pracował w restauracji w Chelsea. Był tam szefem kuchni. Gus oświadczył, że jego ojciec nie przepada za tą pracą, ponieważ kuchnia mieści się pod ziemią. Poza tym Laurence znów tęsknił za czymś własnym. Kupili dom na Hammersmith, na ulicy, która dochodziła do prowadzącej prosto do rzeki. Gus utrzymywał, że dom jest śliczny i stoi tuż obok stacji metra Hammersmith Broadway.

— Londyn jest wspaniały — powiedział Sophy z trochę zbyt wylewnym uśmiechem. — Żal mi ciebie.

— Mnie tam nie jest żal — odparła, przyglądając włosy. — Nic a nic. Na razie.

Rankami, gdy była spóźniona, jeździła do szkoły autobusem. Kiedy jednak zrywała się z łóżka natychmiast po pobudce Giny, a nie za trzecim lub czwartym razem, szła piechotą. Przemierzała aleję na terenach opactwa, mijała sterczące ze zbitej zieleni ruiny, przechodziła obok ulubionego przez Dana łuku, a następnie podążając ścieżką między krzewami, ławkami i pojemnikami na śmieci dochodziła do Orchard Street. Stamtąd szła Rowami, podziwiała stojące na parapetach okien porcelanowe koty i doniczki z trzykrotkami, stanowiącymi wyzwanie dobremu smakowi, i dochodziła do muru okalającego Jego Wysokość.

Mimo że zasłonięty kamienną ścianą Jego Wysokość wyglądał na

odmieniony. W górnym oknie zamiast firanek zainstalowano żaluzje, a bramę od ulicy pomalowano matową czarną farbą i zaopatrzone w nowe, stalowe zawiasy i klamkę. Panią Pugh widywano czasami na rynku, jak ze znanstwem, które budziło niechęć sprzedawców, przebierała w melonach i awokado. Znana była też z tego, że co kilka tygodni wyjeżdżała do Londynu do fryzjera.

Sophy, ilekroć przechodziła obok Jego Wysokości, przystawała po drugiej stronie ulicy i patrzyła na swój dawny dom. Jego widok nie budził już w niej emocji, żadnych wzruszeń, tęsknoty czy żalu. Ostatecznie był to dom jej dzieciństwa, dom, w którym spędziła pewien, dziś już skończony, okres swego życia. Było to miejsce, gdzie żyła całe lata, zanim jeszcze stała się sobą, zanim sobą stali się jej przyjaciele.